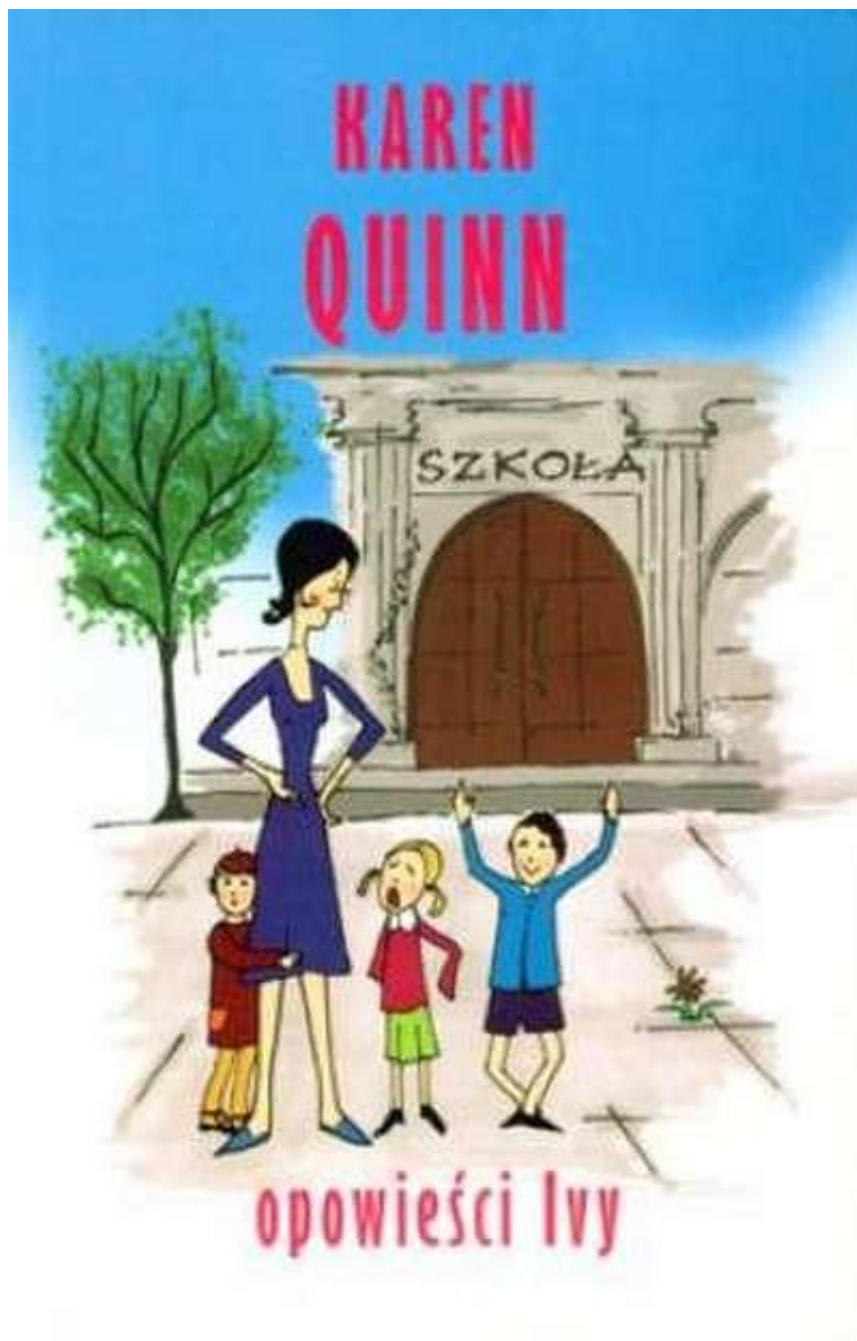




Karen Quinn

Opowieści Ivy

Z języka angielskiego przełożyła: Katarzyna Petecka — Jurek



*Mojej matce, Shari Nedler, dla której
nie ma rzeczy niemożliwych i która mnie
nauczyła, że ze mną jest podobnie.*

*Mojemu ojcu, Sonnyemu Nedlerowi,
który jest moim aniołem stróżem. To
największa łaska, jaka mnie w życiu spotkała.*

Podziękowania

Opowieści Ivy nigdy nie ukazałyby się drukiem, gdyby nie pomoc wielu wspaniałych ludzi. Chciałabym podziękować Pam Dorman, która doceniła rękopis mojej książki, a następnie pokazała mi, jak uczynić ją jeszcze lepszą. Szczególne słowa wdzięczności kieruję do Clare Ferraro, Rakii Clark, Carolyn Coleburn, Aleksa Gigante, Mindy Im, Judi Powers, Nancy Sheppard, Julie Shiroshi i wszystkich utalentowanych ludzi z wydawnictwa Viking, dzięki którym moja powieść ujrzała światło dzienne. Serdecznie dziękuję Susanne Baboneau i Kate Lyall —Grant za opublikowanie *Opowieści Ivy* za granicą. Dziękuję Sarah Nundy z Andrew Nurnberg Associates oraz Shari Smiley i Sally Willcox z CAA. *Merci beaucoup* przyjacielowi, prawdziwemu człowiekowi renesansu, Stuartowi Calderwoodowi, który dwukrotnie przeczytał moją powieść i zaproponował niezbędne zmiany. Do końca moich dni będę wdzięczna Robinowi Strausowi, nadzwyczajnemu agentowi, za wiarę we mnie. I niech Bóg błogosławi Beverly Knowles, naszą nianię i członkinię jamajskiej gałęzi rodziny Quinnów, za znalezienie mi agenta. Czy jest coś, czego Bev nie potrafi?

Codziennie dziękuję losowi za Marka Quinna, mojego cudownego męża, który nigdy nawet słowem nie wspomniał, żebym znalazła sobie normalną pracę. Nieskończenie wiele zawdzięczam również moim dzieciom, Schuyler i Samowi Quin, gdyż to dzięki rachunkom za ich czesne książka ta mogła powstać. Szczególnie mocno dziękuję Samowi za wszystkie jego zabawne powiedzonka, z których wiele trafiło na strony tej powieści. (Nie, Samie, nie zapłacę Ci prowizji.) Chcę również wyrazić głęboką wdzięczność Shari Nedler i Judith Levy, gdyż dzięki ich poczuciu humoru i zachęcie nie zrezygnowałam z pisania. Jestem też niewypowiedzianie wdzięczna kilku niezwykłym osobom, których trafnych uwag i osobistego wsparcia nigdy nie zapomnę. Są to: Don Nedler, Michael Nedler, Candice Olson, Judith Kahn, Eva Okada i Kathleen Stowers.

Dziękuję Roksanie Reid, mojej dawnej współpracownicy i współzałożycielce Smart City Kids, wspaniałej doradczynie w sprawach naboru —

cierpliwej, mądrej, zawsze postępującej etycznie, pełnej zrozumienia i niewyobrażalnie wesołej. (Gdybym kiedyś zapragnęła którekolwiek ze swoich dzieci umieścić w szkole, o pomoc na pewno zwrócę się do Ciebie.) Dziękuję moim wspaniałym klientom, zwłaszcza tym, którzy w chwili, kiedy się poznaliśmy, dopiero co wyrosli z pieluch — wciąż za Wami tęsknię. Dziękuję Draytonowi Birdowi, który tak wspaniałomyślnie użyczył swojego imienia mojemu powieściowemu kumpłowi. (Od razu wyjaśnię, że prawdziwy Drayton jest dobrym i uczciwym człowiekiem.) Dziękuję również wszystkim moim przyjaciołom, którzy zgodzili się, aby ich imiona nosili drugoplanowi, choć wcale przez to nie mniej ważni bohaterowie mojej książki. Dziękuję Om Dutta Sharmie, wyleczonemu z egoizmu nowojorskiemu taksówkarzowi, który rzeczywiście otworzył szkołę dla dziewcząt w indyjskiej miejscowości Doobher Kishanpur. (Jeśli prawdziwa szczodrość zaczyna się od poświęcenia, Ty jesteś najlepszym tego dowodem.) Dla tych wszystkich, którzy pragną dowiedzieć się nieco więcej o szkole pana Sharmy, podaję adres: Pt. Sitaram Balkishan Charitable Trust, 6115 Broadway, Woodside, Nowy Jork 11377.

Ponieważ z braku miejsca nie jestem w stanie podziękować wszystkim za ich wkład w powstanie *Opowieści Ivy*, wymienię tutaj tych, którzy towarzyszyli mi na tym etapie mojego życia. Należą do nich: Jerry Bauer, Meris Blumstein, Claire Chasnoff, Margaret Cooper, Stacy Creamer, Robin Daas, Jennifer Deare, David i Lisa Drapkinowie, moja e — grupa, Keith Fisher, Victoria Goldman, Ken Gomez, Pat Hurlock, Carole Hyatt, Marla Isackson, Stephen Jones, Barbara Kanter, Gail Kenowitz, Susan Kleinberg, Monica Langley, Chivaun Mahoney, Francesca Marc —Antonio, Jeff Miller, Murray Miller, Peter Olson, Jodi Paulovich, Beth Phoenix, Marvys Pou, Avi Portal, Lynne, Wendy, Janet i Ted Quinnowie, Nancy Schulman, pracownicy Sonnys Fine Jewelry w Denver, Linda Spector, Christian i Victoria Tse, John i Barbara White oraz Jennifer Wilen.

Informacja dla Czytelników

Autorka pracowała jako konsultant, pomagając setkom nowojorskich rodzin w procesie naboru do szkół prywatnych, publicznych i do przedszkoli. Związane z tym przeżycia i doświadczenia stały się inspiracją do napisania tej powieści. Jednak *Opowieści Ivy* to fikcja literacka. Imiona, postaci, organizacje, miejsca, zdarzenia i szkoły występujące w książce są wytworem wyobraźni autorki, a wszelkie podobieństwo do prawdziwych nazwisk, osób, organizacji, miejsc, zdarzeń i szkół jest przypadkowe. Osoby publiczne, które przelotnie pojawiają się w powieści, ukazano bez ich wiedzy i zgody, zaś ich związki z bohaterami książki i opisane wydarzenia zostały wymyślone. Niektóre rzeczywiście istniejące w Nowym Jorku instytucje i prawdziwi ludzie są wspomniani w powieści jedynie na użytek fikcji literackiej.

Część 1

Limuzyna już się tu nie zatrzymuje

TLR

1. Dziewczyna z Park Avenue

Konrad nalegał, aby najpóźniej o 7.45 rano wszyscy siedzieli już za swoimi biurkami. Bez wyjątku. Twierdził, że przyznawanie w tej sprawie jakichkolwiek ulg matkom byłoby przejawem seksizmu. Łatwo mu to mówić. W jego domu niepracująca żona i dwie zatrudnione w pełnym wymiarze godzin nianie sprawowały kontrolę nad rozgrywającą się każdego ranka rodzinną batalią, jaką niemal wszyscy staczamy dzień po dniu. Ja musiałam wyprowadzić psa, ubrać dzieci, przygotować śniadanie, umyć naczynia, dopilnować czesania, szczotkowania zębów i śłania łóżek, znaleźć zgubione zadania domowe, spakować plecaki, a jednocześnie sama zwlec się z łóżka, wziąć prysznic, ubrać się, umalować i wyjść z domu.

Na ulicy wyścig z czasem trwał dalej: złapać taksówkę, odstawić Sir Eltona do psiego przedszkola, zawieźć dziewczynki do ich zdecydowanie za drogiej szkoły. Jeśli zdołałam się z tym uporać do siódmej, czasu wystarczało mi akurat na to, aby sprintem dobiec do metra na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i Lex i dojechać na Fulton Street. Tam wyskoczyć z pociągu, wrzucić pani dolara do kubka z napisem: PROSZĘ, NAKARM MNIE. JESTEM GŁODNA, wślizgnąć się do budynku, w Starbucksie kupić w biegu kawę, dwa słodziki i bajgla, pognać do windy i odtrąbić zwycięstwo, jeśli udało mi się posadzić tyłek na krześle, zanim zegar pokazał godzinę 7.45.

Technicznie rzecz biorąc, mój bezrobotny mąż mógłby wziąć na siebie ciężar porannej rutyny. Chcę przez to powiedzieć, że istniałaby fizyczna możliwość, aby się tym zajął, gdyby nie utrzymywał z uporem, że musi się wysypiać do dziewiątej. Tak, wiem. Powinnam być bardziej stanowcza, ale łatwiej mi zrobić wszystko samej, niż staczać z nim boje. Cad był bez pracy od ośmiu miesięcy. Pracował jako makler giełdowy, specjalista od instrumentów pochodnych w Bear Stearns, ale został zwolniony, gdy źle obstawił dług rosyjskiego rządu. Mimo to upierał się, żebyśmy dalej żyli tak, jak gdyby nic się nie zmieniło. Najchętniej zatrudniłby pomoc do porannych prac, jednak ze względu na naszą sytuację finansową oraz to, że żadne z nas nie spędzało wystarczająco dużo

czasu z dziewczynkami, nie mogłam się na to zgodzić. Nie ma się zresztą co oszukiwać — który facet wytrzyma taki poranny maraton? Tak, są oczywiście wyjątki, może w równoległej rzeczywistości, ale na pewno nie w moim świecie.

Tego szczególnego dnia jedyne, o czym marzyłam, to dać nura do mojego luksusowego, ergonomicznego łóżka szwedzkiej firmy Duxiana, z boską poduszką i cudowną kołdrą, które kupiłam w ABC Carpet and Home za cenę małego samochodu. Mm... ależ byłoby cudownie. Uporałam się już z codziennym kieratem, dodatkowo zahaczając o jeden ze sklepów Duane Reade, żeby kupić brokatowy lakier do włosów, jaki Skyler i Kate koniecznie musiały mieć na Chanukę*¹. Gdy dotarłam do biur na dwudziestym pierwszym piętrze Myoki Bank, w którym pełniłam dość ważną funkcję wiceprezesa, zegar wskazywał godzinę 7.47. Czułam się tak, jakbym miała już za sobą cały długi, pracowity dzień.

Kiedy weszłam do gabinetu, światła włączyły się automatycznie. Wieszając płaszcz na przymocowanym do drzwi haczyku, przypomniałam sobie wszystkie poświęcenia, jakie musiałam ponieść, żeby dochrapać się przywileju pracy w pokoju z drzwiami, nie zaś jedynie w zwykłym boksie. Przez ostatnie pół roku zajmowałam się bardzo ważnym projektem o kryptonimie „Buli Chip”, z którego to powodu byłam zmuszona pracować do dziewiątej, a czasem do dziesiątej wieczorem przez cały tydzień, nie wspominając o przynajmniej kilku godzinach podczas weekendu. Nie mogłam uczestniczyć w przyjęciu urodzinowym mojej sześciolatki, bo nadzorowałam sprawdzanie systemów. Połowę wakacji poświęciłam na rozwiązywanie wynikające z projektu problemów, z którymi nikt inny nie mógł się uporać. Nie pojechałam na piętnastolecie ukończenia collegeu biznesu, ponieważ dwóch członków zespołu złożyło niespodziewanie wypowiedzenie i Konrad się uparł, żebym została w mieście i osobiście zajęła się zatrudnieniem nowych osób na ich miejsce. Lecz dzięki projektowi moja kariera zawodowa nabierze kosmicznego przyspieszenia i zdobędę awans, na który w pełni zasługuję, nie mam więc czego żałować.

¹ *Chanuka - trwające osiem dni żydowskie święto, przypadające zwykle w grudniu, obchodzone na pamiątkę oczyszczenia Świątyni Jerozolimskiej po jej sprofanowaniu przez Antiocha IV Epifanesa (przyp. tłum.).

Wyciągałam właśnie bajgła z brązowej papierowej torby, kiedy mój wzrok przyciągnęła biało — żółta plama zlokalizowana centralnie na moim krześle. Była to notatka służbowa z przyczepioną samoprzylepną karteczką, umieszczona tak, żebym nie mogła jej nie zauważyć:

NATYCHMIAST U MNIE — KONRAD

Konrad był moim niewyobrażalnie ambitnym, pogrążonym w chemicznej depresji szefem. Jednym z tych złotych chłopców firmy, z profesjonalnie wyuczonym uśmiechem, nauczycielem wymowy, kierowcą i asystentem asystenta asystenta — wszystko opłacane przez firmę, gdyż czas Konrada był tak niezwykle cenny. W przeciwieństwie do swoich rówieśników, przystojniaków w typie gwiazdorów oper mydlanych, Konrad swoją urodą po prostu powalał. Wyobraźcie sobie wszystko, co najlepsze z Brada Pitta, Pierce a Brosnana i Roberta, Redforda, połączone w idealną całość, na dodatek z autentyczną muszką od Brioniego. Taki właśnie był Konrad — jasnowłosy niebieskooki Adonis, od siedmiu lat uświetniający swoim wizerunkiem okładkę rocznego raportu Myoki. Jego bezpośredni podwładni nazywali go za plecami Twarzą. Żywiliśmy niezachwianą pewnością, że drogę na szczyt sobie „wypożo- wał”.

Notatka trochę mnie zaniepokoiła. Nie była to standardowa procedura. Gdy Konrad chciał się ze mną zobaczyć, wzywał mnie jego sekretarz — autor piosenek.

— Ivy, Konrad chce się z tobą natychmiast widzieć. Czy możesz rzucić wszystko i przyfrunąć na sześćdziesiąte?

— Wziął prochy? — pytałam.

Żaden z podwładnych Konrada nie ośmieliłby się stanąć przed nim, wiedząc, że ten nie zażył jeszcze wellbutrinu. Lepiej było wiedzieć, z czym ma się do czynienia.

— Nie jestem pewien, ale Ed wyszedł zapłakany. Słyszając to, zwlekałam. Jednak dzisiaj znalazłam jedynie

krótkie polecenie na karteczce doczepionej do notatki służbowej od... Właśnie, od kogo? Skupiłam wzrok na nagłówku:

DO: Konrad Kawaler

OD: Drayton Bird

DOTYCZY: Propozycja restrukturyzacji

Konradzie, jestem przekonany, że jeśli chodzi o 5 milionów dolarów, które obaj mamy zaoszczędzić, moglibyśmy sobie nawzajem pomóc, zmniejszając dział Ivy Ames i łącząc go z moim, tworząc „Centrum Doskonałości Marketingowej”. Funkcje mojego zespołu są identyczne z funkcjami jej działu, ale my możemy zwiększyć tempo pracy, ponieważ działamy w skali międzynarodowej. Mógłbyś zlikwidować jej stanowisko, plus dwóch bezpośrednich podwładnych, oszczędzając 700 tysięcy dolarów na pensjach, dodatkach, szkoleniach, nieruchomościach itd. Moglibyśmy zastąpić jej centrum obsługi klienta w Iowa telemarke — terami w Indiach, oszczędzając kolejne 2,5 miliona dolarów. Rozwiązałem podległy mi zespół akwizycyjny, pozbywając się dwudziestu sześciu osób i 7 milionów dolarów kosztów. Mogę z powodzeniem pełnić połączone funkcje i mam zdolność budżetową do przejęcia kosztów. Korzyść będzie obopólna.

Daj znać, co o tym sądzisz.

Jasna cholera, pomyślałam.

Usiadłam, obróciłam się razem z krzesłem i zapatrzyłam na rozciągającą się z mojego okna efektowną panoramę Zatoki Nowojorskiej, na którą od miesięcy nie zwróciłam uwagi. Nonszalancko przyłożyłam do twarzy brązową papierową torbę i — mając nadzieję, że nikt tego nie widzi — zaczęłam głęboko przez nią oddychać. Oddychaj, oddychaj, oddychaj, nuciłam w duchu, próbując się nie zakrztusić drobinkami sło-dziku unoszącymi się w torbie.

Zadzwoił telefon. Mój żołądek wykonał salto, lądując gdzieś między płucami a gardłem. Obróciłam się, żeby odebrać. Po wyświetlonym numerze poznałam, że dzwoni sekretarz — autor piosenek.

— Konrad chce cię zobaczyć — rzekł z egzaltacją. — Mówi, że masz przynieść notatkę.

— Już idę. Wziął tabletki?

— Osobiście mu je podałem. Jest dzisiaj w bardzo dobrym nastroju. — Jego „bardzo” zabrzmiało jak „bałdzo”.

Pięć minut i dwie windy później znalazłam się w gabinecie Konrada. Powiódł mnie do części gościnnej i gestem zaprosił, żebym usiadła na krześle ze sztucznie postarzonej brązowej skóry, przeznaczonym dla odwiedzających. Psiakrew. Gdybym wiedziała, że czeka mnie spotkanie z Konradem, ubrałabym się lepiej. Na tle jego prążkowanego garnituru od Hugo Bossa, czerwonej muszki, perskich dywanów i oryginalnego Chagalla prezentowałam się nadzwyczaj ubogo.

— Słuchaj — rzekł, nie tracąc czasu na pogawędki o niczym. — Dzisiaj rano dostałem pismo od Draytona i zanim zacznę działać, chciałem poznać twoje zdanie. Co o tym myślisz?

Myśl szybko. Myśl szybko. Powiedz coś mądrego.

— To idiotyczny pomysł — zaczęłam.

Zbyt agresywnie. Spokojnie, wyluzuj.

— Metody międzynarodowe bardzo się różnią od krajowych. To, że oboje zajmujemy się „marketingiem”, nie oznacza, że „marketingujemy” tak samo. — Ilekroć wypowiadałam „marketing”, robiłam palcami w powietrzu znak cudzysłowu. Żałosne.

— Poza tym — ciągnęłam — on zatrudnia praktykantów, którzy nie odróżniają własnego tyłka od łokcia. Mój personel to doświadczeni profesjonaliści. Jeśli już w ogóle mamy coś zmieniać, uważam, że powinniśmy wcielić jego dział do mojego, mnie zrobić szefem i tym sposobem zaoszczędzić tyle samo.

— Nie wiem, co powinniśmy zrobić — powiedział Konrad. — Pewne jest natomiast, że Drayton ma dobry pomysł. Przekaż mu swoje zastrzeżenia i zobaczymy, co on na to. Powiedz, kto według ciebie powinien się tym zająć i jakie możemy zrobić cięcia. Muszę zaoszczędzić

pięć milionów, a ty możesz zostać bohaterką, podając mi na tacy kilka głów.

Oto, kim zawsze chciałam być, pomyślałam ponuro. Bezrobotną bohaterką.

Roszczenia terytorialne Draytona zagrażały mojej egzystencji w Myoki, musiałam jednak udawać chęć współpracy Pierwsza zasada przetrwania w wielkiej korporacji brzmi: Zawsze graj tak, jakbyś popierał propozycje swojego wroga, i jednocześnie za jego plecami rób wszystko, żeby zdusić jego plany w zarodku, a jeśli to możliwe, jego samego zgładzić.

— Świetny pomysł, Konradzie. Natychmiast zadzwonię do Draytona — powiedziałam z udawanym entuzjazmem.

Gdy ponownie znalazłam się na dwudziestym pierwszym piętrze, moje tętno zdążyło wrócić do normy. Pomyślałam o czternasto miesięcznej odprawie, jaką dostanę, jeśli mnie zwolnią. Miałabym czas dla siebie, zrzuciłabym dziesięć kilogramów, nauczyłabym się programować magnetowid, a może nawet zapisałabym się na kursy do Centrum Kabały

Wybrałam numer wewnętrzny Draytona. Drayton osobiście odebrał telefon, co nigdy nie przestawało mnie dziwić, zważywszy, że istnieje coś takiego, jak identyfikacja dzwoniącego.

— Drayton — powiedziałam. — Jak się ma Bea?

Bea była jego siedmioletnią córką, która regularnie bawiła się z moją Skyler. Obie chodziły do Balmoral, „świętego Graala” wśród szkół dla dziewczynek na Manhattanie. W życiu bym nie pomyślała, że Drayton to taka wredna świnią. Nie dalej jak wiosną byliśmy z Cadmonem na urodzinowym przyjęciu, jakie w Pałace Hotel wydawał na cześć swojej kosztownej żonki, Sassy. Zażyczył sobie, aby wielka sala balowa wyglądała jak Times Square w sylwestrowy wieczór. Były neony, obrotowe bramki jak przy wejściu na stacje metra, karykaturzyści, aktorzy grający bezdomnych. Sassy zjawiała się na balu o północy. Michael Crawford śpiewał broadwayowskie hity. Zamiast czterdziestu świeczek, Drayton zamówił czterdzieści urodzinowych tortów u najlepszych cukierników

na Manhattanie. Kilka tygodni temu zrewanżowaliśmy się z Cadem, zapraszając Sassy i Draytona na kolację do Le Bernardin. Myślałam wtedy, że świetnie się we czwórkę dogadujemy.

— Och, Bea jest cudowna. Dziękuję, że pytasz. — odparł Drayton. Był Anglikiem. — Nie może się już doczekać swoich urodzin w przyszłym miesiącu. Czy Skyler przyjdzie?

— Oczywiście — odpowiedziałam. — Sassy mówiła, że to będzie przyjęcie z tańcami, prawda? Brzmi świetnie.

— Rzeczywiście — powiedział Drayton. — Właśnie wynajęliśmy Claya Aikena.

— Clay Aiken urządza urodziny dla ośmiolatek?

— Normalnie nie. Ale ojciec chrzestny Beatrice jest prezesem jego wytwórni płytowej, więc to załatwił. Nic nie jest za dobre dla naszych drogich aniołeczków, prawda?

— Nic, rzeczywiście nic... Słuchaj, widziałam właśnie twoją notatkę dla Konrada. Podoba mi się twój pomysł. Sądzę jednak, że możemy wypracować jakiś kompromis i nie zwalniać nikogo z wyższego kierownictwa. Zresztą Konrad sam zaproponował, żebyśmy wspólnie opracowali plan połączenia naszych działów.

— Bez —wz —GLED —nie — odparł Drayton w ten denerwująco nieszczerzy sposób, jakże typowy dla Anglików. — Chcę się tym zająć natychmiast. Problem w tym, że dosłownie już wychodzę. Nie będzie mnie trzy dni. A później, w czwartek, wybieram się na weekend do Londynu, do ojca. Właśnie stwierdzili u niego chorobę serca.

— O mój Boże! To okropne! — wykrzyknęłam, udając szczerą troskę. — Moja matka też chorowała na serce. Zmarła w zeszłym roku.

— Tak, cóż, dziękuję ci bardzo — powiedział Drayton. — Wracam za tydzień. Spotkajmy się czternastego o pierwszej. Spróbujemy znaleźć rozwiązanie satysfakcjonujące nas oboje.

— Świetnie — odparłam. Ciekawe, co to znaczy? — Proszę cię tylko, żebyś się tym nie zajmował, dopóki się nie spotkamy. To powinno wyjść od nas obojga.

— Bez —wz —GLED —nie — przyrzekł Drayton. — W takim razie do przyszłego tygodnia. Bywaj. — Bywaj, ty dupku. Drayton od dwudziestu lat nie mieszka już w Anglii. *Draytonie, w Ameryce mówimy „do widzenia” — to na wypadek, gdybyś jeszcze tego nie zauważył.*

Wielkie korporacje, z ich inicjatywami „najwspanialszych miejsc pracy”, radami zajmującymi się kwestią różnorodności, salami gimnastycznymi i wychwalanymi (choć rzadko stosowanymi) programami urlopów naukowych, mogłyby uchodzić za bastiony uczciwości i wzajemnego zrozumienia. Nic bardziej mylnego. Na porządku dziennym jest zlecenie pracownikom wykonania planów reorganizacji oznaczających ich koniec. Kiedy człowiek zostaje wiceprezesem w wielkiej firmie, oczekuje się od niego, żeby był dorosły. Nienawidzę tego.

— Bonnie — zwróciłam się do swojej asystentki, wkładając płaszcz. — Mam w mieście spotkanie. Zobaczymy się dzisiaj po południu, a może jutro; zależy, ile czasu mi to zajmie.

Poszłam na zakupy do Barneysa.

Następnego ranka miałam dziwnie spokojny stosunek do trudnej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Cadmon, były wytrawny polityk działający na arenie korporacyjnej, przekonał mnie, że mogę wszystko obrócić na swoją korzyść. Wpadłam na genialny pomysł, żeby wykolegować Draytona. Podczas gdy on w Londynie będzie się opiekował chorym ojcem, spróbuję przejąć władzę w jego dziale. Powszechnie było wiadomo, że Drayton to zawodnik wagi lekkiej, ja zaś uchodziłam za potęgę. Teraz właśnie nadarzała się tak potrzebna mi okazja objęcia przywództwa największego z dotychczas istniejących działów, podwyżki i gabinetu na sześćdziesiątym piętrze. Myśl ta przepemniała mnie niemal euforycznym optymizmem.

Podchodząc do biurka, ponownie dostrzegłam na swoim krześle białą plamę papieru z żółtą samoprzylepną karteczką.

NATYCHMIAST U MNIE — KONRAD

Biała kartka zawierała jakiś raport. *Psiakrew*.

Usiadłam i zaczęłam czytać.

DO: Konrad Kawaler

OD: Drayton Bird

DOTYCZY: Propozycja restrukturyzacji

Cieszę się, że popierasz moją propozycję połączenia działu marketingu z moim. Wczoraj rozmawiałem z Ivy Ames, która uważa, że to wspaniały pomysł. Pozwoliłem sobie opracować wstępny plan (poniżej). Załączam również nowy schemat organizacyjny oraz rachunek zysków i strat wykazujący oszczędności, jakie osiągniemy dzięki tej fuzji. Spotkałem się też z ludźmi z działu kadr i do dziesiątej otrzymasz wyliczenie odprawy dla Ivy i jej bezpośrednich podwładnych.

Jeśli wyrażasz zgodę, daj mi znać. Proponuję ogłosić to jak najszybciej, żeby zacząć od razu po Nowym Roku, ale oczywiście decyzja należy do ciebie.

2. Zwolnienie

Przejrzałam raport Draytona wraz ze wszystkimi załącznikami, dopracowany w tak porażających szczegółach, że nie miałam wątpliwości: mój los został przypieczętowany. W końcu zrozumiałam, że wszystko było ukartowane. Paskudnie mnie wymanewrowali. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Konrad tylko po to pytał mnie o zdanie, że- bym w momencie zwolnienia nie mogła powiedzieć, że nie miałam nic wspólnego z tą decyzją.

Nienawidziłam swojej pracy — taka była naga prawda. Nudziła mnie od samego początku i nic się przez te wszystkie lata nie zmieniło. Co jednak nie oznaczało, że chciałam ją stracić.

Szybko, szybko, myśl. Jak mogę zachować pracę? Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu mojego wysłużonego egzemplarza *Sztuki wojny*. Musi tam być jakaś strategia na podobną okoliczność. Może mogę coś jeszcze zrobić. Jak generał George A. Custer. Cholera, już na to za późno! Nie było sensu się oszukiwać. Wystarczająco często byłam świadkiem podobnych scenariuszy, żeby zrozumieć, że moja kariera w Myoki dobiegła właśnie końca. Zwłaszcza że sama nie raz zastawiałam podobne pułapki na swoich rywali. Kiedy kadry przygotowały już wydruk czyjejś odprawy, nie było odwrotu.

Czy to się dzieje naprawdę? Jeszcze w zeszłym roku razem z Cadmonem wyciągaliśmy prawie dwa miliony rocznie. Mieliśmy wspaniałe mieszkanie przy Park Avenue, nianie przez siedem dni w tygodniu, wynajmowaliśmy też domek w Southampton. A później, w marcu, zwolnili Cadmona i zostałam jedynym żywicielem rodziny. Tak przywykliśmy do naszego wystawnego życia, że nie obniżyliśmy standardu, pewni, że lada dzień Cadmon znajdzie nową pracę. Nie znalazł.

Podeszłam do komputera i z postanowieniem znalezienia koniecznych oszczędności otworzyłam arkusz kalkulacyjny z naszym budżetem. Zobaczmy... Hipoteka (120 000 dolarów), podwójne chesne (50 000),

datki na cele charytatywne (25 000), korepetytorzy (15 000), przyjęcia urodzinowe (22 000), obóz letni (14 000), prywatne lekcje (20 000), domek w Southampton (60 000), wyjazdy na narty (15 000), samochody i garaż (35 000), ubrania, pralnia chemiczna, krawiec (50 000), osobiści trenerzy, joga, dietetyk (28 000), rozrywka, kwiaty, catering (60 000), psie przedszkole, masaż, strzyżenie i specjalne sushi dla Sir Eltona (24 000), moje włosy (12 000), moje paznokcie (5200), mój analityk (24 000), mój trener energii życiowej (18 000), nianie i pokojówka (74 000), botoks, kolagen i laserowy lifting (18 000), napiwki i upominki dla pracowników (4000) oraz całe mnóstwo innych wydatków, jak żywność, ubezpieczenie, energia elektryczna, telefon, kablówka, opieka medyczna — wszystkie te nudne, ale, niestety, niezbędne rzeczy, które łącznie dają niebagatelną sumę. Przybita obezwładniającym poczuciem straty, miałam świadomość, że dłużej na takie życie nie możemy sobie pozwolić. Co gorsze, oboje z Cadem zawsze fatalnie znosiliśmy wszelkie poświęcenia. Nie miałam pojęcia, co mogłabym z naszego budżetu usunąć.

Siedziałam i tępyim wzrokiem wpatrywałam się w jeden punkt. W oczach zebrały mi się łzy i popłynęły strumieniem po twarzy, a w gardle utkwiała mi kula wielkości piłki golfowej. *Przestań płakać. Przestań płakać. Zachowuj się jak człowiek dorosły.*

Z otępienia wyrwał mnie dźwięk telefonu. Odetchnęłam głęboko i podniosłam słuchawkę.

Dzwonił sekretarz — autor piosenek.

— Konrad chce cię zobaczyć. Możesz przyjść za pięć minut?

— Jasne — odpowiedziałam. — Leki?

— Dwie godziny temu — powiedział.

Po drodze na górę zahaczyłam o toaletę. Fuj! Oczy rozmazane jak u Tammy Faye Bakker Messner. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie oglądał w tym stanie. Oddychając głęboko i spryskując twarz zimną wodą, próbowałam się opanować.

Na sześćdziesiątym Konrad kazał mi czekać przez pół godziny. Udawałam, że zafascynował mnie artykuł o stopach procentowych w

„Municipal Bond News”. Jakiś inny wiceprezes zajrzał przez drzwi i Konrad machnięciem ręki kazał mu wejść. W końcu po trzech kwadransach przyszła kolej na mnie. Kiedy wolno kroczyłam do gabinetu Konrada, niemal oczekiwałam, że sekretarz — autor piosenek zanuci: „Idzie skazaniec”.

— Cóż, jak widzę popierasz połączenie twojego działu z działem Draytona — bez zbędnych wstępów zaczął Konrad. — Cieszę się, że grasz w drużynie i jesteś skłonna do poświęceń. — Kierownictwo Myoki lubowało się w sportowych porównaniach.

— Hm... niezupełnie, Konradzie. Drayton poprosił, żebym przez tydzień zastanowiła się nad tą propozycją i ja...

— To znaczy, że nie powiedziałaś Draytonowi, że uważasz pomysł za dobry? — zapytał Konrad.

— Nie, powiedziałam, że pomysł mi się podoba, ale chciałam to z nim przedyskutować. Rzecz w tym, że on nie mógł, bo wyjeżdżał z miasta...

— Co ty opowiadasz? Widziałem się z nim wczoraj wieczorem. Nie przeinaczaj faktów, Ames. Tak czy inaczej, chodzi o to, że muszę kogoś zwolnić, żeby zaoszczędzić te pięć milionów, a to jest najlepszy sposób, zgodzisz się ze mną?

— Cóż, oczywiście najlepiej jest kogoś zwolnić, ale moi ludzie nie najlepiej się do tego nadają. Drayton chce zatrudnić patałachów, którzy z biedą mówią po angielsku — powiedziałam, posługując się porównaniem, jakie, według mnie, mogło do niego trafić.

— Ivy, w całym banku obniżamy jakość ze względów oszczędnościowych. Nikt z nas nie jest niezastąpiony. Czasy są ciężkie. Musimy szukać nowych paradygmatów, burzyć stare granice, myśleć przyszłościowo, zrywać nisko rosnące owoce, podejmować właściwe decyzje, rzucać się na miecze... i tak dalej, i tak dalej.

— Oczywiście — wybąkałam. Zapomniałam już, do jak głębokich przemyśleń jest zdolny Konrad.

— Jeśli będziesz potrzebowała referencji — ciągnął Konrad — daj mi znać. I wiesz, co powiem? Powiem, że jesteś najlepsza. Niewielu pracowników postawiłoby interes banku, banku, który wszyscy kochamy, przed swoim. Jesteś rzadkim okazem, Ivy Ames.

— Rany, Konrad, wielkie dzięki. — Zawahałam się, po chwili jednak powiedziałam, co mi leżało na sercu. Co mi w końcu może zrobić, zwolnić mnie? — Czy mogę o coś zapytać?

— Oczywiście — odparł, przybierając minę zatroskanego szefa.

— Wydaje mi się, że już od dłuższego czasu planowałeś mnie zwolnić — wypaliłam.

Jego milczenie potwierdziło moje podejrzenia.

— Skoro tak, jak mogłeś pozwolić, żebym zaharowywała się na śmierć przy projekcie „Buli Chip”, wiedząc, że i tak położysz moją głowę pod topór przed Bożym Narodzeniem? — zapytałam. — Teraz nie dostanę premii. Dwie trzecie mojego wynagrodzenia to premia. Moja rodzina potrzebuje tych pieniędzy.

— Ivy, Ivy, Ivy — rzekł. — Gdybym pół roku temu powiedział ci, że zastanawiam się nad twoim zwolnieniem, w życiu nie pracowałabyś tak ciężko nad „Buli Chip”. No, sama powiedz?

— A twoje sumienie spokojnie na to pozwoliło, prawda? — drażylałam temat.

— Sumienie? — Konrad zmieszał się na chwilę. — Ivy, to jest biznes. Poza tym może i miałaś spory wkład w projekt, ale to moja wizja wszystko zapoczątkowała. To było prawdziwe osiągnięcie. Które powinno i które będzie nagrodzone. A ponieważ nie otrzymasz premii, gdybyś kiedykolwiek potrzebowała rekomendacji, nie omieszkałam powiedzieć, jaką wspaniałą pracę wykonałaś. Dzięki tobie bank oszczędził co najmniej sto milionów dolarów. Powinnaś to umieścić w swoim CV — dodał uprzejmie.

Po policzkach znowu popłynęły mi gorzkie łzy. Nie mogłam ich powstrzymać. Odrzucenie zawsze napawało mnie smutkiem, nigdy złością.

Konrad podsunął mi ozdobioną monogramem chusteczkę wyjętą z kieszonki marynarki. Z głośnym trąbieniem wypróżniłam w nią nos. Tak długo w nią smarkałam i wycierałam oczy, aż stała się zupełnie mokra i oślizgła.

— Dzięki — powiedziałam, zwracając mu ją do ręki. Trochę go to obrzydziło, ale nawet się nie skrzywił, nie wając się okazać choćby cienia słabości.

Wręczył mi plan na pozostałą część dnia.

10.00 — spotkanie z Sharon i Young Mi, aby oznajmić im, że zostały zredukowane. Odesłać je do działu kadr.

11.00 — spotkanie w dziale kadr, żeby odebrać odprawę.

13.00 — spotkanie z resztą zespołu, Draytonem i Konradem, żeby ogłosić przeniesienie.

14.00 — samochód odwiezie cię do domu. Twoje rzeczy zostaną dostarczone jutro.

Spojrzałam na Konrada, który unikał mojego wzroku.

— Wiesz, że to nic osobistego — powiedział Konrad. — Kiedy grasz w pierwszej lidze, musisz dokonywać trudnych wyborów. Postaw się na moim miejscu, Ivy. Pomyśl, jakie to dla mnie trudne. I, sama widzisz, ja się jakoś trzymam. — Konrad nachylił się i zniżył głos. — Szczerze mówiąc, uważam, że płacząc, nie zachowujesz się profesjonalnie. Mężczyźni tego nienawidzą. Jeśli o mnie chodzi, potrafię znieść kobiece łzy. Stoję na wyższym stopniu rozwoju ewolucyjnego. Ale jeśli jeszcze kiedyś znajdziesz się w podobnej sytuacji, staraj się unikać tego rodzaju przedstawień.

Wbiłam w niego wzrok. Całej siły woli potrzebowałam, żeby powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co w tej chwili myślałam.

— Ale co tam! Mnie pewnie niedługo spotka to samo — zażartował niezręcznie, nagle udając mojego kolegę.

Mam nadzieję, pomyślałam, choć nie wypowiedziałam tego na głos.

— Cóż, zobaczymy się o pierwszej — Konrad szarpnął kołnierzyk koszuli niczym Rodney Dangerfield. Pierwszy raz w życiu widziałam, że facet się poci.

Następne kilka godzin pamiętam jak przez mgłę. Jako ich szefowej, do moich obowiązków należało oznajmienie moim dwóm dyrektorkom, Sharon i Young Mi, że zostały zwolnione. Ja byłam biała, Sharon była Afroamerykanką, a Young Mi — Amerykanką pochodzenia chińskiego. Gdyby nie to, że wszystkie byłyśmy kobietami, można by uznać, że przy zwolnieniu nie kierowano się uprzedzeniami rasowymi. Okrucieństwem i dotkliwą karą było zmuszenie mnie, abym osobiście je zwolniła. Ja płakałam. One płakały. Uściskałyśmy się.

W dziale kadr wszystko przebiegło równie uroczco. Przysługiwała mi jedynie odprawa czternastotygodniowa.

— Nowe przepisy — oznajmił darmozjad. — Polityka odpraw uległa zmianie. Musiałabyś być wiceprezesem wyższej rangi, żeby za każdy rok pracy przysługiwał ci miesiąc odprawy. Tobie przysługuje tydzień za każde przepracowane dwanaście miesięcy. Nie dostałaś okólnika? Musisz także podpisać dokument, że przed otrzymaniem pełnej kwoty nie będziesz nas skarżyć o nieuzasadnione zwolnienie.

Przez pięć sekund zastanawiałam się, czy jednak nie podać ich do sądu. Bez wątpienia byliby skłonni zapłacić dużo więcej niż te nędzne grosze, które mi przysługiwały, byleby się mnie tylko pozbyć. Ale sprawa ciągnęłaby się w nieskończoność, a prawnicy kosztowałiby majątek. Niech to szlag trafi! Mam tyle rachunków do zapłacenia. Podpisałam jednak to cholerstwo i schowałam czek do kieszeni.

Wazeliniarz Drayton był obecny na spotkaniu o pierwszej. Żeby zapanować nad łzami, skupiłam się na liczeniu tłustych porów widocznych na jego gębie. Wargi nieustannie wykrzywił mu złośliwy uśmiešek, co starał się ukryć, pokaszując co chwilę i przysłaniając usta dłonią.

Konrad wyjaśnił moim ludziom, że nastąpiła reorganizacja i odtąd ich szefem będzie Drayton. Zapoznał ich z własną wizją działalności mojego działu, udzielając im więcej wskazówek niż mnie przez ostatnie

cztery lata. Podczas całej przemowy Konrada Drayton kiwał ze zrozumieniem głową, zupełnie jakby słuchał Dalajlamy albo Tony ego Robbinsa.

Drayton w swój lizusowski sposób podziękował Konradowi. Brakowało tylko, żeby obciągnął mu fiuta za odwagę, jaką ten wykazał, pozwalając mi odejść. Następnie powitał w swoim zespole moich ludzi i głądził bez końca o tym, jakimi to świetnymi jesteście przyjaciółmi i jaka jest ze mnie wspaniała profesjonalistka, dla której żywi niewypowiedziany szacunek, i że moje odejście będzie dla firmy niepowetowaną stratą... Ple, ple, ple. Zachęcił wszystkich, aby grzecznym aplauzem nagrodzili mój wkład wniesiony w rozwój banku. Na koniec wspomniał, jak wspaniale wyrażałam się o każdym z nich i że bardzo się cieszy, mogąc współpracować z tak utalentowanymi graczami. Nawet gdyby się zesrał na samym środku stołu konferencyjnego, to i tak nie zdołałby tym przebić bzdur, które napłótl.

Gdy Konrad zapytał, czy chcę przemówić do mojego zespołu, udało mi się tylko wykrztusić:

— Wspaniale mi się z wami pracowało. — W gardle miałam rosnącą z każdą chwilę gulę i nie byłam zdolna powiedzieć nic więcej, uśmiechnęłam się więc tylko, jak gdybym uważała restrukturyzację za wspaniały pomysł.

Konrad przypomniał sobie, że musi mi jeszcze odebrać klucz do mojego gabinetu, identyfikator, służbowy telefon i firmową kartę Visa. Jakby nie dość mnie już upokorzył, wszystko to musiałam mu oddać na oczach moich dotychczasowych podwładnych. Całe przedstawienie coraz bardziej przypominało sąd wojenny.

Konrad zakończył zebranie, prosząc jedynie Draytona, żeby jeszcze chwilę został. Serdecznie uściskałam się ze wszystkimi. Najbardziej cierpiałam, żegnając się z Bonnie, moją wierną asystentką. Kiedy w zeszłym roku umierała moja matka, Bonnie pilnowała, aby wszystko w biurze przebiegało bez zarzutu. Dzięki niej mogłam być przy mamie w jej ostatnich chwilach. Nie zdziwiło mnie, że firma nie chciała się pozbyć Bonnie. W Myoki lojalne asystentki były równie rzadkie jak Paris Hilton robiąca zakupy w Fashion Barn, o czym zarząd doskonale wie-

dział. Uściskałam ją i obiecałyśmy sobie, że będziemy się kontaktować. Strażnik, który czekał, aby mnie odprowadzić, nieustannie zerkał na zegarek.

Kiedy szłam do windy, wpadłam na Draytona.

— Mam nadzieję, że nie chowasz urazy — odezwał się z przesadnie współczującym uśmiechem i wyciągnął rękę. — Bardzo miło wspominaliśmy z Sassy nasz wspólny wieczór i mam nadzieję, że jeszcze kiedyś go powtórzymy.

Jasne, Draytonie, na pewno lada dzień do ciebie zadzwonię, żeby się umówić na kolację.

— Skądże, o żadnej urazie nie ma mowy — odparłam z uśmiechem, ściskając jego wilgotną, choć starannie wypielegnowaną dłoń. Fuj! Paznokcie miał pomalowane bezbarwnym lakierem. — Bardzo się cieszę, że będę mogła spędzać więcej czasu w domu z dziećmi. Wyświadczyłeś mi przysługę, Draytonie. — Nacisnęłam przycisk przywołujący windę.

— Ach tak... wspaniale... wspaniale. Muszę przyznać, Ivy, że dobrze się spisałaś. Ogólnie rzecz biorąc, podziwiam sposób, w jaki to załatwiłaś. Ale zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek — powiedział z fałszywą troską.

W tej chwili naprawdę marzyłam, żeby zrobić temu facetowi jakąś krzywdę. Kopnąć go w jaja. Walnąć w głowę. Wepchnąć mu moje wielkie pióro Montblanc do nosa, przebić mózg, doprowadzając jego ciało do paraliżu, żeby resztę życia spędził jako warzywo. Ale strażnik nie spuszczał mnie z oka, poza tym dopuszczając się aktu przemocy, złamałabym kardynalną zasadę zwalnianych pracowników — nie pal za sobą mostów. Powstrzymałam się więc.

Na dole czekała na mnie czarna limuzyna marki Lincoln Town Car, przesiąknięta odorem papierosów i potu. Niestety, po raz ostatni Myoki odsyła mnie do domu w stylu przynależnym kadrze kierowniczej średniego szczebla z Manhattanu. Pojechaliśmy Church i skręciliśmy w Green na Soho. Ulice były pełne ubranych na czarno ludzi o przetuszczonych włosach; ludzi, których godziny spędzane w pracy upływały z

dala od świata wielkich korporacji. *Z czego oni żyją?* — zastanawiałam się. Ostatnie czternaście lat spędziłam w szczelnie odizolowanych biurach Myoki Bank. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że istniał także świat, w którym ludzie w zwykły roboczy dzień przebywali na ulicach o godzinie drugiej po południu. *Może i ja mogłabym zostać jedną z takich osób?* — pomyślałam. Ci ludzie wyglądają tak, jakby byli zupełnie wolni.

- — Blżej rogu czy dalej? — zapytał kierowca, gdy dojeżdżaliśmy do mojego budynku.

- — Blżej — odparłam.

Poprosiłam o mój voucher. Wpisałam na nim pięćsetdolarowy napiwek i życzyłam kierowcy miłego dnia.

Idąc przez hol, czułam na sobie zdenerwowane spojrzenia portiera i dozorczyń. Muszę mieć chyba wypisane na twarzy, że właśnie mnie wylali.

Z ulgą weszłam do windy Nagle mi się przypomniało, że przecież portierzy przyglądają mi się przez ukrytą kamerę, uniosłam więc wysoko głowę. Marzyłam o pełnych współczucia objęciach Cadmona, w które na pewno mnie weźmie, gdy tylko o wszystkim mu opowiem.

— Cadmon — zawołałam, wchodząc do mieszkania. — Cad...?

Rozejrzałam się, ale nigdzie go nie zobaczyłam. Nie siedział przy swoim komputerze. Na pewno ćwiczy w sali. Sir Elton, nasz mops, przybiegł się ze mną przywitać. Na mój widok z radości zaczął gonić własny ogon. Wyminęłam go. Z kuchni dobiegały mnie głosy Rosie, naszej niani, i Elvy, pokojówki. Pytłowały o czymś po hiszpańsku. Nie miałam siły stanąć z nimi twarzą w twarz. Co sobie pomyślą? Ja w domu w środku dnia. „Wyleciała z pracy!” Do jutra dowie się o tym każda pokojówka i niania na Park Avenue. Następnego dnia wiadomość dotrze do ich pracodawców. Rany, co za wstyd!

Zrzuciłam zakiet i nagle poczułam się skrajnie wyczerpana. Powinnam się wczłgać do łóżka czy też raczej poćwiczyć? Do łóżka. Zdecydowanie. Szkoda, że jeszcze nikt go nie rozścielił. Siku. Muszę się wy-

sikać. A później już tylko spać albo płakać, zależy, co przyjdzie pierwsze.

W łazience, kiedy do niej weszłam, unosił się zapach kwiatów pomarańczy. Zupełnie tak, jakby ktoś zawczasu pomyślał i przygotował mi cudowną kąpiel. Nagle zauważyłam Cadmona w szlafroku, który siedząc na klozecie, namydlał nagą kobietę w mojej wannie. Nagą kobietą była Sassy, żona Draytona. *święta Mario, Niepokalana Dziewico, co za cycki!*

Nienawidziłam jej. To niesamowite, ale moją pierwszą myślą było: *Jak ona to robi — operacja plastyczna czy siłownia?* Zaraz potem zapragnęłam cisnąć w tę doskonałą twarzyczkę dezodorantem.

Jak schwyte w światła reflektorów zające, Sassy i Cadmon spojrzeli na mnie.

Stałam jak wryta, kompletnie oniemiała.

— Pieprzysz się z Sassy? — zapytałam Cada cicho, z góry znając odpowiedź.

— Pozwól, że ci wyjaśnię — powiedział Cadmon, przyjmując ten sam rozsądny ton, którego zawsze używał, ilekroć czuł, że musi nade mną zapanować. — Nic się nie stało. Wiem, jak to wygląda, ale...

— Przestań — warknęłam. — Chyba nie przypuszczasz, że aż taka ze mnie idiotka. Wynocha. Macie się oboje stąd wynieść. — Sassy tymczasem usilnie starała się ukryć swoją nagość, próbując zniknąć w pianie.

Zamiast płakać, byłam wściekła. I słusznie. Tych dwoje kłamliwych podleców zasługiwało na mój gniew

Spojrzałam na Sassy.

— Wynoś się — rozkazałam, wskazując na drzwi. — I to natychmiast.

— Dobrze, ale czy mogłabyś mi podać ręcznik... proszę — odparła przerażonym głosem.

— Och, chciałabyś się wysuszyć? Wysuszyć? — Chwyciłam suszarkę do włosów, która zawsze włączona do kontaktu, leżała obok umywalki, włączyłam ją na najwyższe obroty i wrzasnęłam: — Jeśli w tej chwili nie zabierzesz z mojego domu tego swojego kościstego tyłka, tym się wysuszysz! — Groźnie przysunęłam suszarkę nad wannę. — Raz..., dwa... — Sassy wyskoczyła z wanny i objając się o meble, niczym Struś Pędziwiatr pomknęła przez mieszkanie i wybiegła za drzwi, pozostawiając po sobie plamy wody z pianą. Rosie i Elva na pewno nas szpiegowały. Dobrze słyszałam dobiegające zza drzwi sypialni ich stłumione okrzyki i słowa: „Aj, chihuahua!", po których rozległo się podkscytowane szepty po hiszpańsku.

Co ja sobie myślałam? Nie warto było z powodu tych zdradzieckich łajdaków iść do więzienia. Zastanawiałam się, czy zdrada nie jest przypadkiem okolicznością łagodzącą w razie popełnienia morderstwa. Nie, nie w Nowym Jorku. Może w Arkansas.

Przynajmniej portier się ubawi, kiedy Sassy będzie zjeżdżała windą. Tej taśmy ochroniarze nie skasują na pewno.

Po raz pierwszy w życiu doświadczyłam wrażenia, jakbym opuściła własne ciało. Unosząc się pod sufitem, obserwowałam rozgrywającą się poniżej scenę. *To nie może się dziać naprawdę. Zostałam zwolniona z pracy. Mój mąż pieprzy się z inną kobietą — żoną dupka odpowiedzialnego za moje zwolnienie. Wciąż jednego dnia całe moje życie rozpadło się na kawałki. Jaki mam wybór? Co mam robić? Pozwolić, żeby Cadmon się wytłumaczył, i wybaczyć mu? Czy raczej kazać mu się wynosić? Jeśli go wyrzucę, nie będę miała męża. Będę bezrobotną samotną matką, a to dość podła perspektywa. Roztyłam się. Jak zdołam się z kimś umówić, wyglądając tak, jak wyglądam? Psiakrew, znowu będę sobie musiała depilować krocze. Czemu nie zrobiłam sobie liposukcji brzucha, kiedy jeszcze było nas na to stać? Dlaczego? Dlaczego?! Jak Sassy, zupełnie goła, wróci do domu? Czy jakiś taksówkarz zgodzi się wieźć nagą kobietę? Pewnie tak. Ale jak ona mu zapłaci? Wszystkie te myśli w jednej sekundzie przemknęły mi przez głowę, jak u ludzi, którzy w chwili śmierci widzą przed oczami całe swoje życie.*

Wróciłam na ziemię.

— Cad, jadę po dzieci. Spakuj sobie trochę rzeczy i wynoś się. Jak wrócę, ma cię już tu nie być.

Żałośnie wyglądał, kiedy tak stał koło klozetu w swoim szlafroku, tym z hotelu Ritz —Carlton, z podartą kieszenią. Nie utuli mnie i nie pocieszy z tego powodu, że wylali mnie dzisiaj z pracy. Odwróciłam się i wyszłam, nie chcąc, żeby widział łzy płynące mi strumieniem po twarzy Cadmon rozdarł mi serce, ale prędzej zatańczę z gołym tyłkiem na Madison Avenue, niż mu to okażę.

TLR

3. Można być nieszczęśliwym

Cadmon spakował swoje ubrania, zabrał komputer i przeprowadził się do Perry Street Towers w Far West Village, do swojego brata Dona; tego, któremu udało się odnieść sukces. Później zostawił mi nagraną wiadomość, że prosi, abym włożyła jego kije golfowe do porsche, po które przyjdzie, jak tylko będzie mógł. *W porządku, żaden problem, pomyślałam. Z radością zatargam dwadzieścia pięć kilogramów żelastwa do garażu pięć ulic dalej.* Próbowaliście kiedyś upchnąć kije golfowe w porsche? Wierzcie mi, to niemożliwe. Wyjęłam kije z torby, którą wywaliałam, i wsadziłam je na przednie siedzenie. Już miałam odejść, kiedy nagle poczułam nieprzepartą chęć, żeby zatańczyć. Założyłam więc korki mojego męża i odstawiłam dzikiego twista na masce samochodu, wydzierając się jak małe dziecko.

Mijały tygodnie, ja zaś ledwie miałam siłę zwlec się z łóżka, żeby najpierw zawieźć, a później przywieźć dziewczynki ze szkoły. Resztę czasu spędzałam ukryta pod kołdrą, bez przerwy zalewając się łzami, czytając psychologiczne samouczki i słuchając starych piosenek Joni Mitchell. Właściwie nie była to depresja, ale przepełniało mnie poczucie niemożliwej do wypełnienia pustki i nieuchronności przeznaczenia, z którego nie potrafiłam się otrząsnąć.

Przyjemność sprawiało mi jedynie, gdy leżąc w łóżku z córkami i Sir Eltonem, oglądałam w telewizji *Radykalną metamorfozę*, reality show, w którym ludzie znajdujący się w jeszcze gorszej sytuacji niż ja wychodzili z opresji dzięki cudom chirurgii plastycznej. Zastanawiałam się, czy upadłam już na tyle nisko, żeby się zakwalifikować do tego programu. Któregoś ranka, kiedy płakałam bez przerwy od dwudziestu czterech godzin, moja siedmioletnia córka zadzwoniła po pogotowie. Wtedy uznałam, że niżej już upaść nie mogę, sprząłam się więc po gębie (w przenośni, rzecz jasna) i postanowiłam wziąć się w garść. Mając na utrzymaniu dwie małe dziewczynki, nie mogłam sobie pozwolić na luksus załamania nerwowego. Tak przynajmniej oznajmiłam sanitariuszom, gdy nadjechali.

Brakowało mi mamy i wściekałam się na nią, że umarła przed rokiem. Kompletny brak wyczucia czasu. Zawsze byłyśmy sobie nienaturalnie bliskie i rozmawiałyśmy przez telefon kilka razy dziennie. W skrytości serca miałam nadzieję, że odejdę pierwsza, gdyż nie wyobrażałam sobie, że dam radę żyć na świecie, na którym jej już nie będzie. Teraz chciałam, żeby mnie przytuliła, pocałowała w policzek i obiecała, że wszystko jakoś się ułoży. Modliłam się do mamy, aby złożyła mi wizytę z zaświatów; jedną z tych, o których rozpisują się autorzy książek o umieraniu i umierających. Niestety — odpowiedzią było milczenie. Milczenie, milczenie, nic, tylko milczenie.

Mając trzydzieści dziewięć lat, straciłam wszystko. Była to ironia losu, która nie uszła mojej uwagi. Mama była w tym samym wieku, gdy odkryła, że tato ją zdradza, choć wcześniej obiecał, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Tym razem zrobił to z hiszpańską tancerką z West Side Story. Mieszkaliśmy wówczas w Brooklyn Heights, w elegancko odnowionej kamienicy, opłacanej z dochodów uzyskiwanych przez kwitnącą fabrykę taty — Schechters Fine Schmattas. Ojciec był pierwszym producentem odzieży, który sukniom szytym przez paryskich krawców otworzył drogę do Ameryki Środkowej. Dzięki poliestrowym podróbkom taty nieźle nam się żyło, ojciec zaś stał się bardzo bogatym człowiekiem. Projektanci wiecznie go prześladowali, wyzywając od złodziei i kłamców. Tato był jednak sprytny i zawsze tak zmieniał fasony, żeby nikt nie mógł mu niczego zarzucić pod względem prawnym. „Nie mam sumienia i potrzebuję gotówki” — zwykł mawiać.

Brzmiało to jak żart, nie jestem jednak pewna, czy nie była to przypadkiem prawda.

Któregoś dnia po powrocie ze szkoły ujrzałam swoje rzeczy spakowane i czekającą przed domem taksówkę. Bez zbędnych pożegnań wsiadłyśmy z mamą do taksówki, która zawiozła nas na Manhattan. Mama miała w końcu dość uganiania się ojca za spódniczkami. Kiedy odjeżdżałyśmy, nie pozwoliła mi się obejrzeć, ale kazała patrzeć przed siebie, ku czekającej nas lepszej przyszłości. Byłam zrozpaczona, jednak nie z powodu rozpadu mojej rodziny, tylko tego, że miałam dostać nagrodę za wzorową frekwencję w szkole, która w tej sytuacji musiała mi przejść koło nosa.

Niestety, mama nigdy nie pracowała i jej kwalifikacje zawodowe prezentowały się mizernie. W końcu udało jej się zostać sekretarką Olivii de Campo, siostrzenicy teścia kuzynki burmistrza Lindsaya. Razem z mamą zamieszkałyśmy w maleńkiej, pozbawionej okna służbowce w piwnicy ich posiadłości tuż obok Piątej Alei. Naprzeciwko domu mieściła się szkoła publiczna, tak wyśmienita, że nawet państwo de Campo posyłali do niej swoją córkę Ondrę. Chodziłam do klasy z zamożnymi dziećmi, traktującymi mnie jak zapchlonego bezdomnego kota od chwili, gdy Ondrea zdradziła im, że jestem córką ich służącej.

Panienka de Campo często przyjmowała w swojej posiadłości gości i nie omieszkła mnie poinformować, że ja się do nich nie zaliczam. Jednak starsza pani de Campo wyznawała zasadę, że śmieciarza należy traktować na równi z królową Anglii, dlatego zaprosiła mnie na przyjęcie Ondrei wydane z okazji walentynek. Podekscytowana szczęściem, które się do mnie uśmiechnęło, mama z wielkim trudem uszyła mi na tę okazję spódnicę ze sztucznej skóry. Wprost nie posiadałam się z radości, przekonana, że oto wreszcie uda mi się nawiązać jakieś przyjaźnie. Gdy zjawiłam się na przyjęciu, Ondrea oznajmiła swojej świcie złożonej z najpopularniejszych w szkole dziewczynek, że przyszła „Żydówka”.

„Żydówka, Żydówka, Żydówka” — wykrzykiwały, wyśmiewając się ze mnie. Ratunku szukałam w objęciach mamy, ona jednak w żaden sposób nie mogła mi pomóc.

Na domiar złego byłam niskim, puciołowatym dzieckiem, w okularach i z wielkim nosem, na którego operację nie było nas już stać. Lepsza przyszłość, jaką obiecywała mama, gdy uciekałyśmy z Brooklynu, nigdy jakoś nie nadeszła.

Ponieważ nie miałam żadnych przyjaciół, uczyłam się, jakby zależało od tego moje życie, i zdobyłam pełne stypendium, najpierw na studia licencjackie, później magisterskie w Yale. To otworzyło mi drzwi do świetlanej kariery w Myoki Bank, zwieńczonej zwolnieniem mnie przez Konrada Kavalera i morzem żalości, w którym aktualnie się pławiłam. Ale lata między tamtym okresem a teraźniejszością były udane. Zaczęłam nosić zielone szkła kontaktowe, dorosłam do swojego wielkiego nosa, ostatecznie okazałam się również wyższa i ładniejsza, niż można by-

ło kiedykolwiek przypuszczać. Wysłałam za męża za Cadmona, który był charyzmatyczny i elegancki; taki, jakim zawsze wyobrażałam sobie tatę. Wspólnie z nim, maklerem giełdowym od instrumentów pochodnych, bardzo szybko zaczęliśmy zarabiać mnóstwo forsy, niczym młodzi arystokraci. Nie marzyły nam się wyższe sfery. Nie, chcieliśmy mieć tylko wystawne mieszkanie, dom w Hamptons, służbę, wakacje, markowe ubrania, przyjaźnić się z wielkimi tego świata — wszystkie te nieistotne, pretensjonalne korzyści płynące z posiadania pieniędzy. Nie ma co ukrywać: zdobyliśmy wszystko, o czym marzyliśmy, a nawet więcej. Mieliśmy dwie córki i pławiliśmy się w szczęściu, jakie było udziałem wszystkich dobrze opłacanych, pracujących zawodowo małżeństw na Manhattanie. Pamiętając o przeszłości, zawsze czekałam na dzień, w którym to wszystko utracę, nie zdziwiłam się więc zbytnio, gdy w końcu nadszedł.

Dobrze, pomyślałam, dość tego pogrążania się w rozpacz. Pora wyjść z łóżka i zacząć od nowa. Ponieważ moja sytuacja tak bardzo się pogorszyła, odwoziłam dziewczynki do szkoły ubrana w džinsy i bez makijażu, co wywołało niewielki skandal wśród rodzicielek i opiekunek w naszej prywatnej szkole, w której dzieci były przywożone i odbierane przez wymuskane, ważące czterdzieści osiem kilogramów, ubrane z klasyczną elegancją mamy, jakby żywcem wyjęte z działu *Sunday Style* w „Timesie”. Naprawdę, nie żartuję. Zdarzały się dni, kiedy paparazzi koczowali pod szkołą, robiąc zdjęcia pokazowym małżonkom, które z wdziękiem im pozowały, jednocześnie roztrząsając między sobą problemy ze służbą i nienasyconymi mężami. Ufarbowałam sobie włosy na blond. Zawsze chciałam to zrobić, oznaczałoby to jednak koniec mojej kariery w Myoki. Zaczęłam także trenować z hantlami i ćwiczyć, wspomagając się kasetą wideo *Brzuch ze stali*, postawiwszy sobie za cel na powrót stać się dawną piękną mną.

Oszczędzałam. Za jedyne 9,99 dolara, a nie jak zwykle za 399 dolarów, sama pofarbowałam sobie włosy. O paznokcie u rąk i stóp również zadbałam sama. Sprzątałam dom i goniłam dziewczynki do pomocy. O psim przedszkolu, dietetykach i osobistych trenerach mogłam zapomnieć, dlatego sama regularnie wyprowadzałam na spacer Sir Eltona. Także wakacjach nie miałam co marzyć. Samochód został sprzedany. Pralnia chemiczna przeszła do historii. Zwolniłam analityka, dermatolo-

ga, chirurga plastycznego i trenera energii życiowej. Wyeliminowałam wszystkie pozalekcyjne zajęcia dziewczynek, w tym lekcje tańca w studiu Alvin Ailey, które tak uwielbiały. W doskonałym stylu Myoki Bank ograniczyłam swoje wydatki o 85 procent.

W miarę upływu czasu przyzwyczajałam się do egzystencji typowej dla zubożałej szlachty. Tak samo postąpiłyśmy z mamą, porzucając życie z tatą przy Easy Street w Brooklynie. Mogłam zrobić to znowu. Ku swojemu zaskoczeniu, nie tęskniłam za Cadmonem. Brakowało mi za to pewności siebie

spokoju, który odczuwałam jako połówka małżeńskiego stadła. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek odnajdę w sobie brawurę, która cechowała mnie jako żonę Cadmona. Aby dodać sobie odwagi, w torbie od Barneysa zaczęłam wszędzie nosić ze sobą zawinięty w papier sweter. Gdy nie można być zwycięzcą, przynajmniej należy się tak zachowywać. Może torba nie dawała tyle samo odwagi, co posiadanie męża, ale i tak było to lepsze niż nic.

Moja najlepsza przyjaciółka, Faith, zaproponowała, abym wybrała się do wróżki i zapytała ją o przyszłość. Poszłam. Fatalny błąd. Wróżka, madame Lala, stara Czeszka o powykręcanych palcach i jednym oku wyglądającym jak rozbite jajko, potasowała swoje mocno zużyte karty do tarota i poprosiła, abym wybrała jedną.

Długo i z trudem się zastanawiałam, zdecydowana wybrać tę właściwą. Odwróciła ją. Ukazała się Wieża. Nie znam się za bardzo na tarocie, ale karta wyglądała złowrogo. Widniała na niej przerażająca błyskawica, która uderza w kamienne więzienie. Budowla wali się, płonąc, w tle wybucha wulkan, zalewając wszystko wokół morzem lawy. Ludzie uciekają w popłochu. Na widok karty bardzo się zdenerwowałam, przekonana, że nic dobrego nie może wróżyć.

Madame Lala wyraźnie się podekscytowała.

— Widzę w twoim życiu chaos, zamieszanie i zniszczenie.

— Tak, ale czy mogłaby mi pani powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiem?

— Twoje życie weszło w fazę niepokoju. Równowaga energii została zakłócona. Ta karta przepowiada katastrofę, klęskę, kryzys w przyszłości. Widzę, jak wali się wokół ciebie cały świat. Musisz zacząć działać, zanim będzie za późno.

— Madame Lalu, czy mogłaby pani wyrażać się jaśniej? — Miałam wrażenie, że jej informacje są raczej nieaktualne. Czyż to wszystko już mnie właśnie nie spotkało?

— Muszę się naradzić z duchami. Ach! Teraz już rozumiem. Duchy mi mówią, że przejedzie cię autobus.

— Co?! — wykrzyknęłam. — Och, fantastycznie. Moje życie z dnia na dzień staje się coraz lepsze.

— Zaczekaj, może się trochę pospieszyłam. Muszę sprawdzić twój horoskop. — Ze zmarszczonym czołem zaczęła się wpatrywać w mój osobisty horoskop opracowany przez komputer. — To niekoniecznie musi być autobus. Autobus może być metaforą penisa. Tak jest. Widzę mężczyznę. Może niedługo jakiegoś poznasz. A może się mylę i naprawdę przejedzie cię autobus. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Duchy nie pozwalają mi zajrzeć za zasłonę.

Po twarzy zaczęły mi płynąć łzy. Nic nie mogłam na to poradzić. Tak liczyłam, że przepowie mi nadejście lepszych czasów. Madame Lala podsunęła mi nieświeżą chusteczkę wyjętą z za stanika. Grzecznie odmówiłam. Później podziękowałam jej za wróżbę, a w duchu postanowiłam jak najszybciej zapomnieć o całym zajściu.

4. Mała świnka chodziła do prywatnej szkoły

Kiedy Skyler i Kate były w szkole, ja szukałam mniejszego mieszkania. Nasze piękne lokum przy Park Avenue zostało kupione w lepszych czasach. I było właśnie takim domem, o jakim zawsze marzyłam. Miało sztucznie postarzone podłogi z klonowych desek, przez dwadzieścia cztery okna wlewały się potoki światła, w profesjonalnie wyposażonej kuchni znajdował się kącik do jedzenia, a umeblowana z prostotą sypialnia była moim osobistym sanktuarium. Każda dziewczynka miała własny pokój z projektowanym na zamówienie łóżkiem z baldachimem. Mistrz Li, czołowy specjalista feng shui na Wschodnim Wybrzeżu, pomógł mi ustawić meble tak, żeby stworzyć harmonię mającą zapewnić szczęście, dostatek i powodzenie. W donicy z pomarańczowym drzewkiem umieścił czerwone koperty z chińskimi monetami, pobłogosławił całe mieszkanie i oznajmił, że jest uświęcone.

Kiedy mój świat runął, doniosłam na mistrza Li do Biura Uczciwego Biznesu. Niechętnie zwrócił mi półtora tysiąca z dziesięciu tysięcy dolarów, które zapłaciłam mu za usługę, wcześniej jednak oskarżył mnie o zamordowanie pomarańczowego drzewka kryjącego pod korzeniami zakopane koperty. Wyjaśniłam mu, że to nie ja je zabiłam, ale że to on ustawił cholerne drzewko w kącie zupełnie pozbawionym światła.

Nie miałam pojęcia, jak pozbierać się do kupy i odzyskać cudowne życie, na które tak ciężko pracowałam, przyrzekłam sobie jednak solennie, że spróbuję. Ponieważ oboje z Cadmonem byliśmy bezrobotni, rozwód zaś wydawał się kolejnym logicznym posunięciem, mieszkanie musiało iść na sprzedaż. Meris, moja agentka nieruchomości, pokazała mi kilka miejsc w Brooklynie, Chinatown i na Lower East Side, gdzie czynsze tylko w połowie były tak wyśrubowane jak w centrum.

Najbardziej przerażało mnie to, że sama muszę zajmować się dziewczynkami. Ograniczony przepływ gotówki (to znaczy brak jej dopływu) zmusił mnie do zwolnienia niań. Jak większość moich przyjaciół-

łek, nigdy dotąd nie musiałam jako matka obywać się bez profesjonalnej pomocy. Moje codzienne kontakty z dziewczynkami ograniczały się do naszych porannych maratonów. Wieczorami przyprowadzano je do mnie nakarmione, umyte i przebrane do spania. Przedtem byłam mamą z daleka. Teraz swoje córki kąpałam, gotowałam dla nich, organizowałam im spotkania z koleżankami, uśmierzałam lęki, całowałam bolące miejsca, pomagałam odrabiać zadania domowe, chodziłam do szkoły. Ku mojemu zaskoczeniu i zachwytowi, zajmowanie się dziećmi przysparzało mi samych radości. Jak wiele straciłam, cedując na innych obowiązki macierzyńskie. Wielka szkoda, że aby się o tym przekonać, musiałam stracić i męża, i pracę.

W bólach poznawałam, co to znaczy być matką. Powinnam była odmówić, kiedy Kate błagała mnie, abym w czasie wolnym od zajęć szkolnych pozwoliła jej zaopiekować się Romeo, klasową świnką morską.

— Będę się z nim bawić i go karmić. Nawet się nie zorientujesz, że tu jest.

Niechętnie przystałam, wiedząc, jakim zaszczytem jest prośba o zaopiekowanie się klasowym ulubieńcem w czasie wolnym od zajęć.

— Zwykle nie oddajemy naszych zwierząt rodzinom, które Boże Narodzenie spędzają w domu — wyjaśniła mi pani Leyde. — Wolimy, żeby nasze węże i świnki morskie w czasie ferii podróżowały po Afryce i Europie z najlepszymi rodzinami. Ważne jest, aby klasowi ulubieńcy poznali życie poza klatką, zgodzi się pani ze mną?

— Bezwzględnie — przytaknęłam.

— Ponieważ jednak jej ojciec odszedł, Kate bardzo się przywiązała do Romea. W tym wypadku zrobimy wyjątek.

— Bardzo pani dziękuję. Na pewno nie pożałuje pani swojej decyzji.

Kiedy Romeo zjawił się w domu, Kate była wniebowzięta. Oprowadziła go po całym mieszkaniu i przedstawiła innym swoim zwierzętom („To jest Sir Elton, nasz mops. To jest moja rybka Beverly... Dłate-

go tak świetnie wygląda, bo ustaliłam jej ostry program ćwiczeń"). Następnie odwiedzili łazienkę dziewczynek, gdzie Romeo zażył kąpieli w wodzie z truskawkową pianą, po której został wysuszony suszarką. Później Kate próbowała ubrać go w ubranka Barbie, niestety, żadne na niego nie pasowało. Posadziła go więc w wózku dla lalek, w którym — bezpiecznie przypięty — odbył przejażdżkę po mieszkaniu, z krótką przerwą na herbatkę i ciasteczka w kuchni. Gdy w końcu zasiedli, aby obejrzeć Artura, oboje byli wykończeni. Kate straciła przed telewizorem przytomność, podobnie jak Romeo.

Czy świnki morskie powinny zachowywać się tak spokojnie? — zastanawiałam się. Tylko zasnęła, uspokajałam się. Aby się upewnić, sprawdziłam mu tętno. Nic. Po dwóch godzinach pobytu w naszym domu Romeo padł trupem.

5. jedna chora rybka

O kurwa. O kurwa. O kurwa. Zabiłyśmy świnkę morską. Pani Leyde poszła nam na rękę, a my? Co najlepszego zrobiłyśmy? Na próżno masowałam małe serduszko Romea i robiłam mu sztuczne oddychanie pyszczek —usta.

Zadzwoiłam do pani Leyde i opowiedziałam jej dokładnie — no, może trochę koloryzując — co się stało.

— Pani Leyde, trudno będzie pani uwierzyć. Romeo właśnie umarł. Jadł w swojej klatce karmę, kiedy nagle złapał się za klatkę piersiową i zakrztusił. My nic mu nie zrobiłyśmy — skłamałam.

Pani Leyde przyjęła to znacznie lepiej, niż mogłam się spodziewać, zakładając, że droga ze szkoły do domu musiała być dla zwierzęcia zbyt wielkim przeżyciem.

— Był już stary — powiedziała. — Jak na świnkę morską.

— Co mam zrobić z ciałem? — zapytałam.

Pani Leyde poprosiła, żebyśmy je przechowały w zamrażarce do końca ferii. Niektóre dzieci mogą zechcieć spojrzeć na szczątki Romea ostatni raz przed pochówkiem.

Kiedy Kate się obudziła, była niepocieszona.

— Jak to się mogło stać?

Nie miałam serca powiedzieć jej, że zabiła cholernego gryzonia.

— Najwyraźniej Romeo miał kłopoty z sercem i ono... ono mu pękło — wymyślałam na poczekaniu. Jako świeżo upieczona adeptka pełnoetatowego macierzyństwa nie byłam pewna, czy kłamstwo jest najodpowiedniejszą strategią, mimo to postanowiłam zaryzykować.

Zamrażarka została zamieniona w tymczasową kostnicę, w której Romeo spoczął w foliowej torebce zamykanej na zamek błyskawiczny, obok paluszków z kurczaka i mrożonych frytek. Następnego dnia z

kuchni dobiegł mnie przeraźliwy wrzask. Skyler, moja starsza córka, szukając lodów, stanęła oko w oko z pozbawionym życia spojrzeniem zamrożonego Romea. Miałam nadzieję, że uda mi się jego śmierć utrzymać przed nią w tajemnicy — po co narażać na stres obie dziewczynki? Cóż...

Kate podle się czuła ze świadomością, że Romeo umarł na jej zmianie. Po feriach unikała spotkania z kolegami.

— Mamusiu, niedobrze się dzisiaj czuję. Nie mogę iść do szkoły — jęczała błagalnie.

— Musisz — odparłam.

Na apelu dzieci zostały poinformowane o zgonie Romea. Były łzy, uściski, wzruszające opowieści o świętej pamięci śwince. Na szkolnym dziedzińcu odbyła się ceremonia pochówku. Mowę pogrzebową wygłosiła pani Leyde. Dzieci ucałowały sztywne, zimne ciało, które następnie zostało łagodnie oddane ziemi na tylnym podwórzu, obok Slicka, węża, który zadławił się na śmierć klockiem lego. Dzieci odśpiewały pożegnalną piosenkę, niejedno się popłakało. Pani Leyde poleciła uczcić pamięć Romea minutą ciszy, jednak żadne z dzieci nie potrafiło ustać spokojnie.

— Tak mi przykro — powtarzała w kółko Kate.

— I słusznie, ty morderczynie świnek morskich — powiedziała jej przyjaciółka, Gaby, mimo że reszta dzieci zgodnie twierdziła, że Kate nie jest niczemu winna. Niestety, Kate, choć dopiero sześciolatka, dobrze wiedziała, że jest inaczej, chociaż starałam się ją przed tą świadomością uchronić najlepiej, jak potrafiłam.

Po śmierci Romea Kate dostała istnej obsesji na punkcie Beverly, swojej złotej rybki. Postanowiła zostać idealną opiekunką stworzonka i dopilnować, aby dożyło sędziwego wieku. Robiłam, co mogłam, by odwieść ją od bawienia się z rybką.

Na dnie akwarium położyłyśmy nowe kamienie i syrenkę. Każdego dnia po szkole Kate przemawiała łagodnie do rybki. Zastanawiałam się, co było rzeczywistą przyczyną jej oddania — śmierć Romea czy odejście Cadmona. Tak czy inaczej, wpływ rybki był zdecydowanie zba-
wienny.

Po kilku tygodniach kompletnego zauroczenia Kate Beverly, któregoś dnia po powrocie ze szkoły zastałyśmy rybkę pływającą w akwa-
rium dziwnie krzywo. Co się mogło stać? Wczoraj czuła się wyśmieni-
cie — pływała bez problemu tam i z powrotem przepięknym falującym
ruchem. Dzisiaj zachowywała się tak, jakby była pijana. Może zaatak-
wał ją jakiś rybi wirus. Na widok chorej rybki Kate zawodziła tak długo
i głośno, że sąsiedzi zaczęli się skarżyć i zjawił się przewodniczący ko-
mitetu mieszkańców, grożąc mi karą grzywny, jeśli natychmiast nie
uspokoję córki.

— Posłuchaj — powiedziałam w desperacji. — Obawiam się, że
niewiele możemy zrobić, ale zadzwonię do weterynarza. Może da się ją
naprawić.

Wiedziałam, że nie ma nadziei, lecz cóż mi pozostawało? Dziecko
było zrozpaczone.

— Tak, tak, zadzwoń do weterynarza, proszę — błagała Kate.

Zadzwoniłam do kliniki weterynaryjnej Sir Eltona po poradę. Skie-
rowali nas do doktora Hellera, czołowego rybiego lekarza na Upper East
Side. Kto by pomyślał, że istnieje taki specjalista? Kate słuchała przez
drugi telefon w sypialni, jak doktor Heller wyjaśniał, że Beverly cierpi
zapewne na obstrukcję, która ogranicza jej zdolność regulacji powietrza,
co sprawia, że nie potrafi zachować równowagi.

— Czy można coś z tym zrobić? — *Błagam, błagam, powiedz, że
nie*, modliłam się w duchu. Jak mogę się domyślać, rybi lekarz z Park
Avenue nie będzie tani.

— Możemy ją operować — odparł doktor Heller.

Wielki Boże, powiedz, że to nieprawda.

—Tak?

TLR

— Jest to delikatny zabieg, podczas którego chirurgicznie umieszczamy w brzuszku maleńki kamyk, który będzie utrzymywał rybkę w odpowiedniej pozycji. To dla niej jedyna nadzieja.

— Już jedziemy, panie doktorze — powiedziała Kate.

— CHWILECZKĘ! — przerwałam. — Ile to będzie kosztowało?

— Tysiąc pięćset dolarów.

— Tysiąc pięćset! Za rybkę zapłaciłam dziesięć!

— Rozumiem, że nie chce pani tyle inwestować. Większość ludzi spuściłaby ją z wodą w toalecie i kupiła nową — wyjaśnił pan doktor.

— NIEEEEE! — rozdarła się Kate. Znowu zaczęła zawodzić, tym razem z wściekłością.

— Kate, przestań. Cichutko. Nikt nikogo nie spuści z wodą w klozecie. Panie doktorze, proszę nam podać adres. Już jedziemy.

Następnego dnia Beverly była osłabiona po znieczuleniu, ale pływała właściwą stroną do góry i niemal prosto. Ja byłam uboższa o półtora tysiąca dolarów. Na szczęście przyszedł czek od mistrza Li. Przekazałam go doktorowi Hellerowi. Mogłam te pieniądze spożytkować na tysiąc pięćset lepszych sposobów, ale Beverly tak wiele znaczyła dla Kate, a Kate była dla mnie wszystkim. Tak to już w życiu bywa.

Powiem to tylko raz, później na zawsze zachowam milczenie. Kierownicze stanowisko w międzynarodowej firmie to bułka z masłem w porównaniu z byciem matką na pełnym etacie. Chciałabym zobaczyć, jak Konrad Kavalier poradziłby sobie ze zdechłą świnką morską i złotą rybką cierpiącą na zaburzenia równowagi.

6. Tonący brzytwy się chwyta

Z każdym dniem było mi coraz trudniej. Mogłam do nowej sytuacji w moim życiu podejść jak *Mały parowozik, który potrafił*, albo jak *Alladyn*. Wolałam *Alladyna*, bo pochodzę z Ameryki, a my, Amerykanie, nie należymy do ludzi cierpliwych. Ustawiłam więc kamerę na toalecie Skyler, sama zaś, bez makijażu i w zielonym trzyczęściowym spodniem zaprojektowanym przez Jaclyn Smith dla Kmart, nakręciłam na wideo swoje zgłoszenie do programu *Radykalna metamorfoza*. Iii... kręcimy.

— Bardzo proszę... ee... mam nadzieję... nie, błagam was, wybierzcie mnie do radykalnej metamorfozy, ponieważ ja... — przejmujące smutkiem westchnienie — właśnie zostałam zwolniona z pracy i przyłapałam własnego męża na kąpieli z inną kobietą... i oni byli nadzy. Teraz musiałabym zacząć się umawiać na nowo, a sami widzicie, jak wyglądam. Kto by chciał... coś takiego? — Dramatycznym gestem wskazałam na moje pulchne, obwisłe ciało i pozbawione życia włosy, w które wtarłam olej rzepakowy dla lepszego efektu. — Poza tym moja mama umarła, lada dzień stracę mieszkanie, musiałam zwolnić nianię, służącą i korepetytorów dzieci. Sama musiałam farbować sobie włosy i samodzielnie zrobić mani — kiur. Wróżka przepowiedziała mi, że potrąci mnie autobus. I czy widzieliście kiedyś równie głęboką zmarszczkę jak ta? — Wskazałam przecinający moje czoło wąwóz. — Przydałby mi się... nie, ja rozpaczliwie potrzebuję botoksu.

Zatrzymałam kamerę i obejrzałam sfilmowany materiał. Od kiedy wyglądam tak... staro? A mój głos, czy wszystkim się wydaje, że nadużywam helu? Jeśli naprawdę zależy mi, żeby mnie wybrali, muszę się zaprezentować jako nieudacznik pierwszej klasy. Jak dotąd byłam zdecydowana. Przejdźmy więc do następnej kwestii. Iii... kręcimy.

— Jeśli zostanę wybrana do *Radykalnej metamorfozy*, oto, co chciałabym, żebyście ze mną zrobili. Całkowity lifting twarzy, implanty piersi, korekta dolnych i górnych powiek, botoks, albo coś innego, co

zlikwidowałyby zupełnie zmarszczkę na czole, poza tym kolagen do ust. Liposukcja brzucha i bioder, kostek, pleców i ramion, poprawienie kształtu pośladków. Laserowa operacja wzroku, aparat na zęby, wybielanie i te porcelanowe nakładki na zęby Chciałabym również tę operację skracającą palce, żeby moje stopy lepiej wyglądały w szpilkach. Och, i jeszcze laserowe usuwanie owłosienia z całego ciała, z wyjątkiem głowy i oczu. To wszystko. Poza tym, że — o czym chyba nie muszę wspominać — uczeszenie mnie i zrobicie mi makijaż w najlepszym salonie w Beverly Hills. No i rzecz jasna, pošlecie do Versace po nowe ciuchy. I dostanę trenera, co się rozumie samo przez się. Ale to dostają wszyscy Ach tak, byłoby wspaniale, gdyby „ukazanie nowej mnie” odbyło się w Water Club. Mają tam te wspaniałe schody, idealne na wielkie wejście. To tyle. Dziękuję. — Na pożegnanie przybrałam minę znużonej światem, przegranej kobiety.

Obejrzałam taśmę i początkowo byłam bardzo zadowolona, że wypadłam tak fatalnie. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że jeśli ktoś mnie taką zobaczy, nie zostanie mi nawet krztyna poczucia własnej godności. Decyzja była potwornie trudna. Ale stawka była niewyobrażalnie wysoka. Tylko wysyłając taśmę, miałam szansę na ratunek ze strony najlepszych i najdroższych specjalistów. Ale co z tak zwanym szacunkiem dla samej siebie? Czy aż tak się nienawidziłam, by narażać się na ryzyko śmierci, pozwolić się pokroić, cierpieć potworny ból i publiczne ośmieszenie, wyłącznie po to, żeby całkowicie się odmienić? Tak, sądzę, że tak właśnie jest. Przypomniałam sobie, że jeśli mnie nie wybiorą, nikt się nigdy o niczym nie dowie. A jeśli wybiorą, zostanę radykalnie odmieniona. Mężczyźni zaczną się za mną oglądać.

Odzyskam pewność siebie. Może nawet ktoś się ze mną ożeni. *Też mi coś, godność*, myślałam, wysyłając zgłoszenie.

7. Upokorzona

Skyler przyszła ze szkoły zapłakana.

— Co się stało? zapytałam ją. — Czemu płaczesz?

— Bea będzie miała bal urodzinowy z Clayem Aikenem i wszystkie dziewczynki idą, ale ja nie jestem zaproszona.

— Oczywiście, że jesteś zaproszona. Pracowałam z jej tatusiem i powiedział mi, że będziesz zaproszona. Poza tym nie wolno wam organizować urodzin, jeśli nie zaprosi się całej klasy. Na pewno coś ci się pomyliło — uspokajałam moją małą córeczkę.

— Nie, Bea dzisiaj opowiadała o urodzinach i mówiła wszystkim, że nie jestem zaproszona. Jej mama mówi, że nie jesteśmy z tej samej klasy, co rodzina Bei, i Bea nie może się już ze mną bawić. Nie rozumiem tego, mamusiu. Przecież ja jestem z tej samej klasy, co Bea.

— Oczywiście, że jesteś kochanie. Mamie Bei coś się pomyliło. Postaram się to wszystko wyjaśnić. — *W porządku, Sassy, chcesz wojny? Proszę bardzo, do usług, ty flądro. Lepiej zostaw moje dziewczynki w spokoju.*

Skyler nie przestawała szlochać, a ja tuliłam ją i gładziłam po włosach, tak mięciutkich i jedwabistych, jak tylko potrafią być dziecięce loczki.

— To nie w porządku, to nie w porządku — powtarzała w kółko.

Witaj w prawdziwym świecie, pomyślałam.

Wieczorem poprosiłam sąsiadkę, żeby zaopiekowała się dziewczynkami. Kiedy przechodziłam obok synagogi przy Park Avenue, na chodniku zauważyłam kilka porzuconych bukietów kwiatów, które tylko czekały, żeby je wziąć.

Z możliwie najładniejszego usunęłam wstążkę z napisem: „Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach, Manny” i ruszyłam dalej.

— Kwiaty dla pani Bird — oznajmiłam portierowi. Poinformował o dostawie i zostałam wpuszczona.

Drzwi otworzyła umundurowana gosposia, której wręczyłam kwiaty.

— Czy pani Bird jest w domu? — zapytałam, zerkając do wewnątrz.

— Właśnie jedzą kolację — odparła, zasłaniając mi widok.

Wyminęłam ją i udałam się wprost tam, skąd dochodził smakowity aromat pieczonych kurcząt i fasolki szparagowej. Przy stole siedzieli Sassy, Drayton, Bea i trzyletni Max. Na środku chińskiego stołu w stylu chippendale były świeże kwiaty, lniane podkładki pod talerze z serwetkami do kompletu i kryształowe kieliszki, w tym kubeczek Waterford dla Maksa. Sassy dzwoniła małym srebrnym dzwoneczkiem, dając znak, że pora podać kolejne danie. Na szyi miała gorset, który należy nosić po miniliftingu szyi. Włosy miała świeżo obcięte i profesjonalnie wyprostowane, na paznokciach nieskazitelny francuski manikiur, a była ubrana w suknię z najnowszej kolekcji Max Mary. Widok jej, tak wystrojonej i wyfiokowanej, boleśnie mnie zabolął. Boże, ależ tęskniłam za dawnym życiem. Pocieszało mnie jedynie, że Sassy ma za męża zniewieściałego dupka, który maluje sobie paznokcie.

— Sassy, muszę z tobą porozmawiać — powiedziałam.

— Cóż za niespodzianka! Jak się masz, Ivy? Całkiem nieźle wyglądasz, a w tych blond włosach bardzo ci do twarzy — Sądząc po tonie, można by pomyśleć, że Drayton rzeczywiście tak myśli. Zastanawiałam się, czy się nie zrewanżować i nie pochwalić przeszczepu włosów, który ostatnio sobie zafundował, ale po namyśle zrezygnowałam.

— Wybaczcie, że przeszkadzam w kolacji, ale muszę porozmawiać z Sassy.

— Może się do nas przyłączysz? — zaproponował Drayton, Sassy jednak zerwała się i szybko wyprowadziła mnie do pokoju obok.

— Sassy, zaprosiłaś na urodziny Bei wszystkie dziewczynki z klasy z wyjątkiem Skyler. Jest zrozpaczona. Przyszłam cię prosić, żebyś ją także zaprosiła.

— Ivy, rzecz nie w tym, że nie chcemy zaprosić Skyler, Oczywiście, że chcemy. Ale przyjęcie jest i dla dzieci, i dla rodziców, uznaliśmy więc z Drayem, że nie czułabyś się najlepiej w towarzystwie ludzi, którzy przyjdą.

— Dlaczego miałabym się nie czuć najlepiej? Przecież bez przerwy spotykam się z tymi ludźmi na szkolnych imprezach.

— Tak, ale będą też „specjalne” dzieci i ich rodzice — powiedziała, przy słowie „specjalne” robiąc w powietrzu znak cudzysłowu. — No wiesz, bliźniaki Michaela J. Foxa, syn Connie Chung i Maury'ego Povichów, chłopczyk Kelly Ripy... Człabyś się, jak ryba bez wody po tym, co cię spotkało. Byłoby okrucieństwem z naszej strony, gdybyśmy cię postawili w takiej sytuacji.

— Posłuchaj, Sassy. Gównu mnie obchodzi, czy przyjdę na urodziny twojej córki. Ale Skyler cierpi, bo jej nie zaprosiliście. Nie rozumie, dlaczego. A ja na pewno jej nie powiem, że stało się tak, bo przyłapałam cię, jak się pieprzyłaś z jej tatusiem. — Jeszcze nie zdążyłam dopowiedzieć tego do końca, gdy ujrzałam stojącego w drzwiach Draytona. Wszystko słyszał. Ojej.

8. Nie ma to jak przyjaciele

Mając w odwodzie Draytona, Sassy pozwoliła sobie na cios poniżej pasa.

— Ivy, wiem, że straciłaś pracę, mąż cię porzucił i musisz sprzedać mieszkanie, ale to jeszcze nie powód, żeby opowiadać takie podłe kłamstwa o mnie i mojej rodzinie. W tych okolicznościach uważam, że będzie lepiej, jeśli Bea przestanie bawić się ze Skyler i byłabym wdzięczna, gdybyś zechciała opuścić mój dom.

Drayton stanął po stronie żony.

— Wydaje mi się, że powinnaś przeprosić Sassy — dodał tym złośliwie protekcyjnym tonem, którego zwykle używał w pracy. — Zawsze serdecznie traktowaliśmy waszą rodzinę. Dlaczego więc jesteś teraz tak niemila dla mojej żony?

Cóż, zastanówmy się. Ukradłeś mi pracę. Sassy pieprzyła się z moim mężem, rozbiła mi małżeństwo, a teraz upokarza moją córkę. To właśnie chciałam im powiedzieć, ale nie zrobiłam tego. Spojrzałam na tę solidarnie wspierającą się dwójkę i potrząsnęłam głową. Nie najlepiej to wyglądało. A ja musiałam ratować Skyler.

Wzięłam głęboki oddech.

— Tak. Cóż, może rzeczywiście nieco przesadziłam. Chodzi o to... po prostu zazdrość mnie bierze, kiedy na was patrzę. Macie to wszystko, co ja straciłam: wspaniałe małżeństwo, piękny dom, dobrą pracę. Naprawdę bardzo, ale to bardzo was przepraszam.

Choć zbierało mi się na wymioty, brnęłam dalej.

— Czy możecie coś dla mnie zrobić? Proszę was o to wyłącznie dlatego, że szczęście się ode mnie odwróciło. Czy możecie powiedzieć Bei, że Skyler również jest zaproszona na jej urodziny, ale, niestety, nie

może przyjść? Czy możecie to zrobić, żeby oszczędzić Skyler cierpienia?

— Oczywiście, zrobimy tak — powiedział Drayton głosem ociekającym nieszczerością. — No, trzymaj się, a jeśli cokolwiek możemy dla ciebie zrobić, nie krępuj się, tylko dzwoń do mnie do pracy. — Sassy stała obok, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, patrząc na mnie złowrogo.

— Dzięki, Draytonie — odparłam. — Bardzo sobie cenię twoje wsparcie.

W środku cała się trzęsłam, upokorzona, że coś takiego mnie spotyka.

— Tak przy okazji — dodał od niechcienia Drayton, gdy odprowadzał mnie do drzwi. — Ile chcesz za swoje mieszkanie?

Wbiłam w niego mordercze spojrzenie.

— Chętnie byśmy je obejrzel — rzekł, nie zwracając na to uwagi. — Tutaj bardzo nam się podoba, ale wasz adres jest lepszy. Może więc nadarza się właśnie świetna okazja, żeby coś zmienić. Kiedy moglibyśmy zajrzeć?

— Zadzwoń do mojej agentki, Meris Blumstein. Pracuje w Corcoran.

Po powrocie do domu wyjaśniłam Skyler, że jest zaproszona na urodziny Bei, ale, niech to licho porwie, nie będzie nas wtedy w mieście. Następnego dnia zaczęłam czynić przygotowania do wyjazdu.

Potrzebowałam pracy. I to szybko.

z Radykalnej metamorfozy nie oddzwonili. Moje oszczędności właściwie się wyczerpały. Nic nie wskazywało na to, żeby Cadmon miał szybko znaleźć jakieś zajęcie. Żyłam w stanie ciągłego zaprzeczenia, pozwalając sobie wierzyć, że w ostatniej chwili nadejdzie skądś ratunek. Loteria. Spadek. Walizka pełna pieniędzy znaleziona na tylnym siedzeniu taksówki. Przecież cuda się zdarzają.

Bez specjalnego zapachu napisałam swój życiorys i zaczęłam męczące poszukiwania. Poradniki dla poszukujących pracy zalecają sporządzić listę wszystkich znajomych, zadzwonić do nich i nie dać się spławić, dopóki nie podadzą trzech kolejnych nazwisk. Problem w tym, że z dziewięćdziesięciu osób, które znalazły się na mojej liście, oddzwoniło tylko pięć. Cóż, kilku zadzwoniło dobrze po północy, wiedząc, że o tej porze będę spać. Byli to moi tak zwani przyjaciele, współpracownicy, ludzie, za których w przeszłości nie raz nadstawiałam karku. Tych pięcioro, którzy oddzwonili, także było bezrobotnych i poczuli się bardzo zawiedzeni, słysząc, że nie mogę ich zatrudnić w Myoki.

Postanowiłam spróbować zacząć coś na własną rękę. Udałam się więc na targi franszyzy w Centrum Żydowskim. Za kwotę od 50 000 do 200 000 dolarów mogłam stać się właścicielką sklepu Krispy Kreme. Firmy spieniężającej czeki. Firmy z psami szukającymi narkotyków. Firmy zajmującej się wypłacaniem kaucji i gwarancji. Nic z tego nie przypadło mi jednak do gustu.

Tak się szczęśliwie składało, że byłam umówiona na lunch z moją najbliższą przyjaciółką, Faith. Wiele lat temu pracowałyśmy razem w Myoki, złączone jak pępowiną w walce o przetrwanie w obliczu codziennych prześladowań ze strony tyranizującej wszystkich szefowej. Faith świetnie się znała na pokonywaniu przeciwności. Jej pierwszy mąż, Rodney, napsuł jej wiele krwi podczas trwania ich małżeństwa. W końcu głośno przyznał się do tego, o czym ja wiedziałam od dawna — że jest gejem. Był nadzwyczaj wrażliwy. Miał niezwykle wyczucie smaku. Nosił okulary od Liny Wertmuller. Regularnie depilował sobie kroczki. Jak to możliwe, że ona niczego nie podejrzewała? Gdy prawda wyszła na jaw, Faith była zdruzgotana, ale zachowała się z prawdziwą klasą. Pozostali przyjaciółmi i wspólnie opiekowali się swoim golden retrieverem Henrym. Bardzo starałam się jej dorównać.

Historia Faith zakończyła się prawdziwym happy endem. Szczęście rzeczywiście jej dopisało, gdyż pewnego dnia na kilka godzin utknęła w zepsutej windzie z sześćdziesięcioletnim multimiliarderem, który okazał się znacznie lepszym człowiekiem, niż można by sądzić po reputacji, jaką się cieszył. Przeżyli romans jak z bajki, mieli wesele, z któ-

rym żadne inne nie mogło się równać, na koniec adoptowali dwie uroczę dziewczynki z Pensylwanii.

Obecnie Faith mieszkała przy Piątej Alei w apartamencie o powierzchni dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych, Miała osiem sypialni i dziesięć łazienek, basen, salę gimnastyczną, pokój do medytacji i salę teatralną mogącą pomieścić dwudziestu widzów. Miała też służbę — szefową personelu z dwoma asystentami do pomocy, fryzjera, stylistę ubioru, masażystę, specjalistę od makijażu, kucharza sushi, zwykłego kucharza, trenera, nianie na dni robocze i nianie weekendowe, pomijając hordy służących i szoferów. Nie będę was zanudzać opowieściami o klejnotach, jakimi zasypywał ją Steven, czy o trzydziestodwukaratowym brylantowym pierścionku zaręczynowym. O bentleyach, mercedesach, lamborghini, hummerach, porsche, odrzutowcach i helikopterach nawet nie wspomnę. Poza zamkiem w Szkocji i prywatną wyspą w Nowej Zelandii mieli ze Stevenem domy w Southampton, Palm Springs, Palm Beach i Paryżu. Ponieważ była moją najbliższą przyjaciółką, starałam się jej nie zazdrościć, muszę jednak przyznać, że bywały chwile, gdy chciałam klepnąć jej męża i zapytać: „Na miłość boską, nie mógłbyś mi wypisać czeku?”.

Zawsze sobie nawzajem pomagałyśmy, ilekroć druga miała jakiś kłopot. Tym razem starsza asystentka Faith zorganizowała lunch, niewątpliwie musiało więc o coś chodzić.

W deszczowe wtorkowe popołudnie umówiłyśmy się w Lever House, mojej ulubionej restauracji. Niemal na pewno można tam było spotkać kogoś znanego — Billa Clintona, Mike a Nicholisa, Quentina Tarantino. Kiedyś nawet widziałam Bruce a Springsteena! Sala pełna najzamożniejszych nowojorczyków zamieniła się w bandę ogłupiałych fanów, która, gdy wstał, żeby wyjść, nagrodziła go oklaskami. Było to odrobinę krępujące.

— Co kupiłaś w Barneys? — zainteresowała się Faith, ledwie usiadłyśmy.

— Och, taki tam drobiazg — odparłam niedbale.

Widzicie, podziałało! Muszę przyznać, że czasem poznawanie prawdy o sobie może się okazać przykre. Jak na przykład odkrycie, że cierpi się na tak całkowity brak pewności siebie, że jest się gotowym do słownie na wszystko, byleby tylko zachować twarz. Po to przecież stale nosiłam ze sobą torbę od Barneysa, żeby utwierdzać innych w przekonaniu, że stać mnie tam na zakupy. Winna.

— Ty schudłaś? — zapytała Faith.

— Owszem. Dzięki, że zauważyłaś.

— Ojej, po tym, co się stało, nie możesz jeść — powiedziała.

— Tak, to się nazywa „dieta rozwodowa”. Poza tym ćwiczę z kasetą wideo.

— Nie możesz ćwiczyć na bieżni? — dociekała Faith.

— A co, masz jakąś na zbyciu?

— Właśnie kupuję nową. Możesz sobie wziąć starą. — Faith wyjęła telefon i wysłała sms - a do kogoś ze służby Jak ją znam, bieżnia znajdzie się u mnie jeszcze dzisiaj po południu.

— Dziękuję. Chyba znalazłam się na rozdrożu. Jeśli skrećę w jedną stronę, stanę się nieatrakcyjną rozwódką. Jeśli w drugą, będę elegancką, godną pożądania kobietą w pewnym wieku.

— Cóż, wyglądasz wspaniale — powiedziała Faith. — Z tymi blond włosami niemal wzięłam cię za Renee Zellweger.

Hm... Miała na myśli Renee Zellweger z wagą Bridget Jones czy też raczej bez?

Faith zmieniła temat.

— Jak radzą sobie dziewczynki bez Cada?

— W porządku. Widują się z nim co drugi weekend. Poza tym Cad często dzwoni.

— A ty? Tęsknisz za nim?

— To jest właśnie dziwne. Nie tęsknię. Kiedy odszedł, zrozumiałam, że staliśmy się czymś w rodzaju współników w interesach.

— Żadnego seksu? — zapytała Faith.

— Jasne, kochaliśmy się. W pierwszą sobotę każdego miesiąca, w tych samych sześciu pozycjach, w tej samej kolejności.

Faith zachichotała.

— Boże, mam nadzieję, że z nami tak nie będzie.

— Tylko nie zaczynajcie mówić do siebie „mamusiu” i „tatusiu”, tak jak my.

— Och, to jak pocałunek śmierci.

— Wiem! Poza tym jakoś sobie radzę z dziewczynkami.

— A co z pracą? Pojawiło się coś? — zapytała Faith.

Opowiedziałam jej wszystko o moich zawodowych kłopotach.

— Ivy, nie przejmuj się tym aż tak. Widziałaś artykuł *Porażka: nowy sukces?* Na pierwszej stronie w najnowszym „New Yorku”. Porażka jest dzisiaj w modzie. Jesteś na topie.

— Suuuper — powiedziałam.

— Daj mi swój życiorys. Pokażę go Stevenowi. Ma tyle firm. Na pewno znajdzie ci jakąś pracę.

Wolałabym raczej, aby zaproponowała, że jej mąż będzie mnie od-tąd utrzymywał, ale skoro to nie wchodziło chyba w grę, każda pomoc się przyda.

— Dzięki, tak zrobię — odparłam. — Dobrze, co zamawiasz?

— Carpaccio z tuńczyka. To moje ulubione.

— Ja wezmę zupę jarzynową.

— I nic więcej?

— Tak, teraz w restauracji zawsze zamawiam talerz odłuszczonej zupy. Ale ty powinnaś spróbować czosnkowej pasty z orzechów na grzance. Jest niesamowita.

— Dość o jedzeniu. Wracajmy do interesów. Powiedz mi, co tak naprawdę chciałabyś robić?

— Naprawdę chciałabym się przekonać, co to znaczy móc na kimś polegać.

— Ee, pleciesz.

— Nie, mówię poważnie — powiedziałam. — Powinnam była posłuchać mamy i wyjść za bogatego faceta. Faith, ty wiedziałaś, co robisz, wychodząc za Stevena. Wiem, że go kochasz, i tak dalej, ale bogactwo daje ci tyle swobody Przysięgam, tak wychowam swoje córki, żeby odpowiednio powychodziły za mąż. A jak coś pójdzie nie tak, zawsze mogą się dobrze rozwieść. Jeśli ja jeszcze kiedyś zdecyduję się wyjść za mąż, to za kogoś bogatego albo takiego, który dobrze zarabia. Nie mam ochoty po raz kolejny obudzić się z ręką w nocniku, jak teraz.

— Ivy, nie oszukuj się. Jeżeli wyjdiesz za faceta z forszą, każe ci podpisać umowę przedślubną. Steven tak zrobił.

— Chyba żartujesz? Macie umowę przedślubną?

— Jasne. Steven obiecał mi pięć milionów za każdy rok naszego małżeństwa. Jeśli będziemy razem przez dwadzieścia lat, dostanę sto milionów. A ja zgodziłam się uprawiać z nim seks trzy razy w tygodniu. Osobiście nie mam nic przeciwko temu. Może z wyglądu nie prezentuje się najlepiej, ale jest naprawdę kochany. A poza tym władza i kasa to całkiem niezłe afrodyzjaki.

— W umowie przedślubnej jest zapis, że macie się kochać trzy razy w tygodniu?

— Oczywiście. Ponadto zgodziłam się nigdy nie przekroczyć wagi pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Sama więc widzisz, Ivy, nic nie jest proste.

— Zaczekaj. Zafascynował mnie ten seks trzy razy w tygodniu. Czy ustaliliście też, co będziecie robić? No wiesz, na przykład obciążanie fiuta liczy się za raz, czy też musi dojść do właściwej penetracji?

— Umowa przewiduje wszystko, z pornograficznymi detalami. To cena, jaką musiałam zapłacić za małżeństwo z bogatym człowiekiem. Ale dość już o mnie, Ivy. Porozmawiajmy o tobie. Jak chcesz utrzymać rodzinę? Czytałam gdzieś, że jeśli robi się to, co się lubi, pieniądze przyjdą same. Czemu nie założysz własnej firmy?

— Myślałam o tym, ale nie wiem, czym mogłabym się zajmować.

— Steven mówi, że jak się znajdzie coś, czego ludzie sami nienawidzą robić, i robi się to za nich, można się nieźle obłowić. Dlatego takie wzięcie mają wyprawdzacze psów. Co oczywiście nie oznacza, że akurat to zajęcie bym ci polecała.

Przerwał nam George — jego imię wymawiało się z francuska — który przyszedł przyjąć zamówienie. Skończyło im się carpaccio z tuńczyka, Faith wzięła więc grzankę z pasztetem z gęsich wątróbek, brukselekę i pieczarki.

— Nie przejmuj się mną, Faith. Coś wymyślę, jestem pewna — Nie, nie jestem. Niczego już nie jestem pewna.

— Przynajmniej nie tracisz optymizmu — ucieszyła się Faith.

— Skoro mowa o robieniu tego, czego się nienawidzi — powiedziała — w przyszłym tygodniu urządzają coroczną aukcję w szkole dziewczynek. Wszyscy już się dowiedzieli pocztą pantoflową, że rozstaliśmy się z Cadem. Nie chcę tam iść sama. Pójdiesz ze mną? Proszę...

— Oczywiście — obiecała. — Na razie jednak ty musisz pomóc mnie.

— Jasne, prosz, o co chcesz.

— W tym roku zapisuję Mae do przedszkola — powiedziała Faith.

— Och, Faith, tak mi przykro. To najgorsze przeżycie, jakie może spotkać nowojorskich rodziców. Sama pamiętam ten koszmar. Gdzie się starasz?

— Do wszystkich możliwych szkół. Trinity. Harvard Day. Balmoral. Brearley. Chapin. Dalton. Spence. Nightingale. Hartley. St. Mary's. Horace Mann. Hewitt. Myślałam też o St. Andrew's, ale nie przysłali formularza zgłoszeniowego. Wyczerpali już limit dla białych i teraz będą przyjmować tylko mniejszości.

— Twój mąż jest miliarderem. To się nie zalicza do mniejszości?

— Chciałabym — powiedziała Faith. — Teraz jest taka konkurencja. Rodzeństwo i potomkowie byłych absolwentów mają pierwszeństwo. W zeszłym roku w Riverton było dziesięć miejsc dla dzieci, które nie miały rodzeństwa ani żadnych innych koligacji, i zgłosiło się ponad sześciuset kandydatów. Po czym na pięć miejsc z tych dziesięciu przyjęli przedstawiciele mniejszości.

— Czytałam, że rok po tym, jak Caroline Kennedy posłała swoje najmłodsze dziecko do Ali Souls, na trzynaście miejsc było tysiąc pięciuset chętnych — dodałam, dolewając oliwy do ognia.

— Wiem. Dzisiaj szkoły życzą sobie wybitnie zdanych testów, a my mieliśmy wyjątkowego pecha. Mae zdawała w listopadzie egzamin Educational Records Bureau, ale egzaminatorka umarła na zawał serca, zanim zdążyła ocenić jej wyniki. Kiedy poszłam z Mae na drugi egzamin, nie chciała nic powiedzieć. Zaciskała usta i udawała, że zamyka je na zamek błyskawiczny. Nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło. Za tydzień próbujemy znowu.

— Naprawdę bardzo, ale to bardzo przykro mi to słyszeć — powiedziałam z prawdziwym współczuciem.

— No i jeszcze te rozmowy z rodzicami — ciągnęła Faith. — Steven tyle podróżuje, muszę więc chodzić na nie sama. Szkołom się to nie podoba. Myślę, że ojciec się nie interesuje. Kiedy mieliśmy iść do Balmoral, przygotowałam Mae prześliczne ubranie. Ale ona się uparła, że pójdzie w kostiumie z Halloween z zeszłego roku. Myślałam, że umrę.

— Za co była przebrana?

— Za dinozaura Barneya. Inne dziewczynki były w wyjściowych sukienkach, skórzanych bucikach od Mary Janes, a Mae wystąpiła jako Barney.

Zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się powstrzymać.

— To nie wszystko.

Nie wszystko ?

— Wiesz, jakie zadają pytania w formularzu zgłoszeniowym i dają ci tylko dwie linijki na odpowiedź. „Jakie dziecko ma zainteresowania?“, „Co jest dla waszej rodziny najważniejsze?“ Cóż, zmieściłam się w tych dwóch linijkach. A później się dowiedziałam, że miałam napisać wzruszające wypracowanie. Jak w szkole! Skąd niby miałam o tym wiedzieć?

— Och, szkoda, że mnie nie zapytałaś. Powiedziałabym ci.

— Zresztą, co można powiedzieć o dziecku, które głównie interesuje się wydłubywaniem kóz z nosa? No, słucham? Co byś napisała?

9. Skoro musisz wiedzieć

Jak obsesję na punkcie dłubania w nosie ukazać w pozytywnym świetle?

— Może udałoby się to wyjaśnić jako budzenie się u dziecka zainteresowań naukowych czy skłonności badawczych, że na przykład w przyszłości zostanie lekarzem albo biologiem — zaproponowałam.

Faith popatrzyła na mnie niezbyt życzliwie.

— Ivy, ja już odchodzę od zmysłów. Co mam zrobić, żeby umieścić ją w prywatnej szkole?

Nigdy dotąd nie widziałem mojej przyjaciółki tak zrozpaczonej. Wiedziałam, jak cierpi. Nie miała żadnego wpływu na to, aby Mae trafiła do odpowiedniej szkoły. Każdy w Nowym Jorku znał jakiegoś Weilla, Bloomberga albo przynajmniej jedną z sióstr Hilton, co oznaczało, że koneksje się nawzajem wykluczały. Sukcesu nie gwarantowało nawet posiadanie bogatego tatusia. Mnóstwo dzieci w mieście wywodziło się z zamożnych rodzin i nosiło znane nazwisko.

— Dobrze, pomyślmy. Na których szkołach najbardziej ci zależy?

— Chyba St. Mary's albo Balmoral. Ivy, mogę spróbować twojej zupy? Myślę, że następnym razem także ją zamówię.

— Jasne — podałam jej pełną łyżkę. — Znasz kogoś w zarządzie albo fundatora w jednej z tych szkół? Najlepiej byłby rodzic dziecka, które tam aktualnie chodzi, oczywiście pod warunkiem, że przekazuje szkole odpowiednio duże datki.

— Ja nie, ale Steven na pewno. On zna wszystkich.

— W takim razie odrób zadanie. Znajdź bogatych i wpływowych przyjaciół, którzy cię poprą. Poproś, żeby porozmawiali z dyrektorem i kierownikiem do spraw promocji i reklamy, zwłaszcza z nim. Niech im wytłumaczą, jakim wspaniałym nabytkiem dla szkoły będzie wasza ro-

dzina, jacy są z was filantropi i jakim nadzwyczajnym dzieckiem jest Mae. Bo ona jest nadzwyczajna. Po prostu nie pokazuje tego wtedy, kiedy powinna.

— Nic dziwnego. Przecież to nie cyrkowy piesek.

— Faith, jestem po twojej stronie. Uważam więc, że twoi przyjaciele powinni poprosić, aby na podanie Mae zwrócić szczególną uwagę, i obiecać, że jeśli zostanie przyjęta, Steven zgodzi się przewodniczyć szkolnej komisji finansowej. A Stevenowi powiedz, że musi to dla ciebie zrobić. Na pewno się zgodzi.

— Myślisz, że to zadziała?

— Jasne, że tak. Po prostu nie jesteś dostatecznie długo bogata i nie nauczyłaś się jeszcze myśleć w ten sposób. Uwierz mi, wzajemna pomoc w dostaniu się dziecka do szkoły jest uświęconą czasem tradycją wśród bogaczy. Pamiętasz Tipper Bucket, która kiedyś pracowała w dziale marketingu długów konsumenckich?

— Chyba tak. Młoda czarna kobieta?

— Tak. Otóż teraz jest asystentką dyrektorki do spraw naboru w Harvard Day.

Faith zniżyła głos.

— Czy to prawda, że Harvard Day jest przedsionkiem Uniwersytetu Harvarda?

— Nie, ale chcą, żeby wszyscy w to wierzyli, choć tak naprawdę nie mają ze sobą nic wspólnego. Zresztą Tipper powiedziała mi, że szkoły można przekupywać, byleby to robić z wyczuciem i udawać, że to darowizna. Mówi, że jest to nagminnie praktykowane.

— Kto by pomyślał? W porządku, Ivy, to jest pomysł — powiedziała Faith. — Boże, co za koszmar. To gorsze od półpaśca, którego dostałam, kiedy Rodney mi wyznał, że jest gejem.

— Faith, nie mów tak. Zapomniałaś już, jak bardzo wtedy cierpiałaś?

— To prawda, ale wtedy znacznie lepiej panowałam nad sytuacją — oświadczyła Faith zdecydowanie. — Nawet dzisiaj wolałabym dostać półpaśca, niż zapisywać dziecko do prywatnej szkoły.

Aukcja w Balmoral School miała na celu budowanie więzi społecznych, nie czułam się tam jednak mile widziana. Przeznaczyłam na nią sto dolarów. Wiem, że to nic w porównaniu z nieprzyzwoitymi sumami, jakie wydadzą inne rodziny, po prostu chciałam i ja mieć swój wkład, choćby nawet tak skromniutki.

Obejrzałyśmy z Faith mniejsze przedmioty wystawione na sprzedaż — obrazy, podpisane piłki baseballowe, bilety do teatru i tym podobne. Do każdego była dołączona ustalona przez organizatorów cena wywoławcza — przeważnie dwieście pięćdziesiąt dolarów. W końcu udało mi się znaleźć psie okulary słoneczne dla Sir Eltona od Mary Kate i psie akcesoria z najnowszej kolekcji Ashley. Wpisałam swoją ofertę w wysokości stu dolarów, z nadzieją, że nie dojdzie do ostrej licytacji.

Później miała się odbyć prawdziwa licytacja, podczas której czasowo uprzywilejowani rodzice będą walczyć o każdy jedyny —w — swoim —rodzaju przedmiot aukcji. W tym roku miały to być: siedmiodniowy rejs do Włoch w luksusowym apartamencie na pokładzie „Crystal Symphony”, niewielka rólka w filmie Martina Scorsese, tysiąc egzemplarzy książki dziecka wydanej przez Doubleday, kolacja w Rao's z Georgeem Clooneyem i szansa, żeby Kevin Kline wyrecytował poposiłkowe sonety na kolacji wydanej na cześć zwycięzcy licytacji.

— Co to są poposiłkowe sonety? — zapytała szeptem Faith.

— Najwyraźniej nigdy nie chodziłaś do prywatnej szkoły, bo inaczej byś wiedziała — odparłam.

— Nie, chodziłam do bardzo dobrych publicznych szkół w Paterson w New Jersey.

— Prawda, zapomniałam, że jesteś z New Jersey Nic dziwnego, że nie wiesz, co to są sonety poposiłkowe.

— A ty wiesz? — zainteresowała się Faith.

— Niby skąd, u licha?

Wraz z Faith zasiadliśmy do kolacji przygotowanej przez szefa kuchni z La Tour d Argent, który specjalnie na tę okazję przyleciał z Paryża. Początkowo nikt przy naszym stoliku z nami nie rozmawiał, a ja udawałam, że zupełnie mnie to nie obchodzi. Nagle Bitsy Frakas rozpoznała w Faith żonę Stevena Lorda. Podśluchałam, jak szepcze do Dolce de Nagy:

— Czemu mi nie powiedziano, że to nie jest nikt?

Od tej chwili Bitsy, Dolce i pozostałe żony zabiegały o moje względy w nadziei, że uda im się zaprzyjaźnić z Faith. Organizatorzy pilnowali, aby obficie serwowane wino rozluźniło rodziców przed morderczą aukcyjną walką. Ta sama dwudziestoosobowa grupa największych tuzów licytowała wszystko, popisując się nawzajem przed resztą towarzystwa.

Gdy zaczęła się licytacja randki z George'em Clooneyem, Faith podniosła swoją tabliczkę.

— To będzie twój prezent urodzinowy — szepnęła.

10. Bez grosza na Park Avenue

— Zwariowałaś? — obruszyłam się. — Nie mogę iść na randkę z Georgeem Clooneyem. To najbardziej seksowny facet pod słońcem.

Kiedy stawka doszła do 10 000 dolarów, błagałam ją, żeby przestała.

— Wolę już sonety poposiłkowe. Proszę cię, zgódź się.

— Bez szans. Kevin Kline jest żonaty. Poza tym przeżywasz ciężki okres i chcę dać ci w tym roku coś wyjątkowego. Pójdiesz na randkę z George'em Clooneyem, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Licytacja była zażarta. Właściwie szansa na zjedzenie kolacji w Rao's równała się zeru, dlatego większość toczyła bój o sam posiłek, randkę z George'em Clooneyem mając w głębokim poważaniu. Zaprzyjawniona z bossami mafii restauracja z jedenastoma stolikami, otwarta jedynie w porze kolacji, w weekendy nieczynna, była miejscem, o którym marzyli wszyscy. Jediną szansą na dokonanie rezerwacji była znajomość ze stałym bywalcem, który „miał” swój stolik, lub z t.ak ważną szychą, jak Tommy Mottola, czy ze zwykłym Joe z sąsiedztwa, przez przypadek dorastającym z Frankiem Pellegrino, właścicielem lokalu. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie miał szans na kolację w Rao's bez odpowiednich koneksji. Restauracja stała się jeszcze bardziej popularna, gdy Louis „Lump —Lump” Barone za — dźgał w sali jadalnej Alberta Circelli za to, że obraził gościa, który wstał, żeby odśpiewać *Dont Rain on My Parade*. W końcu Faith, licytując 35 000 dolarów — nie wliczając posiłku — zwyciężyła.

W poniedziałek poszłam na rozmowę do Citigroup. Szukali kandydata na stanowisko wiceprezesa działu marketingu kart debetowych. Spodobałam im się — wyczuwałam to. Ale już byłam znudzona tą pracą, chociaż jeszcze jej nawet nie podjęłam. Obowiązki były mniej więcej takie same, jak te, które miałam w Myoki, ale za cenę większej od-

powiedzialności, mniejszego personelu i pensji niższej o 30 procent. Mimo to miałabym zagwarantowany stały dochód plus dodatki. Było się nad czym zastanawiać.

Tymczasem ze szkoły dziewczynek przyszły rachunki za chesne na następny rok. Chesne Skyler wynosiło 25 950 dolarów, a Kate — 24 950 dolarów (niższe, bo była młodsza). Poza tym trzymałam w dłoni prośbę o doroczną darowiznę. Spodziewali się co najmniej 5000 dolarów na każde dziecko, oczywiście jeśli chciałabym, aby moje nazwisko znalazło się na samym dole drzewa darczyńców. Nie byłam w stanie znieść myśli, że mogłabym dać mniej i tym samym skazać naszą darowiznę na miejsce gdzieś poniżej korzeni. Ze smutkiem zdałam sobie sprawę, że dłużej nie mogę sobie pozwolić na posyłanie dziewczynek do pierwszorzędnej, luksusowej szkoły. Widok wspaniałego budynku, w którym spędzały szkolne dni, ubrane w śliczne mundurki, maszerując w dwóch idealnie równych szeregach, musiał odejść do przeszłości.

Bardzo zakłopotana zadzwoniłam do dyrektorki do spraw naboru i powiadomiłam ją, że najprawdopodobniej w następnym roku będziemy musieli zrezygnować. Wyjaśniłam, że szkołą jesteśmy zachwyceni, ale, niestety, chwilowo borykamy się z drobnymi kłopotami finansowymi.

— Czy istnieje szansa na dofinansowanie? — zapytałam.

— Przykro mi, skromne środki, którymi dysponujemy, już zostały rozdzielone. Proszę dać nam znać do przyszłego tygodnia, czy zdecydowali się państwo zachować wasze miejsca — powiedziała dyrektorka. — Jeśli dziewczynki nie będą chodzić do naszej szkoły, będę musiała znaleźć kogoś na ich miejsce. — Była zimna i obojętna. Najwyraźniej nic ją nie obeszło, że Skyler i Kate muszą odejść. Wszystkie te bzdury o szkolnej społeczności traciły na znaczeniu w wypadku rodzin, od których szczęście się odwróciło.

Drayton, ta żerująca na cudzym nieszczęściu pijawka, złożyła śmiesznie niską ofertę zakupu mojego mieszkania, zapewne dlatego, że napisałam taką wspaniałą rekomendację całej rodzinie Birdów, gdy starał się o firmowy pakiet zarządczy. Z zasady powinnam była odmówić. Nie miałam jednak siły stawiać skrupułów wyżej od mojego konta w banku, z dawno już przekroczonym limitem wydatków. Na rynku pa-

nował zastój. Nikt się nie bił o moje mieszkanie, zgłosił się tylko jeszcze jeden chętny. Kiedy jednak nie doszło do podpisania umowy, żałowana propozycja Draytona była jedyną i ostatnią. Za te pieniądze — po podzieleniu się zyskiem z Cadmonem — będę przynajmniej mogła wynajmować małe mieszkanie w nie najgorszej okolicy.

Znalazłam lokum w pobliżu Orchard i Delancey — w Lower East Side. Okolica ta stała się ostatnio modna, bo była prawdziwie szara i nigdzie nie było widać śladów podążania za najnowszymi trendami, o czym właściciele domów na szczęście zdawali się jeszcze nie wiedzieć. Wciąż można było znaleźć coś interesującego. To właśnie tutaj, jak wielu innych im podobnych, zamieszkali moi dziadkowie, gdy jako emigranci przybyli do Ameryki. W tamtych czasach było tu mnóstwo sklepów z marynatami, ręcznych wózków do przewożenia towarów, czynszówek i synagog. W ostatnich latach tłumnie zaczęli napływać Latynosi i Chińczycy. Miejsca podstawówka była koszmarna, ale niedaleko działała szkoła społeczna i co bardziej łebscy rodzice robili, co mogli, aby umieścić w niej swoje dzieci.

Udałam się do gabinetu rejestratorki, która wręczyła mi gruby plik papierów.

— Dobra wiadomość jest taka, że jutro w południe zaczynamy zapisy.

— Wspaniale — ucieszyłam się. — Wypełnię to wszystko i przyniosę jutro.

— Nie słyszała pani jeszcze złej wiadomości.

— Złej?

— Tak. Widzi pani tę kolejkę, która stoi przed drzwiami?

— Tę, która kończy się aż w Bowery? W jakiej sprawie ci ludzie stoją?

— To jest kolejka do zapisów.

— Już stoją, żeby się zapisywać?

— Tak jest. — Zniżyła głos. — Sugeruję, żeby pani także natychmiast się w niej ustawiła, bo inaczej pani dzieci nie znajdą się w naszej szkole.

— Kaze mi pani stać w kolejce — tu spojrzałam na zegarek — przez dwadzieścia osiem godzin?

— Tylko pod warunkiem, że chce pani zapisać dzieci do szkoły.

Podziękowałam jej i jak szalona pognałam zająć swoje miejsce na końcu kolejki. Później zadzwoniłam do Faith z prośbą, żeby zabrała do siebie na noc dziewczynki i Sir Eltona.

— Ivy, chyba nie zamierzasz spędzić nocy na ulicy? — zaniepokoiła się. — To niebezpieczne.

— Właśnie to zamierzam uczynić, jeśli tylko w ten sposób mogę zapisać dziewczynki do szkoły. Mogłabyś zrobić dla mnie coś jeszcze? Przyślij mi tu jakiś koc i poduszkę, dobrze?

— Ivy, dziewczyny takie jak ty nie stoją przez całą noc w kolejce za niczym — powiedziała. — Może przyślę kierowcę, żeby odstał za ciebie? Rano go zmienisz.

Przyjrzałam się matkom i ojcom stojącym przede mną. Mieli ze sobą torby z jedzeniem, koce, poduszki, butelki na mocz. Niektórzy grali w karty, inni czytali. Byli i tacy, którzy rozmawiali przez telefony komórkowe. Krzyczeli na swoje dzieci, żeby nie odchodziły za daleko. Maluchy nie mogły się oderwać od albinosa z papugą na smyczy.

— Nie — powiedziałam Faith. — Myślę, że powinnam zrobić to sama.

O zachodzie słońca przy krawężniku zatrzymała się przedłużona limuzyna. Z tylnego siedzenia wysiadła pokojówka w mundurku, taszcząc poduszkę, nadmuchiwany materac i prześcieradło. Następnie wyłonił się szofer, dźwigający wielki piknikowy kosz wyładowany po brzegi pieczonym kurczakiem, sałatką ziemniaczaną, bułeczkami, ciastkami i wodą mineralną. Było też wino na później, bajgle z serkiem kremowym na śniadanie i termos z gorącą kawą — taką, jaką lubię najbardziej. Zapo-

biegliwa Faith nie zapomniała również o przenośnym nocniku, po każdym użyciu zamykanym na zamek błyskawiczny. Kiedy limuzyna odjechała, rodzice zbiegli się niczym muchy do miodu.

Przewodziła im mama w rozmiarze XXXL.

— Po jaką cholere zabierasz miejsce w takiej szkole? Nie wiesz, ilu biednych ludzi, których nie stać na nic innego, chce tutaj zapisać swoje dzieci?

— Właśnie, idź sobie do prywatnej szkoły, ty bogata suko — zawtórował jej nędznie prezentujący się mężczyzna, któremu tłum dodawał najwyraźniej odwagi. Pozostali wygłaszali podobne uwagi, dodać trzeba, że niezbyt grzeczne.

Znalazłam się w zupełnie sobie obcym środowisku, bez najmniejszego pojęcia, jak można uspokoić podekscytowany tłum. Innymi słowy: byłam w kropce.

11. Nuworyszowska suka

Otoczona przez rozjuszonych rodziców, uniosłam ręce, żeby ich uciszyć. Nie podziałało. Zamknęłam więc oczy i zaśpiewałam *Close to You*, jakby bycie z kimś blisko było jedyną rzeczą, o której właśnie marzyłam. Do śpiewania mam prawdziwy talent. Słowo, śpiewam wspaniałym, urzekającym sopranem. Nie tylko ja tak uważam, inni również. Większość ludzi głęboko się wzrusza, słysząc tę piosenkę, przyszło mi więc do głowy, że kiedy zaśpiewam *Close to You*, tłum się zamknie. I nie pomyliłam się.

Czemu nagle ptaki przybywają,

Gdy zaczynam tęsknić?

Jak one na niebie,

Tak i ja pragnę

— Być blisko cie — ee — bie

Korzystając z zapadłej w tłumie ciszy, postanowiłam się wytłumaczyć.

— Dziękuję — powiedziałam. — Bardzo was proszę, wysłuchajcie mnie. Tak samo jak wam, mnie także zależy, żeby zapisać moje dzieci do tej szkoły. Wcale nie jestem bogata. Nie stać mnie na prywatną szkołę. Tak się składa, że moja przyjaciółka wyszła za bogatego faceta z Upper East Side. Wiedziała, że będę stać w tej kolejce, przysłała mi więc to wszystko, żeby mi się łatwiej czekało. Czy myślicie, że robiłabym to, gdybym naprawdę nie musiała?

W tłumie rozległy się pomruki. Nagle odezwał się ten nędzny człeczyna, który wcześniej nazwał mnie „bogatą suką”.

— Skoro twoja przyjaciółka ma tyle forsy, czemu jej nie poprosisz, żeby posłała twoje dzieci do prywatnej szkoły?

— No właśnie, dlaczego? — zawtórowali mu inni rodzice.

— Nawet ja mam swoją dumę — odparłam. — Czy ktoś ma ochotę coś przekazać? Z radością się podzielę — dodałam, mając nadzieję załagodzić jakoś sytuację.

Nikt z mojego zaproszenia nie skorzystał. Jak sobie chcecie, pomyślałam. W końcu lody przełamała Mama XXXL.

— Masz syna czy córkę? — zapytała.

— Dwie dziewczynki, jedna ma sześć, druga prawie osiem. A ty?

— Mój chłopak ma pięć. Dziewczynka osiem. Zabieram ich z „Wymarzonej Szkoły”.

— Dlaczego? Co ci się nie podoba w tej „Wymarzonej Szkole”? Nazywa się ślicznie.

— Nie ma biblioteki ani wychowania fizycznego. Rodzicom nie zależy — wyjaśniła. — Z kolei ta szkoła to trzecia najlepsza placówka publiczna w mieście. A stowarzyszenie rodziców i nauczycieli funkcjonuje tutaj naprawdę świetnie.

— Może będziemy razem działać w komitecie — zaproponowałam. — Nazywam się Ivy Ames.

Mama XXXL nie zdołała oprzeć się mojemu wrodzonemu czarowi.

— Louise Fernandez — powiedziała, zaglądając do mojego kosza z wiktuałami. — Te ciastka to domowej roboty?

O północy wymienialiśmy się przepisami i dla zabicia czasu śpiewaliśmy *Funky Cold Medina*.

W południe kolejka zaczęła się przesuwac. O czwartej zapisałam dziewczynki do ich nowej szkoły. Zastanawiałam się, co było gorsze — trzydziestodwugodzinne stanie w kolejce, żeby zapisać dzieci do publicznej szkoły, czy też pociąganie za sznurki i poddawanie się drobiazgowej kontroli, by zapewnić im miejsce w szkole prywatnej. Później zdałam sobie sprawę, że pytanie było bez znaczenia. Tak kręcił się ten świat. Zwykli śmiertelnicy stali w kolejce, a uprzywilejowani uczestni-

czyli w skomplikowanych rytuałach, które miały na celu oddzielenie ziarna od plew. Jak mawiał Cad: „Jest, jak jest”.

W piątek razem ze Skyler pojechałam na klasową wycieczkę do Martin Beck Theater na Broadwayu. Gdybym wróciła do pracy, taka okazja bez wątpienia by mnie ominęła.

W kwietniu jej klasa urządzała przedstawienie o ludzkim ciele, taki projekt naukowo —dramatyczny. Każde dziecko odgrywało rolę jakiegoś organu. Miało się dowiedzieć, jaką funkcję pełni w organizmie człowieka, a następnie — jako serce, wątroba czy woreczek żółciowy — wygłosić monolog wyjaśniający tę funkcję. Wycieczkę zorganizowała była sąsiadka Harrisona Forda. Jej dziecko, córka chrzestna Harrisona, chodziła do klasy ze Skyler. Żeby zrobić dziewczynce przyjemność, Harrison łaskawie zgodził się udzielić dzieciom lekcji podstaw gry aktorskiej. Oczywiście chciałam tam być ze względu na Skyler, ale w skrytości ducha zachwyciałam się też Harrisonem Fordem. Doszłam do wniosku, że jeśli jest choć cień szansy, by rzucił dla mnie Calistę, muszę mu się przedstawić.

— Będę drogami żółciowymi — oznajmiła Skyler kilka dni wcześniej. — Pomożesz mi znaleźć coś o tym, co robią drogi żółciowe?

— Drogi żółciowe? Czemu, na miłość boską, zrobili cię drogami żółciowymi? Jest tyle ciekawszych narządów.

— Miałam być okrężnicą — wyjaśniła Skyler. — Ale kiedy nie patrzyłam, Bea poszła porozmawiać z panią Hatcher i powiedziała, że ona chce być okrężnicą, więc pani Hatcher zabrała mi tę rolę. I zostały tylko te wstrętne drogi żółciowe.

Jakże podobna do tatusia była Bea Bird.

— Cóż, drogi żółciowe nie są takie złe. Przedstawimy je w bardzo interesujący sposób — obiecałam.

Jak na złość, Sassy również brała udział w wycieczce. Przez cały czas trzymała się z daleka i udawała, że mnie tam nie ma.

— No dalej, dalej, bądźcie narządami! — krzyczał Harrison. — Electro, chcę widzieć u ciebie bicie. Serca biją, przecież wiesz. Skyler, otwieraj się i zamykaj, otwieraj i zamykaj, niech żółć wpływa i wypływa. Bea, tańcz jak kurcząca się okrężnica, chcę widzieć ruch. Elena, wdychaj i wydechaj, poczuj, co to znaczy być płucami. Michaela, nie przypominasz raczej mózgu, chcę widzieć, jak te wszystkie synapsy się łączą. — Mówiąc to, Harrison strzelał szybko palcami. Podczas gdy on zajmował się reżyserią, pani Hatcher krążyła między dziewczynkami i korygowała ich pozycje. Harrison tak był zajęty dziećmi, że na mamy nie zwracał najmniejszej uwagi. Co za cios. Szykowałam się godzinami, żeby pięknie wyglądać, i przy okazji sprawić wrażenie, że wyglądam tak bez dokładania jakichkolwiek starań. Wbrew pozorom to wcale nie jest takie proste.

Ku wzajemnemu rozczarowaniu, wracając autobusem z teatru, siedziałyśmy z Sassy obok siebie.

— Czyż to nie cudowne, że nasze dziewczynki chodzą do Balmoral? — zapytała Sassy — W jakiej innej szkole uczyłyby ich gry aktorskiej czołowy amerykański gwiazdor?

— No właśnie, w jakiej innej? Wiesz co, myślę, że szkoła byłaby jeszcze lepsza, gdyby dzieci były w niej bardziej zróżnicowane — dodałam, przygotowując grunt pod nasze rychłe odejście na Lower East Side. Córki Amesów nie odchodziły z powodu kłopotów finansowych. Na Boga, skądże! Ivy chciała, żeby dziewczynki chodziły do szkoły bardziej zróżnicowanej.

— Jak możesz mówić, że w Balmoral nie ma różnorodności? Niektórzy rodzice mają odrzutowce, inni jachty. Są dziewczynki z rodzin królewskich, kilka pochodzi ze zwykłych. Część rodzin odziedziczyła swoje fortuny, część dorobiła się sama.

Milczałam, zastanawiając się, czy Sassy rzeczywiście mówi poważnie. Biorąc pod uwagę wyraz jej twarzy, należało przypuścić, że nie była w nastroju do żartów.

— Poza tym — dodała Sassy scenicznym szeptem — jest jeszcze ta urocza mała Murzyneczka w ich klasie, ta, której ojciec gra w Knick-

sach. Jej kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy, ja takich rzeczy nawet nie zauważam. A tak przy okazji, Skyler była wspaniała jako drogi żółciowe.

— Sassy, nie zaczynaj. Wiesz równie dobrze jak ja, że Skyler miała być okężnicą.

Sassy zachichotała nerwowo. Poza idealną twarzą i figurą miała jeszcze zmysłowy głos w stylu Kathleen Turner.

— Słyszałaś, że Drayton awansował?

— Nie, gratuluję.

— Będzie wiceprezesem. Teraz gra w głównej lidze.

— Musisz być bardzo dumna.

Chciałam powiedzieć: „Rany, nie sądziłam, że jest na tyle przystojny, żeby tak wysoko awansować w Myoki”, ale się powstrzymałam.

— Co u Cada? — zapytała.

— Chyba wszystko w porządku. Rozmawiam z nim tylko wtedy, kiedy przyjeżdża po dziewczynki.

Nie było to do końca prawdą. Kilka razy późnym wieczorem dzwonił do mnie, prosząc, żebyśmy spróbowali wszystko naprawić. Zaklinał się, że już nigdy mnie nie zdradzi. Wiele dobrych lat przeżyliśmy razem i Cadmon bardzo chciał, aby to powróciło. Ja z kolei wiedziałam, że nie ma już czego ratować, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Nigdy nie potrafiłabym zapomnieć o jego zdradzie. Tato także obiecywał mamie wierność, po czym złamał serce jej i mnie.

„Przykro mi — powiedziałam Cadowi. — Nie chcę być już twoją żoną”.

Prawdą było, że rozmawiałam już z prawnikami.

— A ty? — zapytałam Sassy — Kontaktujesz się z Cadem?

— Och, skądże. To było tylko chwilowe. Wyłącznie seks, nic więcej. Nigdy nie powinno się było zdarzyć. Poza tym, tak między nami, ma dość małego penisa, nie uważasz?

— Słucham?

— Jego penis. No wiesz, nie należy do specjalnie imponujących, taki mały ciuliczek. Dwa winogronka i gumowa glista — zachichotała.

Popatrzyłam na nią. Ona również na mnie spoglądała, wyczekująco. A to co? Nagle jesteśmy koleżanki? Czyżby myślała, że zbliżą nas niedostatki Cadmona? Bądźmy przyjaciółkami i pożartujmy sobie z małego korniszonka twojego kochanka i mojego wkrótce —byłego — męża. Czy to nie będzie świetna zabawa? Nie mam pojęcia, co się stało. Zwykle jestem osobą nad wyraz opanowaną. Ale w tamtej chwili, kiedy jechałyśmy starym, zdezelowanym szkolnym autobusem bez resorów, nie byłam w stanie powstrzymać wściekłości na tę niewy chowaną wywłókę. Nie mogłam — nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie stanęła w obronie cockus erectus Cadmona.

— Nie, Sassy, wcale tak nie uważam. PENIS CADA NIE JEST MAŁY. Jest ŚREDNI.

— W PORZĄDKU — odparła. — Strasznie jesteś przewrażliwiona.

O mój Boże! Rozmawiałyśmy dość głośno. Wszyscy w autobusie się na nas gapili, a pani Hatcher mierzyła nas pełnym dezaprobaty nauczycielskim spojrzeniem.

— Przepraszamy... bardzo wszystkich przepraszamy. Wybaczcie nam, proszę — powiedziałam. — Następnym razem będziemy rozmawiać telepatycznie.

12. Zawiść o garderobę

Kiedy wróciłam ze szkolnej wycieczki Skyler, w domu czekały na mnie nagrane dwie wiadomości. Od Susan z działu kadr w Citigroup i od Faith. Najpierw oddzwoniłam do Susan, która, zgodnie z moimi oczekiwaniami, złożyła mi ofertę. Nie była to wymarzona praca, na jaką liczyłam, ale innych możliwości nie było. Przyjęłam ją bez emocji i uzgodniłyśmy, że zacznę za tydzień. Następnie poszłam do Faith, żeby podzielić się z nią nowiną.

Szef ochrony zaprowadził mnie na górę.

— Tutaj jestem — zawołała Faith. — W garderobie.

Miała na myśli swoją ubieralnię, apartament wielkości połowy mojego mieszkania. Składała się na nią marmurowa łazienka — z bidetem, urządzeniem wytwarzającym eukaliptusową parę, basenem do aromaterapii, prysznicem, rzymskim jacuzzi i basenem z zimną wodą. Był również pokój kąpielowy, w którym odbywały się sesje owijania, pilingu i hydroterapii. Salon piękności był wyposażony we wszystko, czego potrzebował mistrz grzebienia lub specjalista od makijażu, żeby przygotować Faith na bal charytatywny. Salon masażu i salon kosmetyczny urządzono zgodnie z zasadami zen. Rzeczywista garderoba była pomieszczeniem od podłogi do sufitu wyłożonym lustrami, z bieżnią, atlasem i stacjonarnym rowerkiem, jeśli się okazało, że Faith nie ma dość czasu, aby skorzystać z sali gimnastycznej na dole. Ubrania Faith były uporządkowane kolorystycznie i pod względem pór roku, zawieszane na poruszanych mechanicznie wieszakach, jak w pralni chemicznej. Miała ciuchy od każdego bardziej znanego projektanta na świecie. Na czterech ścianach mieściły się, sięgające sufitu, półki z nienagannie poustawianymi butami od Manolo Blahnika, Jimmy'ego Choo, Chanel, o innych autorach zdobionego biżuterią i paseczkami obuwia nie wspominając. Każda para tkwiła w oddzielnym pudełku z doczepionym zdjęciem. W dwóch innych szafach mieszkały setki obrzydliwie drogich toreb. Długa

droga dzieliła Faith od czasów, gdy była asystentką menedżera w Myoki.

— Cześć, Ivy. Tutaj jestem.

Avi suszył włosy Faith, podczas gdy ona sama mówiła coś do jakiegoś palanta z dziwaczną fryzurą.

— To jest Vladimir Kahn, mój szef garderoby. Vladimirze, pozwól, moja przyjaciółka, Ivy Ames. — Faith musiała przekrzykiwać szum suszarki. — Vladimir opracowuje właśnie komputerowy katalog wszystkich moich rzeczy Teraz wystarczy, że włączę komputer, i będę mogła przejrzeć zdjęcia ubrań posegregowane według kolorów, projektantów, stopnia elegancji; w zależności od potrzeb. Jak wybiorę jakiś zestaw i nacisnę klawisz enter, wszystko samo do mnie przyjedzie. Vladimirze, pokaż jej.

Vladimir wybrał zdjęcie kwiecistej sukni od Marca Jacobsa. Poniżej na ekranie wyskoczyło sześć par pasujących butów i sześć torebek.

— Które dodatki, proszę pani? — spytał Vladimir.

— Buty od Helmuta Langa, bezsprzecznie. I torba Oscara de la Renta — odparła Faith.

Vladimir wybrał wskazane rzeczy i wieszaki w garderobie Faith zostały wprowadzone w ruch. W jednej chwili cały zestaw czekał gotowy w lustrzanej ubieralni.

— Super, czyż nie? — ucieszyła się Faith.

— Owszem, super, ale czy to nie jest sukienka od Ralpa Laurena? — spytałam.

— O mój Boże! Nigdy nie połączyłabym Ralpa Laurena z Oscarrem de la Renta! Vladimirze!

— Naprawię to, proszę się nie martwić. — Vladimir zwrócił się do mnie: — Wciąż jeszcze dopracowujemy szczegóły, ale kiedy wszystko będzie już działać, jak należy, pani Lord zaoszczędzi połowę czasu — przechwalał się.

Avi dokonywał ostatnich poprawek we fryzurze Faith. Zjawił się Christophe, stylistka Faith, żeby uzgodnić z nią szczegóły stroju i makijażu na dzisiejszy wieczór. Przyniósł ze sobą wspaniałą koktajlową suknię.

— Dzisiaj widzę cię w szmaragdowym Diorze, kochanie. W szpilkach od Lucite i z rubinowymi ustami będziesz wyglądać bosko, moja droga.

— Jak uważasz, Christophe. A teraz wszyscy, z wyjątkiem Ivy, wynocha. No już, nie ma was. Muszę z nią porozmawiać. — Pokój opustoszał, zanim Faith dokończyła zdanie. — Ivy, mam wspaniałe wieści. Twój pomysł się sprawdził!

— To znaczy który?

— No wiesz, ten z przyjęciem Mae do prywatnej szkoły. Dwaj dyrektorzy dali nam do zrozumienia, że jeśli Steven zostanie prezesem komitetu do spraw fundacji i przekaże pięćset w przyszłym roku, to Mae zostanie przyjęta. Wiadomość nie jest jeszcze oficjalna, ale obaj zapewnili nas osobiście, że o nic nie musimy się martwić. Poza tym wszyscy się o nas zabijają. Gościli nas jak syjamskich królów. Dlatego tak się dzisiaj stroję. Dyrektorka St. Mary's zaprasza nas do Masa!

— I wystarczyło tylko pięćset dolarów. Wspaniale — powiedziałam.

— Nie, pięćset tysięcy. Ale warto było, nie uważasz?

— Zdecydowanie, co do tego nie ma dwóch zdań. Chyba ci ulżyło, co?

— O tak, i to bardzo. To oczywiście okropne, że dostanie się w ten sposób. Ponieważ jednak tak fatalnie wypadła na rozmowach kwalifikacyjnych, ja napisałam beznadziejne wypracowania, a Steven ani razu nie pokazał się w szkole, nie mieliśmy wyboru. Mówiłam ci, że w Brearley ugryzła inną dziewczynkę? Do krwi.

— To okropne.

Przez drzwi wsunął głowę Christophe.

— Wybacz, kochaniutka, że przeszkadzam, ale jaka biżuteria?

— Szmaragdowy naszyjnik od Cartiera — odparła Faith.

Christophe wyraźnie się załamał.

— Co jest? — zapytała Faith.

Christophe spoglądał z ponurą miną.

— Złamiesz mi moje już i tak kruche serce, jeśli pokażesz się w Masa, wyglądając, jak gdybyś za bardzo się starała. Chcesz zrobić wrażenie na dyrektorze, oczywiście, ale w ten sposób dasz jej do zrozumienia: „Nic mnie nie obchodzi, co myślisz, ty obleśna babo”. A o co nam chodzi? Myśl! Myśl!

— Christian Tse! — wykrzyknęła Faith.

— Właaaśnie — powiedział Christophe i zniknął.

Faith wstała.

— Ivy, chcę ci coś pokazać. — Udałam się za nią do sypialni. Ze stosu czasopism na nocnym stoliku Faith wygrzebała „New Yorkera” z ubiegłego tygodnia. — Czytałaś artykuł o tym facecie, który bierze po czterdzieści tysięcy dolarów od rodziny za umieszczenie ich dzieci w prywatnej szkole?

— Czytałam — przytaknęłam. — Nazywa się doktor Margolis, prawda? Jest doktorem prawa. Jak by to miało jakkolwiek związek z przyjęciem do szkoły. Nie wierzę, że ludzie płacą mu aż tyle.

Przeszliśmy do saloniku. Faith nacisnęła dzwonek i kazała przynieść nam jakąś przekąskę.

— Myślałam o naszej rozmowie w zeszłym tygodniu. Oddałabym wszystko, żeby ekspert w rodzaju doktora Margolisa pomógł mi umieścić Mae w przedszkolu. Czemu nie założysz firmy, który by się tym zajmowała? Mogłabyś robić to samo dla innych.

— Ile byś zapłaciła za taką pomoc?

— Do diabła, wykładamy pół miliona dolarów, żeby zapewnić Mae miejsce. Sami byśmy sobie nie poradzili, gdyby nie twoja rada. Jestem pewna, że zgodzilibyśmy się zapłacić trzydzieści, może nawet czterdzieści tysięcy — powiedziała Faith. — Nie chcę wyjść na neurotyczną matkę, ale jeśli w dzisiejszych czasach nie pošlesz dziecka do odpowiedniej przedszkola, możesz zapomnieć o Ivy League.

— Faith, większość ludzi nie mieści się w twoim progu podatkowym. Nie sądzę, żebym mogła żądać więcej niż dziesięć tysięcy dolarów za pomoc w dostaniu się do przedszkola.

— W każdym razie przemyśl to — rzekła Faith. — Jeśli się zdecydujesz, pomogę ci znaleźć klientów. Mnóstwo koleżanek Mae idzie w tym roku do zerówki i ich rodzice zapłacą każde pieniądze za tego rodzaju przysługę.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pokojówka, niosąc przekąską podaną bardziej wykwintnie niż na podwieczorku w hotelu Plaza.

— Faith, twoja propozycja jest kusząca, ale właśnie przyjąłam pracę w Citigroup — powiedziałam bez radości w głosie.

— Och, cóż, to wspaniale — skwitowała Faith. — Gratuluję, naprawdę.

— Ależ kłamczucha z ciebie — powiedziałam, rzucając w nią kanapeczką z ogórkiem. — Obie wiemy, jaka to nuda. Ale muszę myśleć o dziewczynkach. Muszę być praktyczna, czyż nie?

— Chyba tak. To znaczy... naprawdę jesteś w podbramkowej sytuacji — zgodziła się Faith.

— Owszem. Chyba że ty i Steven zgodzicie się mnie adoptować. — Faith dziwnie na mnie popatrzyła.

— Tylko żartowałam — uspokoiłam ją. No, powiedzmy.

Rozległo się nieśmiałe pukanie i zajrzała garderobiana

Faith.

— Pani kąpiel jest już gotowa.

— Dziękuję, Virginio.

Wróciłam z moją przyjaciółką do łazienki, gdzie znad wielkiej wanny z jacuzzi, pełnej czerwonych i żółtych płatków róż, unosiła się para. Pachniała cudownie. Obok wanny stał wielki kosz przepięknych róż od Stevena. Każdego tygodnia przysyłał jeden wielki bukiet dla Faith, a dwa mniejsze dla Mae i Lii. *W idealnym świecie*, pomyślałam, *każda kobieta miałaby takiego męża jak Steven Lord*. A później przypomniałam sobie o obowiązkowym seksie trzy razy w tygodniu. Byłoby warto? Patrząc na garderobę Faith, wiedziałam już, jak brzmi odpowiedź.

TLR

13. Ze zwolnieniem jej do twarzy

Następny tydzień upłynął mi na poszukiwaniu opiekunki dla dziewczynek. Musiałam mieć kogoś, kto będzie je odbierał po szkole, pomagał w nauce, przygotowywał kolację, czyli wykonywał wszystkie te miłe matczyne obowiązki, które przez kilka ostatnich miesięcy spoczywały na moich barkach. Zgłosił się Charles, student malarstwa na Uniwersytecie Columbia. Postanowiłam go sprawdzić. Dziewczynki widywały Cadmona tylko co drugi weekend, uznałam więc, że dla zdrowia przyda się im nieco więcej testosteronu.

W piątek spędził z nami cały dzień, szkoląc się do czekającego go zajęcia. Tutaj dziewczynki chodzą do szkoły Tutaj jest najbliższy plac zabaw. Tutaj wyprowadza się na spacer Sir Eltona. Tutaj dają najlepsze sushi. Tutaj kupuje się karmę dla Beverly. Z trudem przychodziło mi przekazywanie pałeczki, nie miałam jednak wyjścia.

O pół do szóstej wieczorem zadzwonił telefon.

— Halo, czy zastałam mamusię?

— Moją mamusię?

— Twoją mamusię. Ivy Ames.

— Ivy przy telefonie.

— Och, Ivy. Najmocniej przepraszam. Myślałam, że to dziecko.

— Nie, to ja. Mam bardzo młody głos.

— Mówi Susan z działu kadr Citigroup. Nie uwierzysz, co muszę ci powiedzieć.

— Co takiego? — zapytałam. *Postanowiliście podnieść mi zarobki o 50 procent? Robicie mnie szefem całego działu? Chcecie mnie szkolić na bankiera inwestycyjnego?* Nie miałam pojęcia, z jakiego powodu Susan do mnie zadzwoniła.

— Zlikwidowali twoje stanowisko — powiedziała.

— Słucham? Przecież nawet jeszcze nie zaczęłam pracy — oburzyłam się.

— Wiem. Bardzo mi przykro, że tak się stało, ale nie miałam o niczym pojęcia. Wczoraj ogłosili reorganizację i twoja posada przepadła — wyjaśniła.

— Dostanę odprawę? — Powinnam, biorąc pod uwagę wszystko, przez co musiałam przejść. *Poczuj się do winy, poczuj się do winy, poczuj się do winy*, zaklinałam ją telepatycznie.

— Chyba nie mówisz poważnie — powiedziała Susan. — Zatrzymamy w aktach twój życiorys i jak tylko coś się pojawi, zaraz dam ci znać.

— O tak, będę wdzięczna.

I co wy na to? Wywalili mnie, zanim jeszcze zdążyłam zacząć pracę. Co za kutasy! Niestety, to samo musiało spotkać młodego Charlesa.

Nie mając nic innego na widoku i z resztkami odprawy z Myoki, postanowiłam wejść w biznes „przyjęcia do prywatnej szkoły”. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej pomysł mi się podobał. Potrafię to zrobić. Nowe pomysły często rodzą się z desperacji. A ja byłam zdesperowana. Nawet gorzej. Mogłam ewentualnie zostać sprzedawczynią w Starbucks. Ale to nie wchodziło w grę. Na miłość boską, w końcu zrobiłam MBA w Yale!

Był tylko jeden drobny problem. W tym, co zamierzałam robić, nie miałam za grosz doświadczenia. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Nikt tak naprawdę nie wie, co robi doradca do spraw przyjęć do zerówki. Coś wymyślę. Nie trzeba mieć żadnej licencji. Żadnego wykształcenia w tym kierunku. Żadnych barier do pokonania. Mogę udawać dosłownie wszystko. W Nowym Jorku ludzie bez przerwy kreuja się na nowo. Rudy Guliani. Monica Lewinsky. Donald Trump. Czemu nie ja?

W niedzielę, kiedy dziewczynki były u ojca, ułożyłam plan. Takie podejście do przyszłości zawsze się do tej pory sprawdzało. Zanim wyszłam za mąż, opracowałam sobie strategię zdobycia przystojnego męża z dobrymi rokowaniami zawodowymi. Takie stawiałam wymagania (by-

łam młoda, niewiele wiedziałam o życiu). W niecałe pół roku później spotkałam Cadmona Amesa III, który pasował jak ulał. Usidliłam go, wprowadzając w życie następny element planu — dołączając do grupy wynajmującej wspólnie dom w Hamptons. Poznaliśmy się z Cadem przy kolacji podczas mojego pierwszego weekendu w Sag Harbor. Reszta, jak powiadają, była historią. Muszę sobie zakonotować, żeby wkrótce odkurzyć ten plan.

Chociaż, po namyśle, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, może jednak niekoniecznie.

Wyzaczyłam sobie dwa cele. Po pierwsze: zostać nowojorskim ekspertem w zakresie przyjęć do prywatnych szkół. Po drugie: znaleźć dwudziestu klientów skłonnych zapłacić mi po dziesięć tysięcy dolarów. Ku mojemu zaskoczeniu, myśl o pracy niezwykle mnie ekscytowała. Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni czułam się podobnie.

Część 2

Ivy się kształci

TLR

1. Szkolne wojny

Ścieżka do oświecenia będzie wyboista. Nie ma podręczników, nie ma zajęć, nie ma mistrzów, którzy całą swoją wiedzę mogliby przekazać małemu żółtodziobowi.

Theodora „Tipper” Bucket, niegdyś moja podwładna w Myoki, a obecnie zatrudniona w Harvard Day, zgodziła się udzielić mi korepetycji z zasad przyjmowania nowych uczniów. Spotkałyśmy się w najciemniejszym kącie knajpy The Barkin Dog w Queens. Z trudem ją poznałam, ukrytą pod czapeczką baseballową Jankesów i tanimi lotniczymi okularami przeciwsłonecznymi.

— Tipper? — zapytałam niepewnie. — Tipper Bucket?

Uśmiechnęła się.

— We własnej osobie. Tylko że teraz nazywam się Bouquet, jak bukiet kwiatów, a nie Bucket, jak wiadro.

— Bouquet! Uroczo. — Na pierwszy rzut oka Tipper nic się nie zmieniła, miała tę samą, właściwie niebrzydką twarz, niestety, znacznie przybrała na wadze. Naprawdę znacznie. Jej zadek zajmował dwie trzecie ławki.

— Co u ciebie? — zapytała, wyciągając ręce, żeby mnie uścisnąć. — Tak się cieszę, że cię widzę.

— Ja także — powiedziałam, odwzajemniając uścisk, a w duchu ganiąc się, że zanadto skwapliwie zauważyłam jej coraz pokaźniejszą tuszę. Przecież nie była gruba w całym znaczeniu tego słowa. Nie, wciąż była uroczo pulchna jak niegdyś, tyle że teraz zamiast pośladków taszczyła za sobą masę wielkości volkswagena. Hejże, moja droga! Cóż z ciebie za powierzchowna osoba, żeby w duszy pokpiwać z niedoskonałości innych? Natychmiast przyrzekłam sobie pościć w najbliższy Jom Kippur za swoje okrucieństwo wobec Tipper.

— O co chodzi z tym przebraniem? — zapytałam żartobliwie.

Rozejrzała się nerwowo na wszystkie strony.

— Teraz, kiedy zamierzasz się tym zajmować, nikt nie może nas widzieć razem. Takich jak ty jest więcej, ale nikt nie wie, kim są. Ich nazwiska są dyskretnie przekazywane między prominentnymi rodzinami, i jestem pewna, że nieźle zarabiają. Ale muszą się ukrywać, bo inaczej dyrektorzy do spraw przyjąć, jak moja szefowa, Cubby, rozgnietliby ich jak karaluchy.

— O mój Boże! — wykrzyknęłam. — Nie miałam pojęcia. Czemu nas tak nie lubią?

— Twierdzą, że wszyscy powinni mieć jednakowe szanse na umieszczenie swoich dzieci w prywatnych szkołach. Nie chcą, żeby doradcy rozpracowali ich sekrety i pokonali system.

— Przecież nie jest żadną tajemnicą, że to nie jest gra równych szans — powiedziałam. — Ludzie z forszą i znajomościami już na starcie mają przewagę. Jeśli jesteś normalnym białym prawnikiem czy bankierem z wyższej klasy średniej, wiadomo, że masz przechlapane.

— Wiem, wiem — pokiwała głową Tipper. — Ale musimy się zachowywać tak, jakby każdy miał taką samą szansę. Nawet jeśli ktoś proponuje nam pokaźną darowiznę w zamian za przyjęcie jego dziecka, udajemy, że w tego rodzaju układy nie wchodzimy. Ale wiadomo, że takie dziecko zawsze jest przyjmowane; oczywiście wyłącznie ze względu na jego własne zasługi. W Harvard Day mamy wręcz fioła na punkcie etyki; to nasza zaleta numer jeden, dlatego za wszelką cenę musimy zachować pozory.

Pojawiła się kelnerka. Tipper aż podskoczyła.

— Boże, ależ mnie pani przestraszyła — wykrzyknęła.

Zamówiliśmy kawę i kawałek czekoladowego tortu ze śmietaną plus dwa widelce.

— Szczerze mówiąc, uważam, że ci odbiło, żeby zostać doradcą. To wredna gra. Sama pomyśl, Ivy. Kto mieszka na Manhattanie? Najbogatsi, najbardziej wpływowi ludzie na tej planecie. To rekiny. I to są ich dzieci. Im nie zależy tylko, żeby te dzieci dostały się do najbardziej eli-

tarnych szkół; oni uważają, że się im to należy. Po co brać w czymś takim udział?

— Ty bierzesz.

— To prawda, ale ty będziesz na ich usługi. Mnie się muszą podlizywać. Jeśli zaczniesz się w to bawić, już nigdy nie będziemy mogły się spotkać. Dzisiaj powiem ci wszystko, co wiem, ale później nawet do mnie nie dzwoń. Gdyby ktoś pytał, ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

— Masz to jak w banku — obiecałam. — Za nic nie chciałabym cię narażać.

— Cubby to najbardziej wpływowa osoba w społeczności prywatnych szkół. Gdyby się dowiedziała, że wysnęła mi się jakaś wewnętrzna informacja, z miejsca by mnie wykosiła z interesu.

Tipper zaczęła od tego, co już wiedziałam — że jest pięć oficjalnych kryteriów przyjęcia dziecka do zerwki w danej szkole: wyniki testów, pisemne wypowiedzi rodziców, wizyta dziecka w szkole, rozmowa z rodzicami i raport z przedszkola. Wystarczyło, że dziecko w którymś wypadło kiepsko, i zamiast grubej koperty otrzymywało cienką. Szanse kandydata wzrastały niepomniernie, jeśli było bratem lub siostrą dziecka już uczęszczającego do szkoły albo „spadkobiercą” — dzieckiem absolwenta. Bardzo pomocna mogła być również znajomość z kimś odpowiednim, kto jeszcze we właściwy sposób zarekomendował dziecko. Tipper była jedną z dwóch kolorowych kobiet pracujących w Harvard Day i zajmowała się rekrutacją dzieci wywodzących się z mniejszości.

Podano nam czekoladowy tort i z zapalem zaczęłyśmy go pałaszować. Ponieważ wciąż jeszcze byłam na diecie, zostawiłam ostatni kawałek, który Tipper pochłonięła bez śladu zażenowania.

Po wykładzie na temat działania maszyny przyjęć Tipper na koniec ostrzegła mnie, żebym nigdy nie zdradziła żadnej szkole, że któryś z moich małych klientów jest poddawany terapii lub ma problemy z nauką — było to niemal jednoznaczne z odrzuceniem podania. Poza tym wiele prywatnych szkół wyklucza przyjmowanie dzieci niepełnosprawnych,

po prostu nie zapewniając niezbędnych dla nich udogodnień. Dyrektorzy szukali dzieci idealnych i takie należało im dać.

Tipper znowu nerwowo rozejrzała się po sali. Sięgnęła do torby, wyjęła z niej jakieś papiery, które następnie skrycie podała mi wsunięte pod menu.

— Jak ktoś się kiedyś dowie, że ci to dałam, jestem trupem.

TLR

2. Niewinna korupcja

Obojętnie wsunęłam plik pod notatnik, który ze sobą przyniosłam.

— Co to jest? — zapytałam, niemal nie poruszając ustami.

— Dwadzieścia najlepszych pisemnych wypowiedzi rodziców, jakie trafiły do Harvard Day — odparła Tipper na wdechu. — Są bezcenne. Wszystkie z tych dzieci się dostały. Ale musisz mi jedno obiecać.

— Wszystko — zapewniłam ją.

— Przeczytaj je, dowiedz się wszystkiego, a później je spal. Gdyby ktoś je u ciebie znalazł, będę zrujnowana. — Z wielkim wysiłkiem Tipper podniosła swoją gigantyczną tylną część ciała z ławki. Rozejrzała się, czy teren jest czysty — Powodzenia, Ivy — powiedziała, rzucając na stolik dziesięć dolarów. — Pamiętaj, ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Zrobiłam to, bo w Myoki byłeś moim mentorem. Teraz jesteśmy kwita.

Zamurowało mnie. Wyszłyśmy, dla bezpieczeństwa, każda oddzielnie.

Musiałam zdobyć wzory testów.

Aby dostać się do przedszkola, czterolatki miały obowiązek zdać przedszkolny test kompetencji, nazywany WPPSI (*Wechsler Preschool and Primary Scale of Intelligence*). Ponieważ testy przeprowadzało Educational Records Bureau, powszechnie funkcjonowały pod nazwą ERB. Jeśli rodzice chcieli umieścić dziecko w najlepszych szkołach, ich pociechy musiały osiągnąć wyniki na poziomie co najmniej światowym.

Testy ERB każdego roku wyglądały tak samo, wiedziałam więc, że wystarczy mi jeden, żeby nauczyć moich klientów, jak mają przygotować do nich swoje dzieci. Szkoły groziły, że każde dziecko, wobec którego powstaną podejrzenia, że zostało wyuczone, jak należy odpowiadać, natychmiast zostanie skreślone z listy kandydatów, powszechną jednak praktyką wśród bogatych rodzin było odwiedzanie zamiejscowych psychologów. Ci za grube tysiące dolarów ćwiczyli dzieci, ja-

kich odpowiedzi należy udzielać podczas właściwego testu. Doszłam do wniosku, że wiedząc, co taki test zawiera, bez trudu nauczę rodziców i nianie, jak przygotować dzieci w domu, nie zdradzając im przy tym konkretnych pytań.

Problem polegał na tym, że żaden psycholog — nawet gdybym obiecała, że zatrudnię go jako konsultanta — nigdy mi takiego testu nie udostępni. Za bardzo obawiali się utraty swoich licencji. Sprawdziłam w Internecie, ale nikt nie wystawiał na sprzedaż starych testów, nawet na eBay. Ściana milczenia, jaką psychologowie wzniesli wokół tych instrumentów, była nie do przebycia. Niech ich szlag!

W akcie desperacji poprosiłam Faith o nazwisko i adres pani psycholog, która po raz pierwszy testowała Mae. Tej, która zmarła. Może uda mi się skontaktować z rodziną i zaproponować kupno posiadanych przez nią testów.

Poszłam do jej domu, w nadziei, że portier zdradzi mi, jak mogę odnaleźć krewnych zmarłej. Na nieszczęście Tanvir, dozorca, nie miał najmniejszego zamiaru ujawnić mi tak poufnej informacji. Język mu się rozwiązał dopiero, gdy podsunęłam mu banknot studolarowy. Okazało się, że syn zmarłej, pan Bendiner, w najbliższej przyszłości zawita do Nowego Jorku, żeby posprzątać mieszkanie po matce. Tanvir wiedział o tym, ponieważ w przyszłym miesiącu mieli się wprowadzić nowi lokatorzy. Dołożyłam mu jeszcze dziesięć dolarów i obiecałam kolejne sto, jeśli zadzwoni do mnie, gdy pan Bendiner zjawi się w mieszkaniu.

Po tygodniu telefon zadzwonił.

—Pani A, tu T.

— T?

— Tak, T. Tanvir, dozorca.

— Och, witaj, Tanvirze, co u ciebie?

— Dzieciół złożył jajko — rzekł tajemniczo.

— Słucham?

— Orzeł wylądował — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Och, rozumiem! Dziękuję ci bardzo, T. — Co prawda wcześniej nie ustaliliśmy tajemnego kodu, ale podziwiałam go za dyskrecję.

Kiedy zjawiłam się w domu zmarłej pani psycholog, Tanvir wpuścił mnie natychmiast, jak tylko mu zapłaciłam.

— Halo — zawołałam. — Jest tu kto?

Drzwi były uchylone, a w przedpokoju stały ogromne, czarne plastikowe worki pełne ubrań.

Krótko obcięty mężczyzna w czapce Nebraska Cornhuskers wyjrzał z łazienki i gestem zaprosił mnie do środka. Wysoki i tyczkowaty, z wielkimi uszami, powitał mnie chłopięcym uśmiechem.

— Dzień dobry — powiedziałam z wahaniem. — Pan musi być synem doktor Bendiner...

— Owszem. Barry Bendiner — przedstawił się. — A pani to...?

— Ivy... My... yoki. Ivy Myoki. Jestem Żydówką, ale wyszłam za mąż za Japończyka. Umarł. Długa historia — powiedziałam, wyciągając do niego rękę. — Chciałam złożyć panu wyrazy najszczerzego współczucia z powodu pańskiej straty. Pana matka była cudowną kobietą.

— Tak, to prawda — odparł ze smutkiem. Do oczu napłynęły mu łzy.

— Bardzo mi przykro. Może lepiej sobie pójdę.

— Nie, nie, nic się nie stało. Miło spotkać kogoś, komu moja matka była bliska. Jak się poznałyście?

Myśl. Myśl szybko. Kłam. Byle mądrze. Kłam.

— Cóż... Studiuję psychologię szkolną — wykrztusiłam. — Poznałam ją na praktykach uniwersyteckich. Nauczyła mnie wszystkiego, co wiem o przeprowadzaniu testów dla dzieci. Wspaniale sobie z nimi radziła. Na pewno słyszał pan to wiele razy. — Wstyd mi było opowiadać takie wierutne kłamstwa zrozpaczonemu synowi, nie na tyle jednak, żeby mimo wszystko nie spróbować. — Przyszłam, bo chciałam zapytać, czy nie zgodziłby się pan sprzedać jej podręczników do psychologii

— powiedziała. — Wiele by dla mnie znaczyło, gdybym mogła mieć w swojej bibliotece, którą zaczynam właśnie kompletować, jakieś książki doktor Bendiner. — Kłamczucha. Kłamczucha. Pan Bóg cię pokaże.

— Oczywiście — rzekł Barry łagodnie. — Wszystkie jej książki są na półkach w gabinecie. Proszę się rozejrzeć.

Weszłam do pokoju i z miejsca zobaczyłam rozprawy na temat dewiacji i psychologii szkolnej, do niczego mi nieprzydatne. Na najniższej półce — bingo! — kompletny test WPPSI tylko czekał, żeby go wziąć. Trafiłam w dziesiątkę! *Dalej, Ivy. Dziś są twoje urodziny.*

Zdjęłam z półki testy.

— Barry, czy mogę to kupić?

— Weź je sobie, Ivy — nalegał. — Moja matka na pewno by się ucieszyła, mogąc dać ci coś, co było jej drogie. Nie mógłbym przyjąć od ciebie pieniędzy.

— Na pewno? — spytałam, czując się jak ostatnia łajdaczka i oszustka, którą zresztą byłam.

— Oczywiście.

— Dziękuję, Barry. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy — powiedziała, wyobrażając sobie, jak jego matka wali w wieko trumny, daremnie próbując nie dopuścić do tej parodii. Uścisnęłam Barry ego ze współczuciem. Naprawdę było mi przykro, że stracił mamę.

3. Coś mi się zdaje, że nie mieszkamy już przy Park Avenue

Dzień naszej przeprowadzki wypadł w deszczowy wtorek pod koniec kwietnia. Schlomo, Zev i Moishe spakowali nas, a następnie przewieźli wszystkie rzeczy dziewczynek i połowę domowych sprzętów do naszego nowego mieszkania w dzielnicy Lower East Side. Zev zauważył na moich drzwiach mezuzę, na której widok nie mógł się powstrzymać i nie zapytać:

— Jak taka miła dziewczyna z dwiema córeczkami może się przeprowadzać do takiej dzielnicy? Przecież tam jest mnóstwo gangów.

Co siedzi w tych Żydach? Czemu zawsze muszą wtykać nos w cudze sprawy?

— Będę uważać. A poza tym bardzo się cieszę, że się przeprowadzam — odparłam, tryskając udawanym entuzjazmem. — Bez problemów stać mnie będzie na czynsz, a to naprawdę dużo dla mnie znaczy. Mój mąż nie daje mi ani grosza, bo jest bezrobotny. Rozwódźmy się. Ja także nie mam żadnych dochodów. Po prostu nie stać mnie na Park Avenue.

Jak widzicie, bez wahania zwierzyłam się Zevowi ze wszystkich swoich życiowych kłopotów. Mogłam mu jeszcze powiedzieć, że mam akurat wyjątkowo obfitą miesięczkę.

Nasze nowe mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze w budynku bez windy, nad Kratts Knishery, jedną z najstarszych koszernych knajp w mieście. Żeby w niedzielne przedpołudnie dostać stolik w Kratt's, trzeba stać w kolejce dłuższej niż do Space Mountain w Dniu Poległych. Klienci tłoczą się w trzech rzędach przed ladą, czekając na bajgle, śledzie, wędzonego łososia czy kiszkę. Michael Kratt, właściciel restauracji i budynku w czternastym pokoleniu, zajmował dwa najwyższe piętra.

Dodatkową zaletą miejsca była dogodna lokalizacja — między Hung — Goldstein Grocery a pralnią Lupe s Bueno.

Szybko poradziłam sobie z urządzeniem się w nowym mieszkaniu, tym bardziej że całe zmieściłoby się w moim dawnym salonie. Mała kuchnia i salonik mieściły się od frontu, dwie małe sypialnie i łazienka z tyłu. Kuchnia i łazienka niedawno zostały odnowione. Drewniane podłogi były oryginalne i w stosunkowo niezłym stanie. Najbardziej cieszyłam się z możliwości korzystania z podwórza. Z przylegających do okna mojej sypialni schodów pożarowych schodziło się na zwykłe schody, które wiodły do nie większego od znaczka pocztowego podwórka, wspólnie użytkowanego przez wszystkich mieszkańców.

Pierwszego dnia wieczorem rozległ się dzwonek do drzwi. Jejku! Dopiero wtedy do mnie dotarło, że nie mamy już portiera. Przyjść mógł każdy — morderca, gwałciciel, scjentolog. Zerknęłam przez wizjer i ujrzałam wielkiego Afroamerykanina i niewysokiego, czarnowłosego białego faceta. Nie pytając nawet „kto tam?“, otworzyłam drzwi. Niezbyt mądre zachowanie jak na Nowy Jork.

— Cześć — powiedział pierwszy facet. — Jestem Archie Elliot. Mieszkam na czwartym piętrze. Chyba poznałaś już Michaela, naszego gospodarza.

— Cześć — rzekł Michael. — Przyszliśmy, żeby cię powitać w nowym domu. Przynieśliśmy gołąbki i kugiel z klusek. — Co mówiąc, wręczył mi naczynie z pokrywką.

— Rany, to bardzo miłe z waszej strony. Tak się chyba robi na przedmieściach. Nigdy nie mieszkałam poza centrum. Ale widziałam coś takiego w Okolicy pana Rogersa kilka lat temu. Wejdziecie? — zapytałam.

— Nie, na pewno jesteś zajęta — stwierdził Archie, zerkając na stojące za moimi plecami kartony, przy których dziewczynki zajadały właśnie pizzę z kiełbasą i ananasem.

— To moje córki, Skyler i Kate, i nasz pies, Sir Elton — dodałam.

— Dzień dobry — przywitały się grzecznie dziewczynki.

— Smacznego — powiedział Archie. — Michael jest właścicielem knajpy na dole. Świetnie gotuje.

— Rozumiem. A ty, Archie, czym się zajmujesz?

— Jestem aktorem.

— Słyszałaś o Nagim Cieśli? — zapytał Michael. — To właśnie on.

— Niesamowite — zdumiałam się. — Mieszkam pod Nagim Cieślą. Po prostu nie do wiary.

Archie się zaczerwienił. Dosłownie kilka tygodni temu oglądałyśmy go ze Skyler i Kate na Times Square, gdzie odgrywał Pana Złotą Rączkę. Wrzuciłyśmy mu pieniądze do gitary, a on puścił do nas oczko. Niedawno był o nim artykuł w „Time Out”. Niemal każdego dnia można spotkać Nagiego Cieślę w różnych najpopularniejszych wśród turystów miejscach, jak ubrany w samą tylko koszulkę Fruit of the Looms, pas z narzędziami, kask i robocze buciory brzdąka na swojej gitarze i śpiewa. Jest na pocztówkach. Występuje na imprezach firmowych. Zdaje się, że zarabia ponad 200 000 dolarów rocznie na tym prostym, ale wyjątkowym pomysłe. Wielu ma go za jeszcze jednego nowojorskiego świra, ja jednak uważam, że to geniusz. Każdy, kto potrafi zarobić tyle kasy bez babrania się w biurowej polityce, musi być nad wyraz mądry.

— Poznałaś już Philipa, tego z drugiego piętra? — spytał Archie.

— Nie, jeszcze nie.

— To porządny facet — powiedział Archie. — Spokojny, ale na pewno go polubisz. No, tak czy inaczej, witaj w naszym domu. Daj nam znać, jakbyś czegoś potrzebowała. Naprawdę jestem złotą rączką.

Uśmiechnęłam się, lekko wstrząśnięta, lecz jednocześnie wdzięczna za tak życzliwych sąsiadów. Na Park Avenue coś podobnego nigdy nie miałoby się prawa zdarzyć.

Tydzień później poznałyśmy naszego tajemniczego sąsiada z drugiego piętra. Po szkole, śmiejąc się i śpiewając, skakałyśmy z dziew-

czynkami przez skakankę na podwórku. Dziewczynki się bawiły. Traktowałam to jako gimnastykę, zaś dla Sir Eltona był to kolejny powód do głośnego szczekania.

Przez tropiki, przez pustynię

Toczył zając wielką dynię.

Toczył, toczył dynię w dół,

Pękła dynia mu na pół!

Pestki się z niej wysypały,

Więc je zbierał przez dzień cały

Raz, dwa, trzy!

Ile pestek zbierzesz ty?!

— Przepraszam bardzo. Halo! — Z okna na drugim piętrze wychyliła męska głowa, burząc moje skupienie. Pomyliłam się i teraz nie wiem, ile pestek zbiorę. Raaany!

— Tak? — zapytałam, sapiąc i dysząc jak lokomotywa. — O, cześć. Ty na pewno jesteś Philip.

— Owszem. A wy to nasze nowe sąsiadki.

— Tak. Ja... — starałam się odzyskać oddech.

— Ja tu piszę. Czy mogłybyście zachowywać się trochę ciszej? Pracuję z tej strony, a w tym hałasie nie mogę zebrać myśli — powiedział.

Po co od razu tak się irytować? Przecież wszyscy jesteśmy dorośli.

— Może po prostu zamknij okno, mądralo — burknęła pod nosem Skyler.

— Skyler! — upomniałam ją. — Nie martw się, będziemy ciszej — krzyknęłam.

Zniknął, a my podjęłyśmy przerwana zabawę. Tym razem, kiedy Skyler skakała, śpiewałyśmy naszą piosenkę szeptem.

Aniołek, fiołek, róża, bez,

Konwalia, balia, wściekły pies...

Głowa Philipa znowu pojawiła się w oknie

— Naj —MOC —niej przepraszam. Przerwałyśmy

— Wciąż ci przeszkadzamy?

—Tak.

— Ale przecież szeptałyśmy.

— Wasza skakanka hałasuje.

— Dobrze — powiedziałam. — Kiedy skończysz pracować?

— Za cztery, pięć godzin.

— Dzięki za życzliwość.

— Co teraz zrobimy, mamusiu? — zapytała Skyler.

— Bierzcie smycz Sir Eltona. Idziemy do parku. — *Wrrrrrr*, pomyślałam w duchu. *Pana Rogersa nigdy to nie spotkało.*

4. Kratt's Knishery

Tak się zastanawiam... Czy gdybym zakneblowała moje dzieci, zanim wyjdą się pobawić, potraktowano by to jako maltretowanie? Zupełnie poważnie rozważałam takie rozwiązanie, gdy pan Nadwrażliwy poskarżył się po raz trzeci. Rzecz jasna, nie założyłabym knebli zbyt ciasno, tak tylko, by nieco stłumić ich wrzaski. Najpierw jednak postanowiłam podjąć próbę zawarcia pokoju i ułagodzić sąsiada, zanosząc mu coś do jedzenia. Może uda mi się go przekonać, żeby spróbował tolerować obecność Skyler i Kate.

Udałam się do Kratt's Knishery, a tam uderzył mnie aromat unoszący się niegdyś w kuchni mojej babci Etty. Ach! Aromatu świeżej pieczenia wołowej z niczym nie da się porównać. Lady były zastawione wszystkimi rodzajami zapychających smakołyków kuchni żydowskiej, które tak uwielbiałam — racuchami, siekaną wątróbką, faszerowanymi rybami, kiszka wołową, rogalami, pierożkami krepłech. Mieszkanie nad tym sklepem może się okazać wielkim zagrożeniem dla mojej diety.

— Witam. Coś podać? — Sam Michael Kratt podszedł, aby mnie obsłużyć. Był przystojnym czterdziestoletnim mężczyzną o gęstych czarnych włosach i z głębokimi dołeczkami w policzkach. Dam sobie głowę uciąć, że każda stołująca się u niego żydowska babka robiła wszystko, żeby wyswatać mu swoją wnuczkę lub wnuka —geja.

— Cześć, Michaelu. Szukam czegoś naprawdę wyśmienitego dla Philipa, naszego sąsiada. Co byś zaproponował?

— Coś ci powiem. Usiądź, a ja przygotuję ci smaczny posiłek. Jesteś głodna?

— Umieram z głodu, dziękuję.

Usiadłam przy stoliku, tymczasem Michael napełniał dla mnie talerz. Zjawiającymi się co chwilę nowymi klientami zajmowali się inni pracownicy. Michael postawił przede mną wyładowany po brzegi talerz i zimną wodę mineralną.

— Co to jest? — zapytałam.

— Świeża pieczeń wołowa, placki ziemniaczane, siekana wątróbka, kiszka z farfelkami, kielbasa czosnkowa z ryżem i placki cynamonowe.

— Żadnej zieleniny? — zażartowałam.

— Masz ochotę na wegetariańską siekaną wątróbkę? — zapytał śmiertelnie poważnie.

— Nie, dziękuję. To wygląda wspaniale.

Michael wrócił do pracy, a ja kosztowałam wszystkiego po kolei. Przy stoliku z tyłu siedział starszy facet z *Rodziny Soprano* i w towarzystwie młodej panienki — mogła być albo jego wnuczką, albo dziewczyną — raczył się wędzonym łososiem z bajglami. *Ale fajnie. Czyżbym zamieszkała nad lokalem odwiedzanym przez sławnych ludzi? Trafilo mi się, jak ślepej kurze ziarno.* Michael nie zwracał uwagi na posilającego się tuż pod jego nosem gwiazdora, był bowiem zajęty obsługiwaniem malutkiej żydowskiej babci i jej wiekowego, garbatego męża, kupujących mięso. Leciwa dama strofowała Michaela, że po zważeniu zamówienia nie dorzuca dodatkowej porcji, jak miał to w zwyczaju jego ojciec.

— Proszę się nie niepokoić, pani Goldofsky, dorzucę pani ćwierć kilograma wszystkiego, co sobie pani zażyczy, na mój koszt — powiedział Michael.

— To znaczy za darmo? — zapytała.

— Całkowicie za darmo.

— Dobry z ciebie chłopiec, Michaelu. Dobry z niego chłopiec, prawda, Max?

— Tak, dobry — przytaknął Max.

Jedzenie w Kratt's Knishery przypominało mi dzieciństwo spędzone w Brooklynie — oczywiście to szczęśliwe. W końcu kupiłam pół kilograma siekanej wątróbki i pudełko krakersów. Za to, co zjadłam, Michael nie wziął ode mnie pieniędzy.

Wróciłam z wątróbką do domu i przełożyłam ją do żaroodpornego naczynia. Następnie podgrzałam ją w mikrofalówce, żeby wyglądała na świeżo przyrządzoną. Zadowolona, że mój sąsiad uwierzy, że przygotowałam ją sama, zeszłam piętro niżej, zdecydowana oczarować go swoim wdziękiem lub siekaną wątróbką — wszystko jedno, ważne, żeby po-
działała

TLR

5. Sąsiad z dołu

Gdy tylko otworzył drzwi, zrozumiałam, że przyniosłam nie to, co należało. Facet był chudy i kościsty. Wygląd miał celowo zaniedbany, jak ci modele z reklam Calvina Kleina. Z całą pewnością wegetarianin i fanatyk biegania. Ile mógł mieć lat? Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia pięć? *Niech to szlag*, pomyślałam, *trzeba się było pomalować*.

Chrząknęłam, przywołując się do porządku.

— Cześć, wybacz, że tak cię nachodzę. W zeszłym tygodniu, kiedy moje córki ci przeszkadzały, właściwie się nie poznaliśmy. Jestem Ivy Ames i przyniosłam ci porcję siekanej wątróbki.

Patrzył na mnie, chyba lekko oszołomiony.

— Domowej roboty — dodałam, czując się jak June Cleaver schlebająca Beaverowi.

Dalej stał bez ruchu.

— Jeśli przyszłam nie w porę, to, hm... wpadnę kiedy indziej.

— Nie, nic się nie stało — powiedział cicho. — Wejdz, proszę.

Zauważyłam, że jego mieszkanie jest takie samo jak moje, z tą różnicą, że większość ścianek działowych została zburzona, dzięki czemu powstał jeden wielki pokój, przypominający trochę strych.

— Jestem Philip Goodman — przedstawił się, biorąc ode mnie naczynie z wątróbką. Chwilę staliśmy skrepowani. — Może zjesz trochę wątróbki? — Uśmiechnął się.

Uff! Jednak jest człowiekiem.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie na stole położył talerz, krakersy i dwa noże, abyśmy mogli spróbować przyniesionego przeze mnie smakołyku.

— W życiu nie jadłem siekanej wątróbki — powiedział.

— Poważnie? Goodman to żydowskie nazwisko, a siekana wątróbka to matka wszystkich żydowskich dań.

— Mój ojciec był Żydem, matka grekokatoliczką. Jadaliśmy mnóstwo jagnięciny

Nie jest więc wegetarianinem, domyśliłam się.

— Cóż, dla mnie delektowanie się siekaną wątróbką jest przeżyciem duchowym.

Posmarował wątróbką krakersa i włożywszy wszystko do ust, zaczął żuć. Bacznie mu się przyglądałam, czekając na oznakę zachwytu, obrzydzenia — czegokolwiek.

— Ma interesujący smak i konsystencję — oznajmił. Ja pochłaniałam krakersa za krakersem, mimo że po lunchu w Kratt's byłam najedzona do syta.

Philip okazał się uprzejmy, może nawet przyjaźnie nastawiony. Zachowywał się jednak tak powściągliwie, że trudno było go ocenić.

Powiedział mi, że jest pisarzem i że najlepiej pracuje mu się po południu i wieczorami. Nie wróżyło to najlepiej zabawom moich córek na podwórku. Spytałam go, co napisał. Odparł, że wydał książkę i napisał scenariusz. Teraz pisze opowiadania, czekając, aż wpadnie mu pomysł na kolejną książkę.

— Musiałam gdzieś widzieć twoją książkę — oświadczyłam. — Uwielbiam czytać, a twoje nazwisko brzmi bardzo znajomo. Jaki ma tytuł?

Powiedział mi.

— Czy nie dostałeś za nią jakiejś poważnej nagrody? Pulitzera na przykład? — zapytałam.

— Nie, tylko National Book Award — odrzekł.

— Cóż, ale to i tak nie siekana wątróbka — powiedziałam. *Ha, ha! Ciekawe, czy jest pod wrażeniem mojego błyskotliwego poczucia humoru?* To mój drugi wybitny talent, po śpiewaniu.

— Nie, masz rację. Jestem z niej naprawdę dumny.

— Podobno mają na podstawie twojej książki nakręcić film. To prawda?

— Owszem. Napisałem scenariusz, już ci o nim mówiłem.

Rozmawiając z Philipem, zaczynałam rozumieć, kim był. Młodym, modnym, przystojnym pisarzem, a dzięki swojej nagrodzonej debiutanckiej powieści także ulubieńcem mediów. Czytałam o nim. Widziałam jego zdjęcie w „Newsweeku”, „People” i „New York Timesie”. Pracowitym, skrzętnie chroniącym swoją prywatność pisarzem, pracującym siedem dni w tygodniu i nigdy niepojawiającym się na arenie towarzyskiej miasta. Co taki facet robi w mieszkaniu pode mną? Nagle straciłam cały rezon i nie wiedziałam, co powiedzieć.

— A ty? Czym się zajmujesz? — zapytał.

Opowiedziałam mu o przedsięwzięciu, do którego się przymierzałam. Stwierdził, że nie wierzy, aby jacyś rodzice gotowi byli zapłacić komuś za umieszczenie ich dziecka w zerówce.

— Mam nadzieję, że się mylisz — powiedziałam.

— Czemu ktoś miałby cię zatrudniać? — drażył temat. — Jakie masz kwalifikacje?

To było dobre pytanie, które na dodatek przypomniało mi, że muszę trochę uaktualnić swój życiorys. Ciekawe, czy mojego stanowiska w Myoki — wiceprezesa do spraw marketingu kart kredytowych dla zadłużonych klientów — mogę użyć jako odpowiednich kwalifikacji do nowej pracy. W końcu miało w niej chodzić o upchnięcie przez rodziców swoich dzieci w prywatnych szkołach tonących w powodzi zgłoszeń.

— Z moim doświadczeniem w marketingu mogę odpowiednio przygotować rodziców i ich dzieci, tak żeby spodobali się odpowiednim szkołom — wyjaśniłam.

— To chore — rzekł Philip. — Nie obraż się.

— Tak uważasz? — *Hm... chyba nie powinnam tego powtarzać rodzicom, którzy się do mnie zgłaszają.*

— No dobrze, co zrobimy, żeby twoje córki mogły się bawić, a ja żebym mógł pracować? — zapytał.

— Nie wiem — przyznałam. — Nie chcę, żeby ci przeszkadzały, ale są z natury hałaśliwe. Masz jakiś pomysł?

Westchnął. Nie było to westchnienie wkurzone. Raczej pełne namysłu.

— Wolę pracować w tylnej części mieszkania, bo jest ciszej; przynajmniej było. Ale wszystko wskazuje na to, że będę się musiał przenieść do części frontowej.

Ujął mnie tym bez reszty.

— Bardzo ci dziękuję. — Siekana wątróbka zadziałała. — Naprawdę jestem wdzięczna, że tak do tego podchodzisz.

W centrum miasta byłyby skargi, kara grzywny, sprawa w sądzie. I nagle do mnie dotarło. Na południe od Houston Street sąsiedzi przynosili jedzenie. Wszyscy ubierali się na luzie. Ludzie patrzyli sobie w oczy. To było antycentrum. Z całą pewnością nie mieszkaliśmy już przy Park Avenue.

6. Wizyta odpada

Nie mogłabym doradzać rodzicom w wyborze szkoły, nie odwiedzający jej wcześniej osobiście. Chciałam również poznać dyrektorki do spraw rekrutacji, żeby przewidzieć, w jaki sposób można zrobić na nich wrażenie. Stanowiły niewielką, hermetyczną grupkę kobiet, które doskonale wiedzą, o co toczy się wielka gra, i każda z nich mogła bez trudu rzucić na kolana najpotężniejsze szczychy w mieście.

Wbrew ostrzeżeniom Tipper, która jasno dała mi do zrozumienia, jaki stosunek mają szkoły do takich doradców jak ja, postanowiłam do kilku zadzwonić, przedstawić się i zapytać, czy nie mogłabym ich odwiedzić. Może Tipper przesadzała. Poza tym nie wpadł mi do głowy żaden lepszy pomysł na to, jak przekroczyć szacowne progi.

— Zwariowała pani? Nikt nie potrzebuje prywatnego doradcy, żeby umieścić czterolatka w zerówce. Wszyscy świetnie sami sobie radzą. A przez panią może się tylko spotęgować histeria, przez którą wszystko jest już i tak wyjątkowo stresujące. — Łoskot odkładanej słuchawki.

— Bardzo mi przykro, ale dążymy do tego, aby wszyscy mieli takie same szanse dostania się do naszej szkoły. Z oczywistych względów nie możemy więc popierać osób zajmujących się ułatwianiem tego tym, których na to stać. To, co pani robi, jest nieetyczne. Powinna się pani wstydzić. — Znowu odłożona słuchawka. Chryste, i to w szkole, której Steven i Faith zapłacą pół miliona dolarów za miejsce dla Mae.

Podejście bezpośrednie było niemożliwe. Zastanawiałam się, czy nie pożyczyć jakiegoś dziecka i nie starać się o jego przyjęcie do wszystkich szkół, wykorzystując malucha jako zerówkowego konia trojańskiego. Ale to byłoby zbyt kosztowne — opłaty zgłoszeniowe wynosiły od pięćdziesięciu do stu dolarów, a szkół było sześćdziesiąt pięć. Sami sobie policzcie.

Zwróciłam się do mojej koleżanki, Young Mi. Była jedną z dwóch kobiet, które musiałam zwolnić, odchodząc z Myoki. Young Mi miała mnóstwo wolnego czasu, a ja wpadłam na pomysł, jak ona, młoda Ame-

rykanka chińskiego pochodzenia, może mi pomóc dostać się do szkół. Z radością przystała na propozycję.

— Dzień dobry, jestem Young Mi Shin, reporterka z czasopisma „New York”. Piszemy artykuł o tym, w jaki sposób nowojorskie prywatne szkoły przyczyniają się do zwiększania kulturowej i rasowej różnorodności uczniów. Wiemy, że w waszej szkole przywiązujecie wielką wagę do tych różnic i wasz sukces chcielibyśmy opisać w naszym artykule. Czy moglibyśmy się spotkać, a przy okazji zwiedzić także szkołę?

Ależ oczywiście, serdecznie zapraszamy! Skuszone obietnicą artykułu dyrektorki były skłonne powitać nas bardziej niż serdecznie. Zeskanowałam na komputerze logo czasopisma i wyprodukowałam wizytówki i bardzo urzędowo wyglądające legitymacje prasowe dla nas obu. Young Mi, nasza reporterka, zadawała pytania, ja tymczasem robiłam zdjęcia. Dyrektorki do spraw rekrutacji oprowadzały nas po swoich szkołach, zapoznawały z programem, zapraszały na lekcje i ze zdumiewającą szczerością opowiadały, co działo się za zamkniętymi drzwiami ich gabinetów. Wiele lat by upłynęło, zanim zdołałabym się tego dowiedzieć w normalny sposób. Tak były serdeczne, że czułam się jak ostatnia mała, kiedy musiałam do nich napisać z przykrą wiadomością, że redaktor naczelny zdjął artykuł.

7. Podłość

Ponieważ rok szkolny zbliżał się do końca, postanowiliśmy urządzić Skyler wcześniejsze urodziny, wydając przyjęcie na naszym nowym podwórku. W zeszłym roku zorganizowaliśmy jej za 18 000 dolarów bal z noclegiem w sklepie z zabawkami FAO Schwartz przy Piątej Alei. Było poszukiwanie skarbów, filmy, szaleństwo zakupów, ożywające zabawki, postaci w kostiumach, deserowa orgia — do wyboru, do koloru.

Tegoroczne obchody będą skromniejsze, ale wcale nie mniej ważne, ponieważ będzie to jedna z ostatnich okazji, żeby Skyler spotkała się ze wszystkimi swoimi koleżankami z prywatnej szkoły Naturalną kolejną rzeczą po przeprowadzce dzieci tracą kontakt z dotychczasowymi szkolnymi przyjaciółmi. Miały przyjść wszystkie dziewczynki, a Michael, niech go Bóg błogosławi, obiecał upiec tort i przyrządzić jedzenie. Archie, Nagi Cieśla, sam zaproponował, że zaśpiewa.

— Och, to takie miłe z waszej strony — powiedziałam. — Nie chcę sprawiać wam aż tyle kłopotu.

Cóż, nie czarujmy się. Chciałam i zrobiłam to.

Dzień przed przyjęciem rozdzwonił się telefon.

— Cześć, Ivy, tu Kathleen. Słuchaj, mam złe wieści. W ten weekend postanowiliśmy pojechać do Hamptons, Lauren nie będzie więc mogła przyjść na urodziny Skyler.

— Ivy, mówi Topsy. Gunter nic nie wiedział o urodzinach i kupił dla Chloe bilety na *Króla Lwa*. Wiesz, bardzo mu na tym zależy, bo strasznie dużo na nie wydał. Sama rozumiesz.

— Ivy, tu Barbara. Victor właśnie kupił nowego Gulfstreama i postanowiliśmy w ten weekend polecieć na Cape. Rachel bardzo żałuje, że nie będzie na urodzinach Skyler. Życz jej od nas wszystkiego najlepszego. Pa, pa, całuski.

W sobotę rano wiedziałyśmy już, że z wyjątkiem Lourdes na urodziny nie przyjdzie żadna dziewczynka. Coś mi tu śmierdziało. Zadzwoiłam do Celerie, mamy Lourdes. Mieszkałyśmy w tym samym akademiku w Yale. Zaraz po studiach wyszła za wspólnika w Goldman Sachs, zrezygnowała z pracy i od razu urodziła dzieci. Ilekroć się z nią widziałam, nie mogłam wyjść z podziwu, że wciąż wygląda tak samo, jak dwadzieścia lat temu. Jak ona to robiła? Jeśli ktoś będzie ze mną szczery, to tylko Celerie.

— Ivy, miałam ci nic nie mówić, ale Sassy zadzwoniła do wszystkich rodziców i powiedziała im, że mieszkasz gdzieś na przedmieściach, a w sąsiedztwie robią prochy. Nie może puścić Bei na urodziny Skyler ze względów bezpieczeństwa. Z kolei Bea tak była zrozpaczona, że nie pójdzie na urodziny Skyler, że Sassy postanowiła zorganizować imprezę z jazdą konną w stajniach Claremont, wiesz, na tej krytej ujeżdżalni. Lourdes bardzo chce tam iść, ale nie miałam serca wam odmówić. Naprawdę w waszej okolicy produkują narkotyki?

— Nie. — Zrobiło mi się słabo. Gdybym spróbowała jeszcze coś powiedzieć, wybuchłabym płaczem.

— Ivy, jesteś tam? Ivy, co z tobą?

—Mm...

— Czy będzie ci bardzo przykro, jeśli Lourdes pójdzie na przyjęcie Bei? Okropnie będzie marudzić, kiedy zamiast do Claremont będzie musiała iść na urodzinowy piknik na jakimś podwórku.

— Nie, skądże, nic się nie stanie — powiedziałam i jak najszybciej się rozłączyłam.

Zjawił się Michael ze wspaniałym dwupiętrowym urodzinowym tortem z ośmioma świeczkami. Za nim szedł Archie, taszcząc gitarę i resztę jedzenia.

— Co się stało? — spytał Michael.

Najwyraźniej moja mina musiała mówić sama za siebie. Opowiedziałam im, co się wydarzyło.

— Jaka matka może być tak okrutna wobec dziecka? — zderwował się Archie. Michael, własnym uszom nie wierząc, kręcił tylko głową. *Witajcie w moim świecie*, pomyślałam.

Weszła Skyler i na widok tortu zaczęła z radości klaskać w dłonie.

— Jaki piękny, bardzo dziękuję — wykrzyknęła i rzuciła się, by uściskać Michaela. — Mamusiu, mogę się już ubrać, prooszę — zwróciła się błagalnie do mnie. Specjalnie na tę okazję przygotowałyśmy sukienkę od Paula Franka i nie mogła się doczekać, kiedy nareszcie będzie mogła ją włożyć.

— Skyler, kochanie — powiedziałam. — Wyjrzyj przez okno, za chwilę na pewno się rozpada. Właśnie dzwoniłam do dziewczynek i odwołałam przyjęcie. Przesuniemy je na jakiś inny, słoneczny dzień, co ty na to?

— Aaaaaaa, ja chcę mieć przyjęcie. Nie możemy urządzić zabawy w domu? — Dolna warga niebezpiecznie jej drżała.

— Skyler — rzekł Michael, ujmując ją za rączki. — Zrobimy tak: dzisiaj urządzimy sobie nasze własne przyjęcie w domu, a później razem wybierzemy się do miasta. W ten sposób będziesz miała dwa przyjęcia. To dzisiejsze, i to drugie, przełożone na ładniejszy dzień, dla twoich koleżanek.

— Tak, kochanie, obiecuję ci, że urządzimy ci jeszcze jedno urodziny. Może następnym razem zaprosisz jakieś nowe koleżanki z nowej szkoły? — powiedziałam.

Skyler ponuro skinęła głową. Zawołaliśmy Kate i zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby jakoś uratować sytuację. Później Michael zabrał nas na Piątą Aleję do American Girl Place, gdzie Skyler i Kate wzięły udział w pokazie fryzur dla lalek. Następnie razem z osiemdziesięcioma, a może dziewięćdziesięcioma ubranymi w ludowe i historyczne stroje lalkami zjedliśmy w kawiarni podwieczorek. Dziewczynki były zachwycone, ale mnie robiło się niedobrze. Miałam wrażenie, że gram w filmie *Naręczona laleczki Chucki* rozgrywającym się w *It's a Small World*. Wszystko to było co najmniej dziwaczne. Michael najwyraźniej świetnie

się bawił. Mogę tylko stwierdzić, że jego dobroć sprawiła, że bardzo urósł w moich oczach.

TLR

8. Udreki Upper East Side

Właściwie byłam gotowa rozpocząć swoją działalność. Najpierw jednak musiałam się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje podczas rekrutacji. Podejrzywałam, że szkoły podają mi wersję oficjalną, ale to, jak rzeczywiście przebiega cały proces, będą mogli mi zdradzić jedynie rodzice. Nie myliłam się. Z wyjątkiem jednej mamy, która się rozplakała i rozłączyła, wyznawszy mi jedynie, że „rok, kiedy zapisywała syna do zerówki, był gorszy od tego, w którym złapała grzybicę”, jak Manhattan długi i szeroki, ojcowie i matki aż nadto chętnie dzielili się przeżyciami.

Proces rekrutacji opisywali jako szarpiącą nerwy jazdę na emocjonalnej kolejce górskiej. Rodzice byli zmuszeni składać papiery do dzieściu, a czasem nawet do dwunastu szkół, szansę na przyjęcie mając w najlepszym wypadku w dwóch placówkach. Serca pękały im z bólu, gdy widzieli, jak ich czteroletnie pociechy są poddawane surowej ocenie i cierpią jawne odrzucenie. Udrezeni mieszkańcy Manhattanu każdego roku wydawali tysiące, jeśli nie miliony dolarów na terapeutów, starając się uleczyć własne *ego*, zmiażdżone przez to traumatyczne doświadczenie.

- — Dlaczego chcieli wiedzieć, czy miałam trudny poród? — zapytała jedna z matek.

- — Nie ich zakichany interes, czy mam dom letniskowy — skarżył się pewien ojciec.

- — Kiedy zapytali mnie o mojego ojca, nie wiedziałem, czy chcieli znać jego pochodzenie, czy też się dowiedzieć, jakim był człowiekiem — powiedział inny.

Dyrektorzy przedszkoli, niejednokrotnie mający pod opieką nawet trzydzieścioro dzieci ubiegających się o miejsce w zerówce, siłą rzeczy stawali się swoistymi maklerami. Licytowali miejsca wszystkich dzieci, obstawiając faworytów i sprzedając jedne rodziny na korzyść innych.

— Jeśli przyjmiecie ich dziecko, Michaelsonowie i tak się na was nie zdecydują, za to Sandlerowie na pewno. A tak między nami, San-

dlersowie to według mnie rodzina typu „A”. Michaelsonowie w najlepszym razie zaliczają się do kategorii „B”. Czy mogę ci polecić Sandlerów?

Przed złożeniem oferty dyrektorzy do spraw rekrutacji domagali się pisemnego oświadczenia rodziców, że ich szkołę wybiorą w pierwszej kolejności. Chcieli, aby ojcowie i matki przyrzekli, że jeśli ich dziecko zostanie przyjęte, zapiszą je na pewno. Koniec końców, po tytanicznym wysiłku składania podań do dziesięciu szkół rodzice czuli się zmuszeni stawiać wszystko na jedną kartę. Konkurujące ze sobą rodziny zabraniały swoim czterolatkom bawić się z innymi dziećmi starającymi się o miejsce w tej samej szkole. Towarzyszące temu napięcie było zbyt duże.

Nowojorscy rodzice niczego tak się nie bali, jak składania podań do prywatnych szkół. Jeśli Faith miała rację, mogła to być żyła złota. *Hura! Jednak mam jakąś przyszłość, pomyślałam rozradowana.*

9. Spróbuj, spróbuj znowu

Siedziałam przy kuchennym stole zawałonym tonami rachunków. Za prąd, za telefon, za wodę, za American Express, za Visę, za ubezpieczenie zdrowotne. W głowie mi się nie mogło pomieścić, jak szybko skończyły się pieniądze z odprawy. *Zastanówmy się*, myślałam, *może jeśli zapłacę kwotę minimalną z każdego rachunku, utrzymam się jakoś na powierzchni, dopóki nie zacznę zarabiać*. Wtedy uświadomiłam sobie, że na to także mnie nie stać.

Zadzwoiłam do Cada.

— Musisz mi przysłać jakieś pieniądze.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy wystarczy.

— Dziesięć tysięcy? Zwariowałaś?

— Cad, od czasu, gdy się rozstaliśmy, nie dałeś na dziewczynki ani grosza. Tysiąc miesięcznie na każde dziecko chyba brzmi rozsądnie.

— Ivy, przecież wiesz, że nie mam pracy... Ivy? Ivy, jesteś tam?

— Jestem.

— Gdybym pracował, na pewno bym ci dał te pieniądze.

— Możesz sprzedać porsche. Ja sprzedałam swój samochód.

— Nikt go nie kupi. Ktoś mi zniszczył lakier... Ivy? Ivy?

— Posłuchaj, Cad. Wiem, że masz pieniądze i musisz mi trochę dać. Zlikwiduj jakąś lokatę albo polisę. Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu przyślij mi jakieś pieniądze na dzieci.

— Nie mogę. Podatki...

— Chrzanić podatki! Twoje dzieci muszą coś jeść. Jezu! — Z humorem odłożyłam słuchawkę.

Wykręciłam numer do Faith, zdecydowana poprosić ją o krótkoterminową pożyczkę. Zaraz się jednak rozłączyłam. Lepiej zachować to sobie w odwodzie do chwili, kiedy naprawdę będę miała nóż na gardle.

Aha! Już wiem. Wyplacę gotówkę z karty Visa i splacę American Express, zapłacę ubezpieczenie i rachunek za telefon. Później zadzwonię do energetyki i poproszę, żeby mi rozłożyli na raty zaległości za prąd. Przecież rząd chyba nie pozwoli, żeby samotna matka z dwójką dzieci nie miała prądu.

Nie miałam wyjścia. Potrzebowałam klientów, i to najlepiej na wczoraj.

Faith obiecała rozpuścić o mnie wici wśród swoich bogatych znajomych. Mimo to musiałam się jakoś zareklamować także u innych ludzi. Jak mogą się o mnie dowiedzieć? W książce telefonicznej nie było działu „prywatni doradcy do spraw rekrutacji”. Nawet prostytutki miały tam swoje strony, a tacy jak ja nie. Też coś.

Zdecydowałam się na kampanię reklamową. Agresywną. Chyba nikt przede mną tego nie robił. Nie widziałam jednak innego sposobu, żeby świat dowiedział się o moim istnieniu.

Ponieważ zamierzałam skierować swoją ofertę do bogatej klienteli, potrzebowałam publikacji czytanych przez zamożnych. Po rozważeniu różnych opcji na próbę umieściłam kilka drobnych ogłoszeń w „New York Observerze”, „5th Avenue” i „Big Apple Parent”:

Wiesz, jak trudno jest umieścić dziecko w najlepszej nowojorskiej szkole?

Ivy Ci w tym pomoże! 212 —555 —3427

Odpowiednia szkoła może być przepustką dla Twojego dziecka do Ivy League.

Ivy sprawi, że będzie to możliwe! 212 —555 —3427

Musisz zarobić 750 000 dolarów na prywatną szkołę dla Twojego dziecka.

Czy nie powinieneś zatrudnić Ivy, żeby dokonać najlepszego wyboru? 212 —555 —3427

Ogłoszenia się ukazały Czekałam.

Czekałam dalej. I czekałam.

Dwa tygodnie po ukazaniu się ogłoszeń telefon wreszcie zadzwonił. Uff! Już zaczynałam się martwić.

— Halo. Ivy Ames przy telefonie.

— Jest Sam?

— Sam

— Sam Harrisom.

— To chyba pomyłka.

Psiakrew!

Może trzeba było dać większe ogłoszenia. Zrobiłam ulotki i rozwiesiłam je na drzewach w pobliżu placów zabaw i na przystankach obok przedszkoli. Na wrzesień zaplanowałam warsztaty pod hasłem „Jak przeżyć zapisy do prywatnych szkół podstawowych”. Przy odrobinie szczęścia jego uczestnicy mogą zostać moimi klientami. Plakaty reklamujące warsztaty rozwiesiłam w sklepach dla dzieci, przychodniach, przedszkolach przyzakładowych i tym podobnych miejscach.

Telefon zadzwonił znowu.

— Halo, Ivy Ames przy telefonie.

— Dzień dobry. Widziałam pani ogłoszenie i chciałam prosić o pomoc. Moja córka w przyszłym roku idzie do zerówki.

Tak!!! Pierwsza ofiara. Czułam to.

— Oczywiście. Pozwoli pani, że powiem kilka słów o swojej pracy. Najpierw spotkam się z panią i z dzieckiem. Ma pani syna czy córkę?

— Przecież już mówiłam, że córkę. Lizzie.

— Ach tak, rzeczywiście. Ja też mam dwie córeczki. A więc spotkamy się i po naszej rozmowie polecę pani szkoły, do których mogłaby pani złożyć podanie, w tym wypowiedź pisemną. Przygotujemy też córkę do testu ERB, następnie przygotuję was obie do rozmów kwalifikacyjnych. Powiem też, jak wykorzystać znajomości, jak rozmawiać z dyrektorką przedszkola, jak napisać listy z podziękowaniami i deklarację wyboru, doradzę też, jak postępować w wypadku trafienia na listę rezerwową. — Trajkotałam jak telemarketerzy, którzy nie pozwalają sobie na wzięcie oddechu, byleby klient się nie rozłączył.

— Czy może mi pani pomóc w zdobyciu pomocy finansowej?

— Słucham?

— Pomocy finansowej. Szkoły prywatne są takie drogie, że bez wsparcia nie damy sobie rady.

— Tak, oczywiście, w tym również mogę służyć pomocą — oświadczyłam. — Jeśli jest pani zainteresowana, przyjmuję Visa, American Express i czeki.

— Pani trzeba zapłacić?

— Tak, opłata wynosi dziesięć tysięcy dolarów.

— CZY PANI, KURWA, ZUPEŁNIE OSZALAŁA?! — Rozłączyła się.

Wzięłam to za: „Dziękuję, nie jestem zainteresowana”.

Zadzwończyły jeszcze trzy inne osoby, każda bardziej zszokowana od poprzedniej, gdy podawałam swoją cenę. Czułam się tym nieco przybita.

Następny telefon.

— Halo, Ivy Ames przy telefonie.

— Mówi doktor Klein. Jestem gastroenterologiem i mam gabinet przy Madison Avenue. Pani ogłoszenie zobaczyłem na drzewie w parku niedaleko mojego domu.

Och, pan doktor!

— Czy ma pan dziecko, doktorze? — zapytałam, starając się nadać mojemu głosowi profesjonalne brzmienie.

— Nie, tylko psa. Ale prowadzę rozległą praktykę gastro — enterologiczną i specjalizuję się w leczeniu rodziców, którzy przechodzą proces naboru do prywatnych szkół. Wrzesień dla mnie to jak Boże Narodzenie, proszę pani. Wtedy zestresowani rodzice mają najwięcej problemów gastrycznych. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się nawzajem promować. Zapewne widziała pani moje reklamy na autobusach i w metrze na całym Manhattanie. Cóż, pomyślałem sobie, że moglibyśmy wspólnie poprowadzić kampanię, z naciskiem na związek między naborem do szkół a problemami żołądkowymi. Co pani powie na to: „Jeśli na samą myśl o składaniu papierów do przedszkola robi ci się niedobrze, Ivy Ames pomoże ci umieścić dziecko w przedszkolu, a doktor Klein ulży w kłopotach żołądkowych”. I nasze numery telefonów. Jak się to pani podoba?

Miałam nóż na gardle. Ale pomyśl, żeby nabór do szkół prywatnych łączyć z facetem, który każe ci zdjąć spodnie i się wypiąć, wydał mi się cokolwiek odrażający I nie pytajcie, dlaczego.

— Panie doktorze, wiem, kim pan jest. Setki razy widziałam pana zdjęcia w metrze. Bardzo dziękuję, że pan o mnie pomyślał, ale coś mi mówi, żeby nie przyjmować pańskiej oferty

Minęły trzy tygodnie od ukazania się moich ogłoszeń, i nic. Pożaliłam się Faith, która wymyśliła, że bogaci ludzie nie zareagują na reklamę tego typu usługi. Może rzeczywiście nie był to najlepszy pomysł. Faith obiecała wydać na moją cześć lunch i zaprosić wszystkie swoje przyjaciółki, których dzieci miały iść do zerówki.

— To tak, jak gdybyśmy strzelały do ryb w akwarium — powiedziała.

Euforia, jaką odczuwałam na początku, rozwiała się jak dym z papierosa. Skąd wzięło się u mnie przekonanie, że mogę otworzyć własną firmę? Co za absurdalny pomysł. Niby czemu ktoś miałby płacić dziesięć tysięcy dolarów za pomoc w umieszczeniu dziecka w przedszkolu?

To się nie może udać. Ależ ze mnie idiotka, żeby tyle czasu i wysiłku poświęcić na coś równie kretyńskiego. Byłam samotną matką z dwójką dzieci na utrzymaniu. Co ja sobie wyobrażałam?

TLR

10. Radykalne upokorzenie

W piątek, cztery tygodnie po ukazaniu się moich ogłoszeń, leżałam na kanapie i obżerałam się ziemniaczanymi chipsami, dietetyczną colą i niskokalorycznymi lodami. Paliłam papierosa i oglądałam powtórki *The Golden Girls*, które — jak zapewne wiecie — można oglądać przynajmniej na jednym kanale kablówki dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mam nadzieję, że Bea Arthur dostanie swoje honorarium. Cóż za talent, mimo tego męskiego głosu. W telewizyjnej poświęce przyjrzałam się owłosieniu na moich nogach. Jeśli będę mu się przyglądać dostatecznie długo, zobaczę, jak rośnie, niczym kukurydza na polu. Co za nuda. Pomyślmy. Kto grał w *Dynastii*? Jane Wyman, Lorenzo Lamas, Abby Dalton, William Moses. Ten był fajny. Czy przypadkiem nie ożenił się z tą aktorką, Tracy Nelson? Zaczęłam sobie wyobrażać, co by było, gdybym się nigdy nie urodziła, kiedy nagle coś znajomego przykuło moją uwagę. W telewizji byłam ja, szpetna jak kaszalot, próbująca zakwalifikować się do *Radykalnej metamorfozy*. Usiadłam.

— Bardzo proszę... ee... mam nadzieję... nie, błagam was, wybierzcie mnie do radykalnej metamorfozy, ponieważ ja... — przejmujące smutkiem westchnienie — właśnie zostałam zwolniona z pracy i przyłapałam własnego męża na kąpieli z inną kobietą... i oni byli nadzy. Teraz musiałabym zacząć się umawiać na nowo, a sami widzicie, jak wyglądam. Kto by chciał... coś takiego? — Dramatycznym gestem wskazałam na moje pulchne, obwisłe ciało i pozbawione życia włosy, w które wtarłam olej rzepakowy dla lepszego efektu. — Poza tym moja mama umarła, lada dzień stracę mieszkanie, musiałam zwolnić nianię, służącą i korepetytorów dzieci. Sama musiałam farbować sobie włosy i samodzielnie zrobić manikiur. Wróżka przepowiedziała mi, że potrafi mnie autobus. I czy widzieliście kiedyś równie głęboką zmarszczkę jak ta? — Wskazałam przecinający moje czoło wąwóz. — Przydałby mi się... nie, ja rozpaczliwie potrzebuję botoksu.

Na ekranie pojawił się Simon Starkey, gospodarz programu.

- — Oglądajcie w czwartek wieczorem specjalne wydanie *Radykalnej metamorfozy*. Przesłuchania. Nieocenzurowane. Bez cięć. Koszmarne! Zobaczycie nagrania z nieszczęśnikami, którzy byli tak beznadziejni, że nawet my nie mogliśmy im pomóc. Nie przegapcie *Odrzuconych* w najbliższy czwartek o dwudziestej. Jeśli chcecie poczuć się lepiej, bądźcie z nami.

O MOJ BOŻE! Jak oni mogli? Nie wiedziałam, co jest gorsze: czy to, że mnie odrzucili, czy też to, że pokazali mnie publicznie jako jeszcze większego nieudacznika niż w rzeczywistości. Mogłam się wygłupiać w zaciszu sypialni Skyler, robiąc z siebie żałosne pośmiewisko tylko po to, żeby mnie wybrali do programu. To moja sprawa. Ale żeby publicznie mnie upokarzać w ogólnokrajowej telewizji? To zupełnie inna para kaloszy. To nieodpowiedzialne dziennikarstwo. Skandal. O, polecą czyjeś głowy.

Zadzwoiłam do telewizji i poprosiłam o połączenie z Radykalną metamorfozą. Po rozmowie z czterema różnymi osobami, na które albo się wydzierałam, albo u których starałam się wzbudzić litość, zostałam w końcu połączona z panią Bali w dziale prawnym.

Kiedy się odezwała, dosłownie wybuchłam.

- — Szanowna pani, żądam, aby natychmiast zaprzestano pokazywania taśmy z moim nagraniem w reklamie programu, albo skontaktuję się z moimi prawnikami i będę was tak długo ciągać po sądach, aż wasz chory program stanie się moją własnością. Nie macie prawa, **NAJMNIEJSZEGO PRAWA**, pokazywać mnie w ten sposób w ogólnokrajowej telewizji bez mojej zgody.

- — Obawiam się, że nie przeczytała pani tego, co było napisane drobnym drukiem na formularzu zgłoszeniowym. Udzieliła nam pani niczym nieograniczonego prawa do wykorzystania nagrania w celach reklamowych, promocyjnych i marketingowych. Niestety, chyba nic nie może pani na to poradzić.

Co takiego?! Nic nie mogę poradzić? Ja się na to wszystko zgodziłam? Jezu Chryste! Myśl. Odwołaj się do jej człowieczeństwa.

- — Proszę pani, naśmiewanie się z mojego nieszczęścia jest okrucieństwem. Do jakiej organizacji należycie? To się na was zemści. Zobaczycie. Ludzie znienawidzą waszą stację za to, że jesteście tacy bezduszni wobec ludzi, którym powinięła się noga.

— Droga pani, upokorzenie świetnie się sprzedaje. To podwaliny *reality TV*. Publiczność uwielbia patrzeć, jak ludzie sami siebie poniżają. Zarobiliśmy już na tym miliardy

Nie udało się. Myśl, myśl. Odwołaj się do spraw podstawowych.

— Proszę posłuchać. Ostatnio nic mi się nie układało, a teraz jeszcze to. Dłużej tego nie zniosę. Chyba się zabiję. I wie pani co? W liście pożegnalnym napiszę, że popełniłam samobójstwo po tym, jak zobaczyłam taśmę ze swoim nagraniem w waszej telewizji. Moja rodzina powie was do sądu i bez względu na to, co podpisałam, na pewno wygra.

— O Boże, naprawdę by to pani zrobiła? Dzięki samobójstwu nasza oglądalność sięgnęłaby szczytu. Takiej reklamy nie da się kupić za żadne pieniądze.

— Wydaje mi się, że nie ma rzeczy, której by pani nie zrobiła dla oglądalności.

— Chyba nie.

Nie ma wyjścia z tej sytuacji? Myśl.

— Cóż, skoro już i tak wykorzystaliście mnie w tak perfidny sposób, zapomnę o całej sprawie, jeśli radykalnie mnie odmienicie, o co zresztą prosiłam.

— Będę z panią brutalnie szczerą. Nie.

— Ale dlaczego?

— Proszę tego nie brać osobiście, ale jest pani do niczego. Nawet my nic nie możemy na to poradzić. Może poczuje się pani lepiej, kiedy powiem, że wybraliśmy panią do programu *Odrzuceni*. Wszyscy będą mogli panią obejrzeć w ogólnokrajowej telewizji. Będzie pani miała swoje pięć minut.

— Nie chcę swoich pięciu minut — jęknęłam żałośnie. — Chcę mieć operację plastyczną, żeby byłam piękna i żeby ktoś się ze mną ożenił. Chcę nowego życia. Czy proszę o zbyt wiele?

— Wybacz, kochana, nic się nie da zrobić. Do widzenia. I życzę szczęścia. — Rozłączyła się.

Odłożyłam słuchawkę i zalałam się łzami. Jak to się mogło stać? Czyżbym przesadziła z zielonym trzyczęściowym spodniem Jaclyn Smith? A może to przez ten olej, którym wysmarowałam sobie włosy? Zresztą, co za różnica? Ostatnia szansa ratunku przepadła. Nie mogłam znaleźć pracy. Moja firma okazała się niewypałem. Upokorzyłam samą siebie w telewizji. Wzięłam telefon i zamówiłam w Ray's dużą pizzę ze wszystkimi dodatkami.

THUR

11. Szaleństwo Manhattanu

Przeżuwając zimną pizzę, rozmyślałam o swoich problemach. Czemu życie rzucało mi pod nogi takie kłody? Czemu nie mogło mi się żyć łatwo i przyjemnie, jak Sassy i Faith? Sassy była taka śliczna. A Faith bogata. *To nie w porządku. Za dużo ode mnie wymagasz, Panie Boże. Gdybyś mi na chwilę odpuścił, tylko ten jeden, jedyny raz, już nigdy więcej o nic bym cię nie prosiła. Przyrzekam.*

Zadzwoił telefon. To była Faith. Przynajmniej ona mnie kochała. Zaczęłam jej opowiadać o tragedii z *Radykalną metamorfozą*, przerwała mi jednak w pół słowa.

— Włącz wiadomości — rozkazała. — Nie uwierzysz, co się dzieje.

Włączyłam Kanał 4. Chuck Scarborough relacjonował najświeższe wydarzenia. Pokazywali zdjęcia Harvard Day. Dzieci zostały ewakuowane. Zauważyłam Tipper, moją przyjaciółkę i informatorkę. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Rozmawiała z policją. Jej zad w telewizji prezentował się jeszcze bardziej okazale. Jakie to smutne.

— W szkole Harvard Day rozgrywa się przerażający dramat — mówił z emfazą Chuck. — Dzieci są chyba bezpieczne. Wszystkie zostały ewakuowane i przechodzą właśnie do szkoły St. Martins przy Wschodniej Czterdziestej Czwartej. Powtarzam wszystkim rodzicom. Uczniowie Harvard Day są bezpieczni, a rodzice mogą odbierać swoje dzieci w St. Martins.

— Tymczasem — relacjonował dalej Chuck — w tej ekskluzywnej prywatnej szkole w Upper East Side jesteśmy świadkami dramatu. — Zwrócił się do stojącej obok, pięknej rudowłosej kobiety. — Jest ze mną Lara Long z ekskluzywnej Harvard Day School. Laro, z tego, co wiem, byłaś na miejscu, gdy doszło do tragedii. Czy mogłabyś nam opowiedzieć, co się stało? — Podsunął jej mikrofon.

— Otóż, Chuck — zaczęła Lara, wyraźnie podekscytowana — pracuję dla Cubby Sedgwick w biurze naboru. Miała właśnie spotkanie z

ojcem, który w tym roku starał się o przyjęcie syna do naszej szkoły. Cubby chyba miała mu do przekazania złe wieści, ponieważ ten człowiek krzyczał. Zaczęłam iść w stronę drzwi i wtedy usłyszałam, jak mówi, że jeśli nie przyjmie jego syna, nigdy więcej nie przyjmie już żadnego innego dziecka. Wybiegłam z biura, żeby wezwać policję. Później włączyłam alarm pożarowy i dzieci spokojnie, w idealnym porządku opuściły szkołę, tak, jak zostały nauczone.

— To znaczy, że twój refleks uratował setki dzieci uczęszczających do Harvard Day?

— Tak, Chuck. Chyba tak właśnie było — odparła rozpromieniona Lara.

— Powiedz nam, Laro, do której klasy zdawał ten chłopczyk?

— Do zerówki.

— Zerówki? — Chuck spojrzał prosto w kamerę, przybierając przesadnie niedowierzającą minę.

— Tak, ale musisz zrozumieć, Chuck, że każdy, kto cokolwiek zna, wie, że do naszej zerówki przyjmujemy tylko najlepszych z najlepszych, samą śmietankę, nic więc dziwnego, że rodzice się denerwują, kiedy ich dzieci zostają odrzucone. Cubby na pewno ponownie rozważy decyzję, zwłaszcza jeśli dziecko było na liście rezerwowej.

Chuck odwrócił się w lewo i przedstawił Emily Cone, rozczochraną matkę i dwójkę jej dzieci, sześciolletnią Esme i malutkiego Engelberta.

— Co pani czuje, będąc świadkiem dzisiejszych tragicznych wydarzeń? Czy jest pani wstrząśnięta, wiedząc, że dyrektorka do spraw naboru Harvard Day została wzięta jako zakładniczka przez zdesperowanego ojca?

— Jestem zaskoczona — odparła bez tchu — że to się nie zdarza częściej. To, co szkoły prywatne wyczyniają z rodzicami, którzy starają się umieścić w nich swoje dzieci, jest niewyobrażalne. My przechodziliśmy przez to dwa lata temu i wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie. Ten ojciec musiał nie wytrzymać. Mam nadzieję, że szkoły wreszcie zrozumieją, że są pewne granice wytrzymałości.

— Emily, muszę ci przerwać — powiedział Chuck. — W szkole coś się chyba zaczyna dziać. Do akcji wkracza właśnie oddział SWAT. Powtarzam: do akcji wkracza oddział SWAT. Wiadomość dla rodziców, którzy dopiero zaczęli nas oglądać: dzieci są bezpieczne. Zostały ewakuowane. Można je odbierać w St. Martin's School.

Na ekranie wciąż było widać budynek szkoły, ale cała akcja rozgrywała się wewnątrz. W końcu głos został oddany do studia, w którym prowadząca program Sue Simmons obiecała, że wydarzenia będą relacjonowane na bieżąco.

— Mój Boże — wykrzyknęłam do Faith, która na drugim końcu linii telefonicznej oglądała wiadomości wraz ze mną. — Jestem wstrząśnięta. Coś okropnego. Mam nadzieję, że Cubby nic się nie stanie. Była dla mnie naprawdę miła, kiedy się spotkałyśmy

Faith powiedziała, że bardzo jej przykro, ale musi lecieć. Postanowiła być w limuzynie, gdy ta pojedzie odebrać Mae od koleżanki. Faith sama chciała przekazać jej straszną wiadomość. Mogła to zlecić szoferowi albo niani, jak postąpiłaby w tej sytuacji większość uprzywilejowanych matek, wołała jednak zająć się tym osobiście.

Wróciłam do telewizora, gdzie za plecami Chucka rozgrywało się istne pandemonium. W tle widziałam Tipper w otoczeniu grupki ludzi. Wszyscy się ściskali i obejmowali.

Z poważną miną Chuck oznajmił, że dramat zakładniczki zakończył się tragedią. Mężczyzna śmiertelnie postrzelił Cubby, po czym wymierzył broń w siebie. Żona nieszczęśnika opowiedziała policji o wściekłości i niedowierzaniu męża na wieść, że jego syn nie został przyjęty do Harvard Day. Obiecał żonie, że zrobi wszystko, aby Cubby zmieniła zdanie, nawet gdyby miał to przypłacić życiem. Niestety, tak się właśnie stało.

12. Najlepsza reklama, jakiej nie da się kupić za żadne pieniądze

Mój telefon rozdzwonił się o siódmej wieczorem. Reporterka z „New York Timesa” chciała ze mną rozmawiać. Pisali artykuł o tragicznej historii Cubby i zależało im na tym, abym potwierdziła, jak trudno jest się dostać do prestiżowej prywatnej zerówki w Nowym Jorku.

— Jak pani do mnie trafiła? — zapytałam z niedowierzaniem. — Pytam z ciekawości — dodałam. To było niesamowite.

— Przeglądałam „Nexusa” i znalazłam pani ogłoszenie. Pomyślałam, że może pani coś wiedzieć na temat stresów, jakim podlegają rodzice, kiedy starają się umieścić swoje dzieci w prywatnych szkołach.

— Och, rzeczywiście, co nieco wiem — zapewniłam dziennikarkę. — Nieraz musiałam przemawiać rodzicom do rozsądku.

Nie byłam głupia. Dobrze wiedziałam, że oto nadarza się jedyna okazja, która może przesądzić o całym moim życiu. Zebrawszy się w sobie, autorytatywnie, jak tylko było to możliwe, opowiedziałam reporterce wszystko, co chciała usłyszeć o udrękach zapisywania dziecka do przedszkola w Nowym Jorku, o tych torturach, jakie matki i ojcowie muszą przejść, zanim osiągną upragniony cel — miejsce w jednej z najlepszych szkół. Po rozmowach z tyloma rodzicami mogłam przytoczyć najbardziej niesamowite historie, przedstawiając je tak, jakbym znała je z własnego doświadczenia. Niechaj Bóg mi wybaczy.

— Zapisała pani moje nazwisko? I — V — Y A — M — E — S. To tak na wszelki wypadek, żeby mieć pewność.

Ledwie się rozłączyłyśmy, gdy telefon znowu zadzwonił. Po chwili jeszcze raz. „The Wall Street Journal”, „The Daily News”, Associated Press, „People”, „Time”, „Forbes”, *Larry KingLive*, „Farmers Digest”. („Farmers Digest”?) Cały naród z uwagą śledził sprawę, zdumiony postawą elit Manhattanu i ich cokolwiek wątpliwą hierarchią wartości. Prasa dosłownie oszalała. Ponieważ byłam jedynym jakiego udało im się znaleźć, doradcą do spraw naboru do zerówek, wszyscy domagali się mojego komentarza. Nigdy już nie uwierzę żadnemu telewizyjnemu ekspertowi.

Dałabym wszystko, żeby opowiedzieć Faith o szczęściu, które się do mnie uśmiechnęło, ale telefon nie przestawał dzwonić ani na chwilę.

Zadzwoniła asystentka Barbary Walters. Chciała, abym w *The View* na antenie ABC opowiedziała o żyjącym własnym życiem światku naboru do prywatnych szkół. Czy zgodzę się wystąpić przed kamerami? Czy się zgodzę?! O jedenastej na jednej linii miałam Katie Couric, na drugiej Dianę Sawyer. Obie prosiły o wywiad następnego ranka. Z przykrością musiałam odmówić Dianę, za to propozycję Katie przyjąłam z radością, ponieważ zawsze byłam przekonana, że bez wątpienia zostałybyśmy przyjaciółkami, gdyby dane nam było poznać się w normalnych okolicznościach (dajmy na to, gdyby nasze córki chodziły do tej samej szkoły). Nie umiem tego wytłumaczyć, ale miałam jakieś dziwne przeżucie, że po programie zaprosi mnie na kawę.

Rozmawiając z mediami, nie mogłam wyjść z podziwu nad aktorskim talentem, który nagle się u mnie objawił. Wszystkie moje wysiłki teraz procentowały. Nawet ja wierzyłam w to, co mówię, zupełnie jakbym się tym zajmowała od co najmniej piętnastu lat.

Telefon umilkł koło północy. Włączyłam automatyczną sekretarkę, żeby złapać choć kilka godzin snu, bo o piątej rano miałam jechać na występ w porannym programie *Today*. Może przyślą po mnie przedłużoną limuzynę? Ale byłoby super! Zadzwoniłam do szefowej personelu mojej najlepszej przyjaciółki, która z kolei obudziła swoją panią z głębokiego snu.

— Faith, wybacz, że tak późno dzwonię, ale potrzebna mi twoja pomoc. — Wszystko jej opowiedziałam, a ona obiecała, że o piątej

przyśle jedną ze swoich niań, żeby przygotowała dziewczynki do wyjazdu na wycieczkę. Zobowiązała się też przyjść do mnie, żeby odbierać wiadomości, odsłuchać sekretarkę i nagrać mój występ w telewizji.

Faith, która wiodła najwspanialsze życie pod słońcem, jak dziecko cieszyła się moim szczęściem.

Tej nocy się modliłam: *Boże, naprawdę bardzo mi przykro, że Cubby została zamordowana, niech spoczywa w pokoju. Wiesz, że nigdy jej tego nie życzyłam i naprawdę czuję się z okropnie, że umarła. Panie Boże, błagam cię, spraw, żeby to bezsensowne morderstwo okazało się przełomem, którego tak potrzebuję, aby znaleźć się na scenie. Spraw, żeby każda rodzina, która ma dziecko i kod pocztowy 10021, 10028 i 10128, zgłosiła się do mnie. A później pomóż mi, Panie, znaleźć najlepszą szkołę dla każdego dziecka, które stanie na mojej drodze. Wszchemogący Boże, błagam cię, zrób to wszystko ze względu na Cubby Sedgwick, żeby jej śmierć nie poszła na marne. Amen.*

13. Niespodziewany rozwój wypadków

Po wywiadzie dla *The View* byłam wyczerpana. Musiałam balansować na cienkiej linii, uważając, aby swoimi opowieściami o szaleństwach naboru do zerówek ubawić publiczność, a jednocześnie nie odstraszyć tych widzów, którzy mogli być moimi potencjalnymi klientami. Było to prawdziwe wyzwanie.

W Myoki kadra kierownicza musi przejść dwutygodniowe szkolenie, zanim wolno będzie jej przedstawicielom rozmawiać z prasą. Ja nigdy nie zaszłam dostatecznie wysoko w łańcuchu pokarmowym, żeby się na nie załapać. Mimo to uważałam, że nieźle mi poszło. Umiejętność radzenia sobie z dziennikarzami miałam we krwi.

Kiedy wróciłam do domu, Faith na mnie czekała. Najpierw mnie uściskała, a później przeszła do rzeczy.

— Tutaj masz listę telefonów od prasy. Musisz do nich oddzwonić — powiedziała, wręczając mi dwie ręcznie zapisane kartki z nazwami gazet i czasopism, od „Washington Post” poczynając, a na „Iris Echo” kończąc. O kontakt prosili też z *60 Minutes* i *Jeny Springer*. — A tu masz listę rodziców, którzy chcą cię zatrudnić. Na pierwszej stronie są ludzie z Park Avenue, Piątej Alei i Central Park West. Wszystkim powiedziałam, że liczysz sobie dwadzieścia tysięcy.

— Zwariowałaś? — wykrzyknęłam. — Nikt mi tyle nie zapłaci. To niedorzeczność!

— Niedorzeczność? Zauważyłaś cztery nazwiska, które zakreśliłam na pierwszej stronie? To jedyni, którzy mieli zastrzeżenia do ceny. Ci na drugiej stronie nie mają już tak dobrych adresów, powiedziałam im więc, że bierzesz dziesięć kawałków. Te dwa nazwiska z gwiazdkami to faceci, którzy dzwoniли ze szpitala. Ich żony właśnie urodziły. Chcą cię zatrudnić już teraz, ale myślę, że powinnaś zostawić ich sobie na przyszłość. Kobieta podkreślona czerwonym długopisem jest w ciąży z

pierwszym dzieckiem; chce ci płacić miesięczne honorarium przez następne cztery lata. Sama musisz zdecydować, co z nią zrobić. Uważam, że powinnaś zacząć od tych po dwadzieścia tysięcy, a po tych z drugiej kartki sięgnąć tylko w razie konieczności.

Zatkało mnie. Byłam ogłupiała. Oszołomiona. W głowie mi huczało.

— Człowieku małej wiary — zaśmiała się Faith. — Wiedziałam, że ci się uda. Wiedziałam, że to wyśmienity pomysł. Dziękuję, bardzo państwu dziękuję — powiedziała, kłaniając się wymaginowanej publiczności.

Przez kilka następnych godzin dzwoniłam do wszystkich po kolei. Faith obiecała odebrać dziewczynki, mogłam więc kuć żelazo, póki gorące.

Usiadłam przy kuchennym stole i zaczęłam dzwonić. Słyszając mój głos, rodzice nie kryli ulgi. Przy trzeciej rozmowie doszłam w swojej nawijce do perfekcji. Tłumaczyłam, co zrobię, aby maksymalnie zwiększyć szanse ich dziecka, jednocześnie wyraźnie podkreślając, że co prawda stuprocentowej gwarancji dać nie mogę, ale zapewniam, że jak dotąd moi klienci nigdy nie mieli powodów do narzekania. (Ha, ha! Akurat.) Miałam wrażenie, że kilkoro rodziców — gdyby tylko było to możliwe — ucałowałoby mnie przez telefon. Inni zachowywali dystans, ale czułam, jak się rozluźniają, gdy tylko uznali, że oto nadciągnęła odsiecz.

Ze wszystkich tych rozmów mogłam wywnioskować, że rodziców przeraził wypadek Cubby, tak jak i wszystkie te doniesienia o trudnościach z dostaniem się do zerówki. Oszalały ojciec —zabójca okazał się znanym ginekologiem z Park Avenue; jego dziecko uczęszczało do przedszkola „Tajemniczy ogród”. „Panie Boże, spraw, aby mnie to nie spotkało” — modlili się na pewno w duchu.

Szczególnie udane miałam zakończenie. Kiedy już wszystko im objaśniłam, dodawałam, że aby zapewnić jak najwyższą jakość moich usług, rocznie przyjmuję jedynie dziesięciu klientów. Mówiłam, że mam już ośmiu, a pod koniec dnia z całą pewnością dojdę do dziesięciu.

Jeśli więc pragną znaleźć się w grupie wybranych, do ósmej rano następnego dnia powinni dostarczyć mi czek. Wszystkim podałam szpa — nerski adres Faith. Chyba nie byłiby zachwyceni, wiedząc, gdzie naprawdę mieszkam.

Do siódmej wieczorem Faith odebrała pięć czeków na dwadzieścia tysięcy każdy, jedno pudełko po cygarach z wymaganą kwotą w używanych banknotach oraz piękną torbę od Prady z dwudziestoma tysiącami, tym razem w nowiuteńkich, szeleszczących banknotach. Ci rodzice rzeczywiście nie chcieli ryzykować.

Nie mogłam uwierzyć, że ludzie gotowi byli tyle zapłacić. Nie żebym się skarżyła. Postanowiłam ograniczyć się do siedmiu rodzin. Jeśli uda mi się je w pełni zadowolić, polecą mnie znajomym i moja pozycja na rynku będzie ugruntowana. Poza tym, mając tak niewielu klientów, więcej czasu będę mogła poświęcić własnym córkom. Gdyby ktoś jeszcze się odezwał, zaproszę go na moje wrześnieowe warsztaty. Za trzysta dolarów od głowy wieczór może się okazać całkiem zyskowny. Nie posiadałam się z radości. Wielka szkoda, że mama nie może dzielić ze mną mojego sukcesu. Byłaby zachwycona.

Faith odesłała wieczorem dziewczynki limuzyną, razem z soczystą pieczenią, łososiowymi ciasteczkami, tłuczonymi ziemniakami, sałatką z makaronu i czekoladowym tortem. Jej kucharze na ogół przygotowywali potrawy niskokaloryczne, ponieważ jednak miałam za sobą nad wyraz ciężki okres, Faith najwyraźniej uznała, że potrzebuję czegoś bardziej sycącego.

Posłałam dziewczynki, żeby zaprosiły Michaela, Archiego i Philipa. Tak byłam nakręcona, że chciałam uczcić ten dzień w miłym towarzystwie. Faith przysłała tyle jedzenia, że wystarczyłoby na małe wesele, czemu więc nie miałam się nim podzielić?

Archiego nie było w domu, dlatego Skyler wsunęła mu pod drzwi karteczkę z zaproszeniem. Michael wybierał się na randkę w ciemno, ale obiecał zajrzeć, gdyby skończyła się wcześniej. Philip przyjął zaproszenie.

Po chwili rozległ się dzwonek i zjawił się Philip z butelką schłodzonego Chardonnay. Na jego widok żołądek podszedł mi do gardła. Choć miał na sobie dzinsy i zwykły podkoszulek, było widać, że się uczesał i ogolił. Wyglądał jak młody Ashton Kutcher. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć? *Przestań, Ivy. Jesteś od niego przynajmniej dziesięć lat starsza. Masz zwiotczone ramiona, rozstępy i bliznę po cesarskim cięciu.* A co tam, pomarzyć mi nie wolno? Mnie? Demi Moore.

- — Mogę ci w czymś pomóc? — zapytał.

- — Nie, dziękuję — odparłam. — Dziewczynki nakrywają do stołu, a kolacja będzie gotowa za pięć minut.

- — Czytałem artykuł w dzisiejszym „Timesie” — powiedział. — Sporo cię cytowali.

- — Nie widziałam — odrzekłam zażenowana. Bo skłamałam; w szafie miałam co najmniej dziesięć egzemplarzy gazety, ale nie chciałam, żeby Philip wziął mnie za powierzchowną osobę, lubującą się w czytaniu o sobie w najpoważniejszych amerykańskich gazetach.

Podaliśmy na stół odgrzane jedzenie i opowiedziałam mu o wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny (incydent z *Radykalną metamorfozą* pominęłam milczeniem). O tym, jak przestałam wierzyć w powodzenie swojego interesu. Jak skorzystałam na tragicznej śmierci Cubby Sedgwick. I jak z wielką pewnością siebie rozmawiałam z mediami. O rodzinach, na tyle szalonych, żeby zapłacić dwadzieścia tysięcy dolarów za pomoc w umieszczeniu ich dzieci w przedszkolu. Tylko ta część mojej opowieści zdawała się Philipa zderwować.

— Jak się po tym wszystkim czujesz? — zapytał.

— Cóż, doktorze Philu, czuję się zagubiona, winna, podniecona i przerażona. Wszystko razem po trochu.

Uśmiechnął się.

— Ivy, Cubby nie zginęła przez ciebie. Ty po prostu tylko na tym korzystasz. Biorąc pod uwagę okoliczności, sądzę, że Bóg ci wybaczy.

Skąd wiedział, że mnie to dręczy ?

— A teraz, skoro już przyjechałaś tych klientów, zrób wszystko, żeby dać im to, czego oczekują. Z jakiegoś powodu otrzymałaś dar od losu, i to właśnie w chwili, gdy potrzebowałaś go najbardziej. Przyjmij go. I bądź wdzięczna — powiedział Philip.

Cóż to za mądry i przenikliwy młody człowiek, pomyślałam. Jak mogłam tak źle go ocenić za pierwszym razem. Usiedliśmy z dziewczynkami do stołu i z zapalem zaczęliśmy się delektować smakołykami od Faith. Philip otworzył wino i napełnił nasze kieliszki. Skyler i Kate opowiadały o pierwszym dniu wycieczki do Central Park Zoo, a Kate zaśpiewała o zatonięciu Titanica, której to piosenki nauczyła się w Centrum Żydowskim.

Sir Elton bez przerwy zebrał o jedzenie, co było nieco krepujące. Odkąd wyprowadziliśmy się z centrum, zachowywał się tak, jak gdyby nigdy nie przeszedł tresury. Jego dawny psi psycholog z pewnością zaleciłby jednodniową kurację.

Philip z uwagą przysłuchiwał się opowieściom dziewczynek i rozmawiał z nimi jak z dorosłymi, a nie z dziećmi. Moje córki wpatrywały się w niego jak w obraz.

Kiedy później kładłam dziewczynki spać, on pozmywał naczynia. Pozmywał naczynia!

Z kolacji zostało jeszcze wino, nalałam więc sobie kieliszek. Philip przerzucił się na piwo.

— Dziękuję, że posprzątałaś — powiedziałam.

— Cała przyjemność po mojej stronie, bardzo się cieszę, że mnie zaprosiłaś — odparł, gdy usiedliśmy.

— Może chcesz obejrzeć mój telewizyjny debiut? — Faith zostawiła taśmę z nagraniem *The View* i *Today* i nie mogłam się już doczekać, żeby zobaczyć, jak wypadłam.

— Jasne, bardzo chętnie — powiedział.

Włożyłam kasetę i włączyłam odtwarzanie. *Rany, z jaką pewnością się wypowiadam. Dobra jestem. Ale, och, czyżbym miała aż tak obwisłe policzki? Oj, chyba tak. A ten mój głos, fuj. Jak u Myszki Minnie. Jak mi interes nie wypali, zacznę podkładać głos w kreskówkach.* Kiedy taśma się skończyła, przewinęłam ją do początku i znowu nacisnęłam przycisk PLAY. Staralam się sprawiać wrażenie, że to właściwie nic wielkiego i dlatego jest warte obejrzenia nie więcej niż dwukrotnie.

— Maaa —mooo! — krzyknęła Kate z sypialni. — Woody!

— Zaraz wracam — powiedziałam.

Po kilku minutach wróciłam do salonu i zamarłam. Mój występ w The View się skończył, ale magnetowid wciąż odtwarzał taśmę. Philip patrzył z zainteresowaniem.

- — ...nie, błagam was, wybierzcie mnie do *Radykalnej metamorfozy, ponieważ ja...*

14. Poznajemy się, dowiadujemy się o sobie wszystkiego

Chwyliłam pilota i wyłączyłam telewizor.

— Widziałaś tę reklamę? — zwrócił się do mnie Philip.

— Jaką reklamę?

— Ta babka wyglądała zupełnie jak ty. Przewiń taśmę. Pokażę ci.

— Według ciebie, ja tak wyglądam? — zapytałam, udając dotkniętą.

— Nie, nie, ty jesteś znacznie ładniejsza. Po prostu przypominała cię. Może to przez ten głos. Mówiła tak jak ty, z takim, hm..., zaśpiewem.

— Być może — burknęłam. Serce waliło mi jak oszalałe. Twarz mi płonęła. W uszach mi dzwoniło. W głowie szumiało. Oblał mnie zimny pot. W duchu powtarzałam swoją mantrę: *Barneys, Barneys, Barneys, Barneys...*

— Pochodzisz z Nowego Jorku? — zagaił Philip, nieświadomy stanu, w jaki mnie wpędził.

Wzięłam głęboki, oczyszczający oddech.

— Właściwie z Brooklynu. Na Manhattan przenieśliśmy się, kiedy skończyłam jedenaście lat.

— Twoja rodzina pięła się w górę?

— Niezupełnie. — Opowiedziałam mu, jak opuściliśmy Brooklyn po kolejnym, o jednym za dużo, romansie taty.

— Musiało wam być ciężko. Często widywałeś ojca po przeprowadzce?

— Nie, nigdy więcej z nim nie rozmawiałam. Moja matka była tak wściekła, że ją zdradzał, że czułabym się jak zdraj — czyni, gdybym

próbowała go odszukać. Kilka lat po tym, jak zamieszkałyśmy na Manhattanie, podobno przeniósł się do Kalifornii i po raz drugi ożenił. Później, może pięć lat temu, mama powiedziała mi, że zmarł. Nie mam pojęcia, skąd wiedziała.

— To chyba nie było dla ciebie łatwe.

— Kiedy byłam młoda, owszem, ale później wydarzyło się wiele dobrego. Dostałam stypendium w Yale — zaczęłam.

— Ja także byłem w Yale — powiedział.

— Żartujesz. Kiedy?

— Pod koniec lat dziewięćdziesiątych. A ty?

— Kilka lat wcześniej.

— No nic, wybacz, że ci przerwałem. Mów dalej.

— Nie przerwałeś. Mówiłam tylko, że było mi ciężko, kiedy byłam młoda, ale później układało się już lepiej. Poszłam na uczelnię Ivy League. Miałam udane małżeństwo z mężczyzną, który dał mi dwie córki. Świetną, lukratywną pracę. A dzięki temu, co przeszliśmy, byliśmy bardzo blisko z mamą. Ciągle ze sobą rozmawiałyśmy. Interesowała się każdym najdrobniejszym, nudnym szczegółem z mojego życia. Zmarła w zeszłym roku, w sierpniu.

— Przykro mi.

— Tak, mnie też. Chcesz jeszcze piwo? — zapytałam.

— Wezmę sobie.

Fajny tyłeczek, pomyślałam, kiedy szedł do kuchni. Ivy, przestań! W twoim wieku nie powinno się podziwiać męskiego tyłka. To w złym guście. Weź się w garść. Podczas gdy Philip otwierał sobie piwo, Sir Elton wskoczył na jego miejsce. Zepchnęłam go. Przecież wiedział, że nie wolno mu siedzieć na kanapie.

— A ty, Philipie? Jak wylądowałeś w Lower East Side?

— Przeprowadziłem się kilka lat temu, kiedy umarła moja mama. Mieszkałem z nią w okolicach Upper West Side. Mieliśmy mieszkanie w Dakocie i nie chciałem mieszkać w nim sam. Już wcześniej wynajmowałem mieszkanie tutaj, jako gabinet do pracy, więc się wprowadziłem. I tak spędzałem tu większość czasu. Dobrze mi to robiło. Spałem na podłodze. W końcu zadzwoniłem do sklepu i dostarczyli mi łóżko.

To miało być chwilowe, ale było mi tu wygodnie. Sprzedałem mieszkanie w Dakocie w zeszłym roku. Było to jak najbardziej uzasadnione finansowo.

— Czy mogę spytać, jak zmarła twoja matka?

— Jasne. Właściwie trudno w to uwierzyć. Moja matka była pisarką, jak ja. Właśnie skończyła książkę o chirurgii plastycznej i jej wydawca wysłał ją na wycieczkę. Lekarz, z którym przeprowadzała wywiad, zaproponował, że zrobi jej lifting twarzy po promocyjnej cenie. Zmarła w czasie operacji.

— O mój Boże — powiedziałam. — Co za tragedia. Słyszałam, że coś takiego może się zdarzyć, ale jakoś nigdy nie chciało mi w to wierzyć.

— Uwierz, tak było. — Philip pokręcił głową. — Jak na ironię, miała piękną twarz, zważywszy na jej wiek. Ale chciała wyglądać młodziej. Jak wielu ludzi, uległa płytkiej pogoni za pięknem. Uważam, że chirurgia plastyczna jest obrzydliwa.

— Ja też — powiedziałam.

— No, ale nie rozmawiajmy o tym. Jak wylądowałaś nad Kratts Knishery?

— O, to nudna historia. Rozstałam się z mężem. Gdy sprzedaliśmy mieszkanie przy Park Avenue, na nic innego nie było mnie stać.

— A dzieci? Jak zniosły wasze rozstanie?

— Chyba nieźle. Widują się z Cadmonem dwa razy w miesiącu. Dzięki temu poświęca im znacznie więcej czasu i uwagi niż wtedy, kiedy byliśmy jeszcze razem. — Już miałam mu powiedzieć coś więcej,

gdy rozległ się dzwonek u drzwi. *Pewnie Archie albo Michael*, pomyślałam.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam Cadmona. O wilku mowa. *Kurwa, kurwa, kurwa.*

TLR

15. Jajecznicza na pożegnanie

— Co ty tutaj robisz? — wyszeptałam przez zaciśnięte zęby

— Hej, widziałem cię w telewizji, jak opowiadałaś całemu światu, że cię zdradzałem. Jak mogłaś mi coś takiego zrobić?

— Cii! Nie drzyj się tak. Poza tym to prawda. Zdradziłeś mnie. — Jakoś nie przyszło mi do głowy, że moja mała akcja promocyjna może zranić Cadmona. Jak widać, wszystko ma swoje dobre strony.

— Poza tym wyglądałaś jak wieśniaczka na paradzie w Dzień Świętego Patryka. Jak mogłaś pozwolić, żeby ludzie oglądali cię w takim stanie?

— To się nazywa aktorstwo. Zapłacili mi, żebym wyglądała jak szmaciarz, dla lepszego efektu. — *Hm... Dobra wymówka. Trzeba ją zapamiętać na przyszłość.* — Cadmonie, jestem w tej chwili zajęta i na dodatek zmęczona. Mógłbyś już sobie pójść?

— Masz gości? — zapytał, otwierając szerzej drzwi i starając się coś zobaczyć ponad moim ramieniem.

Wtedy właśnie Philip postanowił się pożegnać. Przedstawiłam go Cadmonowi.

— Philipie, nie musisz jeszcze iść. Cadmon już wychodzi.

— Nie, nie, pójdę już, naprawdę. Miło było cię poznać — rzekł do Cadmona i wyszedł.

— Co to za goguś? Mam nadzieję, że w niczym wam nie przeszkodziłem — powiedział Cadmon nieszczerze.

— Cad, proszę cię, po co przyszedłeś?

— Może szklaneczkę wina przed snem? — zapytał, podnosząc butelkę wina, które piłam. Posłał mi przy tym swój ultraolśnie — wający uśmiech, którym zdobył moje serce w Sag Harbor.

Z ramionami skrzyżowanymi na piersiach wpatrywałam się w niego bez słowa.

Padł przede mną na kolana i zaczął błagać, nie na serio, rzecz jasna, tylko tak dla zabawy.

— Ivy, czemu jesteś taka uparta? Przepraszam cię, chyba już po raz tysięczny Popęlniłem największy błąd w życiu. Dobijało mnie, że nie mam pracy. Ciebie wciąż nie było. Więc poderwałem Sassy. To było głupie. Wiem o tym. Błagam cię, wybacz mi.

— Wybaczam ci, Cadmonie, naprawdę. To już przeszłość.

— A ja wybaczam tobie, że opowiedziałaś w telewizji, że cię zawiódłem jako mąż. Może więc spróbujemy raz jeszcze. Brakuje mi ciebie. — Nagle się zerwał i zaczął mnie całować. Jego oddech cuchnął stęchłym piwskim, a twarz miał szorstką jak papier ścierny.

— Cad, przestań — powiedziałam, odpychając go. — Daj spokój. Posłuchaj. Kiedy mnie zdradziłeś, czułam się... taka zraniona. Po prostu... nie chcę przechodzić przez to znowu.

— Przecież ci powiedziałem, że to się już nigdy więcej nie powtórzy, i mówiłem prawdę. Proszę, brakuje mi ciebie. Bez ciebie zupełnie sobie nie radzę. Nie wiem, jak się robi pranie. Nie umiem sobie pościelić łóżka. Nie potrafię sobie nawet usmażyć jajecznicę

Uśmiechnęłam się. Cadmonowi była potrzebna służąca.

— Cad, odkąd się rozstaliśmy, wiele o tym myślałam. I wiem, że nie chcę już takiego małżeństwa, jak nasze. Chcę być z mężczyzną, który będzie wolał mnie od golfa. Kogoś, kto bez proszenia pomoże mi przy dzieciach. Faceta, który codziennie będzie zanosił dziękczynne modły za to, że może dzielić ze mną życie. Albo to, albo wybieram samotność.

Cadmon milczał przez chwilę. Dosłownie widziałam jego myśli, gdy zastanawiał się nad tym, co powiedziałam.

— Mogę się zmienić. Tylko daj mi szansę. Powiedz mi, co mam zrobić, a ja to zrobię. — Mówił to z takim przekonaniem.

Roześmiałam się.

— Nie, Cad. Ty się nigdy nie zmienisz.

Chyba się obraził. Zaraz się jednak uśmiechnął.

— Masz rację. Chyba rzeczywiście się nie zmienię. Jestem samolubną świnią i będę nią zawsze.

Nie zaprzeczyłam.

— Coś ci powiem. Nauczę cię, jak się robi jajecznicę. A później już musisz sobie radzić sam.

Cad westchnął głośno i poszedł za mną do maleńkiej kuchni. Wyciągnął z szafki rondel.

— Dobrze, co dalej?

— Przede wszystkim potrzebujesz odpowiednich narzędzi — wyjaśniłam. Wzięłam patelnię, wrzuciłam na nią odrobinę masła, rozbiłam dwa jajka i smażyć je, mieszałam tak, jak Cadmon lubił. — Nic trudnego, widzisz?

Siedzieliśmy w milczeniu przy stole, podczas gdy Cadmon zjadał swoją jajecznicę. Kiedy skończył, wstał.

— Jesteś o tym przekonana? — zapytał.

—Całkowicie.

Pożegnał się i wyszedł. Jak zwykle pozmywałam po nim naczynia.

16. Spuścizna po Cubby

Następnego dnia rano zadzwoniłam do Tipper, żeby złożyć kondolencje z powodu śmierci jej szefowej. Oczywiście słowem nie wspomniałam, jak wielki wydawał się tyłek Tipper w telewizji.

— Dobrze się czujesz, Tipper? Mogę coś dla ciebie zrobić? — zapytałam.

— Nie, dziękuję, u mnie chyba wszystko w porządku — odpowiedziała. — Chociaż jestem trochę otepiała. Cubby była dla mnie wzorem. Nie chce mi się wierzyć, że już jej nie ma.

— Wiem. To był straszliwy szok. — Od śmierci mojej matki wiedziałam, że w takiej sytuacji żadne słowa nie mogą przynieść ulgi.

— Dzisiaj po południu ma się odbyć kremacja — powiedziała zalamującym się głosem. — Nie wiem, jak to zniosę.

— Tylko nie maluj sobie oczu — doradziłam.

— Chodzi o to, że pan Van Dyke, nasz dyrektor, mianował mnie dyrektorką do spraw naboru, na miejsce Cubby. Powiedział, że byłam jej protegowaną i, według niego, tylko ja mogę kontynuować jej dzieło. Czuję się taka winna, że ona musiała zginąć, żeby spełniły się moje marzenia.

Witaj w klubie, pomyślałam.

— Tipper, przecież ona nie zginęła przez ciebie. Po prostu korzystasz z tego, co los ci niespodziewanie zesłał. Jestem pewna, że Bóg ci wybaczy. Przyjmij ten dar i bądź za niego wdzięczna — powiedziałam, powtarzając radę daną mi przez Philipa. (Hej, mnie pomogła!)

— Masz rację, Ivy. Muszę się pozbierać i kontynuować pracę Cubby.

— Otóż to. A zatem do dzieła i zrób wszystko, żeby Cubby była z ciebie dumna.

— Dziękuję ci, Ivy. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Daj mi znać, gdybym mogła ci jakoś pomóc.

Rozłączyłyśmy się. Żal mi było Tipper. Podziwiała Cubby i nie była przygotowana, żeby poradzić sobie z tym, co dzięki jej śmierci zyskała. Ja wręcz przeciwnie — radziłam sobie świetnie.

TLR

17. Brzdące z życiorysami

W następnym tygodniu miałam spotkania z moimi klientami. Nigdy nie umawiałam się przed dziesiątą rano, gdyż w ten sposób miałam mnóstwo czasu na gimnastykę. Dostałam na jej punkcie lekkiej obsesji. Tak się szczęśliwie składało, że moja nowa praca pozwalała mi idealnie dzielić obowiązki zawodowe, macierzyńskie i zaspokajać własne potrzeby

Był już czerwiec i trzeba się było spieszyć, gdyż lata dzień moi klienci powyjeżdżają do Hamptons, na włoską Riwierę czy gdzie tam jeszcze licho ich poniesie. Planowałam jak najszybciej ocenić dzieci, żeby wstępnie sprawdzić, jak poradzą sobie z testami. Później pokażę rodzicom i nianiom, jak przez lato powinni pracować z każdym dzieckiem, by pomóc im osiągnąć jak najlepsze wyniki. Jeśli wystarczy czasu, zastanowię się też nad ich wypracowaniami. Bardzo się cieszyłam, że wreszcie zacznę, ale nie mogę powiedzieć, bym się jednocześnie trochę nie denerwowała.

Panie Boże, błagam, pomóż mi spisać się wspaniale, tym bardziej że właściwie nie mam pojęcia, na co się porywam. Aha, Panie, chciałybym też wyjaśnić jedną sprawę, która nie daje mi spokoju. Nie uskarżam się, ale kiedy cię prosiłam, żebyś mi pomógł, nie chciałam niczyjej śmierci. Byłabym więc wdzięczna, gdyby odtąd nikt już nie musiał składać w ofierze swojego życia, żeby moja kariera mogła się rozwijać. Myślę, że teraz już świetnie dam sobie radę sama. Amen.

Klienci mnie zaskoczyli. Zanim ich poznałam, myślałam, że wszyscy będą bogaci, neurotyczni i wymagający. Cóż, kilku było. Ale inni okazali się wspaniałymi ludźmi i bez trudu mogłam sobie wyobrazić, że zostajemy przyjaciółmi. W poniedziałek rano wbiłam się w stary kostium od Armaniego, odkurzyłam aktówkę, chwyciłam torbę na zakupy z Barneys i wyruszyłam na spotkanie z pierwszą klientką, Wendy Weiner.

Podobnie jak miał to w zwyczaju robić mój dawny analityk, każdej rodzinie założyłam akta, w których zamierzałam odnotowywać szczegóły kolejnych spotkań. Przygotowałam sobie także wykaz wszystkich klientów i ich dzieci. Stale mi się myliło, kto należy do kogo. Podobno to typowe u kobiet zbliżających się do menopauzy. Upokarzające!

Poniedziałek rano — Wendy Weiner — 14.06.2004 r.

Wendy Weiner (wymawiać: „wiiner”) jest rozwiedzioną matką o najbardziej płaczliwym głosie, jaki kiedykolwiek wydawała z siebie istota ludzka. Co nie znaczy, że ją krytykuję. Wendy ma jedno dziecko, córeczkę Winnie. Każda matka, która daje swojemu dziecku na imię Winnie Weiner, staje się automatycznie podejrzana. Winnie i Wendy mieszkają w Central Park West, niedaleko Dziewięćdziesiątej Ósmej. Mają miłe mieszkanko, z jadalnią sprytnie przedzieloną i przerobioną na pokój Winnie. Okna są stare, podłogi wyłożone zniszczonym parkietem, ściany w kolorze mięty, grube od nakładanych przez czterdzieści lat kolejnych warstw farby. Przydałby się tu gruntowny remont, podejrzewam jednak, że Wendy na to nie stać. Zwłaszcza odkąd mnie zatrudniła.

Wendy już drugi raz będzie się starała umieścić Winnie w prywatnej szkole. W zeszłym roku składała podania do trzydziestu pięciu placówek, we wszystkich jednak zostały odrzucone. Obsesja Wendy na punkcie zapewnienia córce odpowiedniej edukacji sięgnęła takich rozmiarów, że zrezygnowała z praktyki adwokackiej i w pełnym wymiarze godzin zajęła się polowaniem na szkołę. Nie może się pogodzić, że Winnie nigdzie nie została przyjęta, za co winą obarcza dyrektora przedszkola. Twierdzi, że jest antysemitą. (Uwaga: Winnie chodziła do tego samego przedszkola co Kate i Skyler. Jego dyrektor jest równie żydowski jak bajgle i faszcerowana ryba.)

Winnie to urocza dziewczynka o egzotycznej urodzie. Jest drobniutka, ma skórę w kolorze kawy, zielono — brą — zowe oczy i sięgające pasa włosy. Natychmiast ją polubiłam. Pokazała mi swój pokój, opowiedziała o swoich ulubionych książkach, przedstawiła złotej rybce (zupełnie jak Kate) i zaprosiła na przedstawienie kukiełkowe. Wyniki jej testów ERB w zeszłym roku nie pozostawiały wiele do życzenia. Jestem pewna, że wypadła całkiem nieźle. Problemem musiała być jej mama.

Kiedy poznałam Winnie, postanowiłam zrobić dla niej wszystko, co w mojej mocy, ponieważ Wendy sama sobie nie poradzi.

Poniedziałek po południu — Johnny i Lilith Radmore — Stein —
14.06.2004

Dawniej państwo Radmore — Stein nazywali się Radmore — Ratfinklesteins, ale zmienili nazwisko, żeby ich syn Ransom nie był narażony na złośliwe docinki. Mieszkają w masywnej kamienicy nr 820 przy Piątej Alei. Niektórzy powiadają, że to najlepsza kamienica w Nowym Jorku (krążą plotki, że trzeba być wartym co najmniej miliard, by uzyskać akceptację rady mieszkańców). Ich mieszkanie jest jak z „Architectural Digest” — idealne. Nie ma się co dziwić, że w kwietniu zdjęcie apartamentu zdołało okładać magazynu. Gdy służąca, gospodyni, pokojówka, czy kim tam ona była, wiodła mnie przez szereg imponujących pokoi do biblioteki, gdzie czekali gospodarze, z trudem się powstrzymywałam od ochów i achów, żeby nie wyglądało, że nigdy nie byłam w równie wystawnym mieszkaniu (prawdę mówiąc, nie byłam, jeśli nie liczyć oczywiście mieszkania Faith).

Lilith, prezes jednego z największych koncernów prasowych w kraju, to zadbana kobieta o końskiej twarzy i sztucznym uśmiechu, jak z gumy. Poza tym, że ani na chwilę nie rozstaje się z Panią Butterworth, miniaturowym yorkshire terrierem, Lilith jest bardzo konkretna. Przypomina mi Annę Wintour, ale zapewne dlatego, że ani na moment nie zdejmuje okularów przeciwsłonecznych. Omówiłyśmy działania, jakie zostaną podjęte, porozmawiałyśmy o interesujących ją szkołach (proste — poza Stratmore Prep żadna nie wchodziła w rachubę), zastanowiłyśmy się nad znajomościami, które miała w radzie Stratmore i na które można ewentualnie liczyć, ustaliłyśmy termin mojej rozmowy z Ransomem i na koniec, nie zwlekając, wstępnie przedyskutowałyśmy treść wypracowań. Johnny, grywający w polo mąż Lilith, i nieco niefrasobliwy, jak to zwykle bywa z dziedzicami olbrzymich fortun, uraczył mnie kilkoma zabawnymi historyjkami. Lilith nie miała zbyt wiele do dodania. Podejrzywałam, że niewiele czasu spędzała ze swoim synem, z kolei Johnny równie mało czasu spędzał z nią.

Ransom to typowy *enfant terrible*. Marvys, niania zajmująca się nim popołudniami w dni powszednie, zaprowadziła mnie do jego własnego trzypokojowego mieszkania (sąsiadującego z mieszkaniem rodziców), w którym przebywa cały czas pod nadzorem opiekunów. Marvys wyjaśniła mi, że w ten sposób w głównym mieszkaniu zawsze panuje idealny porządek, a rodzice mają Ransoma pod ręką. Ogromny salon, z wartym milion dolarów widokiem na Central Park, przypomina domek zabaw. Obawiałam się, że książę będzie mnie napawał odrazą, okazało się jednak, że zrobiło mi się go zwyczajnie żal. W importowanych krótkich spodenkach ze skórzanymi szelkami za pięćset dolarów, siedzący w domku na sztucznym, ale wyglądającym jak prawdziwe drzewie, Ransom powitał mnie, ciskając w moją stronę, niczym granatami, dwoma balonami wypełnionymi wodą. Zachwycony swoim wyśmienitym dowcipem, śmiał się tak szaleńczo, że zaczęłam się lękać, żeby nie dostał przepukliny.

— Z —zobacz, zobacz, co umiem — wrzasnął, po czym wsunął sobie lewą dłoń pod prawą pachę i machając łokciem, wydał dźwięk do złudzenia przypominający pierdnięcie. — Chcesz posłuchać, jak m —m —mówię alfabet?

— Jasne, czemu nie? — odparłam.

Ransom połknął litr powietrza i jękając się, zaczął śpiewać piosenkę alfabety.

— Rodzice muszą być z niego bardzo dumni — zwróciłam się do Marvys.

Panie i panowie, oto on — bogaty chłopczyk, który ma wszystko z wyjątkiem uwagi rodziców. Najbardziej ekskluzywne prywatne szkoły pełne są takich Ransomów, i wiem, że każda zarówno jego samego, jak i pieniądze jego rodziców przyjmie z otwartymi ramionami.

Wtorek rano — Ollie Pou — 15.06.2004

Ollie pochodzi z Jamajki. To samotna matka chłopczyka o imieniu Irving. Z zawodu jest pokojówką. Pracuje u Radmore —Steinów i któregoś dnia, zanosząc tacę do sypialni Lilith, podsłuchiwała, jak jej szefowa mówiła Johnnyemu, że musi zatrudnić Ivy Ames, aby Ransom na pewno

dostał się do najlepszej szkoły. Ollie chce, żeby Irving także do takiej chodził.

Spotkałyśmy się w kawiarni na rogu Drugiej i Siedemdziesiątej Trzeciej. Ollie kazała mi przysiąc, że nie powiem Lilith, że ona także mnie zatrudniła.

— Proszę pani, ona jest tak samo wredna jak okrutna. Gdyby wiedziała, że do pani dzwoniłam, kazałaby mi za to zapłacić.

Zaprotestowałam, mówiąc, że chyba trochę przesadza, ale wówczas Ollie opowiedziała mi rzeczy, od których skurczyły mi się paznokcie u stóp. Twierdzi, że Ransom jest dzieckiem tak samo bez serca jak jego matka. Pewnego razu zrobił Irvingowi złośliwy kawał i włożył mu do pudełka na lunch swojego węża. Kiedy Irving je otworzył, żeby coś zjeść, w schowku na termos znalazł martwego gada. Ransom dostał takiej hysterii, że Lilith kazała Ollie kupić nowego węża za własne pieniądze.

— Wężę są drogie, pani Ames. Ja musiała robić trzy tygodnie, żeby to zapłacić.

„Ja musiała robić”? Oj, trudno będzie mi to sprzedać na Upper East Side.

Zapewniłam Ollie, że dochowam dyskrecji, ale zapytałam też, czy na pewno może sobie na mnie pozwolić.

— Ja musiała wziąć na to wszystkie moje oszczędności, pani Ames. Ale jeśli mi pani pomoże, żeby mój mały dostał się teraz do dobrej szkoły, później dostanie stypendium do collegeu i będzie mógł zmienić swoje życie.

Podczas gdy my rozmawiałyśmy, Irving rysował coś w książeczce do kolorowania. Jest poważnym chłopczykiem o jasnobrązowych oczach i czarnych kręconych włosach. Na nasze spotkanie mama ubrała go w niebieski sweterek z poliestru i muszkę na gumce. Irving chce zostać lekarzem i już potrafi nazwać wszystkie kości w ludzkim ciele. Uważa się za badacza i zna nazwy kontynentów i oceanów. Zapytał, czy chcę, żeby je wymienił. Odparłam, że oczywiście. **■** *Jejku, ten mały jest*

lepszy z geografii ode mnie! Jestem pewna, że nie będzie kłopotu ze znalezieniem mu dobrej szkoły i być może uda mi się załatwić Ollie jakąś finansową pomoc. Zgodziłam się dla niej pracować, ale pod jednym warunkiem — musi przyjąć z powrotem swoje dwadzieścia tysięcy. Choć pieniądze są mi bardziej niż potrzebne, nie mogę pozbawiać jej oszczędności całego życia.

Wtorek po południu — Omar Kutcher — 15.06.2004

Omar Kutcher, samotny ojciec, urodził się w Nowym Jorku, ma powiązania z mafią i fatalne maniery. Jest niski i przysadzisty, o niezwykle długich rękach, jak u goryla. Plecy ma tak zarośnięte, że włosy wyłazą mu spod kołnierzyka koszuli i wiją się po szyi. Najwyraźniej uważa się za co najmniej Caryego Granta, któremu nikt i nic się nie oprze. Niewiarygodne, co świadomość własnej potęgi potrafi zrobić z ludźmi. Dzięki łapówkom lub groźbom (innego wytłumaczenia być nie może) został zaakceptowany przez najsurowszą radę mieszkańców przy Park Avenue. Przy pomocy żony (niechaj spoczywa w spokoju) jako dekoratorki wydał majątek na urządzenie mieszkania, niestety, ze skutkiem jarmarcznym i zupełnie pozbawionym gustu — istny podniebny Graceland. Zostało mu jeszcze do wykończenia jedno skrzydło, jak mi jednak wyjawiał, gdy żona zmarła w tragicznych okolicznościach, stracił do tego serce. Omar osobiście i z wielką pompą oprowadził mnie po okazałych wnętrzach. Kiedy pokazywał mi bibliotekę skrywającą tajemne drzwi wiodące do pokoju —schronu, promieniał wręcz zachwytem z samego siebie. Ze wzruszeniem obserwowałam dumę, jaką napawało go to mieszkanie. Niemal zapomniałam, że „Post” nazywa go „Kutcher — Rzeźnik”.

Ma dwójkę dzieci: czteroletnią Marię i dwuletniego Omara Juniora. Oboje mają azjatyckie oczy Zapewne po matce. Poza Sacred Heart i Marymount — dwiema najlepszymi katolickimi szkołami dla dziewcząt — nic innego dla Marii nie wchodzi w grę. Ostatecznie Omar może się również zastanowić nad Balmoral, gdzie chodziła Gwyneth, lub Chapin, szkołę J. Lo. (Jedno i drugie to kłamstwa, ale co mi tam.)

Maria jest malutka i rozpuszczona do szpiku kości. Ilekroć ojciec czegoś jej odmawia (co nie zdarza się często), odwraca się do niego ple-

cami, krzyżuje ręce na piersiach, wykrzywia buzię i zaczyna wyć jak samochodowy alarm (tak samo robiła jej matka, zanim jej się zmarło, wyjaśnił mi Omar). Omar małą uwielbia.

— Co, pistolet z niej, nie? — pyta w kółko.

Sądzę, że uda mi się podkreślić jej odmienność i być może złożyć ofertę pokaźnej dotacji (w gotówce!) jednemu z dyrektorów. Nie jest wykluczone, że Maria świetnie zda test ERB i dostanie wybitną opinię z przedszkola. Niestety, powiązania Omara z mafią, które na Staten Island byłyby mocnym argumentem przetargowym, pośród elit Manhattanu, których etyka jest oczywiście bez zarzutu, mogą się jednak okazać przeszkodą nie do pokonania. Pod warunkiem, że Omar nie złoży żadnej szkole propozycji nie do odrzucenia (w tym to wypadku moje zadanie byłoby wykonane). Oferując mu swoje usługi, na pewno uczciwie zapracuję na te dwadzieścia tysięcy dolarów.

Środa rano — Willow Bliss i Tiny Herrera — 16.06.2004

Willow i Tiny są lesbijkami. Tiny to ważąca sto kilogramów, różowowłosa producentka filmowa i telewizyjna. Przypomina mi Giggles, lalkę —trolla, którą kiedyś miałam. Z kolei Willow jest uderzająco piękna. Afrykańska eksmo — delka, która zrezygnowała z kariery, żeby zostać w domu i opiekować się ich adoptowanym synkiem, przykutym do wózka inwalidzkiego. Rodzice Jacka Henry ego zginęli w wypadku samochodowym, który jego samego na zawsze pozbawił możliwości chodzenia o własnych siłach. Willow zobaczyła Jacka Henry'ego w *Wednesday's Child*, programie o dzieciach, dla których trudno jest znaleźć rodziny adopcyjne. Tego malucha, czarnego kaleki, nikt nie chciał. Willow zadzwoniła na plan do Tiny i powiedziała, że znalazła dziecko, które jest im pisane. Program był emitowany w środę, w piątek chłopczyk miał dom.

Muszę oddać sprawiedliwość tym kobietom. Żeby zapewnić Jackowi Henry emu najlepszą z możliwych opiekę medyczną, a także terapeutów, dietetyków i psychologów, Willow nie odstępowała go na krok, oferując mu wsparcie i miłość. Mając cztery i pół roku, Jack Henry wysławia się na poziomie siedmiolatka i już sam czyta *Kapitan Majtas i Inwazja Krwiożerczych Klozetów*, książkę będącą lekturą w drugiej kla-

sie. Fascynuje go historia, umie grać na flecie i przepięknie rysuje. Mówi trzema językami — po angielsku, hiszpańsku i w afrykańskim dialekcie twi — potrafi również z pomocą dorosłego ułożyć puzzle liczące 150 elementów. Uwielbia jeździć ze swoimi mamami na rowerowe przejażdżki na trzyosobowym rowerze, wykonanym na specjalne zamówienie.

Tiny i Willow chcą, aby Jack Henry otrzymał najlepsze wykształcenie, jakie mogą zapewnić pieniądze, w szkole, która przyjmie ich niezwykłą rodzinę i uszanuje szczególne potrzeby ich syna. Powiedziałam im, że inteligencja Jacka Henry ego, umiejętności werbalne i przyjazne, otwarte usposobienie wraz z mieszkanką gej. czarny —niepełnosprawny (Święta Trójca różnorodności) z całą pewnością postawią go na samym szczycie listy kandydatów. Przewiduję, że Jack Henry będzie mógł przebierać w szkołach.

Środa po południu — Stu i Patsy Needlemanowie — 16.06.2004

Ze Stu będą problemy. Ten drobny mężczyzna o pomarańczowych kręconych włosach i białej delikatnej skórze co najmniej sześć razy powtórzył, że pracuje dla Stevena Lorda, jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Z jego słów wynika, że jest cieszącym się największym zaufaniem protegowanym Stevena, przyszłym rekinem świata biznesu. Nie zdradziłam mu, że moją najlepszą przyjaciółką jest żona Stevena, zaś córka państwa Lordów z trudem dostała się do prywatnej szkoły.

Stu wierzy, że jest Stevenem. Oczekuje, że będę do jego dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, i chce, żebym nosiła przy sobie pager. Twierdzi, że wynajmie jeszcze jednego doradcę, aby z nim konsultować wszystko, co powiem i zrobię. A jeśli nie będzie miał do wyboru przynajmniej trzech najwyżej notowanych szkół, użyje wszystkich środków, jakimi dysponuje Steven Lord, żeby mnie zniszczyć. (Moja pierwsza groźba!) Patsy, jego myszowata żona o blond włosach, bez przerwy wygląda tak, jakby właśnie skosztowała cytryny. Podczas wygłaszanych przez Stu tyrad — milczy. Czemu wciąż jest z tym żalonym nieudacznikiem, to przekracza możliwości mojego pojmowania.

Uświadomiwszy mi, ile tysięcy dolarów zainwestował w rozwój intelektualny swojej córki, Stu przedstawił życiorys Veroniki: Madison Play Group, The Brick Church School, lekcje pływania przy Dziewięćdziesiątej Drugiej Y, francuski w Le Jardin a l'Ouest, muzyka w Diller Quaille, nauka gry na skrzypcach metodą Suzuki, lekcje dykcji w Toastmasters for Tots, lekcje gotowania we French Kids Culinary Institute, kurs obsługi komputera w Future World, nauka gry w szachy w Dalton School Chess Academy, lekcje śpiewu, tańca i aktorstwa w Babes on Broadway — nic plebejskiego, jak choćby Gymboree, dla tego przyszłego cudownego dziecka.

Na obronę Veroniki trzeba powiedzieć, że cała ta tresura przynosi efekty. Tylko ona, ze wszystkich przedstawionych mi dotąd dzieci, podała mi na powitanie rękę.

— Miło mi panią poznać — powiedziała. (Uwaga: dopilnować, aby wszystkie dzieci się tego nauczyły.) Veronica ma gęste rude włosy, wielkie zielone oczy wciśnięte między krzaczaste, zrosnięte brwi i ogromny nochal, z którym kiedyś trzeba będzie coś zrobić. Właściwie jest gruba, co może stanowić problem. Według Tipper, już na poziomie przedszkoli prywatne szkoły przyjmują niemal wyłącznie dzieci ładne. Z wielu z nich wyrastają później brzydkie kaczątka, ale wszystkie zaczynają jako łabędzie. Mam złe przeczucia co do Weroniki. Musi się uwolnić od swojego dominującego ojca i dać sobie wyskubać brwi.

Piątek rano — Greg i Dee Dee Epstein — McCall — 18.06.2004

Dee Dee poznała Grega, gdy oboje studiowali w Northwestern. Uciekli do Las Vegas, ponieważ rodzina Dee Dee nie chciała, żeby wychodziła za męża za goja, a rodzina Grega — żeby żenił się z Żydówką. Tak było łatwiej. Kiedy Dee Dee wyszła za Grega, jej rodzina odbyła po niej siedmiodniową żałobę i od tamtej chwili nie zamieniła z nią słowa. Matka Grega, nie mogąc przeżyć „mieszanego rasowo” małżeństwa jedynego syna, przeszła załamanie nerwowe i spędziła trzy miesiące w sanatorium w Connecticut (oficjalnie: spędzała zimę w Canyon Ranch). Mimo to rodzina Grega jest dla Dee Dee miła i zawsze zaprasza ją na wszystkie rodzinne uroczystości. Kiedy przyszedł na świat Moses, Dee

Dee i Greg postanowili wychowywać go na Żyda, co, według Grega, bardzo zasmuciło jego rodziców.

Greg pracuje u swojego ojca, Bucka McCalla, właściciela największego na świecie koncernu stoczniowego. Na przekór wszystkiemu Buck uwielbia Mosesa. Gdy się okazało, że Móses ślicznie potrafi trafić piłką do kosza z Fisher —Price, dziadzio Buck kupił wnuczce drużynę NBA (rzecz jasna, w formie funduszu powierniczego). Greg zapewnia mnie, że dzięki koneksjom ojca może dostać listy polecające Mosesa od dowolnego dygnitarza czy miliardera.

Dee Dee jest niepracującą matką, która zajmuje się Mosesem i ochotniczo działa w Bnai Brith. Martwiła się, że skoro mnie zatrudnili, uznają ich za neurotycznych nowojorczyków. Zapewniłam ją, że z całą pewnością nie ma w nich nic neurotycznego, że wszyscy moi klienci są miłymi, normalnymi ludźmi, którzy po prostu chcą, aby ktoś pomógł im pokonać trudności związane z umieszczeniem dziecka w zerówce. Zapytała, czy stanie się powszechnie wiadome, że dla nich pracuję. Zapewniłam ją, że nasza współpraca zostanie zachowana w całkowitej tajemnicy i nikt się o niej nie dowie. Obiecałam trzymać się w cieniu i wyjaśniłam, że moja praca polega na tym, aby to oni wypadli jak najlepiej.

Dee Dee chce, żeby Moses poszedł do jednej z żydowskich szkół, a Greg się z nią zgadza. Z tego, co zdążyłam zauważyć, zawsze postępuje zgodnie z wolą Dee Dee. Mimo to zaproponowałam, aby wzięli pod uwagę również niektóre świeckie szkoły, do których uczęszcza wielu Żydów, ponieważ tylko trzy z kilku szkół żydowskich są warte wzięcia pod uwagę.

Mając zaledwie cztery i pół roku, Moses już mówi po angielsku i hebrajsku. Poleciałam im, aby wyjaśnili egzaminatorowi, że Moses jest dwujęzyczny. Szkoły prywatne nie oczekują, żeby dzieci dwujęzyczne bez problemów radziły sobie z testami na słownictwo, a poza tym jego znajomość dwóch języków na pewno zrobi odpowiednie wrażenie. Greg bardzo mi za tę cenną wskazówkę podziękował. Twierdzi, że jestem darem od Boga (tak się właśnie wyraził). Gdy Moses zostanie przyjęty, Greg obiecał polecić mnie wszystkim znajomym. Uwielbiam tę rodzinę.

WYKAZ KLIENTÓW IVY

- Wendy Weiner-** płaczliwy głos
- Winnie Weiner -** odrzucona przez trzydzieści
pięć szkół (dzięki
mamusii)
- Lilith i Johnny Radmore —Stein - Lil —** prezes z małym
yorkshire terrie rem, Johnny — gracz polo
- Ransom Radmore —Stein -** jąka się, duka alfabet, pierdzi
spod ramienia
- Ollie Pou -** pokojówka Lilith
- Irving Pou -** przyszły lekarz, zdechły wąż
- Omar Kutcher -** mafioso
- Maria Kutcher -** pistolet
- Willow Bliss i Tiny Herrera -** para lesbijek, Willow —
modelka, Tiny
— różowe włosy
- Jack Henry Bliss —Herrera -** wysoka inteligencja, niepełno-
sprawny
- Stu i Patsy Needlemanowie -** Stu — pracuje dla Stevena
Lorda,
Patsy — wiecznie skwaszona
mina
- Veronica Needleman -** zrosnięte brwi, wspaniałe ży-
ciorys
- Greg i Dee Dee Epstein -McCall -** Greg — ma ojca miliardera
(Buck),

Dee Dee — chce żydowskiej

szkoły

**Moses Epstein - McCall - kocha koszówkę, ma własną druży-
nę**

TLR

18. Metamorfoza na Manhattanie

Wkrótce po tym, jak nawiązałam współpracę ze swoimi klientami, Faith uparła się, żebym zrobiła sobie przerwę i przyszła na masaż. Gdy obie leżałyśmy na sąsiednich stołach, masowane, ubijane i obkładane gorącymi kamieniami, dzieliłyśmy się nawzajem najnowszymi wieściami. Przyznałam się do zauroczenia Philipem, jednocześnie lamentując, że chociaż regularnie ćwiczę, nie mogę wrócić do sylwetki dziewczyny z okładki, jaką kiedyś mogłam się poszczycić. Trzeba oddać sprawiedliwość prawdzie — to kłamstwo; nigdy tak nie wyglądałam. Ale w swoim czasie byłam całkiem niebrzydka.

Faith oczywiście natychmiast przystąpiła do działania. Uparła się, że jej drużyna marzeń musi się mną zająć. Z miejsca zostały ustalone sesje z Kenem Gomezem, guru fitnessu, Avi Portalem, fryzjerem gwiazd, i Raquel Morley, mistrzynią makijażu z własnym programem w ogólnodostępnej kablówce. W ramach wcześniejszego prezentu na Boże Narodzenie (zdecydowanie wcześniejszego — był dopiero czerwiec) Faith zapisała mnie na sześciomiesięczną dietę Metro. Codziennie pod drzwi będą mi dostarczane trzy główne posiłki i dwie przekąski, łącznie 1200 kalorii. Jeśli poza tym nic innego nie będę jeść, zacznę ćwiczyć z poświęceniem i wypijać osiem szklanek wody dziennie, to kilogramy nie będą miały wyjścia, jak tylko stopniowo znikać. Nie była to *Radykalna metamorfoza*, ale Faith zapewniała, że gdy uda mi się wytrzymać, zostanę odmieniona. Wszystkie powinnyśmy mieć taką przyjaciółkę jak Faith Lord.

Kiedy przypakowany jak sześciopak Ken Gomez stanął w moich drzwiach, nie da się ukryć: poczułam się onieśmielona. Miał imponującą klatę i ramiona, a mięśnie wspaniale wyrzeźbione i twarde jak stal. W życiu nie czułam się równie rozlazła i sflaczała.

— I co ty na to? — zapytałam, zaprezentowawszy Kenowi moją bieżnię i hantle.

— Pokaż mi, jak zwykle ćwiczysz — powiedział.

Kiedy dziarsko maszerowałam po bieżni z szybkością pięciu kilometrów na godzinę, widziałam, że Ken jest pod wrażeniem.

— Nieźle, co? — wyszeptałam, dysząc i sapiąc jak lokomotywa.

— Nawet się nie spociłaś — stwierdził. — Zobaczymy, jak biegasz.

Zwiększył szybkość do dwunastu kilometrów na godzinę i, wbrew zdrowemu rozsądkowi, musiałam zacząć biec. Po pięciu minutach byłam skąpana w pocie, zmachana i ledwo żywa. Musiałam przestać. Bardzo to było krepujące.

— Nie przejmuj się. Musisz tylko trochę nad sobą popracować — wyjaśnił.

Co za facet z tego Kena Gomeza, pomyślałam. Ken ułożył mi program, zgodnie z którym miałam na przemian maszerować i biec, raz po płaskim, raz pod górkę. Za sześć tygodni będzie mi szło jak z płatka, zapewnił mnie. Wtedy spotkamy się znowu i Ken opracuje dla mnie nowy, bardziej wymagający trening.

Pokazałam mu, jak ćwiczę z półtorakilogramowymi hantlami. Okazało się jednak, że jestem w fatalnej formie, a ciężarki są za lekkie. Cóż... Ken wyciągnął ze swojej torby hantle ważące trzy i pół oraz pięć kilogramów, po czym zaprezentował właściwą technikę i ruchy, aby efekt był zadowalający. Obejrzał moje brzuszki i stwierdził, że są idealne (dzięki ci, „Brzuchu ze stali”). Obiecałam ćwiczyć zgodnie z jego zaleceniami, on zaś powiedział, że w każdej chwili mogę zajrzeć do jego siłowni po nowe instrukcje. Zdaje się, że Faith regularnie mu płaciła.

Później zjawili się Avi i Raquel, żeby zająć się moimi włosami i twarzą.

— Kto ci robił kolor? — zapytał Avi. Zabrzmiało to raczej jak oskarżenie, a nie jak pytanie.

— Ja.

— Musisz mi obiecać, że już nigdy nie będziesz sobie sama tleniła włosów — zażądał kategorycznie. — Wieki miną, zanim naprawię to, co zepsułaś.

— Słowo harcerza — powiedziałam. Wiedziałam, rzecz jasna, że nie wolno samemu farbować sobie włosów. Ale wtedy nie było mnie stać na profesjonalistę, a desperacko chciałam być blondynką, dla lepszego samopoczucia.

Przez pięć następnych godzin moje kędziory były traktowane toksycznymi chemikaliami, podgrzewane pod lampą, obcinane, suszone, odżywiane i prostowane. Gdy siedziałam z głową pod lampą, Raquel udzielała mi lekcji makijażu. Twierdziła, że odpowiedni make —up może dokonać podobnych cudów jak chirurgia plastyczna. Trochę to chyba naciągane, ale muszę przyznać, że mimo srebrnej folii we włosach dzięki jej wysiłkom wyglądałam całkiem, całkiem.

Gdy drużyna marzeń skończyła już swoje magiczne sztuczki, może nie przypominałam jeszcze superlaski, ale zdecydowanie było mi do niej bliżej niż przedtem. Ilekroć miałam ochotę nie dotrzymać zaleceń diety albo zrezygnować z ćwiczeń, natychmiast wyobrażałam sobie, jak stoję naga przed Philipem. Czy muszę coś dodawać?

19. Nic tu po rozumie

Pomaganie rodzicom w znalezieniu szkoły dla ich dzieci okazało się najwspanialszym zajęciem, jakim kiedykolwiek się parałam. Po raz pierwszy w życiu robiłam coś dla społeczeństwa (choć można by się spierać, że tylko dla jego uprzywilejowanej części).

Wkrótce nadeszła pora na ocenę dzieci. Stworzyłam własną wersję testu ERB, dzięki któremu będę mogła dokładnie stwierdzić, na co w ciągu letnich miesięcy należy zwrócić szczególną uwagę podczas pracy z dzieckiem. Dokładnie poinstruowałam rodziców i opiekunów, co należy robić. Ponownej oceny dokonamy jesienią.

Rodzice Ransoma, państwo Radmore —Stein, zapytali, czy do czasu ich wyjazdu do Cannes w sierpniu nie mogłabym udzielać ich synowi korepetycji. Lilith była za bardzo zajęta swoimi gazetami, żeby dopilnować tego osobiście, a Johnny najwyraźniej miał to gdzieś. Powiedziałam im, że moje honorarium nie obejmuje korepetycji.

— Żaden problem — stwierdzili.

Naprawdę nie miałam najmniejszej ochoty udzielać Ransomowi nauk, zaśpiewałam więc trzysta dolarów za godzinę, na co oni bez wahania przystali. Trzeba było zażądać dwa razy więcej.

Stu Needleman oświadczył, że jest zbyt zajęty i nie może pracować z Veroniką. (Patsy oczywiście była na to za głupia — żadnych kwalifikacji, by czeokolwiek nauczyć własną córkę.) Upierał się, żebym osobiście przygotowała Veronikę, ucząc ją na pamięć odpowiedzi na pytania testowe.

— Stu, to zły pomysł. Może się wygadać przed egzaminatorem, że została wyuczona na pamięć. Gdyby tak się stało, przepadnie z krete-sem.

— Zaryzykuję — odparł Stu. — Nad tym mam pełną kontrolę i zamierzam to wykorzystać.

— Stu, twoja czteroletnia córka będzie oszukiwać, żeby dostać się do szkoły. Na pewno chcesz ją stawiać w takiej sytuacji?

— Ivy, nie zapłaciłem ci dwudziestu kawałków za takie rady. Konkurencja nie cofnie się przed niczym, ja także nie mam takiego zamiaru. Skoro nie chcesz nam w tym pomóc, znajdę kogoś, kto nie będzie stawiał oporów — oświadczył, z każdą chwilą robiąc się coraz bardziej purpurowy na twarzy. Czyżby miał lada chwila wybuchnąć?

— Jeszcze tylko ostatnia uwaga, Stu — naciskałam zdenerwowana. — Co będzie, jeśli przygotujemy ją tak, że wypadnie wspaniale i (Boże uchovej) dostanie się do szkoły o zbyt wysokim dla niej poziomie, w której sobie nie poradzi? Jesteś gotowy wziąć to na swoje sumienie?

Stu wyglądał tak, jakby miał ochotę udusić mnie tymi swoimi drobnymi łapkami.

— Veronica jest mądra. Ma w sobie geny Needlemanów. Będzie taką samą supergwiazdą jak jej ojciec — przemówił głośno i dobitnie, jak gdyby miał do czynienia z przygłupem, dając jednocześnie do zrozumienia, że powiedziałam już aż nadto.

— Jak sobie życzysz, Stu. Nauczę twoją córkę odpowiedzi na pytania, ale nie robię tego dobrowolnie. Liczę sobie trzysta dolarów za godzinę. Plus dodatkowe pięćdziesiąt, jeśli mam to zrobić tak, jakby nie wyuczyła się ich na pamięć.

— Naćpałaś się czegoś? Zapłacę siedemdziesiąt pięć dolarów i ani centa więcej. I radzę ci uporać się z tym w pięć godzin.

Targowaliśmy się, przystając ostatecznie na sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę i dziesięć spotkań. Poza tym uparłam się, żeby zafundować Veronice „dzień piękności” jako nagrodę za jej ciężką pracę. Naprawdę chciałam popracować nad biednym brzydkim kaczątkiem i przekonać się, czy uda mi się uczynić ją przyjemniejszą dla oka.

20. Lanie wody

Pod koniec czerwca miałam już za sobą spotkania z klientami, podczas których starałam się zebrać jak najwięcej informacji o ich życiu. Wszystko, czego się dowiedziałam, posłuży za podstawę treści wypracowań, które należy złożyć wraz z podaniem do szkoły. Oto, czego te spotkania dotyczyły:

- Opisz w skrócie swoje dziecko (osobowość, temperament, wyróżniające cechy, mocne strony, zdolności, entuzjazm).
- Jakie wartości cenisz sobie najbardziej? W jaki sposób — przekazujesz je swojemu dziecku?
- Napisz do swojego dziecka list, który wręczysz mu — za trzynaście lat, gdy będzie kończyło szkołę. Wyjaśnij, dlaczego wybrałeś dla niego (dla niej) właśnie tę, a nie inną szkołę (tu nazwa szkoły).

Skrętnie wszystko zanotowałam, po czym poprosiłam, aby każda rodzina napisała kilkanaście zdań o swoim dziecku i o swojej rodzinie. W ten sposób będę mogła utrafić w „ton” każdego z rodziców w ostatecznej, dopracowanej wersji. Wszyscy, z wyjątkiem Radmore — Steinów, przystali bez wahania.

Stu Needleman, za wszelką cenę chcący pogonić mi kota, pierwszy złożył esej. Ujął w nim wszystkie fakty, ale to, co napisał, trudno uznać za piękne. Oto dwa pierwsze akapity, później było już tylko gorzej:

Veronica to przebojowa, kipiąca energią dziewczynka. W wieku czterech lat wzięła po raz pierwszy udział w wyścigu na pięć kilometrów i, rzecz jasna, wygrała. W tej chwili trenuje do zawodów „dzieci z żelaza”, w których będzie pływać, jeździć na trzykołowym rowerku i biegać, konkurując z najlepszymi dziećmi na świecie.

Veronica jest bardzo wrażliwa. Martwi się, gdzie będzie spał jej kot, kiedy zdechnie. Jest jej przykro, że jej służąca oparzyła się w rękę, prasując bieliznę Veroniki. Uwielbia też śpiewać i tańczyć.

Ponieważ tylko Stu dotrzymał wyznaczonego przeze mnie terminu, pogratulowałam mu lotnej prozy, jednocześnie zapewniając, że będzie ona wymagała niewielu zmian. A tak między nami: jak temu facetowi udało się skończyć college?

Zapukałam do drzwi Philipa. Od tamtego wieczoru, tak po chamsku przerwane przez Cadmona, nie mieliśmy okazji się zobaczyć. Ja zajmowałam się moimi klientami, zaś Philip jakby zapadł się pod ziemię.

Tym razem przyniosłam czekoladowe ciasteczka. Choć były z torebki, właściwie można je było uznać za domowej roboty, bo przecież upiekłam je osobiście. Z jakiegoś powodu czułam się w obowiązku przynieść mu coś do jedzenia. Chyba chciałam samą siebie przekonać w ten sposób, że daje mi to prawo do niezapowiedzianych odwiedzin.

Na mój widok uśmiechnął się. Świeżo upieczone ciasteczka były o niebo lepsze od siekanej wątróbki. Co ja sobie wtedy myślałam? Jaki facet podnieci się na widok kobiety siekającej wątróbkę? Philip zaprosił mnie do środka, a ja z zadowoleniem zauważyłam, że biurko i komputer znajdują się teraz we frontowej części mieszkania. Wyglądało na to, że jest pochłonięty pracą.

— Pomyślałam sobie, że przyda ci się przerwa — powiedziałam.
— Przyniosłam czekoladowe ciasteczka.

— O, dziękuję — wyraźnie się ucieszył. — Napijesz się mleka?

— Jak najbardziej.

Konsumując ciasteczka, dzieliliśmy się nowinami. Opowiedziałam mu o moich klientach, a następnie zapytałam, nad czym pracuje. Odparł, że zaczął nową powieść.

— To wspaniale — powiedziałam. — O czym?

— Wybacz, ale nigdy nie rozmawiam o książce, dopóki nie skończę pierwszego zarysu. To przynosi pecha.

— Jasne — rzekłam. — Tak w ogóle, to chciałam cię prosić o pomoc w napisaniu tych wypracowań zgłoszeniowych. Nieźle zapłacę.

— Och, dlatego przyniosłaś te ciasteczka. Próbujesz mnie przekupić — zażartował.

— Nie, coś ty, skądże! Po prostu pomyślałam, że może chciałbyś zarobić coś ekstra. Poza tym to prawda, potrzebna mi pomoc. Pisanie nie jest moją najmocniejszą stroną. — Philip przejrzał wypracowanie Stu i przyznał, że rzeczywiście jest beznadziejne. Nie miałam powodu przypuszczać, że pozostali moi klienci poradzą sobie lepiej.

— Dobra, spróbuję — rzekł Philip. — Jak myślisz, co powiedzieliby twoi klienci, gdyby wiedzieli, że ich wypracowanie napisał zawodowy pisarz?

— Ten akurat tatuś uznałby, że na nic gorszego nie zasługuje. Ale reszta rodziców byłaby zachwycona, jestem tego absolutnie pewna. Nie martw się, nie przemilczę twoich zasług.

— Nie, nie rób tego — zaprotestował Philip. — Wolałbym, żeby się nie rozeszło, że piszę wypracowania do wniosków o przyjęcie do prywatnych szkół.

— Musisz ich napisać tylko sześć. Mam jeszcze jedną klientkę, Olive — jej wypracowanie napiszę sama.

Philip zażyczył sobie pięćdziesiąt dolarów za każde wypracowanie. Dał mi specjalny, „sąsiedzki” rabat. Starłam się, choć bez większego przekonania, namówić go, żeby wziął sto dolarów, on jednak uparł się przy swoim. Cóż mogłam poradzić? Dałam mu wszystkie notatki o każdej rodzinie i nieudane wypociny Stu. Poza tym pokazałam mu również złote wypracowanie, które Tipper dała mi na wzór. Dwa dni później znalazłam pod drzwiami kopertę z poprawionym wypracowaniem Needlemana. Nie zamierzam zanudzać was całością, ale nacieszcie oczy przynajmniej kilkoma pierwszymi akapitami.

Veronica odznacza się wielką pasją życia. Jest w niej dojrzałość, którą równoważy nieodparty urok i wspaniałe poczucie humoru. Jest wysportowaną dziewczynką, uwielbiającą biegi, pływanie i jazdę na ro-

werze, nad wyraz chętnie bierze również udział w licznych dziecięcych zawodach.

Veronica jest dzieckiem niezwykle rozsądnym. Rozsądek ten, w połączeniu z wrażliwą i kochającą naturą, ukazuje serce rzadko spotykane u tak małego dziecka. Gdy jej ukochany kotek, Princess, wypadł przez okno, nie wystarczyło jej zapewnienie, że zwierzątko poszło do nieba. Veronica martwiła się, kto będzie je szczotkował, kto utuli, gdy będzie burza. Kiedy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nasza gosposia, prasując, sparzyła sobie rękę, Veronica błagała nas, byśmy pozwolili jej wyprasować resztę ubrań. Wpadła w prawdziwą rozpacz na widok koszącego kukurydzę farmera w Hamptons. Poprosiła, żebyśmy się zatrzymali, chciała bowiem rzucić się pod kombajn i uchronić kukurydzę przed śmiercią. Nie dziwi nas, że córka ma tak wielkie i wrażliwe serce — troska o każdą żyjącą istotę jest główną zasadą wyznawaną przez całą rodzinę Needlemanów.

Veronica uczęszcza na wiele zajęć: lekcje języków obcych, muzyki, wystąpień publicznych, najbardziej jednak pasjonuje się śpiewem i tańcem. Niedawno otrzymała propozycję od znanego poszukiwacza młodych talentów, uznaliśmy jednak, że jest za młoda, aby występować na Broadwayu. Veronica uwielbia planować układ choreograficzny własnych występów, krawcowej zaś pomaga szyć i ozdabiać wszystkie swoje sceniczne kostiumy. Czteropółletnia Veronica Needleman osiągnęła już więcej, niż wielu dorosłym ludziom udaje się dokonać przez całe życie.

Jejku! Proszę, ile może zdziałać profesjonalna redakcja. Przeczytawszy swoje zredagowane eseje, moi klienci nie mogli wyjść z podziwu, jak udało mi się sprawić, że ich mizerne wypociny zaczęły nagle śpiewać. Chwalili mnie za lotność pióra, siebie poklepywali po plecach z radości, że zatrudnili tak utalentowanego doradcę. Dotrzymując danej Philipowi obietnicy, nie zdradziłam im, że piszący w ich imieniu autor sam wynajął konsultanta.

Część 3

Ivy radzi sobie sama

TLR

1. Powiedziałam coś nie tak?

W piątek wieczorem upchnęłam dziewczynki w porysowanym por-sche Cada — mieli spędzić wspólnie weekend. *Słowo daję, powinien zrobić porządek z tym samochodem*, pomyślałam.

Wracając do domu, wpadłam na Michaela. Zamykał Knishery.

— Udanego szabasu — powiedziałam.

— O, czyżbyś była wierząca? — zapytał.

— Nie, ale pomyślałam, że ty jesteś. Masz przecież kosztowną restaurację.

Uśmiechnął się.

— Jestem zreformowany. Masz ochotę na kolację? Widzę, że jesteś sama.

— Chętnie. Tapas w Barrio Chino? — zaproponowałam.

— Jadłem tam w zeszłym tygodniu. Może stek?

Brzmiało nieźle. Złapaliśmy taksówkę do Washington

Square, a stamtąd piechotą doszliśmy do Knickerbocker. Istniejąca chyba od zawsze knajpa w Greenwich Village stała się już swoistą instytucją. Zawsze pęka w szwach, w weekendy tym bardziej, gdyż wtedy grają w niej jazz na żywo.

Michael zamówił stek ze szpinakiem, ja wątróbkę z cebulką. Ponieważ nie była to randka, mogłam się nie przejmować nieświeżym oddechem.

Michael przeprosił mnie na chwilę i podszedł do stolika, przy którym siedzieli aktorzy, żeby się z nimi przywitać. Zakładałam, że to aktorzy, ponieważ jeden gość miał na twarzy makijaż, ale, do licha, byliśmy w Village, a tu nigdy nic nie wiadomo.

— Przepraszam. To moi klienci. Bywają u mnie od lat.

— Aktorzy?

— Nie. Facet w wysadzonej ćwiekami kamizelce ma salon tatuażu i piercingu na St. Mark s Place. Ten przebrany za kobietę to psychiatra. Nie wiem, kim jest kobieta po jego prawej, ale gość, który siedzi do nas plecami, to Bruce Wagner.

— Ten pisarz?

— Znasz go?

— Czytałam jego książki. Wygląda na to, że poznajesz w swojej Knishery wielu interesujących ludzi.

— Owszem. W końcu każdy trafia do Kratt's. Burmistrz. Hilary Clinton. Oprah Winfrey. Pani Goldofsky.

— Pani Goldofsky przychodzi do Knishery? Żartowałam. Oprah Winfrey?

— Ze dwa tygodnie temu.

— Jak mogłam to przegapić? Ustawiła się w kolejce?

— A co myślałaś? Wiesz, jak moi sobotni klienci lubią tych, którzy wciskają się bez czekania.

— To prawda. W zeszłą sobotę chciałam wziąć bez kolejki tylko kilka bajgli. Mało mnie nie zlinczowali. Musiałam iść do Hung — Goldsteins.

— Zdraj czyni.

n .. — Nie myślałeś o tym, żeby otworzyć jeszcze jeden lokal?

— Myślałem. Znasz hotel „New York, New York” w Vegas? Kilka lat temu właściciele chcieli, żebym otworzył u nich Knishery. Ale za dużo byłoby z tym kłopotu, musiałbym ciągle latać tam i z powrotem.

— Mógłbyś wyrobić sobie licencję na nazwę, a restaurację prowadziłby ktoś inny.

— Owszem, mógłbym, ale jak kontrolowałbym jakość? Coś nie przypadł mi zresztą do gustu pomysł zrobienia Disneylandu z mojej re-

stauracji. Kratts to już instytucja. Wygląda tak samo jak sześćdziesiąt lat temu.

Uśmiechnęłam się.

— Wiesz co, przychodzę do Knickerbocker od ponad dwudziestu lat. Tutaj też nic się nie zmieniło. Mój wkrótce —były —mąż zabierał mnie tu, kiedy zaczęliśmy się spotykać.

— Serio? Ja także przychodziłem tu z moją byłą żoną. Mam nadzieję, że nie spotkamy ich tutaj dzisiaj.

— Boże uchroni! Gdy byliśmy tu pierwszy raz, Harry Conick Junior, grał na pianinie i śpiewał. Zarabiał sto dolarów tygodniowo (przynajmniej tak nam mówił). Lubiliśmy z Cadem rozmawiać z nim, a on zawsze powtarzał, że któregoś dnia będzie sławny. Nie wierzyliśmy mu, rzecz jasna.

— Co najlepiej świadczy, że nigdy nic nie wiadomo.

Świetnie nam się z Michaeliem rozmawiało. Czas miło

upływał przy steku i wątróbce. Tak była sycąca, że chyba będę musiała spędzić całą noc na siedząco.

Słuchaliśmy Tessy Souter, wschodzącej gwiazdy nowojorskiej sceny jazzowej. Na perkusji akompaniował jej Victor Lewis, na pianinie Kenny Barron, a Russell Malone na gitarze. Kiedy Tessa skończyła swój występ, Michael podszedł do właściciela i coś mu powiedział. Zanim się zorientowałam, siedział przy pianinie i śpiewał It Had to Be You, a Victor i Russell mu towarzyszyli. Nie wiedziałam, czy mam być pod wrażeniem, czy też umrzeć. Nikt poza mną nie zwrócił uwagi na zmianę wykonawcy, uznałam więc, że najlepiej zrobię, rozluźniając się i słuchając, jak śpiewa, co wychodziło mu niemal równie dobrze jak mnie.

— Gdzie się nauczyłeś tak grać na pianinie? — zapytałam, gdy ponownie usiadł przy stoliku.

— Kiedy byłem mały, matka zmusiła mnie, żebym chodził na lekcje. Wtedy straszliwie z tego powodu cierpiałem, dopiero kiedy dorosłem, zrozumiałem, że dziewczyny lecą na muzyków. Chciałem się tym

zając zawodowo, ale zmarł mój ojciec i musiałem przejąć interes, zanim można by go sprzedać. Później się ożeniłem i musiałem mieć stałe źródło dochodu, zostałem więc przy restauracji. Czasem życie koryguje nasze marzenia, pewnie sama o tym wiesz najlepiej.

— Owszem, i szczerze tego nienawidzę. Myślisz, że jeszcze kiedyś się ożenisz?

— Jasne! Romantyczny ze mnie facet. Gdybym wybrał sobie inną żonę, myślę, że uwielbiałbym małżeński stan. A ty?

— Może. Ale tym razem wyjdę za gościa z forszą albo przynajmniej za kogoś, kto będzie porządnie zarabiał. — *Bez trudu potrafię sobie wyobrazić siebie jako połówkę słynnej pary z Manhattanu*, pomyślałam.

— W takim razie ja nie wchodzę w grę.

— Niestety, tego się obawiam — rzekłam współczująco. — Mam nadzieję, że nie będziesz z tego powodu zbyt cierpiał.

— Żartowałem. Ale ty nie, prawda?

— Ojej. Wybacz, rzeczywiście mówiłam raczej poważnie. Pierwszy raz wyszłam za mąż z miłości i proszę, do czego mnie to doprowadziło. Teraz jestem samotną matką z dwójką dzieci na utrzymaniu. Zero zabezpieczenia. Muszę myśleć praktycznie.

— Tak, rozumiem. Rachunek poproszę. — Michael skinął na kelnera. Chyba poczuł się obrażony.

— Michael, po prostu jestem z tobą szczerą. Poza tym, przecież nie chciałeś chyba prosić mnie o rękę.

— To prawda. Nie chciałbym się z tobą ożenić.

— Okropnie się czuję. Przepraszam cię. To był taki miły wieczór. Proszę, zapomnij o tym, co powiedziałam. W gruncie rzeczy poczciwy ze mnie człowiek, naprawdę.

— Nie wątpię. Rzecz w tym, że nie najlepiej się czuję, spędzając czas z kimś, kto uważa, że jestem nie dość dobry. Rozumiesz, prawda?

— Uważam, że jesteś wspaniały. Tylko nie jesteś tym, za kogo chciałabym wyjść. To nie to samo.

— Czyżby?

— Tak. Chcesz się ożenić z Żydówką?

— Myślę, że byłoby miło.

— Właśnie. Ja chcę wyjść za kogoś ważnego. No wiesz, prezesa wielkiej firmy albo sławnego aktora czy pisarza. Kogoś, kto odniósł spektakularny sukces.

— Są tacy, którzy uważają, że ja odniosłem spektakularny sukces. Na przykład moja matka zawsze to powtarzała. Osobiście szaleję na swoim punkcie.

Zaśmiałam się nieco nerwowo.

— Michaelu, jesteś wspaniałym człowiekiem. Ale znam siebie. Życie, o jakim marzę, jest drogie. Jeśli jeszcze kiedyś wyjdę za mąż, to tylko za kogoś, kto pozwoli moim córkom i mnie wieść życie na wysokim nowojorskim poziomie. Proszę, nie bierz tego do siebie. Nie możemy po prostu zostać dobrymi przyjaciółmi?

— Hm... chyba nie, Ivy. Ale nie biorę tego do siebie.

Rany, ależ schrzaniłam sprawę z Michaeliem. Uwielbiam tego faceta. Tyle że nie jest materiałem na męża dla mnie. Czy to zbrodnia, że chcę wyjść za kogoś z ambicjami? Czy czyni to ze mnie potwora? Dostałam porządną nauczkę. Nigdy już nie będę o tym rozmawiać z nikim poza Faith.

Posłałam Michaelowi wielki bukiet kwiatów i liścik ze szczerymi przeprosinami. Ale od tego wieczoru nasze stosunki uległy zmianie. Oczywiście Michael jak zwykle zachowywał się z uprzedzającą grzecznością. Był zbyt dobrze wychowany, żeby postępować inaczej. Ale pełen ciepła i przyjacielski Michael, jakiego znałam, odszedł. Ja zaś nie miałam pojęcia, co zrobić, by go odzyskać.

2. Kryzys tożsamości

Dwanaście najlepszych prywatnych szkół w Nowym Jorku było znanych jako Baby Ivys. Każdy nowojorski rodzic przeczulony na punkcie swojego statusu społecznego marzył, żeby jego dziecko uczęszczało do jednej z nich, gdyż stanowiło to przepustkę do uniwersytetów należących do grupy prestiżowych uniwersytetów Ivy League. Poza tym, co chyba jeszcze ważniejsze, mając dziecko w którejś z tych placówek, unikało się upokorzenia, gdy padało nieuniknione pytanie: „Do jakiej szkoły chodzi twoje dziecko?” Nazwy Baby Ivys można było wypowiadać głośno i z dumą. Nazwy drugo — i trzeciorzędnych szkół były zagłuszane kasznięciem, po czym następowała szybka zmiana tematu. Było oczywiste, że jeśli twoje dziecko nie uczęszcza do pierwszorzędnej szkoły, to twoja rodzina zalicza się do drugiej lub nawet — o zgrozo! — trzeciej kategorii.

Przed wyjazdem moich klientów na wakacje wspólnie ułożyliśmy listę szkół, do których złożą podania. Wszystkich zachęcałam, aby nie ograniczali się wyłącznie do Baby Ivys, ale pomyśleli także o wyborze dwóch innych szkół, bezpiecznych z punktu widzenia ich odbioru w nowojorskim środowisku. Zadanie nikomu nie stwarzało większych problemów, wyjątkiem były Tiny i Willow, które szukały środowiska przyjaźnie przyjaznego gejom i mogącego w pełni zaspokoić potrzeby niepełnosprawnych dzieci (co eliminowało wiele najlepszych szkół w mieście). Wendy Weiner również z trudem przychodziło ułożenie listy. W trzydziestu pięciu szkołach, które w zeszłym roku odrzuciły kandydaturę jej córki, występowała jako persona non grata. Zanim zdecydowałam się doradzić coś Wendy, zadzwoniłam do Eleanor Dubinsky, dyrektorki jej dawnego przedszkola, żeby się dowiedzieć, co było przyczyną tej kompletnej porażki.

— Dwie rzeczy — wyjaśniła Eleanor. — Po pierwsze: złożyła podania do trzydziestu pięciu szkół, a gdy podczas rozmów kwalifikacyjnych pytali ją, do jakich szkół jeszcze złożyła podania (o co zresztą zawsze pytają), bez żenady wymieniała pozostałe trzydzieści cztery. I

wszędzie brali ją za kompletnie świrniętą, co, tak na marginesie, jest prawdą.

Poza tym — ciągnęła Eleanor, teraz już szeptem — jak mam to ująć delikatnie? Ten jej głos. Kto chce przez trzynaście lat słuchać czegoś tak koszmarnego?

Osobiście podejrzewałam, że Eleanor miała coś wspólnego z odrzuceniem podań Wendy, gdyż nie chciała ponosić odpowiedzialności za przekazanie matki Winnie instytucjom, z którymi musiała stale współpracować.

Na podstawie tak przeprowadzonego wywiadu, doradziłam Wendy przenieść Winnie do mało znanego miejscowego przedszkola, aby Eleanor Dubinsky nie mogła więcej Winnie sabotować. Kazałam jej również składać podania pod nazwiskiem jej byłego męża i jemu zlecić udział w rozmowach kwalifikacyjnych rodziców. Włosy Winnie możemy przefarbować na blond, przedstawiać ją Winona jak —się —tam — jej —tata —nazywa i zacząć z czystym kontem.

Dopiero wtedy Wendy wyznała, że były małżonek jako taki nie istnieje. Winnie została poczęta w wyniku sztucznego zapłodnienia; nasienie pochodziło od anonimowego dawcy.

— W porządku — powiedziałam. — Weźmiemy jakiegoś aktora, żeby odegrał rolę taty Winnie. — Jak widzicie, nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych.

Wendy zajadle protestowała, nie dlatego, że była przeciwna podobnym wybiegom, ale dlatego, że nie chciała zrezygnować z czynnego udziału w przedsięwzięciu. W końcu się zgodziła, co prawda bardzo niechętnie, i to dopiero wtedy, gdy bez ogródek wyjaśniłam jej, że nie ma cienia szansy, aby którakolwiek z prywatnych szkół świadomie przyjęła jej córkę po tym, jak rok wcześniej ją odrzuciła. Jediną nadzieją dla Winnie było wyparcie się matki.

3. Wakacje w Southampton

Lato, które nadeszło po tym, jak straciłam męża, pracę i dom, okazało się najszcześniejsze ze wszystkich, jakie pamiętałam. Odkąd skończyłam szesnaście lat i legalnie mogłam pracować, stałam się jedną z tych nadmiernie odpowiedzialnych dziewcząt, które nigdy ani na chwilę nie przerywały pracy ze strachu przed niemożliwą do wytłumaczenia przerwą w zawodowym życiorysie. Wszystkie osobiste i zawodowe decyzje podejmowałam, pamiętając, że pewnego dnia będę się z nich tłumaczyła jakiemuś bezimiennemu, pozbawionemu twarzy pracodawcy, zastanawiającemu się, czy może mnie zatrudnić.

Tego lata musiałam jedynie udzielać korepetycji Ransomowi i Veronice, a także przygotować napisane przez Philipa eseje, żeby rodzice mogli je we wrześniu złożyć wraz z podaniami o przyjęcie do szkoły.

Philip na dobre zagościł w naszym życiu, ale nie w sposób romantyczny. Wrrrr! Szalenie mi się podobał, jednak sam na moje wdzięki pozostawał obojętny. Mimo to i tak byłam zachwycona, że zaczęliśmy się regularnie widywać. Ilekroć skończył kolejne wypracowanie, przynosił mi je osobiście i zwykle zostawał na kolację albo na drinka. Wyczekiwałam jego wizyt, a licząc się z tym, że może wpaść, codziennie starannie się ubierałam i nakładałam makijaż. Kiedy przyniósł ostatnie wypracowanie, rozpaczałam z powodu oczywistego braku jakiegokolwiek zainteresowania z jego strony moją osobą. Doszłam do wniosku, że uważa mnie tylko za przyjaciela lub — co gorsza — widzi we mnie kobietę w średnim wieku, matkę.

Na dwa ostatnie tygodnie sierpnia Faith zaprosiła mnie wraz z dziewczynkami do Southampton, gdzie wraz ze Stevenem mieli dom przy Gin Lane. Była to jedna z tych wartych dwadzieścia milionów dolarów posiadłości, na widok których człowiek się ślini, oglądając je w katalogu *Sotheby's Fine Home and Estate*. Faith (przy wydatnej pomocy

najlepszych dekoratorów, jakich można kupić za wielkie pieniądze) zrobiła z posiadłości wygodne i pełne ciepła siedlisko, pełne obrazów impresjonistów, pięknych dywanów, kolorowych tkanin i eleganckich drobiazgów. Dom, choć piękny i dopracowany w najdrobniejszych szczegółach, był jednocześnie przyjazny dzieciom. Każdego ranka razem z Faith biegałyśmy wzdłuż morza, później pływałyśmy w zimnym jak lód Atlantyku, następnie dawałyśmy nura do basenu z podgrzewaną wodą, kończąc wszystko nasia — dówką w jacuzzi. Dzieci całymi dniami skakały z trampoliny, jeździły na miniaturowych konikach, grały w kręgle, zdobywały ścianę do wspinaczki w pawilonie gimnastycznym Faith lub kąpały Sir Eltona. Wieczorami szef kuchni przygotowywał barbecue, które urządzaliśmy na plaży. Potem kładliśmy się na ustawionych na zewnątrz łóżkach i na umieszczonym pod gołym niebem ekranie oglądaliśmy filmy.

Faith namówiła mnie, żebym na długi weekend zaprosiła Philipa. Tak nalegała, że koniec końców nie mogłam nie ustąpić. Ku mojemu bezgranicznemu zdumieniu, przyjął zaproszenie. Przyjął zaproszenie!

Ponieważ Philip lada dzień miał przyjechać, poprosiłam Faith, żeby poleciła mi kogoś, kto zrobiłby mi woskowanie bikini, tak na wszelki wypadek. Stwierdziła, że najlepsza będzie czołowa na Wschodnim Wybrzeżu specjalistka od włosów łonowych, Francesca Gregorio. Słyszałam o niej, rzecz jasna, ale nie stać mnie było na wydanie dwustu pięćdziesięciu dolarów na doprowadzenie do porządku intymnych okolic mojego ciała.

— Żaden problem — powiedziała Faith. — We wtorki chodzi na wizyty domowe. Obu nam zrobi woskowanie. Ja stawiam. Co chcesz sobie zrobić?

— Zwykle woskowanie. Chociaż nie wiem, może zdecyduję się na bikini brazylijskie.

— Ivy, Ivy, Ivy — Faith ze smutkiem potrząsnęła głową. — To takie wczorajsze. Francesca jest artystką. Możesz sobie zrobić wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy. Możesz sobie zrobić całkowite woskowanie przodu. Albo, jeszcze lepiej, wymyśl sobie jakiś obrazek. Przy-

prowadzi ze sobą kolorystkę. Tym razem każę sobie zrobić truskawkę, ale wcześniej miałam już serduszko, wisienkę i tarczę strzelniczą.

— Farbuje i przycina włosy łonowe na truskawkę? Nie obraż się, Faith, ale to dziwactwo.

— Wygląda uroczo. Bikini w roślinne wzory to ostatni krzyk mody. Był o tym cały program na kanale E! Entertainment!

— Chyba mi umknął. Nie, poproszę tylko zwykłe woskowanie. Wołałabym nie mieć tam tarczy strzelniczej, gdyby doszło do czegoś z Philipem. To byłoby zbyt oczywiste.

Philip przyjechał w piątek wieczorem. Zostawiliśmy dzieci pod opieką weekendowej niani, sami zaś pojechaliśmy na kolację do Savannah, uroczej restauracji w pobliżu dworca. Był ciepły, piękny wieczór i siedzieliśmy w ogrodzie na tyłach lokalu. Steven zapytał, jak poznaliśmy się z Philipem, i ku mojemu wielkiemu zmieszaniu Philip zdradził, że zjawiałam się u jego drzwi z półmiskiem siekanej wątróbki.

— Odbiło ci, Ivy? — spytała Faith. — Przecież nikt nie lubi wątróbki. Nie wiedziałaś o tym? — Zwróciła się do Philipa. — Przyznaj się, na pewno pomyślałeś sobie, że jest trochę dziwna, prawda?

— Nie, wręcz przeciwnie, uznałem, że jest urocza — odparł, uśmiechając się do mnie.

Uważa, że jestem urocza! Podobam mu się. Naprawdę mu się podobam. Poczułam się jak Sally Field. Spokojnie, tylko spokojnie, upominałam się w duchu.

— I smakowała ci siekana wątróbka? — nie dawała za wygraną Faith.

— Nie, właściwie niespecjalnie. Wydaje mi się, że ze smakiem wątróbki trzeba dorastać — odpowiedział. — Wybacz, Ivy — popatrzył na mnie przepaszająco.

— Ludzie, nie czytacie „Gourmet”? Jest naukowo dowiedzione, że siekana wątróbka należy do sześciu potraw miłosnych. Wątróbka, poza tym ostrygi, figi, kawior, papryczki chili i czekolada. Haa —loo, to afrodyzjak — powiedziałam.

— Może dla Żydów, ale uwierz mi, dla nikogo poza tym — rzekła Faith.

— Nie wiecie, co tracie — obruszyłam się. — Jedliście kiedyś wątróbkę świeżo posiekaną? Mniemam. Już na samą myśl robi mi się ciepło.

— Według mnie najbardziej seksowne jedzenie to to, które przygotowuje ukochana — powiedział Philip.

Faith i mnie dosłownie zatkalo.

— Tak, to też — wychrypiałam, kiedy już udało mi się podnieść z podłogi szczękę.

Po kolacji Steven wraz z Philipem wyszli na cygaro. Faith i ja czekałyśmy na deser.

— Nie sądziłam, że Philip pali — zauważyłam po ich odejściu.

— I pewnie miałaś rację. Ale pokaż mi mężczyznę, który zrezygnuje z wielkiego kubańskiego cygara. To takie męskie. Tylko że teraz nie będziesz się mogła z nim całować — kpiła Faith.

— Ponieważ i tak jeszcze się z nim nie całowałam, nie sądzę, żeby przesiąknięty cygarem oddech stanowił jakiś problem.

— On jest słodki — stwierdziła Faith z powagą. — Ileż bym dała za jedną noc z takim ogierem.

— Faith, Philip nie jest ogierem. To cudowne dziecko, intelektualny gigant, złoty chłopiec pisarstwa. Prawda, ma świetny tyłek, ale to sprawa drugorzędna. A zresztą, czemu Philip miałby cię interesować? Przecież jesteś żoną jednego z najbardziej wpływowych mężczyzn na świecie.

— Wiem, kocham go do szaleństwa. Ale jest co najmniej trzydziści lat starszy od Philipa.

—1 wygląda wspaniale jak na faceta pod siedemdziesiątkę.

— Tak, wiem. Kiedy go poznałam, myśl, że mogłabym iść do łóżka z facetem starszym niż mój ojciec wydawała mi się odrażająca. Ale po-

tem urzekł mnie swoim bogactwem, władzą i urokiem. Teraz po prostu uwielbiam. Jednak w wypadku Stevena seksowne jest jego wnętrze. I bywa, że nic na to nie mogę poradzić. Wyobrażam sobie, że jestem z młodszym facetem. Czy to coś strasznego?

— Nie, zupełnie normalne — zapewniłam ją. *Jakbym miała jakiegokolwiek o tym pojęcie.* — Nie uwzględniliście w waszej umowie przedślubnej trójkątów? Zaproś do towarzystwa jakiegoś wspaniałego młodzieńca.

— Nie mogę. W umowie „trójkąt” jest określony jako jeden mężczyzna i dwie kobiety. Stevenowi marzy się czasem seks z lesbijkami.

— Och! — Zasłoniłam uszy — Nadmiar informacji, nadmiar informacji, la, la, la, la, la.

Zanosiliśmy się śmiechem, gdy nagle spostrzegłam zbliżającą się do naszego stolika małą istotę. Była to Veronica, moja uczennica, która była właśnie na kolacji ze swoimi czarującymi rodzicami, Stu i Patsy Needlemanami.

— Hej, śliweczko — powitałam ją. — Przedstawiam ci moją przyjaciółkę, Faith.

— Dobry wieczór, jestem Veronica, bardzo miło mi panią poznać — powiedziała grzecznie i uścisnęła rękę Faith. *Muszę, muszę, muszę nauczyć tego wszystkie moje dzieci natychmiast po powrocie.*

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu podszedł do nas Stu. Na twarzy miał poparzenie słoneczne drugiego stopnia i na jego widok człowiek dosłownie cierpiał. Zbliżyła się także Patsy, jak zwykle podążając dwa kroki za małżonkiem. Przedstawiłam ich oboje Faith. Stu zignorował ją kompletnie, Patsy zaś milczała, stojąc ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Wczoraj próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale mi się nie udało — oznajmił Stu oskarżycielskim tonem.

— Przepraszam cię, Stu, ale jestem tutaj od kilku dni.

— Pani Ames, powinienem móc się z panią skontaktować za każdym razem, gdy mam jakieś pytanie. Steven Lord rozszarpałby mnie na strzępy, gdybym choć przez jeden dzień nie stawił się w pracy, nie powiadamiając ważnych klientów, jak mogą się ze mną skontaktować. To było całkowicie nieprofesjonalne — wycedził.

— Dobrze, Stu, przyrzekam, że odtąd zawsze będziesz wiedział, gdzie mnie znaleźć — powiedziała, jednocześnie gryzmołąc na serwetce numer swojego telefonu komórkowego. Oj, przestawiłam dwie cyfry. Nienawidzę tego.

— Sprawa, którą do ciebie miałem, była niecierpiąca zwłoki — ciągnął Stu. — Chciałem, abyś pisemnie i ustnie podała mi pytania, których Patsy i ja możemy się spodziewać podczas naszej rozmowy kwalifikacyjnej.

Jakby nie można było poczekać z tym do zimy, kiedy przyjdzie czas na rozmowy Biedne Patsy i Veronica kulily się przed jego gniewem, choć tym razem nie na nie był skierowany. Faith siedziała z otwartą ze zdumienia buzią. Wiedziała, co sobie myśli.

— Jeszcze raz bardzo cię przepraszam, Stu. Od dzisiaj możesz się ze mną kontaktować zawsze, ilekroć tylko zajdzie taka potrzeba.

— Rozczarowałaś mnie, i wiesz, co zrobię — powiedział, grożąc mi tym swoim małym, kulfoniastym palcem. — Użyję wszystkich dostępnych Stevenowi Lordowi środków, żeby się z tobą policzyć, panienko.

Zwrócił się do mnie „panienko”?

— Och, Stu, pozwól, że przedstawię ci moich przyjaciół, Stevena Lorda i Philipa Goodmana — powiedziała, wskazując na naszych panów, którzy właśnie zjawili się za plecami państwa Needlemanów.

— O co chodzi z tymi wszelkimi dostępnymi środkami, których mam użyć przeciwko Ivy? — Steven nastawił czujnie wszystkie swoje anteny. Nie dlatego został jednym z najbogatszych ludzi na świecie, że był oferumą.

— Och, Steven, Stu tylko żartował — powiedziałam. Po co dodatkowo upokarzać dupka. Wciąż jest moim klientem. — Znasz Stu, nieprawdaż? To twój młodszy asystent.

— Nie, nie przypominam sobie, abyśmy się spotkali — rzekł Steven. — W którym dziale pracujesz?

Twarz Stu przybrała barwę jaskrawej purpury.

— Ropa i gaz, proszę pana.

— Cóż, miło cię poznać, Stuey — powiedział Steven i klepnął Stu w plecy. — Przyjaciele Ivy są moimi przyjaciółmi.

Steven usiadł.

— Och, proszę pana — zaczął jąkać się Stu. — Czy mógłby pan... czy byłoby możliwe... czy może pan zrobić mi ten zaszczyt... chciałbym zrobić sobie z panem zdjęcie...

— Jasne, masz aparat?

— Patsy, aparat — warknął Stu. Patsy natychmiast wyjęła z torebki aparat. Steven objął Stu ramieniem i obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu, podczas gdy Patsy robiła im zdjęcie.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Stu, niemal padając Stevenowi do stóp. — Nawet pan nie wie, ile to dla mnie znaczy.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Steven.

Podano deser. Był to sygnał dla Stu i Patsy, żeby się wycofać, co też pośpiesznie uczynili, ja jednak zdążyłam jeszcze uścisnąć Veronikę i przypomnieć o obiecanej wyprawie do salonu piękności we wrześniu.

Odchodząc, Stu zaczął oglądać zdjęcia w swoim aparacie cyfrowym.

— Rany boskie, kurwa jego mać, Patsy — powiedział. — Na każdym zdjęciu obcięłaś głowę Stevenowi Lordowi. Czy ty niczego nie potrafisz zrobić, jak należy?

Faith już otwierała usta, ale ją powstrzymałam.

— Faith, nawet nie zaczynaj. Stu to idiota, ale jego córeczka jest przeurocza. Mam szczerzy zamiar znaleźć jej wspaniałą szkołę, żeby choć w ten sposób wynagrodzić jej to, że musi mieć takiego gnoja za ojca.

— Ale czemu pozwalasz, żeby w ten sposób cię traktował? — spytała.

— Zapomniałaś już, że spędziłam czternaście lat w Myoki Bank? Przyjmowanie upokorzeń z wdzięcznością należało do moich codziennych ćwiczeń zen.

— Ivy, masz cierpliwość świętego — powiedział Steven. — Za Ivy — wzniosł toast i pozostała dwójka przyłączyła się do niego.

4. Seks na plaży

Po kolacji poszliśmy z Philipem do Driver's Seat na drinka przed snem. Była to jedna z najstarszych restauracji w mieście, broniąca się przed wpływami mody. W pierwszej sali znajdował się wykładany drewnem bar, za nią mieściła się część restauracyjna, było też patio na zewnątrz, ulubione przez odwiedzających lokal przyszlých Pięknych i Bogatych. Usiedliśmy z przodu, gdzie opalony barman przekomarzał się z klientami, przeważnie tubylcami.

Philip wlał w siebie kilka piw, ja ograniczyłam się do lampki wina. Usiłowałam wydusić z niego kilka słów o jego książce, przed czym wzbraniał się jak lew

— Niedługo — obiecał.

— Czy to coś, co mi się spodoba?

— Mam nadzieję — odparł. — Będzie w niej o tobie.

— Rany — powiedziałam. — Napiszesz o mnie w swojej książce? Nie wiem, co powiedzieć. Jeszcze nikt nic o mnie napisał.

— Powiedzmy, że zainspirowałaś mnie do napisania tej historii i bez ciebie nigdy by mi się to nie udało. — Ujął mnie za rękę, nachylił się i pocałował. Był to delikatny, przelotny pocałunek w usta, ale chyba w życiu nie zaznałam słodszej pieśczoćy. Jakaś część mnie marzyła, aby ta chwila trwała w nieskończoność — jak kolacja z pięćiu dań w Chanterelle. Z kolei druga część pragnęła rzucić się na Philipa tu i teraz, i namiętnie go posiąć. Zedrzyć z niego koszulę. Zanurzyć palce w porastających mu pierś włosach. Ścisnąć jego doskonale okrągłe kulki (cokolwiek by to nie było), wilgotnym, drżącym językiem spenetrować każdy zakamarek jego ciała. Dać mu rozkosz, jakiej żadna kobieta nigdy...

— Masz ochotę na spacer? — zapytał Philip.

— Jasne.

Kiedy wziął mnie za rękę, w żołądku zatańczyło mi tysiąc motyli. Zapomniałam już, co to znaczy być zakochaną. Ruszyliśmy Jobs Lane, dochodząc do Main Street. Oglądaliśmy wystawy pełne bibelotów tak niepotrzebnych, że mógł je kupić tylko znudzony milioner na wakacjach. Doszliśmy w końcu do Bookhampton, jednego z nielicznych sklepów otwartych do późna. Wpadłam na pomysł, żeby sprawdzić, czy wciąż jeszcze można dostać książkę Philipa. Była! Chciałam sobie kupić, ale Philip powiedział, że da mi egzemplarz autorski za darmo. Później wróciliśmy do domu. Faith ze Stevenem pojechali samochodem, ale my chętnie wróciliśmy piechotą. Noc była ciepła, a księżyc niemal w pełni. Ćwierkały jakieś bliżej mi nieznane stworzenia (może komary?). W powietrzu pachniało deszczem.

— Przepiękna noc, prawda? — powiedziałam, gdy tak wędrowaliśmy w ciemnościach.

— Rzeczywiście piękna — zgodził się Philip. Zatrzymał się, chwilę mi się przyglądał, po czym przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować tak gwałtownie i namiętnie, że po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co to naprawdę znaczy „rozpływać się w jego ramionach”. Philip Goodman, człowiek nad wyraz oszczędny w słowach, aż nadto dobitnie dawał mi do zrozumienia, co czuje.

Resztę drogi do domu Faith i Stevena pokonaliśmy w milczeniu.

— Czy mogę cię o coś zapytać? — zwrócił się do mnie Philip, gdy znaleźliśmy się przy furtce.

— Oczywiście.

— Gdybyś wieczorem pila, a rano obudziła się na plaży, kompletnie naga, nie mając pojęcia, jak się tam znalazłaś, powiedziałabyś o tym komuś?

Zastanawiałam się przez chwilę.

— Nie, zdecydowanie nie.

— Czy w takim razie pójdziesz ze mną na plażę? — zapytał.

Roześmiałam się.

— Teraz to wymyśliłeś?

— Nie, to taki stary dowcip. Dziwi mnie, że dałaś się nabrać.

— Jestem bardzo łatwowierna.

— To jak, idziesz ze mną na plażę? — powtórzył.

— Żartujesz?

— Nie, pytam poważnie.

— Dobra.

Wziął ze stojącej na zewnątrz lodówki dwa piwa i drewnianą ścieżką poszliśmy w stronę oceanu. Niebo skrzyło się od gwiazd.

— Chodź, usiądziemy — powiedział.

Usiedliśmy tuż przy wodzie, na ubitym piasku.

Zęby mi lekko szczękały, choć było ciepło i ani śladu wiatru. Zastanawiałam się, czy będziemy się kochać na plaży. W życiu nie odważyłam się na nic równie śmiałego, poza tym, szczerze mówiąc, trochę się obawiałam, że może to nie być najprzyjemniejsze. Milczałam jednak.

— Widzisz tam ten statek? — zapytał Philip. — — To liniowiec.

— Płynęłaś kiedyś takim?

— Owszem, a ty?

Popatrzyliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się. Czułam się niezręcznie. Philip nachylił się, ujął moją twarz w dłonie i delikatnie pocałował mnie w usta.

— Mm... — zamruczałam.

Nasze języki się zetknęły i dalej niespiesznie się całowaliśmy. Po chwili położyliśmy się na piasku, a nasze pieszczoty stały się bardziej namiętne. Nasze ciała przywierały do siebie, jak Burta Lancastera i Deborah Kerr w *Stąd do wieczności*.

— Nie miałam pojęcia, że tak może być. Nikt mnie nigdy nie całował tak jak ty — powiedziałam.

—Nikt?

— No właśnie, nikt — powiedziałam ze śmiechem i pocałowałam go znowu. Nagle nadbiegła fala i kompletnie nas oboje przemoczyła.

— Psiakrew, ale zimno! — krzyknęłam, zrywając się na nogi.

Pobiegliśmy wyżej.

— Pozbądźmy się tych mokrych ubrań — zaproponował Philip.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej — odparł.

— Dobrze. — Zaczęłam zdejmować spodnie i zauważyłam, że Philip jest już zupełnie nagi.

— Tak szybko się rozebrałeś? — zdziwiłam się.

— Nie mogłem się doczekać — powiedział. — Masz pojęcie, jak długo o tym myślałem?

— Naprawdę? — Bardzo mnie to ucieszyło.

Odrzuciłam ubranie za siebie, żeby nie porwała mi go

fala. W duchu błogosławiłam Faith za jej drużynę marzeń, ale i tak martwiłam się, co Philip pomyśli na widok mego nagiego ciała. Gdybyśmy byli w łóżku, mogłabym artystycznie udrapować na sobie prześcieradło, zakrywając kłopotliwe miejsca. Czy zauważył bliznę po cesarskim cięciu? Wyprostowałam ramiona i wypchnęłam pierś do przodu, by wyglądać na szczuplejszą. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że światło księżyca i drobinki oceanicznej wody podziałają jak łagodzący wszystko filtr.

Zerknęłam na Philipa i zauważyłam, że na jego ciele nie ma ani grama zbędnego tłuszczu. Gigantyczna erekcja czekała w pełnej gotowości, bym się nią zajęła. Jego nagie lędźwie zauroczyłyby mnie kompletnie, gdyby nie szorstki, drażniący piasek, którym pokryte miałam całe ciało. A jeśli miał też go trochę na penisie? Będzie bolało.

Znowu zaczęliśmy się całować. Wkrótce leżeliśmy spleceni w napiętym uścisku, a ja całkiem zapomniałam o piasku. Czując, jak jego muskularne ciało napiera na moje, robiłam się coraz bardziej wilgotna. Modliłam się w duszy, żeby bardziej odpowiadało mu moje miękkie i krągłe kobiece ciało Od tych kościstych młodych modelek, do których zapewne bardziej był przyzwyczajony. Pocałował mnie miękko w usta, później sięgnął niżej, do szyi, piersi i wreszcie... czy woskowanie bikini dobrze wypadło? *O MOJ BOŻE! Nie tylko jest przepiękny, ale też nadzwyczaj szczodry w łóżku, na plaży, czy gdzie tam jeszcze.* Jęknęłam.

Miłosne uniesienia zakłócił nam hałas jadącego plażą jeepa. Philip uniósł głowę. Przyłożył do ust palec. Siedzieliśmy cichuteńko jak myszki, nie śmiejąc się poruszyć. Mimo to jeep zatrzymał się tuż obok.

Wysiadł z niego mężczyzna z latarką i ruszył ku nam.

— Cholera — powiedziałam.

— Ciii — skarcił mnie i usiadł. — Ja będę mówił.

Mężczyzna zatrzymał się obok nas i skierował światło latarki prosto na moje cycy. Dam sobie głowę uciąć, że zrobił to celowo.

— Chyba nie wiecie, że przebywanie nago na tej plaży jest niezgodne z prawem.

— Nie, proszę pana — powiedział Philip. — Nie zdawaliśmy sobie sprawy. Zaraz się ubierzemy.

— Obawiam się, że będę musiał was aresztować.

5. Szokujące nowiny

Jezu, przecież nie mogą mnie aresztować za przebywanie nago na plaży. Faith nie da mi żyć.

— Co! Nie, bardzo proszę, panie władzo, nie. Niech pan nas nie aresztuje. Zaraz się ubierzemy i pójdziemy sobie. Nikt nie musi się dowiedzieć — błagałam.

Co za koszmar!

— Przykro mi, takie jest prawo.

— Panie policjancie, niech pan zaczeka — odezwał się Philip. — Mieszkamy tutaj, w domu pana Stevena Lorda. Może z nim porozmawiamy. Jestem przekonany, że pomoże to jakoś wyjaśnić.

— Ach, goście pana Stevena Lorda. O —ho —ho. — Gliniarz namyślał się chwilę, po czym wrócił do jeepa wezwać posiłki.

Wstałam, żeby wziąć swoje ubranie.

— Nie ruszać się! — wrzasnął policjant, kierując na mnie światło latarki. — Ręce do góry!

Stałam, zupełnie naga, z uniesionymi rękami, a policjant oświetlał mnie swoją latarką. Było to okropne, ale jednocześnie mi schlebiało.

— Hm... proszę pana, czy nie moglibyśmy usiąść? — zapytał Philip.

— He? Och, tak — powiedział gliniarz.

Klapnęłam na piasek jak głaz. Po kilku minutach rozległo się wycie policyjnych syren i czerwone migające światło rozjaśniło niebo nad domem Faith. Grupa nastoletnich chłopaków, którzy zrobili sobie imprezę kawalek dalej na plaży, podeszła zobaczyć, co się dzieje. Stanęli za gliniarzem i chichocząc, gapili się na nas, jak byśmy byli w cyrku. Najbardziej pryszczaty wyciągnął komórkę z aparatem i zrobił nam zdjęcie. Czułam się jak wsiowa zdzira. Dobra, wiem. Siedziałam na plaży, nagu-

sieńka jak mnie Pan Bóg stworzył, obok faceta również w stroju Adama, ale mimo wszystko!

- — Co jest, w życiu nie widziałeś gołej baby? — syknęłam do Pryszczola.

- — Nigdy takiej, co jest w wieku mojej mamy — odpyskował, trącając się z kolesiami.

Co za upokorzenie. W domu Faith zaczęły się zapalać światła. Po kilku minutach Steven wraz z Faith w identycznych szlafrokach schodzili po drewnianych schodach wiodących na plażę, zmierzając ku dwóm gliniarzom. Miałam nadzieję, że nie przeszkadziliśmy w żadnym zapisanym w kontrakcie seksie.

- — Czy to pańscy goście, proszę pana?

- — Tak, są z nami — powiedział Steven. Faith kryła się za plecami męża, starając się zapanować nad atakiem śmiechu.

- — Cóż, skoro tak, wyjątkowo puścimy im to płazem. — Gliniarz zwrócił się do nas. — Następnym razem załatwajcie to w domu — ostrzegł. Przeniósł wzrok na smarkaczy — Dobra, chłopaki, przedstawienie skończone. Czy wasi rodzice wiedzą, że jesteście o tej porze poza domem?

Ha, ha, macie za swoje. Teraz wam się dostanie. Kiedy gliniarz się odwrócił, pokazałam im palec. A co tam, niech wiedzą, że potrafię być równie niedojrzała, jak oni.

Sobota zapowiadała się tak wspaniale, jak tylko wczasowicz bawiący w Southampton mógł sobie wymarzyć. Trzydzieści stopni w południe, lekki wietrzyk, na niebie tak delikatne obłoczki, że nie warto o nich nawet wspominać. Steven zabrał Philipa swoim helikopterem do Sag Harbor obejrzeć nowe pole golfowe, które właśnie budował. Lecieć siedem kilometrów helikopterem to co prawda lekka przesada, ale podejrzewam, że to normalka, jak się ma za dużo pieniędzy.

Pokazywałam dziewczynkom, jak buduje się najprawdziwszy zamek z piasku. Mae i Lia napępniały mokrym piaskiem wiaderka, zaś Skyler i Kate skupiły się na konstrukcji. Zbudowałyśmy gigantyczne

wzgórze z czterema wieżami na szczycie, otoczonymi przez grube ukośne mury.

— Zbudujmy fosę — zaproponowała Skyler.

— Świetny pomysł, każdy porządny zamek musi mieć fosę — zgodziłam się.

Pokazałam im, jak wykopać głęboki kanał okrążający wzgórze, a następnie na podobieństwo węża skręcający ku wodzie. Za każdym razem, gdy przychodziła fala, nasza fosa wypełniała się wodą. Było super. Dzieci chciały pogłębić fosę, zostawiłam je więc i dołączyłam do Faith. Sir Elton ucinał sobie drzemkę pod plażowym parasolem.

— Dobra, chcę poznać każdy najdrobniejszy szczegół — powiedziała Faith, odkładając gazetę. — Dobrze się całuje? Jakie ma ciało? Nie widziałam, bo przez cały czas siedział. Doszliście do końca, czy też ten glina wam przeszkodził?

— Faith, nie zadawaj mi takich pytań. Nie należę do osób, które się całują, a później o wszystkim opowiadają.

— Daj spokój, przecież to ja. Powiedziałam ci przecież, co jest w naszej umowie przedmałżeńskiej. A to jest ściśle tajne.

— Dobrze już, dobrze. Całuje super, nie ma grama tłuszczu i nie, nie udało nam się tego zrobić. Ten głupi gliniarz wszystko popsuł. Może dzisiaj, zobaczymy. Skończyłaś już czytać „Arts”?

— Skończyłam. Masz — powiedziała Faith. Obie zignorowałyśmy pierwszą stronę i dział miejski. W czasie wakacji wolałyśmy żyć w błogiej nieświadomości.

Zadzwoiła moja komórka. Wygrzebałam ją spod kupy rupieci w swojej plażowej torbie. Dzwoniła Bonnie, moja dawna asystentka.

— Ivy — zaczęła z wahaniem. — Znasz już najnowsze wieści?

Nigdy dobrze nie wróży, gdy ktoś w ten sposób zaczyna rozmowę.

— Jakie wieści? — zapytałam.

— O tragedii w Myoki, słyszałaś?

Żołądek podszedł mi do gardła. Skupiłam całą swoją uwagę, z przeżeniem czekając na to, co miałam usłyszeć. Dobrze wiedziałam, że na pewno zepsuje mi to wakacje. .

— Trzy osoby nie żyją — powiedziała Bonnie.

— Co? Co się stało? O mój Boże, kto umarł?

— Wiceprezes, wicedyrektor i sekretarka.

— Jak to się stało? O mój Boże.

— Co? Co? — dopytywała się Faith. Podniosłam rękę, żeby ją uciszyć.

— Mieliśmy wyjazd integracyjny do Everglades. Ja też pojechałam, żeby pomagać Draytonowi. Po twoim odejściu zrobił mnie swoją asystentką. Nieważne, w każdym razie szefostwo skończyło właśnie pływać z aligatorami. Pamiętasz ubiegłoroczny wyjazd, kiedy pływaliście z delfinami? No, tym razem Dayton chciał, żeby to było coś bardziej zbliżonego do rzeczywistości.

— Nie wierzę, że Myoki zgodziło się na coś takiego. Jeździli na aligatorach? — zapytałam.

— No, niezupełnie. Pływaliśmy w mokradłach, o których wiadomo, że żyją w nich aligatory. Chodziło o to, żeby się bać, ale mimo wszystko to zrobić. Mieliśmy wykład o przywódcach, którzy mimo wielkiego ryzyka robią swoje. Pływanie miało dać nam szansę spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy i pokonać je. Wszystko świetnie się udało. Później uczciliśmy to grillem na łodzi. Kiedy jedliśmy, konsultanci zorganizowali na tylnym pokładzie chodzenie po rozżarzonych węglach. Mówili, że jak człowiekowi uda się przejść boso po palących się węglach, to znaczy, że poradzi sobie ze wszystkim. Zdaje się, że już kiedyś organizowali podobną zabawę na tej łodzi, ale tym razem coś się nie udało. Od węgla zajęły się deski pokładu i łódź stanęła w ogniu, jak gdyby ktoś polał ją benzyną. Wszystko stało się tak szybko. Nikt nie miał kamizelek ratunkowych.

— Co zrobiłaś?

— Wskoczyłam. Jak zresztą wszyscy. Ale żeberka z grilla też wpadały do wody i to zwabiło aligatory. Pływały wszędzie dookoła. Najpierw rzucały się na jedzenie, później zaatakowały nas. Przyjechała łódź ratunkowa, ale nie na tyle szybko, żeby wszystkich uratować.

— Bonnie, nie potrafię sobie tego wyobrazić. — Od samego słuchania tej opowieści zapierało mi dech. — Co z Draytonem i Konradem? Uratowali się?

— Drayton nie żyje. Olive Armstrong także. Ona przyszła na twoje miejsce, kiedy cię zwolnili.

— Co? — przerwałam oburzona. — Znaleźli kogoś na moje miejsce? To dranie. Podobno mnie zwolnili ze względów oszczędnościowych. Przynajmniej tak mówili.

— No tak, ale znasz przecież Myoki. Tam nikt nigdy nie mówi prawdy. Ale chcesz posłuchać do końca?

— Jasne, przepraszam.

— Sekretarz Konrada, wiesz, ten autor piosenek; nie żyje. Ivy, teraz będzie najgorsze. Byłam tuż obok Draytona, kiedy z wody wyskoczył aligator. Drayton mnie złapał. Myślałam, że chce mnie ratować. Ale on zasłonił się mną jak tarczą. Dasz wiarę? Jakoś, choć sama nie wiem jak, udało mi się dać nura pod niego i aligator rzucił się na Draytona. I zaczął nim wywijać na wszystkie strony. Aligatory tak właśnie robią. Wywijają, a następnie topią swoje ofiary. Zanim je pożrą, rozdzierają je na strzępy, kawałek po kawałku. Wiedziałaś o tym?

— Nie, nie miałam pojęcia. Nigdy o tym nie słyszałam. A co z Konradem?

— Żyje, jeśli o to ci chodzi. Ale stracił połowę twarzy, w tym także nos. Już nigdy nie będzie wyglądał tak samo.

— O mój Boże, ta idealna twarz. — Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co Konrad bez niej pocnie.

— No właśnie. Założę się, że teraz straci także pracę — powiedziała Bonnie. — Na jego stanowisku estetyczne standardy są bardzo

ważne. Nie wytrzyma konkurencji. Po co mają go trzymać, skoro już się nie nadaje na okładkę rocznego sprawozdania?

— Pewnie masz rację. A ty? Wciąż masz pracę?

— Nie wiem — odparła Bonnie. — Wróciliśmy dopiero wczoraj wieczorem. Jeśli dam radę, może pójdę we wtorek albo w środę i wtedy wszystkiego się dowiem. Znasz Myoki, każdy pretekst jest dobry, żeby przeprowadzić reorganizację.

— Bonnie, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, cokolwiek, prosz bez wahania.

Rozłączyłam się i opowiedziałam wszystko Faith. Sięgnęłyśmy po gazetę i od razu rzucił nam się w oczy nagłówek: Trzech członków kadry kierowniczej pożartych żywcem podczas nieudanej wyprawy

— Faith, zdajesz sobie sprawę, że to ja mogłam umrzeć, gdyby Drayton nie wysiadał mnie z pracy? Kobieta, która przyszła na moje miejsce, została zjedzona. — Jak ktoś, komu nie udało się zdażyć na samolot, który się rozbił, nie wiedziałam, co sądzić o moim szczęściu. Prawdę rzekłszy, chciało mi się krzyczeć, wiwatować i skakać z radości: „Alleluja, ja żyję, ja żyję! Dzięki ci, słodki Panie Jezu, ja ŻYJĘ!”. Ale to byłoby w złym guście. W skrytości ducha, chociaż wiem, że nie do pomyslenia byłoby wypowiedzenie tego na głos, uważałam, że Drayton i Konrad dostali to, na co sobie w pełni zasłużyli. Tak jest. Pomyślałam to. Potraktowali mnie podle, więc Pan Bóg ich pokarał, mam rację? Byli pazernymi lizodupami i w końcu dostali za swoje. Po uszy w aligatorach, ha, ha, ha! W słownych gierkach zawsze byłam mocna. O Boże, nie do wiary, że myślę o takich rzeczach. Co za potwór ze mnie?

Panie Boże w niebiosach, wybac mi. Cofam wszystko. Jestem pewna, że Olive Armstrong była wspaniałym człowiekiem, chociaż dostała moją pracę. I sekretarz — autor piosenek, który tak marzył o karierze w teatrze muzycznym — stracony na wieki. Błagam cię, Boże, pobłogosław tym ludziom. Naprawdę szczerze współczuję im i ich rodzinom. I żałuję wszystkich tych idiotycznych, zupełnie nie na miejscu myśli, jakie mnie naszły. Byłam w szoku. Dziękuję ci, Panie Boże, za zrozumienie i za to, że mi w kwestii wybacysz.

Nie potrafiłam dobrze się bawić, wiedząc, że Drayton, Olive i sekretarz — autor piosenek zginęli tak koszmarną śmiercią. Był jeszcze Konrad, Twarz. Jak chirurg, który stracił ręce, co on teraz ze sobą pocznie? Wciąż sobie wyobrażałam, jak to jest być gryzionym, przeżuwany i wyplutym przez aligatora. Czy umiera się natychmiast, czy też człowiek czuje, jak rozdziera się jego ciało i pękają kości? Nie, to zbyt okropne, żeby o tym myśleć. Jednak myśl, że w Myoki będą może potrzebowali wyższej kadry kierowniczej, była dziwnie intrygująca.

W sobotę wieczorem, kiedy wszyscy leżeli już w łóżkach, wślizgnęłam się do sypialni Philipa.

— Nie mogę spać — wyszeptałam.

Philip uniósł kołdrę i gestem zaprosił mnie do siebie. Położyłam się w rozgrzanej ciepłem jego ciała pościeli i przytuliłam do niego. Pocałował mnie czule. Miał taki delikatny dotyk. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio czułam, że ktoś się tak o mnie troszczy. Z oczu popłynęły mi łzy. Nic nie mogłam na to poradzić.

— Co się stało? — zapytał szeptem, głaszcząc mnie po włosach.

— Sama nie wiem. Okropnie się czuję, kiedy myślę, co spotkało tych ludzi, z którymi kiedyś pracowałam. A gdybym ja tam też była? Moje dziewczynki nie miałyby matki. Nie mogę przestać o tym myśleć.

— Cii. Nic ci nie grozi. — Tym razem pocałował mnie mocniej. Później przesunął twarz niżej i ugryzł mnie w szyję.

— Lubisz, kiedy tak robie? — zapytał, rozpinając mi nocną koszulę. Jeśli sądził, że uda mu się odwrócić moją uwagę od tragedii w Myoki, to się nie mylił.

— Mm... Jak miło.

— A teraz? — wyszeptał, ssąc moją pierś.

— O tak, nie przestawaj, proszę.

Zdjął ze mnie koszulę i wsunął rękę w moje majtki. Zanim je zdjął, pieścił mnie powoli i delikatnie. A kiedy zsunął się i zaczął mnie tam

całować, jakże byłam sobie wdzięczna, że nie pozwoliłam sobie zrobić roślinnego wzoru. Spojrzał na mnie.

— Dobrze ci?

Mogłam tylko chwycić się kurczowo łóżka i jęczeć z rozkoszy. Pochyliłam się i wciągnęłam go na siebie. Dłużej nie mogłam już czekać. Poszukałam jego erekcji. Pragnęłam go w sobie i pragnęłam go natychmiast. Poruszał się we mnie tak gwałtownie, że elegancka deska u wezłowia łóżka waliła o ścianę, a sprężyny skrzypiały przy każdym ruchu. Łup! Skrzyp! Lup! Skrzyp! Staralam się nie jęczeć i nie krzyczeć zbyt głośno, żeby nie obudzić wszystkich w domu. Niepotrzebnie się martwiłam. Faith wyznała mi później, że przykryli sobie głowy poduszkami, aby stłumić dochodzące z naszego pokoju odgłosy. Mam nadzieję, że nie oznacza to, że więcej nigdy mnie już nie zaproszą.

Gdy w końcu zaspokoiliśmy naszą żądzę, wtuliłam się w ramię Philipa i zasnęłam jak kamień.

W nocy obudził mnie koszmarny sen. Drayton spychał mnie z łodzi w kotłujące się od aligatorów mokradła. On, Konrad i cała reszta kierownictwa Myoki umierali ze śmiechu, patrząc, jak staram się umknąć potężnemu aligatorowi z dwoma rzędami wielkich i ostrych jak brzytwy zębów. Kiedy bestia zamknęła moją nogę w śmiertelnym uścisku straszliwych zębisk, zbudziłam się przerażona i zlana zimnym potem. Oddychaj, oddychaj, oddychaj, powtarzałam sobie. Nagle dostrzegłam kogoś siedzącego spokojnie w fotelu do czytania naprzeciwko łóżka. Żołądek skoczył mi do gardła. To był Drayton.

6. W domu Andy'ego

Pewnie myślicie, że zwariowałam. Drayton nie żył. Ale klnę się na życie moich dzieci, że to był on. Idiotyczne. Sprawdziłam, czy aby na pewno nie śpię. Czy mógł to być aż tak realistyczny sen? Nie, z całą pewnością nie spałam. Na pewno mam halucynacje. Spojrzałam na śpiącego smacznie obok mnie Philipa, później na Draytona. Uśmiechnął się do mnie. Oj! Wielki Boże, mam nadzieję, że nie patrzył, kiedy się kochaliśmy. Nie. Skończ z tymi rysztozkowymi myślami. Potrząsnęłam Philipem.

— Philipie, obudź się. Miałam straszny sen. Możesz mnie przytulić, proszę?

Philip uśmiechnął się i zamknął mnie w mocnym uścisku. Podniosłam wzrok, ale Drayton zniknął. Po pół godziny, kiedy nabrałam pewności, że Drayton już nie wróci, powiedziałam Philipowi dobranoc i szybko przemknęłam do swojego pokoju. Philip i Drayton dostarczyli mi wystarczająco dużo rozrywek jak na jedną noc. Musiałam się trochę przespać.

W niedzielę rano padał deszcz, później jednak roz pogodziło się w mgnieniu oka, jak gdyby Pan Bóg przekreślił wyłącznik pogody. Choć wciąż jeszcze byłam przygnębiona tragedią w Myoki, znalazłam dość sił, żeby wybrać się na brunch w starej posiadłości Andy'ego Warhola w Montauk. Lordowie byli zapraszani na wszystkie najlepsze przyjęcia.

Gospodarzem dzisiejszego było biuro nieruchomości Allana M. Schneidera. Posiadłość Warhola, do nabycia za jakieś nędzne pięćdziesiąt milionów dolarów, składała się z głównego budynku z siedmioma sypialniami, dwóch domków gościnnych, domu dla służby, domu gospodyni, stajni i basenu. Zajmowała pięćdziesiąt hektarów niezagospodarowanej ziemi z dwustumetrowym dostępem do oceanu — rzecz niesłychana w Harnptons, gdzie niemal każdy metr kwadratowy był zabudowany. W przeszłości gościły ty same znakomitości, jak Liza Minnelli, Elizabeth Taylor, Jackie Kennedy Onassis czy Mick Jagger. Za-

proszony był właściwie każdy, kogo było stać na wypisanie czeku na pięćdziesiąt milionów — przemysłowcy, gwiazdy mediów, filmu, rapery, piosenkarze, spadkobiercy i spadkobierczynie. Na terenie posiadłości mogło wylądować tylko siedem helikopterów jednocześnie.

Pożegnaliśmy się z dziewczynkami, zajętymi tworzeniem arcydzieł z papier mache pod okiem Victorii, weekendowej niani i dawnej nauczycielki w przedszkolu Spence. Faith wszystkie swoje opiekunki podkradała najlepszym prywatnych szkołom.

— Mamusiu, spójrz. Robię ptaszka — powiedziała Skyler.

— A ja robię SpongeBoba — poinformowała mnie Kate, z dumą prezentując swoje kwadratowe dzieło.

Mae robiła penisa we wzwodzie. Jak nam wyjaśniła, miała to być ryba. Zapewne się domyślacie, co mi chodziło po głowie. Lia pracowicie lepiała wielką kluchę.

— Piękne rzeczy robicie, dziewczynki, prawda, Faith? — powiedziałam.

— Zdecydowanie mają wybitny talent — przytaknęła.

Brunch serwowała firma Loaves and Fishes, w której lokalu za pół kilograma sałatki z homara trzeba było zapłacić siedemdziesiąt dolarów. Przybyli goście stanowili promil najbogatszych ludzi na ziemi, plus kilkoro takich jak ja na do — czepkę. Zjawili się tacy potentaci biznesu, jak Henry Kravis i Ron Perelman, wraz z drugimi lub trzecimi zjawiskowo pięknymi żonami. Ira Rennert nie przybył. Miał w Sagaponak rezydencję o powierzchni dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych, wartą sto milionów dolarów, z dwudziestoma dziewięcioma sypialniami, trzydziestoma pięcioma łazienkami i parkingiem na ponad sto samochodów. W porównaniu z tym... posiadłość Andy ego to nędzna działka letniskowa.

Na każdym kroku człowiek potykał się o same sławy. Serce waliło mi jak oszalałe z podniecenia, ale na zewnątrz byłam spokojna jak Budda, zblazowana i obojętna. Tak właśnie zachowują się nowojorczy w obecności sławnych ludzi. Christy Brinkley. Jerry Seinfeld. Jasne. Spo-

ko. Co mi tam. Billy Joel. Paul Simon. Czy ja pana znam? P Diddy. Alec Baldwin. Nuda. Matthew Broderick. Sarah Jessica. Rachunek proszę. Philip i ja tylko się wszystkim przyglądaliśmy, ponieważ ani on, ani ja nie znaliśmy nikogo osobiście. Szczerze mówiąc, czułam się nieco zawiedziona, że żadna z gwiazd nie wykazywała ochoty na zawarcie z nami znajomości. Nie mając z kim porozmawiać, postanowiliśmy zwiedzić posiadłość na własną rękę. Osobiście bardziej odpowiadał mi dom Faith, co prawda tańszy o jakieś trzydzieści milionów, ale cóż, taka już jestem.

W domu gospodyni znaleźliśmy sypialnię.

— Hej, sprawdźmy, co jest w tej szafie — powiedział Philip.

Zajrzałam. Zwykła garderoba w połowie wypełniona ubraniami. Nic specjalnego.

— Musiałbyś zobaczyć garderobę Faith, to dopiero robi wrażenie — zauważyłam.

— Lepiej tu wejdz.

— Co jest? — zapytałam.

Philip przyciągnął mnie do siebie i namiętnie pocałował. Zamknął drzwi i zaczął mnie rozbierać.

— Ty rozpustniku — roześmiałam się, kiedy byliśmy już nadzy

Boże, ależ ekscytujące stało się moje życie. Z Cadem nigdy nie od dawaliśmy się cielesnym rozkoszom poza zaciszem małżeńskiego łóżka. A teraz, proszę, co wyczyniam! Uprawiam gorący, wyuzdany seks w domu gospodarza posiadłości Andy'ego Warhola. Sięgnęłam po penisa Philipa w pełnej erekcji, po czym osunęłam się na kolana, by wziąć go do ust. I wtedy w sypialni rozległy się głosy. Instynktownie daliśmy nura głębiej, kryjąc się za wiszącymi ubraniami. Jakiś facet z silnym południowym akcentem oprowadzał zwiedzających po domu. *Błagam, nie otwieraj tych drzwi. Nie otwieraj tych drzwi.* Otworzył.

— Tutaj znajduje się garderoba. Wygląda jak normalna garderoba, jaką wszędzie można zobaczyć. Z tym, że w tej akurat w kącie za ubra-

niami chowa się dwoje nagich ludzi. — Wszyscy wybuchli śmiechem. Mężczyzna zamknął drzwi i wycieczka ruszyła dalej. Biorąc pod uwagę liczbę ochroniarzy obsługujących przyjęcie, doprawdy za cud trzeba uznać to, że jeszcze nie zostaliśmy aresztowani.

Gdy przedpole było czyste, błyskawicznie się ubrałam.

— W życiu nie zostałam przyłapana nago, do tego dwa razy w ciągu jednego weekendu. Do ilu razy sztuka? — warknęłam.

— To się na ogół zdarza, kiedy człowiek pieprzy się w miejscu publicznym — powiedział Philip.

— Cóż, może jestem pruderyjna, ale odtąd będziemy uprawiać seks wyłącznie dyskretnie. Gdyby Faith i Steven dowiedzieli się, że znowu nas przyłapano, w życiu nigdy by mnie już nie zaprosili. Nie ryzykuje się takich rzeczy, kiedy jest się oficjalnie zapraszonym do Hamptons, Philipie — powiedziałam ze złością.

— Och, uspokój się. Może pójdziemy coś zjeść?

— Dobry pomysł — zgodziłam się. — Zabierajmy się stąd.

Dołączyliśmy do kolejki przed ulokowanym nieopodal basenu bufetem. W wodzie z krzykiem i pluskiem baraszkowały dzieciaki. Przy stolikach delectowali się frykasami dorośli wystrojeni w kreacje od Versace, promującego swoją najnowszą kolekcję. Zespół reggae śpiewał piosenki Boba Marleya, dodając przyjęciu atmosfery z Wysp Karaibskich. Przypominało to raczej bufet w hotelu Ritz —Carlton na Jamajce niż w domu na sprzedaż.

— Skosztuj sałatki z homara — poradziłam Philipowi. — Podobno jest wyśmienita.

— Hej, ja cię znam.

Podniosłam wzrok. Pryszczol nakładał sobie na talerz tony tłustego żarcia, na które na pewno nie miał ochoty.

— To ciebie widziałem wtedy w nocy na plaży Mamo, tato, są tutaj! Ci ludzie, o których wam mówiłem. Ci nadzy dorośli.

Serdecznie ci dziękuję, Pryszczołu, że obwieszczasz ten jakże mało istotny fakt. Czemu nie weźmiesz mikrofonu, żeby wszyscy przy basenie mogli cię usłyszeć?

— Musiałeś nas pomylić z kimś innym — powiedział cicho Philip.

— Nie, to byliście wy — upierał się Pryszczol. Wyciągnął komórkę, ponaciskał kilka guziczków i zanim zdążyłabym powiedzieć „abracadabra”, pojawiło się nasze zdjęcie, nagich i na plaży. Pierwszy raz w życiu ujrzałam siebie nagą na zdjęciu. *Oho! Wyglądam całkiem, całkiem, na pewno dzięki ćwiczeniom.* Zastanawiałam się, jak by tu go poprosić o wydruk.

— Widzicie! — Gówniarz podniósł aparat do góry, żeby wszyscy mogli sobie obejrzeć. — Widzicie! Widzicie! A nie mówiłem?

Philip wyrwał mu telefon z ręki. Po czym cisnął go do basenu, bezpowrotnie niszcząc jedyne moje znośne zdjęcie na golasa, jakie ktoś kiedykolwiek mi zrobi.

— Hej, gościu, co robisz! — zawył Pryszczol. — Maa — moo!

— To był drogi telefon — zasyczała jego matka. — Mam nadzieję, że pan za niego zapłaci.

— Dostał, na co zasłużył, pokazując nagie zdjęcie obcych ludzi, stojących obok w kolejce — oznajmił Philip.

Tydzień, który nastąpił po Święcie Pracy, był dla mnie nad wyraz trudny. Z jednej strony rozpierała mnie radość z rozkwitającego wspólnie związku z Philipem, z drugiej wciąż nie mogłam się otrząsnąć z tragedii w Myoki. Wieczorami długo nie mogłam zasnąć, a kiedy w końcu mi się to udawało, śniły mi się nieprzyjemne, pełne przemocy sny. Zawsze budziłam się z męczącym poczuciem, że wydarzyło się coś okropnego. A kiedy wszystko mi się przypominało, nie mogłam przestać myśleć o tym, jak mnie zwolnili. Gdyby to się nie stało, znalazłabym się na tonącym statku podczas idiotycznej imprezy zorganizowanej przez bank.

Ponieważ dostałam drugą szansę, postanowiłam niczego tym razem nie schrzanić. Nigdy więcej nie tkwić w nieudanym związku, nie pro-

wadzić przyjacielskich pogawędek z ludźmi, których tak naprawdę nie-
nawidzę, ani nie wykonywać nie lubianej pracy. Przysięgam sobie nie
zwracać uwagi na to, czego inni ode mnie oczekują, tylko słuchać wła-
snego serca i odtąd robić to, na co ja mam ochotę. Koniec z przejmowaniem się przyziemnymi sprawami. Kogo obchodzi, czy wyglądam
grubo, czy mam głęboką zmarszczkę na czole albo czy jestem żałosna,
kupując sobie odlotową firmową torbę. Mnie na pewno nie. Teraz je-
stem ponad to. Żałując czasu zmarnowanego na zamartwianie się bzdu-
rami, teraz postanowiłam skupić się na tym, co naprawdę ważne — by-
ciu spełnioną matką, pracą nad sercem, nie figurą, jedzeniu warzyw
świeżych, nie mrożonych, przeżywaniu w pełni każdej chwili i poświę-
caniu się tak istotnym sprawom, jak pokój i głód na świecie.

Klnę się na wszystko, że odtąd zawsze będę sobie zadawała pytanie:
„Co zrobiłaby Matka Teresa?”. Kilka tygodni później zmodyfikowałam
je nieco — teraz brzmiało: „Co zrobiłaby Ivana Trump?”. Może dziw-
nie to brzmiało, ale wcale takie głupie nie było. Ivana jest piękną, silną
kobietą, przede wszystkim zaś wspaniałą matką. Była nikim i poślubiła
miliardera. Później nakryła go z kochanką, jak ja Cada. Zrobiła sobie od-
stęp do głów operację plastyczną i stała się jeszcze piękniejsza. Matka
Teresa może jest święta, ale Ivana to bogini.

7. Ekstremalna metamorfoza

W piątek zabrałam Veronikę na sesję upiększającą do Kiddie Cuts Salon and Spa, w nagrodę za wyuczenie się odpowiedzi do testu kwalifikacyjnego, w czym pomogłam jej wbrew zdrowemu rozsądkowi. Patsy wybrała się z nami i, jak nigdy dotąd, była rozluźniona i skora do rozmowy. Włosy Veroniki najpierw zostały nieco rozjaśnione, a następnie słynna stylistka zrobiła jej sięgającą brody fryzurkę, w której było jej nad wyraz do twarzy. Po południu specjalizujący się w korygowaniu brwi gwiazd Pablo DiSorrento poświęcił pełne dwie godziny — rzecz niespotykana — na doprowadzenie do porządku jej zrosniętych brwi, za co policzył sobie podwójnie. Dzięki temu, jak i delikatnemu woskowaniu wąsika, można było w końcu w pełni podziwiać buzię małej, która okazała się nad wyraz urocza. Choć wciąż jeszcze nieco zbyt pulchna, Veronika była gotowa do ubiegania się o swoje miejsce w każdej prywatnej szkole. Kiedy na koniec kupiliśmy jej w Saks wyszczuplający czarny strój z lnu, czarne zapinane na pasek skórzane buciki i koronkowe skarpetki, Veronika oznajmiła, że aby zakończyć ten dzień w sposób idealny, ma ochotę pójść do McDonalds na Big Maca i do Serendipity na mrożoną gorącą czekoladę.

— Patsy, czy Veronika często chodzi do McDonald's? — zapytałam, gdy popijałyśmy naszą mrożoną gorącą czekoladę.

— Och, jada tam przynajmniej raz dziennie, a zdarza się, że i dwa razy — odparła Patsy. — W McDonald's albo w Wendy's. Chodzimy raz tu, raz tam.

— A desery? Czy codziennie chodzi do Serendipity?

— Ivy, wiem, do czego zmierzasz. Veronica jest trochę za ciężka, czy tak?

— Owszem, jest za ciężka. Nie wydaje mi się, żeby taka waga była dla niej zdrowa.

— Na dodatek wszystko, co je, dosłownie topi w coca —coli — poskarżyła się Patsy.

— Słucham?

— Zanim włoży cokolwiek do ust, musi to najpierw zamoczyć w coli — jajka, czereśnie, herbatniki, frytki z McDonald's, dosłownie wszystko.

— Nie możesz podawać jej coli dietetycznej?

— Spróbuję. Uważasz, że sztuczny cukier jest dla niej niezdrowy?

— Na pewno jej nie służy. A może zamiast coli zaczęłaby pić soki warzywne?

— Nie, chyba nie. Veronica szczyci się tym, że nic, co jest zielone, nigdy nie skalało jej ust.

— Hm... Czy dużo ćwiczy?

— Startuje w tych zawodach „dzieci z żelaza”, ale nigdy do nich nie trenuje. Poza lekcjami tańca większość jej zajęć wymaga raczej wysiłku intelektualnego.

Intelektualnego? Głuptaski takich słów nie używają. Co ten Stu wygadywał? Przecież Patsy jest naprawdę bystra.

— Ojej — powiedziała Veronica, wylewając na stół swoją czekoladę. Natychmiast pojawiła się kelnerka, żeby posprzątać bałagan.

— Nie przejmuj się — szepnęła do Veroniki. — Zaraz ci przyniosę następną.

— Patsy, uważam, że powinnaś zastosować Veronice niskokaloryczną dietę i zmusić ją, żeby zaczęła ćwiczyć. W zerówce dzieci zapewne nie będą jej dokuczać, ale z wiekiem to się zacznie zmieniać. Ja byłam gruba i koleżanki z klasy zamieniły mi życie w piekło. Boże broń, żeby w szkole inne dzieci się z niej naśmiewały.

— Masz rację. Zawsze czułam się winna, że ona jest taka duża. Okropna ze mnie kucharka, idę więc na łatwiznę, to znaczy fast foody.

Beznadziejna ze mnie matka, do niczego — zaczęła się uskarżać. Do-
szłam do wniosku, że powtarza słowa Stu.

— Nie, to nieprawda. Razem ułożymy program odchudzający dla
Veroniki. Wpadnę w poniedziałek i zaplanujemy dietę, poszukamy ja-
kichś szybkich przepisów i zrobimy listę zakupów. W „Big Apple Pa-
rent” poszukamy zajęć ruchowych, na które mogłaby zacząć chodzić.

W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że w ramach służbowych
obowiązków będę chodziła do salonów piękności, kupowała ubrania,
zajmowała się dietą, ćwiczeniami sportowymi i służyła pomocą psycho-
logiczną. Zdumiewało mnie moje poświęcenie i zastanawiałam się, czy
„Wall Street Journal” nie napisałby o mnie artykułu. *Zapamiętać: na-
tychmiast zająć się akcją promocyjną.*

W następnym tygodniu miały się odbyć warsztaty pod hasłem „Jak
przeżyć zapisy do prywatnej szkoły”. Spodziewałam się dwudziestu
pięciu, może trzydziestu uczestników. Rzeczywiście, zapisało się trzy-
dzieścioro rodziców, trzydziestu kolejnym musiałam odmówić. Jeśli
wszystko pójdzie dobrze, to z całą pewnością zorganizuję kolejne zaję-
cia. Weekend upłynie mi na przygotowaniach. Zawsze bardzo się de-
nerwowałam, mając występować publicznie.

8. Dzielna Ivy

Znając swoje szczęście, mogłam się spodziewać, że w dniu, w którym miały się odbyć warsztaty, w Nowym Jorku rozszaleje się huragan. Przez cały tydzień oglądaliśmy prognozy pogody, właściwie nie wierząc, że huragan Hannah dotrze tak daleko na północ. Ostatni raz podobną burzę odnotowano 27 września 1990 roku, kiedy na miasto uderzył huragan Bob. Doskonale to pamiętam, gdyż tego właśnie dnia brałam ślub. Ludzie starali się wmówić mi, że huragan w dniu ślubu to zapowiedź wielkiego szczęścia, ale ja wiedziałam swoje. Fryzjer czeszący osobistości, Oscar Beauman zdążył mi umyć włosy, kiedy wysiadł prąd. Jak miał mi wysuszyć i ułożyć włosy w tym najważniejszym w moim życiu dniu? Połowa gości w ogóle się nie pokazała. Rabin udzielił nam ślubu przy blasku świec, co akurat wypadło bardzo dobrze. Nie było muzyki, tańców, obiadu, a tort się rozpuścił. Do dzisiaj się zastanawiam, czy w ten sposób Pan Bóg nie dawał nam do zrozumienia, że nie pochwala tego związku.

Choć huragan Hannah zmierzał ku nam, meteorolodzy przewidywali, że uderzy na długo przed moimi warsztatami. Stało się inaczej. Kiedy zdecydowałam się je odwołać, większość miasta była pozbawiona prądu, komórki nie działały, nie miałam więc jak zawiadomić ludzi, żeby nie przychodzili. Władze zalecały nie opuszczać domów i zabezpieczyć okna, oklejając je taśmą. Co za głupota. Jak zwykła taśma może zabezpieczyć okna przed pędzącym z prędkością 160 kilometrów na godzinę wietrzyskiem? Archi się jednak zjawił i pomógł mi to zrobić, tak na wszelki wypadek. To jedna z korzyści mieszkania pod Nagim Cieślą.

— Myślisz, że ktoś przyjdzie na warsztaty? — zapytałam Philipa.

— Coś ty, wykluczone.

— Pewnie masz rację, ale chciałabym zostawić informację, że zajęcia są odwołane.

— Zwariowałaś? — zdenerwował się Philip. — Zapowiadają huraganowe wiatry. W powietrzu będą fruwać najróżniejsze rzeczy. To zbyt niebezpieczne.

— Muszę powiesić zawiadomienie. Na pewno nikt nie przyjdzie, ale gdyby jednak mimo wszystko ktoś się zjawił, chcę, żeby miał mnie za profesjonalistkę. — Wciąż miałam w pamięci chamskie oskarżenia Stu, które dwa tygodnie temu wygłosił pod moim adresem w Southampton.

— Dobra — powiedział Philip. — Idę z tobą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ruszy się w taka pogodę z domu, ale jeśli to dla ciebie takie ważne, to chodźmy.

Przyszedł Archie, żeby popilnować dziewczynek, ale Skyler nie chciała się zgodzić.

— Mamusiu, proszę cię, nie idź. Jest huragan. Musisz zostać w domu.

— Kochanie, idę tylko powiesić zawiadomienie, żeby moi klienci wiedzieli, że warsztaty są odwołane. Niedługo wrócę.

— A co ze mną i Kate? Co z Sir Eltonem? — szlochała.

— Archie się wami zaopiekuje. Wrócę najszybciej, jak się da.

— Nienawidzę tych twoich głupich klientów — powiedziała Skyler.

Podeszłam do mojej małej córeczki i mocno ją przytuliłam.

— Skyler, nigdzie bym nie szła, gdybym nie musiała. Potrzebujemy naszych klientów, żeby mieć pieniądze. A oni potrzebują mnie i mojej pomocy.

— Tak jak ja i Kate — powiedziała ze smutkiem.

— O Boże, może jednak nie powinnam iść — mruknęłam.

Skyler westchnęła.

— Nie martw się o mnie, jakoś przeżyję. Boże uchwyc, żebym narażała na szwank twoją karierę.

Gdzie ona się tego nauczyła? — zastanowiłam się. *Ach tak, ode mnie.*

Archie zawołał Skyler do pokoju. Razem z Kate tańczyli tam przy dźwiękach radia na baterie. Skyler pobiegła do nich.

Cierpiałam, zostawiając moje dzieci, ale nie miałam wyboru. Ledwo wyszliśmy z Philipem na zewnątrz, kiedy mój parasol wywrócił się na drugą stronę, rozdarł i odfrunął. W szalejącym wietrze i strugach ulewnego deszczu prawie nie dało się oddychać.

— To wariactwo — krzyknął Philip. — Wracajmy

— Nie, muszę iść. Ty wracaj. Poradzę sobie — odkrzyknęłam.

Plecak miałam kompletnie przemoczony, tak jak i wszystko w środku, razem z kartką, którą zamierzałam wywiesić. Ale postanowiłam się nie poddawać. Philip mnie nie odstąpił. Doszłam do wniosku, że gotowość, z jaką zdecydował się ryzykować zdrowie i życie, dobitnie świadczy o jego oddaniu.

— Metro jest nieczynne — wrzasnął, kiedy w końcu udało nam się dotrzeć do kolejki. Z jakiegoś balkonu sfrunął leżak i omal mnie nie zabił.

— Jasna cholera — krzyknęłam. Rzeczywiście zaczynało to wyglądać na skrajną głupotę z mojej strony. Brnęliśmy dalej, chwytając się ścian budynków, żeby nie dać się przewrócić wicherze. Zatrzymała się przejeżdżająca policyjna furgonetka.

— Co robicie na ulicy? — wydarł się gliniarz. — To niebezpieczne, schowajcie się gdzieś.

— Muszę się dostać do matki, na rogu Osiemdziesiątej Siódmej i Lex — odkrzyknęłam. — Jest stara i boi się być sama.

Gliniarz machnął ręką, żebyśmy wsiedli do furgonetki i powiedział, że nas podwiezie. Dzięki ci, Panie Boże. Już i tak byłam przemoczona

do suchej nitki i kompletnie wyczerpana. Z całą pewnością nie doszłabym pieszo na Osiemdziesiątą Siódmą.

Kiedy dotarliśmy do kościoła, w którym miały się odbyć warsztaty, zatkało nas ze zdumienia. Siedząc cierpliwie na tych koszmarnych dla tyłków krzeselkach, które można znaleźć w każdej kościelnej piwnicy jak Ameryka długa i szeroka, czekało na mnie trzydzieścioro zmokniętych i rozczochranych rodziców, gotowych poznać tajniki zapisów do prywatnych przedszkoli.

Przedstawiłam się i oznajmiłam, że zajęcia są odwołane.

— Przyjdźcie za tydzień o tej samej porze i wtedy porozmawiamy.

— Chwileczkę — odezwał się jeden z ojców. — Przeszliśmy prawdziwe piekło, żeby dotrzeć tutaj w tej burzy. Jesteśmy przemoczeni. I zmęczeni. Ale jesteśmy. Proszę, niech pani tego nie odwołuje. Te informacje, które ma nam pani przekazać, są nam naprawdę potrzebne. Jeśli nie przyjmą naszych podań w Trinity czy w Horace Mann, jesteśmy załatwieni. Muszę nalegać, aby warsztaty odbyły się dzisiaj, jak pani obiecała. Wzięła pani nasze pieniądze. Proszę poprowadzić zajęcia. — Pozostali rodzice z zapalem kiwali potakująco głowami. Ciekawe, czy za chwilę przemienią się w rozjuszony tłum.

— Ludzie, powariowaliście czy co? Szaleje huragan. Zostawiliście swoje dzieci, narażacie własne życie. I po co? Żeby posłuchać, co zrobić, żeby wasze dzieci dostały się do prywatnych szkół? Matko, gdzie wasz rozsądek? — zdenerwował się Philip. Boże, ale był seksowny, kiedy brał sprawy w swoje ręce.

Wyglądało na to, że tatuś prowodyr nie bardzo wie, co powinien zrobić. Malutka kobiecina, przypominająca zmokłego syjamskiego kota, starała się wynegocjować kompromis.

— Bardzo prosimy — powiedziała. — Przyszliśmy tutaj. W tej chwili na dworze jest zbyt niebezpiecznie. Czemu nie może nam pani powiedzieć tyle, ile się da? Ktoś może obserwować pogodę i kiedy huragan trochę przycichnie i będzie można wyjść, skończy pani. W ten sposób będziemy mogli przynajmniej zacząć. W przyszłym tygodniu dokończymy, co pani na to? — Wysunęła dolną wargę, przechyliła na

bok głowę i zaczęła popiskiwać jak smutny proszący szczeniak. Spojrzałam na pozostałych rodziców, którzy z takimi samymi minami zgodnie wtórowali jej piskom.

Och, jakie to żalodne. Tylko ja mogłam uratować jakoś sytuację. Popatrzyłam na Philipa, który wznosił oczy do nieba. Skąd może wiedzieć, ile to znaczy dla tych rodziców? Jacy poczują się opuszczeni i bezradni, jeśli ich zawiodę?

— Dobrze — powiedziałam odważnie. — Zrobię to.

Poczułam się jak na haju. Po raz pierwszy w życiu pomagałam ludziom w potrzebie i bardzo mi się to podobało. Jak tylko trochę schudnę i nabiorę formy, zgłoszę się na ochotnika do straży pożarnej. Przy wtórze wiatru, zawodzącego dziko za oknami, dzielnie wygłosiłam wykład. Wy tłumaczyłam tym pełnym poświęcenia matkom i ojcom, jak trzeba napisać wspaniałe wypracowanie do podania. Philip obserwował pogodę i powiadomił nas, kiedy huragan na dworze nieco osłabł. Wszyscy rodzice z wyjątkiem dwojga pognali do domu, zanim nastąpi kolejny atak wiatru i ulewy, uprzednio wymusiwszy na mnie obietnicę, że za tydzień się spotkamy i wtedy do końca wyjaśnię im, jak przebiegają zapisy.

Kiedy wszyscy już wyszli, podszedł do mnie stary bogaty facet. Skąd wiedziałam, że jest nadziany? Wystarczyło spojrzeć na jego kosztowną żonę, wystrojoną w autentyczną Chanel i Manolo Blahnika, z jedną z tych toreb od Hermes z czarnej krokodylej skóry, na które trzeba się zapisywać. Ostatnio widziałam taką na eBay za jedyne 27 000 dolarów, choć właściwie podobnej nie szukałam. Zdecydowanie trzeba mieć kupę kasy, żeby podczas huraganu paradować w markowych ciuchach.

— Zanim się rozstaniemy, chciałbym, żeby rzuciła pani okiem na wyniki testu ERB naszego syna — poprosił mężczyzna.

Philip, wyraźnie zniecierpliwiony, nie mógł się już doczekać, kiedy wyruszymy w drogę powrotną, ja jednak zgodziłam się przejrzeć na szybko wyniki. Oboje wydawali się zdenerwowani. Gdy zobaczyłam wyniki, od razu się zorientowałam, czemu tak jest. W każdej kategorii chłopczyk otrzymał mniej niż 50 procent.

— Wychowujemy kretyna, prawda? — rzekł ze smutkiem mężczyzna.

— Proszę, niech pan nie będzie śmieszny. Pięćdziesiąt procent to przeciętny wynik. Mnóstwo dzieci kiepsko zdaje testy. Co wcale nie oznacza, że w późniejszym życiu nie odniosą sukcesu — wyjaśniłam. — Ani się ważcie krzywo na syna patrzeć wyłącznie z tego powodu. Jestem przekonana, że to wspaniały dzieciak.

— Na tyle wspaniały, żeby dostać się do Harvard Day albo Horace Mann? — zapytała kobieta. — Czy z takim wynikami ma szanse?

— Obawiam się, że to raczej mało prawdopodobne.

Po twarzy kobiety popłynęły łzy.

— Dlaczego? Dlaczego tak się stało, Sidney? — krzyczała, grzmocząc męża po piersiach. — Co jest nie tak z Ethanem? Czy to nasza wina? Zadzwoń do kogoś. Zapłać komuś. Jak masz zamiar to załatwić, Sidney? Jak, pytam, no jak?

Sidney stał otepiały, nic nie mówiąc. Niezwykle teatralna scena.

— Bardzo mi przykro — powiedziałam, wręczając mu swoją wizytówkę. — Jeśli pan do mnie zadzwoni, na pewno będę mogła coś doradzić. Może uda się znaleźć jakąś alternatywną szkołę. Na razie jednak uważam, że najlepiej będzie, jak wrócimy do domu, zanim pogoda się nie pogorszy

— Czy możemy państwa podwieźć? — zaproponował Sidney

— Och, byłoby wspaniale — ucieszyłam się. — Może nas pan podwieźć do domu Philipa? — Musiałam chronić swój wizerunek, nie mogłam się więc przyznać, że i ja tam mieszkam.

Dzięki Sidneyowi i jego żonie marki Chanel do domu wróciliśmy bentleyem. Uznałam to za dobry znak na przyszłość. Niestety, nie dla Ethana, który był skazany na sprawienie swoim rodzicom zawodu.

9. Atmosfera się zagęszcza

W październiku Lilith Radmore —Stein popadła w obsesję. Tkwiła w niezachwianym przekonaniu, że w umieszczeniu Ransoma w Stratmore Prep, jedynej szkole, na której naprawdę jej zależało, może pomóc jedynie metoda nacisku bezpośredniego.

Lilith zatrudniła Intelligent Choice, firmę doradzającą przy wyborze ławy przysięgłych, aby jej specjaliści dokonali analizy każdego członka zarządu szkoły. Mieli jej doradzić, kogo można będzie przekupić i jakich argumentów należałoby użyć. Spotkałyśmy się z Lilith przy marmurowym antycznym stoliku z krzesłami w stylu Ludwika XVI, w sali konferencyjnej jej biura. Johnny nie przybył, bawił zapewne na zawodach polo w Argentynie. Gdy się zebraliśmy, Lilith całą swoją uwagę skupiła na Pani Butterworth. Kiedy mały szczekacz polizał ją w twarz, Lilith ucałowała jego mordkę.

— Taka kochana z ciebie psina, prawda, malutka Butterworth? Jesteś córeczką mamusi, tak? Tak, jesteś, jesteś. Taaak! — Miło było widzieć, że Lilith ma jednak w sobie odrobinę ciepła dla kogoś.

Usiedliśmy.

— Ivy — zwróciła się do mnie Lilith. — Ile miejsc w tym roku Stratmore Prep przeznaczyła dla nierodzeństwa i nie — potomków absolwentów?

— Boże, Lilith, nie mam pojęcia. Szkoły nigdy nie ogłaszają takich informacji z wyprzedzeniem.

— Ivy, Lilith Radmore —Stein nie rozumie znaczenia słów „nie wiem”. Żądam odpowiedzi — oznajmiła spokojnie. — Zadzwoń do kogo trzeba. Do biura burmistrza, rady rodziców czy samej szkoły. Nadajesz się chyba do pracy, do której cię zatrudniłam? Jeśli tak, to podaj mi, kurwa, cholerną odpowiedź na moje proste pytanie. Czy wyrażam się wystarczająco jasno? — Jak na wymienianą w setce najbogatszych

czasopisma „Fortune” panią prezes, Lilith miała słownictwo co najmniej rynsztokowe.

— Owszem, jasno nad wyraz. I jak najszybciej udzieli ci odpowiedzi — odparłam spokojnie.

Psiakrew, chyba powinnam wiedzieć takie rzeczy, pomyślałam. Wieczorem wysłałam e-mail do Tipper. Może zadzwoni do Stratmore Prep i się dowie. Nienawidzę wychodzić na idiotkę przed klientami.

Lilith przedstawiła Morta Small —Podda, prezesa Intelligent Choice. Mort przystąpił do prezentacji z użyciem aplikacji PowerPoint, dokonując analizy każdego z dyrektorów Stratmore Prep, ze szczegółami omawiając ich osobiste lub zawodowe słabe punkty. Konsultant sugerował, jaką przysługę może Lilith, wykorzystując swoje koneksje, wyświadczyć każdemu po kolei członkowi zarządu, żeby Ransom Radmore —Stein bez problemu został przyjęty do szkoły:

<i>Członek zarządu</i>	<i>Przysługa</i>
James Fritz	pozbyć się kochanki
Erie Redd	załatwić pracę w Dreamworks dla syna
Biff Hyatt	znaleźć dawcę szpiku dla jego matki
Buzz Wendel	załatwić zgodę amerykańskiej Agencji do spraw Żywności i Leków na wprowadzenie do sprzedaży produkowanego przez jego firmę zestawu do iniekcji botuliny typu A bez recepty
Murray Miller	załatwić zgodę miasta East Hampton na budowę lądowiska dla helikopterów
Arthur Quinn	wyeliminować jego rywala, George'a Maisela, z konkursu na stanowisko prezesa American National Foods
Frederick Thomas	załatwić mu przeszczep włosów tak, aby nie było to widoczne
Skippy White	zapobiec wrogiemu przejęciu jego firmy White Star
Cornie Nelson	zmusić prokuratora generalnego do wycofania zarzutów o niepłaceniu podatków

--	--

Pan Small —Podd przedstawił następnie kilka diagramów, wskazujących, co Lilith powinna uczynić, aby wyświadczyć wszystkie te przysługi. Na przykład aby wymóc na prokuratorze generalnym wycofanie zarzutów przeciwko Cornie Nelsonowi, powinna w każdej ze swoich gazet zamieścić artykuły o zerwanym niedawno romansie prokuratora z szesnastoletnią dziewczyną jego syna. Pan Small —Podd podkreślił, że wystarczy, aby Lilith zaskarbiła sobie wdzięczność tylko jednego z członków zarządu, a inni podpiszą się pod jego rekomendacją i dyrektor do spraw naboru będzie musiał się dostosować.

— Co o tym sądzisz, Ivy? — spytała Lilith, drapiąc Panią Butterworth za uszkiem.

Sądzę, że wylądowałam po uszy w gównie. Oto, co sądzę. I chcę się skontaktować z moim adwokatem.

— Cóż... — zaczęłam powoli.

Myśl. Myśl. Myśl. To chyba jest niezgodne z prawem.

— Uważam, że Ransom doskonale sobie poradzi z testami ERB — powiedziałam. — Świetnie rozwiązuje testy, które z nim przeprowadzam, a jeśli chodzi o symbole i układanki, robi wręcz niesamowite postępy. Oboje z Johnnym wypadnicie wspaniale podczas rozmowy kwalifikacyjnej, podobnie zresztą jak Ransom. Wydaje mi się, że wystarczy może nieco staromodna, ale zawsze skuteczna obietnica sporej darowizny i sprawa będzie załatwiona.

— Podchodząc do tego w proponowany przez ciebie sposób, Ivy, jakie Ransom ma szanse na przyjęcie? Stuprocentowe?

— Jedyną osobą w Nowym Jorku, mającą stuprocentowe szanse na przyjęcie swoich dzieci do prywatnej szkoły, była jak dotąd Caroline Kennedy. — Nie musiałam dodawać, że daleko Lilith do Caroline Kennedy. — Sądzę, że szanse Ransoma wynoszą jakieś 80, 85 procent przy

podejściu tradycyjnym, które ci proponuję. Ale takie same szanse mają wszyscy inni.

Lilith uśmiechnęła się, oprócz zębów pokazując również dziąsła. Ciekawe, czy jakiś chirurg dentysta mógłby coś na to poradzić.

— Mnie to nie wystarcza — oświadczyła spokojnie.

— Lilith, to spore ryzyko starać się wywierać nacisk na członków zarządu Stratmore Prep w sposób tu proponowany — powiedziałam. — Przyjęcie darowizny w imieniu szkoły to jedno, ale tutaj mówimy o wyświadczeniu prywatnych przysług. Niektórzy nazwaliby to przekupstwem.

Lilith popatrzyła na mnie, jakbym się urwała z choinki, i zwróciła się Morta:

— Proszę pana, jeśli postąpię zgodnie z pańskimi sugestiami, jak będą wyglądały szanse Ransoma?

— Będą stuprocentowe, Lilith. Jeżeli zastosuje się pani do moich zaleceń, gwarantuję, że w przyszłym roku Ransom założy blezer Stratmore Prep.

— Doskonale — uśmiechnęła się Lilith. — Ivy — kontynuowała — ty doradzasz nam w sprawie testów Ransoma, naszych wypracowań i rozmów kwalifikacyjnych. Natomiast panu Small —Poddowi zlecam zajęcie się tą fazą przedsięwzięcia.

Co rzekłszy, wstała i wyszła, pozostawiając mnie sam na sam z panem Small —Poddem w nad wyraz eleganckiej sali konferencyjnej.

Och, pracujemy jako zespół, czy tak? Zupełnie jak Johnnie Cochran i Robert Shapiro.

— Ivy, jestem przekonany, że wspólnie będzie się nam razem pracowało — zagruchał pan Small —Podd. — Mam nadzieję, że z moich rad skorzystasz również w wypadku innych swoich klientów.

— Zobaczmy najpierw, co z tego wyniknie, Mort. Ale na pewno rozważę twoją propozycję. — Po moim trupie, pomyślałam w duchu.

10. Taksówkarz o złotym sercu

Po spotkaniu z Lilith złapałam taksówkę, żeby popędzić do biblioteki publicznej. Musiałam sprawdzić, czy mogę wylądować w pudle za to, co zamierzała zrobić Lilith. W starych, dobrych czasach zasięgnęłabym porady prawnika. Dzisiaj na taki luksus nie mogłam sobie pozwolić.

— Proszę na róg Czterdziestej Drugiej i Piątej.

Kiedy zmierzaliśmy w stronę centrum, zorientowałam się, że zostawiłam torbę na zakupy od Barneysa w sali konferencyjnej Lilith. Psiakrew. — Proszę pana, zapomniałam czegoś w budynku, z którego przed chwilą wyszłam. Mógłby pan zawrócić i chwilę na mnie zaczekać? Może pan zostawić włączony licznik.

— Żaden problem — odparł taksówkarz. Był wielkim Hindusem o łagodnej twarzy.

— Zawsze powinna sobie pani robić listę, żeby niczego nie zapomnieć — powiedział, jak tylko wsiadłam z powrotem do jego taksówki. — Ja zawsze tak robię. Niczego nie umiem zapamiętać. Niech pani spojrzy, to moja lista. — Przytrzymał ją, abym mogła sobie obejrzeć:

- ABC
- urząd skarbowy
- mleko
- bilet na samolot
- zadzwonić do Sanjeev

— Wybiera się pan do sklepu z dywanami ABC? — zapytałam, jak zwykle wtykając nos w nie swoje sprawy.

— Nie, muszę zadzwonić do stacji ABC. Robią reportaż o moim życiu.

*Koniec świata! Reportaż o życiu taksówkarza. Końca cudów nie wi-
dać.*

— Cóż takiego niezwykłego jest w pana życiu, że aż chcą robić o nim reportaż?

— Widzi pani, od dwudziestu lat jeżdżę taksówką po Manhattanie. Przez cały ten czas oszczędzałem wszystkie napiwki, nie chodziłem z rodziną na kolacje, do kina, nie wydawałem na ubrania. Pracując po piętnaście godzin dziennie, zaoszczędziłem dosyć, żeby otworzyć szkołę dla dziewcząt w wiosce, z której pochodzę, Doobher Kishanpur. W mojej wsi wiele dziewcząt nie umiało czytać ani pisać. Ale teraz jest inaczej. Teraz mają własną szkołę. Nosi imię mojej matki, Ram Kali, która nigdy nie nauczyła się ani czytać, ani pisać. W Nowym Jorku jestem ciężko pracującym, ale ubogim imigrantem. W Doobher Kishanpur jestem filantropem — powiedział z dumą. — I ABC chce zrobić o tym reportaż.

— Rany! To niesamowite. Otwarcie szkoły musiało pana kosztować majątek.

— W Indiach za pieniądze można kupić dużo więcej niż w Nowym Jorku. Rocznie posyłam na szkołę dwa i pół tysiąca dolarów. Opłaca się z tego pięciu nauczycieli, budynek szkoły, książki, mundurki i wszystko, co trzeba. W tej chwili mamy sto osiemdziesiąt dziewczynek, ale otwieramy liceum dla pięciuset.

— Jak decydujecie, kto może chodzić do szkoły? Czy dziewczynki składają podania? — Zastanawiałam się, czy zapisy do szkoły dla dziewcząt w Indiach przebiegają podobnie jak te w Nowym Jorku.

— Jeśli rodzice przyprowadzą dziewczynkę do szkoły, my ją przyjmujemy. Jeśli chce się uczyć, my ją uczymy. Nasza szkoła jest prosta. Uczennice siedzą na podłodze i piszą na małych tabliczkach.

— To naprawdę niesamowite, panie...

— Sharma, Om Dutta Sharma. Teraz mamy już fundację i wszyscy mogą na nią łożyć. Jak przejdę na emeryturę, sprzedam moją odznakę taksówkarza i przekażę pieniądze szkole. W Ameryce wszyscy myślą tylko o sobie. Ale dużo ważniejsze jest, żeby dawać innym, nie sądzi pani?

— Tak, ma pan rację. Chciałabym dać panu jakieś pieniądze — powiedziałam. — Dzisiaj nie mam przy sobie zbyt wiele, ale proszę, tu jest czterdzieści dolarów.

— Jest pani bardzo hojna. To wystarczy na miesięczną pensję dla nauczyciela — pan Sharma rzekł z uznaniem. — Niech panią Bóg błogosławi. Och, i niech pani ogląda *Today* w przyszłym tygodniu. Też będzie o mnie.

Kiedy pan Sharma wysadzał mnie pod biblioteką, poprosiłam o jego wizytówkę, żebym mogła przesłać jego szkole więcej pieniędzy. W życiu bym nie pomyślała, że wśród nowojorskich taksówkarzy spotkam kiedyś świętego. *Jego dusza osiągnęła wysoki stopień ewolucji*, pomyślałam. *Znacznie wyższy od mojego.*

Siedziałam w bibliotece, obłożona książkami prawniczymi, z których nie rozumiałam ani słowa, kiedy nagle zadzwoniła moja komórka.

— Słucham — powiedziałam.

— Czy rozmawiam z Ivy Ames, doradcą do spraw naboru? — zapytał głos po drugiej stronie.

— Tak, Ivy Ames przy telefonie. Czym mogę służyć?

— Proszę pani, pewien dżentelmen chce z panią rozmawiać. Czeka przed biblioteką w rolls —roysie.

— Kto mówi? — zapytałam, ale mój rozmówca się rozłączył.

11. Kusząca oferta

Kto wiedział, że będę w bibliotece? Czy ktoś mnie śledził? Czy ma to coś wspólnego z Omarem Kutcherem? Wiedziałam, że nie powinnam była brać klienta mającego powiązania z mafią. Czy już na zawsze będę związana z jego rodziną? Czy mnie zabije, jeśli spróbuję odejść? No nie. Popadasz w paranoję, Ivy. Ciekawość wzięła we mnie górę. Pozbierałam swoje papiery, chwyciłam torbę od Barneysa i wyszłam z biblioteki.

Na ulicy stał samochód. Przepiękny rolls —royce Silver Cloud. Szyby miał przyciemnione, nie mogłam więc zajrzeć do środka. Szofer w eleganckiej liberii, pełniący jednocześnie funkcję ochroniarza, otworzył przede mną tylne drzwiczki. Zawahałam się. Nie byłam jeszcze gotowa wejść do doliny śmierci.

Przystojny, doskonale ubrany mężczyzna wystawił głowę i kazał mi wsiąść do samochodu.

— Nie ugryzę pani — powiedział.

Cóż, skoro obiecujesz, że mnie nie ugryziesz, z radością wsiądę.

- — Kim pan jest? — zapytałam z kamienną twarzą.

- — Nazywam się Buck McCall — odparł mężczyzna. — Jestem dziadkiem Mosesa McCalla.

- — Och, czemu od razu mi pan tego nie powiedział? — zapytałam, wsiadając.

Szofer wrócił za kierownicę i elektronicznie zamknął wszystkie drzwi. Nie zapalił silnika, co zapewne oznaczało, że spotkanie odbędzie się w zamkniętym na cztery spusty rollsie. Muszę przyznać, że było to dość ekscytujące.

— Proszę pani — zaczął mój rozmówca. — Pomaga pani mojemu synowi i jego żonie zapisać Mosesa do szkoły, prawda?

Przyrzekłam Dee Dee, że naszą współpracę zachowam w sekrecie. Nie bardzo wiedziałam, co mam odpowiedzieć.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

—Greg mi powiedział. Pokazał mi także wypracowanie, które pani przyjaciel napisał o Mosesie. Bardzo ładny — rzekł Buck.

Skąd on wie, że to napisał Philip ? Czy moje mieszkanie jest na podsłuchu? A może Buck McCall zatrudnia Morta Small —Podda?

— Droga pani — ciągnął Buck. — Wiem, że mój syn i synowa chcą, aby Moses poszedł do żydowskiej szkoły. Jeśli tak się stanie, moja żona, która już i tak cierpi z powodu tego małżeństwa, straci chęć do życia. Wystarczająco wielkim ciosem jest dla nas, że wychowują go na Żyda, ale żeby jeszcze posyłać go do jednej z tych szkół, w których noszą jarmułki, mówią po hebrajsku i hodują pejsy... nie, to się nie może zdarzyć.

— Ale Dee Dee bardzo na tym zależy, a Greg robi wszystko, czego ona chce.

— Mój syn to mięczak. W przeciwieństwie do mnie.

O tak. To było widać jasno i wyraźnie.

— Czemu nie porozmawia pan z Gregiem? Jestem pewna, że bardzo pana poważa. Proszę mu powiedzieć, co pan czuje.

— Nie. Greg nie słucha ani mnie, ani swojej matki. Nic dla niego nie znaczy, że nasza krew płynie także w żyłach jego syna. Próbowaliśmy, ale nasz syn nie chce uszanować naszej woli. Proszę więc o pomoc panią. Chciałbym zatrudnić panią, żeby przekonała pani mojego syna i synową, aby nie posyłali Mosesa do żydowskiej szkoły, a w zamian dopilnowała, żeby dostał się do możliwie najlepszej szkoły świeckiej.

Siedziałam kompletnie oniemiała. Szczeka opadła mi do kolan. O mój Boże. Chce, żebym została podwójną agentką. Rozejrzałam się po samochodzie. Jestem w ukrytej kamerze, prawda?

— Gotów jestem dobrze pani zapłacić. Wiem, że pani sytuacja jest trudna, jest pani samotną matką w trakcie rozwodu. Mam dla pani czek na milion dolarów. Z chwilą, kiedy Greg zapisze Moseesa do świeckiej szkoły, czek zostanie przekazany na pani konto bankowe. Za milion dolarów będzie pani mogła z powrotem posłać swoje córki do Balmoral School, zatrudnić korepetytora dla Kate, zapłacić za letni obóz i przenieść się do lepszego mieszkania.

W porządku, mam dość. Co jeszcze o mnie wiesz? Jaki noszę rozmiar stanika? Który film pożyczyłam ostatnio w Blockbuster? Jestem pewna, że nie muszę ci podawać numeru mojego konta, bo i tak jest ci on już doskonale znany. Chyba w tej chwili siedziałam z przekrzywioną głową. Jeśli mnie pamięć nie myli, nie padły żadne słowa.

— Aby dowieść swojej dobrej woli, załatwiłem, że pani córki mogą podjąć na nowo lekcje tańca w Alvin Ailey School. Oto pismo potwierdzające ich przyjęcie. To da pani przedsmak tego, co będzie pani mogła zapewnić swoim córkom, jeśli spełni pani moją skromną prośbę. Tutaj jest numer mojego telefonu komórkowego. — Wręczył mi wizytówkę. — Gdyby potrzebowała pani jakiejś pomocy, aby to załatwić, jakiegokolwiek, proszę do mnie zadzwonić. Środki, jakimi dysponuję, są do pani dyspozycji.

Bez uprzedzenia ochroniarz —szofer otworzył drzwi, a ja aż podskoczyłam ze strachu. Znak, że mam opuścić scenę na prawo.

12. Różnica zdań

Milion dolarów tylko za doprowadzenie do tego, aby Moses Epstein—McCall nie trafił do żydowskiej szkoły. Czyżby właśnie nadeszło cudowne ocalenie, o które tak się modliłam? Ale byłoby to nieetyczne. Nikomu nie stanie się krzywda. Zdradziłabym ludzi, którzy mi zaufali. Mogłabym zrezygnować z pracy. Honor. Przekupstwo. Zawodowa uczciwość. Zdrada. Taki dialog prowadziłam z własnym sumieniem, gdy autobusem wracałam do domu z biblioteki. Na jednym ramieniu siedziała mi mama, doradzając, żebym postąpiła zgodnie z sumieniem, na drugim tato przekonywał, że powinnam wziąć forszę. Ja zastanawiałam się, co zrobiłaby Ivana Trump.

W domu przygotowałam sobie gorącą kąpiel z pianą i uspokajającymi olejkami eterycznymi. Wyłączyłam światło i przy samym blasku świec nieruchomo leżałam w wannie, medytując. Miałam nadzieję, że odpowiedź pojawi się sama. Niestety. Woda wystygła. Skóra na palcach mi się pomarszczyła. Zaczęło mi się nudzić, wyszłam więc z wanny i wytarłam ciało. Później włączyłam Doktora Phila i zdałam się na los. Jeśli dzisiejszy program będzie o etyce i moralności, nie wezmę miliona dolarów. Jeśli będzie o czymkolwiek innym, wtedy wezmę. Ha! Ha! Program był o kobietach, które same siebie nie szanują. Znak od Boga, że powinnam dać się przekupić?

Wieczorem moje dylematy przerwał Philip, zjawiając się z butelką mojego ulubionego szampana, Veuve Clicquot.

— Co to jest? — zapytałam.

— Moje urodziny — odparł z uśmiechem.

— O mój Boże! Wszystkiego najlepszego, Philipie. Szkoda, że nie wiedziałam. Posłałabym ci kartkę.

— Och, kartkę! Bardzo musi ci na mnie zależeć.

— Zależy. Kupiłabym ci również drogi prezent. — Kłamstwo. Nie było mnie stać. Ale chętnie bym to dla niego zrobiła.

— Cóż, ponieważ nie masz dla mnie żadnego prezentu, wpadł mi do głowy pewien pomysł.

— Jaki?

— Zrób coś specjalnie dla mnie — powiedział, całując mnie delikatnie w usta.

— Mm... to się da załatwić.

Chwilę obściskiwaliśmy się jak para nastolatków, kiedy jednak Philip zaczął mi odpinać spódnicę, powstrzymałam go. Dziewczynki spały tuż za ścianą.

— Napijmy się szampana — zaproponowałam w nadziei, że tym odwrócę jego uwagę. — Opowiedz mi, co robiłeś w swoje urodziny.

Philip rozlał szampana do kieliszków.

— Zdrowie — powiedział, gdy stuknęliśmy się nimi. — Cóż, skończyłem szkic mojej książki.

— Gratuluję. Czy to znaczy, że jesteś wreszcie gotowy, żeby mi o niej opowiedzieć?

Zawahał się przez chwilę.

— Jest jeszcze niedopracowana. Ale trochę mogę ci powiedzieć. Dobrze — zaczął. — Piszę powieść na podstawie życia Ariany Nabokov von Geltenburg Chopra Gross, wielkiej damy z wyższych sfer, która w czasie drugiej wojny światowej była niemieckim szpiegiem, kochanką Winstona Churchilla oraz Adolfa Hitlera.

— Obu na raz?

— Tak. W jej życiu było wszystko; miłość, seks, morderstwo, namiętność, ambicja, zdrada, bogactwo. Człowiek sam nigdy by czegoś podobnego nie wymyślił.

— Ojej — powiedziałam. — Ale co ze mną? — zapytałam. — Którą postacią jestem? — Nie żebym była osobą aż tak egocentryczną, ale sam mi mówił, że będę w jego książce.

— Ty jesteś główną bohaterką.

— No, teraz to już mi się całkiem wszystko pomieszało.

— Wy tłumaczę ci — powiedział Philip — Książka luźno opiera się na faktach z życia prawdziwej osoby, głównie to fikcja. Kiedy pisałem, Arianę wyobrażałem sobie jako ciebie. To mnie zainspirowało do napisania czegoś, co, mam nadzieję, będzie bestsellerem. To największy krok w mojej karierze, a dwie wytwórnie są zainteresowane kupnem praw do nakręcenia filmu.

— Zamknij się! — krzyknęłam. — Zrobisz coś dla mnie?

— Wszystko.

— Ożeń się ze mną. W tej chwili ktoś naprawdę musi przyjść mi z pomocą. — Opowiedziałam mu wszystko o szykowanym przez Lilith podstępie i bombie Bucka McCalla.

Przez chwilę Philip milczał. W końcu przemówił.

— Ivy, jestem prostym facetem. Chyba nie mógłbym się ożenić z kimś, kto wiecie tak skomplikowane życie.

— Kiedyś taka nie byłam. — Westchnęłam. — Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

— Nie wiem. A co jest dla ciebie najważniejsze? Szacunek dla samej siebie czy pieniądze? Hej, właśnie podsunęłam mi pomysł na następną książkę: o tobie i twoich szurniętych klientach. Nazwiemy ją *Szkolne opowieści*.

— Ha! — krzyknęłam, ciskając w niego poduszką. — Może lepiej *Opowieści z pudła*, bo tam na pewno skończę, jak napiszesz tę książkę.

— Będę cię odwiedzał co miesiąc, obiecuję — zaśmiał się Philip.

— Philipie, ja mówię poważnie. Propozycja Bucka McCalla jest bardzo kusząca. A jeśli mam być szczerą, to, według mnie, świeckie szkoły są lepsze od żydowskich. Gdybym zrobiła to, o co prosi mnie Buck McCall, wyświadczyłabym tylko przysługę Gregowi i Dee Dee. Nikomu nie stanie się krzywda.

— Chyba nie myślisz poważnie, żeby wziąć te pieniądze, prawda?

— Oczywiście, że o tym myślę! Nie codziennie ktoś mi proponuje milion dolarów!

— Ivy — powiedział Philip. — Spójrz na siebie. Odkąd zaczęłaś tę pracę, zdażyłaś okłamać dyrektorów do spraw naboru, syna zmarłej pani psycholog, prasę. Skorzystałaś na morderstwie Cubby Teraz mówisz o przekupieniu jakiegoś członka zarządu, żeby bachor tej bogatej baby mógł się dostać do szpanerskiej szkoły. I zastanawiasz się, czy nie sprzedać jednego z twoich ulubionych klientów za milion dolarów. Co będzie dalej?

— Och, mówisz tak, jak byś nigdy w życiu nie kłamał — obruszyłam się.

— Ale nie w taki sposób, jak ty to robisz — powiedział Philip. — To ci zaczyna wchodzić w krew, co mi się nie podoba.

— Philipie, to tylko interesy. Nie prawdziwe życie. W świecie wielkich firm, z którego się wywodzę, wszyscy mają gdzieś etykę. Nie przywykłeś do tego, bo jesteś pisarzem. Jeśli chodzi o nabór do szkół, nie wystarczy mieć wspaniałe dziecko. Trzeba czegoś więcej. Nikt nie stosuje się do reguł; ani szkoły, ani rodzice. Jeśli nie posunę się tak daleko, jak wszyscy, nie wygram... w imieniu moich klientów. Niczego dla nich nie zwojuję.

— Ivy, posłuchaj tego, co mówisz. Czy taki przykład chcesz dawać swoim córkom?

— Nie wciągaj w to dziewczynynek. Zastanawiam się nad tym, ponieważ jestem za nie odpowiedzialna. Jeśli wyświadczę tę jedną przysługę Buckowi McCallowi, zmieni się całe ich życie.

— Chcesz powiedzieć, jeśli dasz mu się przekupić. Ivy, jeżeli ta praca oznacza, że musisz oszukiwać, żeby dostać to, czego chcesz, to lepiej poszukaj sobie innego zajęcia. Kłamstwo do ciebie nie pasuje. Do mnie też nie.

— Philipie, co mam zrobić, żebyś zrozumiał? Jak będę grać uczciwie, przegram. Ci ludzie dali mi swoje pieniądze. Ode mnie zależy, czy

ich dzieci dostaną się do najlepszych szkół. Za daleko zabrnęłam, żeby się teraz wycofać. Proszę, nie każ mi rezygnować. W tej chwili nie stać mnie na takie poświęcenie.

— Co chyba oznacza, że prędeż zrezygnujesz ze mnie? — zapytał Philip.

— Wcale nie chcę rezygnować z ciebie. Chcę mieć i ciebie, i moją pracę. — Ostatnie słowa wypowiedziałam prawie szeptem.

Philip patrzył na mnie przez długą jak wieczność chwilę, po czym wstał. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. O czym myślał? Ulicą przejechał wóz strażacki z wyjącą syreną. Philip stał tam bardzo długo, wydawało się, że całe wieki.

— Nie mogę być z kimś, kto chce prowadzić takie życie, Ivy. Przykro mi — rzekł cicho. I wyszedł.

13. Żadne pieniądze

Lilith zażądała próby kostiumowej testu ERB, chciała bowiem osobiście sprawdzić, jak się spisałam, udzielając Ransomowi korepetycji. Będąc osobą pracującą dawniej w biznesie, doskonale rozumiałam, że liczyły się wyłącznie rezultaty. Niestety, ocena mojej pracy zależała od czterolatka.

Spotkanie odbyło się w sali konferencyjnej dostosowanego do potrzeb Lilith boeinga 727. Samolot był wyposażony w cztery łazienki, każda z armaturą z dwudziestoczerokara — towego złota, łaźnią parową i bidetem. Poza tym na pokładzie znajdowały się dwie sypialnie, pokój zabaw, gabinet i sala konferencyjna. Lilith wraz z rodziną leciała do Kalifornii, gdzie zamierzała przeprowadzić inspekcję drukarni działających na Zachodnim Wybrzeżu, wobec tego w czasie trwającego sześć godzin lotu Ransom będzie miał wystarczająco dużo czasu, aby zdemontować swoje mistrzostwo w rozpoznawaniu kształtów i podobieństw, liczeniu w pamięci, słownictwie i rozumieniu. Po wylądowaniu na jednym z prywatnych lotnisk zostanie przewieziona do portu lotniczego w Los Angeles, gdzie złapię jakiś samolot lecący do Nowego Jorku. Trudno wyobrazić sobie bardziej udany dzień.

Zanim zaczęliśmy, zdałam Lilith raport z informacji, jakie uzyskała dla mnie Tipper. Stratmore Prep dysponowało trzydziestoma miejscami. W tym roku piętnaście przypadnie rodzeństwu, siedem przedstawicielom mniejszości, osiem typom kaukaskim. Spodziewano się czterystu podań na osiem ostatnich miejsc. Łatwiej będzie się w bieżącym roku dostać na Uniwersytet Harvarda niż do Stratmore Prep.

— Walka to mój żywioł — oświadczyła Lilith. — Prawda, Pani Butterworth? Czy walka nie jest żywiołem mamusi?

O tak, mamusia uwielbia walkę. Po prostu uwielbia — powiedziała, całując pyszczek swojej psiny, która z entuzjazmem lizała ją po twarzy.

— Doskonałe wyniki testu ERB to pierwszy krok na drodze do zwycięstwa — rzekłam. — Ransom, pokaż mamusi, jaki z ciebie bystry chłopczyk.

Rozłożyłam składające się z czterech części puzzle z obrazkiem telefonu i poprosiłam go, aby je złożył, a następnie powiedział, co na nich widzi.

Ransom pomalutku zaczął przesuwać części układanki. W końcu udało mu się z nich złożyć doskonały telefon, z wyjątkiem przewodu i wtyczki.

— Ransomie, gdzie powinna być wtyczka?

— W —w —w —tyczka idzie do śmieci, b —bo kiedy nie ma wtyczki, mamusia n —n —nie może rozmawiać przez telefon.

— Dobrze, może spróbujemy czegoś innego — powiedziałam szybko. — Ransomie, czy potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego gazeta jest podobna do czasopisma?

— Rodzice czytają je przy śniadaniu, k —k —kiedy nie chcą r — r —rozmawiać ze sobą — odpowiedział, zsuwając się na krześle.

Lilith przysłuchiwała się z kamiennym wyrazem twarzy.

— A w czym samolot jest podobny do pociągu?

— Zabierają m —m —mamusię od ich s —s —synków — wypalił bez wahania, teraz już siedząc całkowicie pod stołem.

Zwróciłam się do Lilith, wychwalając Ransoma najlepiej, jak potrafiłam.

— Wspaniale rozumie, że chcę, aby znalazł coś, co łączy te rzeczy. Wiele dzieci w jego wieku tego nie potrafi.

— Ransomie, bardzo cię proszę, usiądź porządnie na krześle.

Nie poruszył się.

— Ransomie, nie słyszę twoich odpowiedzi, kiedy siedzisz pod stołem, ty mały głuptasio — powiedziałam śpiewnym, przekupnym tonem.

Nie poruszył się.

— Ransomie, jeśli natychmiast nie wyjdiesz spod stołu, będę musiała cię połaskotać, słowo daję.

Ponieważ Ransom w dalszym ciągu nie reagował, wlażłam pod stół i przyjąłam pozycję gotową do łaskotania. To wystarczyło. Ransom chichocząc, natychmiast wychynął spod stołu i wspiął się na krzesło. Ten dzieciak uwielbia mnie dręczyć.

— Spróbujemy teraz ze słownictwem — zaproponowałam. — Ransomie, pokażę ci obrazek. A ty powiesz mi wszystko, co na nim widzisz.

Wyciągnęłam obrazek przedstawiający mamę czytającą swojemu dziecku książeczkę. Tak była tym pochłonięta, że nie zauważyła garnka kipiącego na kuchence za jej plecami.

— Mamusia czyta giełdę, zamiast książeczki, którą chciał chłopczyk. Jak nie będzie patrzeć, on w —w —wyleje jej na głowę gorącą w —w —wodę i będzie się przyglądał, jak u —u —umiera.

— Wysławia się na poziomie znacznie przewyższającym jego wiek — wyjaśniłam Lilith. — Większość dzieci, opisując ten obrazek, powiedziałyby tylko „mama”, „dziecko” czy „książeczka”, za to Ransom radzi sobie po prostu świetnie.

— Zobaczyłam już dość, Ivy. Marvys, zabierz Ransoma, niech pogląda film — Lilith odprawiła oboje machnięciem ręki.

Nie, Ransomie, proszę cię, nie odchodź, pomyślałam. Boję się twojej mamusi. Lecz Ransom i Marvys posłusznie wykonali rozkaz.

— Ivy, co zrobiłaś z moim synem?

— Słucham?

— Jego odpowiedzi... były takie... niewłaściwe.

A czego się spodziewałaś, matko, która wydałaś go na świat, po czym zatrudniłaś armię ludzi, żeby wychowywali dziecko, na które nie zwracasz najmniejszej uwagi?

- — Bywa, że Ransom udziela odpowiedzi w rodzaju tych, które właśnie usłyszałaś. Zwykle jednak jego wypowiedzi są mniej... — *Jakiego mam użyć słowa?* — ... emocjonalnie nacechowane.

Lilith spojrzała na mnie wyniośle.

— Ivy — powiedziała. — Powierzyłam ci mojego aniołka. A ty dzisiaj przyprowadziłaś mi... sama już nie wiem, kim jest to dziecko? Co zrobiłaś z moim synem? To nie jest moje dziecko. Mój mały synek jest o niebo mądrzejszy od tego... tego tępaka, który na ani jedno pytanie nie odpowiedział poprawnie.

Och, rozumiem, martwią cię jego błędy, a nie to, że być może któregoś dnia cię zamorduje. Na głos oczywiście tego nie powiedziałam. W końcu była moją klientką. Postanowiłam zadać jej pytanie, z którym nosiłam się już od jakiegoś czasu.

— Lilith, czy Ransom chodzi do logopedy?

— Boże, skądże.

— Nie zauważyłaś, że się jąka?

— Oczywiście, że zauważyłam. Za jaką matkę mnie uważasz? Ale nigdy nie poślę go do logopedy. Napisaliby o tym w raporcie z przedszkola. Wtedy Stratmore Prep na pewno by go odrzuciła.

— Uważam, że szkoła i tak to zauważy w czasie rozmowy kwalifikacyjnej.

— Wiesz co, Ivy, nie przypominam sobie, żebym pytała cię o jego wymowę, ale pamiętam, że pytałam cię, dlaczego błędnie odpowiedział na wszystkie pytania.

— Tak. Oczywiście. Cóż, oczywiście Ransom wie znacznie więcej w porównaniu z tym, co pokazał dzisiaj. Dzisiaj się popisywał, co się często zdarza w wypadku dzieci, które rzadko widują swoich rodziców. Zapewniam cię, że testy zda w pierwszych pięciu procentach. To jedno z najbystrzejszych dzieci, z jakimi miałam okazję pracować — skłamałam.

- — Obyś miała rację — Lilith uśmiechnęła się groźnie, jak tylko potrafią to robić osoby z wielkimi dżiąsłami. — Jeśli Ransom nie zdobędzie wystarczającej liczby punktów, żeby dostać się do Stratmore Prep, zrobię wszystko, aby wykopać twoje dzieci z każdej liczącej się instytucji. Na własnej skórze się przekonasz, co to znaczy mieć dzieci w drugorzędnej szkole.

Aha, teraz grozi moim dzieciom. Dość tego. Nie ze mną te numery.

— Lilith — powiedziała spokojnie — jeśli chcesz mnie zastraszyć, musisz się postarać lepiej. Moje dzieci już chodzą do drugorzędnej szkoły i świetnie sobie radzą. Wyłumacz mi coś, Lilith. Jak to możliwe, że nie widzisz, jak twój syn krzyczy, abyś zwróciła na niego uwagę? Po co wydawałaś go na świat, skoro szkoda ci dla niego dziesięciu minut dziennie? Tego parszywego kundla kochasz bardziej niż własne dziecko, na miłość boską!

Ojej. Lilith spurpurowiała na twarzy. Oczy wyszły jej z orbit i przysięgam, że widziałam, jak pulsują jej żyły.

— PANI BUTTERWORTH NIE JEST PARSZYWYM KUNDLEM. Powinnam cię zwolnić za to, że coś takiego powiedziałaś. Czego nie zrobię, bo już za późno, żeby znaleźć kogoś na twoje miejsce. Dopilnuj, żeby Ransom zdał testy ERB fenomenalnie. Po to zostałaś zatrudniona. — Co rzekłszy, odwróciła się na pięcie i wyszła, pozostawiając mnie samą w latającej sali konferencyjnej, pogrążoną w zadumie, na co komu cztery bidety w prywatnym odrzutowcu. Niestety, nie udało mi się rozwikłać tej tajemnicy, gdyż ani się obejrzałam, jak samolot zaczął podchodzić do nieplanowanego lądowania w Minneapolis. Tam zostałam bezceremonialnie wyrzucona z samolotu i odesłana do domu zwykłym czarterowym samolotem, w którym nie było ani jednego bidetu.

14. Widzę martwych ludzi

Mijała jesień, a dzieci moich klientów przystępowały do testów kwalifikacyjnych. Najlepsze przedszkola sprowadzały czołowych egzaminatorów, żeby dzieci mogły zostać poddane ocenie w znajomym, wygodnym otoczeniu i w dniu, w którym były zdrowe i w dobrym nastroju. Reszta dzieci z miasta musiała udać się do sterylnych biur ERB, gdzie w wyznaczonym z góry dniu rozmawiali z nimi obecni akurat na dyżurze psychologowie. Biedne maluchy dostawały histerii, gdy proszono je, aby poszły z egzaminatorem, były bowiem przekonane, że dostaną zastrzyk. Z wyjątkiem Irvinga wszystkie moje dzieci chodziły do przedszkoli, w których testy przeprowadzano na miejscu.

Zadzwoiła Faith, żeby zapytać, czy jakoś się trzymam po tym, jak Philip mnie rzucił.

— Jako tako. Ale ciężko mi. Tęsknię za nim.

— Na pewno. Widujecie się w ogóle?

— Nie, unikamy się nawzajem. A Michael także prawie się do mnie nie odzywa. Pilnuj mnie, żebym już nigdy nie wiązała się z nikim, kto mieszka w tej samej kamienicy.

— Wymyśliłam coś, co ci poprawi humor. Masz dzisiaj czas, tak koło pierwszej?

— Mam, bo co?

— Jeden z kumpli Stevena dał mi dwa bilety na nagranie programu Johna Edwarda *Po drugiej stronie*.

— Tego gościa, co gada z umarlakami?

— Nie, tego, co łączy ludzi żyjących w fizycznym świecie z tymi, którzy przeszli na drugą stronę.

— Jasne, widziałam ten program. Uważasz, że jak posłucham ludzi, którzy rozmawiają ze swoimi zmarłymi krewnymi, to mnie podniesie na duchu?

— Hej, poczujesz się lepiej, jak spędzisz trochę czasu ze mną.

— Tu masz rację — nie mogłam się z nią nie zgodzić. — Ale chyba nie wierzysz, że on rozmawia z duchami?

— Sama nie wiem — powiedziała Faith. — Ale jeśli to prawda, to może twoja mama przekaże ci jakąś wiadomość. A jeśli lipa, to będziemy mieć niezły ubaw.

— Dobra, wchodzę w to. Potraktuję to jak przygodę.

Kilka godzin później siedziałyśmy z Faith na środku

w pierwszym rzędzie (miejsca dla VIP —ów, rzecz jasna) studia na West Side i przyglądałyśmy się, jak John Edward porozumiewa się z tamtą stroną. Najpierw odbył prywatną sesję z gwiazdą oper mydlanych, o której w życiu nie słyszałam. Przyszły duchy jej matki, ciotki i dziecka, które poroniła. Sama gwiazda wyglądała tak, jak gdyby święcie wierzyła w każde słowo, ale była w końcu profesjonalistką i mogła udawać.

Następnie John podszedł do galerii — tak nazywał studio. Gdy wpatrywał się w widownię, żołądek podszedł mi do gardła. No, dalej, mamó. Pokaż się, słyszysz? Jeśli tam jesteś, daj jakiś znak. John jednak mnie minął, podszedł natomiast do pary gejów, których adoptowany kilkunastoletni syn zmarł na AIDS. Bardzo to było smutne. Cała widownia szlochała i głośno wycierała nos.

Po przerwie na reklamy John zbliżył się do miejsca, gdzie siedziałyśmy z Faith.

— Wydaje mi się, że jestem tutaj — oznajmił. — Widzę mężczyznę, który niedawno przeszedł na tamtą stronę. Może to być mąż, brat albo przyjaciel. Przeszedł ósmego albo w ósmym miesiącu, ponieważ ósemka to dla niego ważna cyfra. Czy komuś coś to mówi? — zapytał John.

Popatrzyłyśmy na siebie i wzruszyłyśmy ramionami.

— Z całą pewnością jestem tutaj — powtórzył, ręką wskazując nasze miejsca.

— Mówi mi, że kiedy odszedł, złożył tej osobie wizytę i ona go widziała. Chce, aby ta osoba wiedziała, że to był on, że to nie było przywidzenie — dodał John. Oczy wyszły mi z orbit, ale nie uniosłam ręki. Przecież to niemożliwe, żeby...

— Czuję, że on chce, abym wspomniał o *Ulicy Sezamkowej*. pokazuje mi Wielkiego Ptaka. Czy Wielki Ptak, a może Ptak, coś komuś mówi?

Mój żołądek wykonał potrójne salto, a następnie zanurkował. Powolutku uniosłam rękę.

— Czy coś ci to mówi? — zapytał John.

— Tak — odparłam.

— To znaczy, że na pewno jestem z tobą — stwierdził John.

Nawet po śmierci Drayton Bird mnie dręczył. *Czego on może chcieć*, myślałam. Przecież za życia nie znosiliśmy się wzajemnie. Jeśli to robota Faith, zabiję ją.

— Ten mężczyzna utonął. Ale czuję, że kryje się za tym coś więcej. Widzę krew. Czy coś ci to mówi?

— Tak — skinęłam głową. Po twarzy popłynęły mi łzy, co wielce mnie zaskoczyło. Faith wepchnęła mi do ręki chusteczkę.

— Mówi, że myślisz, że odszedł, cierpiąc, ale to nieprawda. To stało się bardzo szybko — mówił John. — Mówi mi, że wy dwoje nie najlepiej dogadywaliście się za życia i chce przyznać, że to była jego wina.

— Tak — powiedziałam, kiwając głową i nie przestając szlochać.

— Ach tak, rozumiem. Och, ojej. — John spoglądał poza mnie na kogoś, kogo tak naprawdę wcale tam nie było. Najwyraźniej rozmowa toczyła się na poziomie telepatycznym.

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale powtórzę, co mi powiedział — rzekł John, przenosząc wzrok na mnie. — Mówi, że zdradził cię za życia, ale powinnaś mu być wdzięczna, ponieważ jego zdrada uratowała ci życie? Czy to coś ci mówi?

— Tak — powiedziałam i ukryłam twarz w dłoniach, zanosząc się płaczem jak zrozpaczone dziecko. Trzeba mieć prawdziwe szczęście, żeby przed kamerami telewizyjnymi zalewać się histerycznie łzami.

— On mówi, że was dwoje łączy prawdziwa, to znaczy PRAW-DZIWA więź duchowa. Według niego, ty w minionym życiu umarłaś, żeby go uratować, a jego misją albo celem, jeśli wolisz, było oddać ci przysługę w tym życiu. A teraz, kiedy została już przywrócona boska równowaga, może odejść.

Popatrzyłam na Johna.

— Chcesz mi powiedzieć, że ten dwulicowy, fałszywy, kłamliwy, nieszczerzy zdrajca i hipokryta tak naprawdę był moim kosmicznym przyjacielem? Piękny sobie wybrał sposób, żeby mi to okazać, nie ma co.

O mój Boże, naprawdę powiedziałam to na głos?

John śmiał się wraz z publicznością.

— Czy prosiłem cię, aby wyraziła swoje zdanie? — zapytał John.
— Ale dziękujemy za szczerość.

Oczami wyobraźni ujrzałam przerażający widok Sassy wraz z dziećmi, jak przerzucając kanały, natrafia na ten program i słyszy wszystkie te potworności, które powiedziałam o Draytonie.

John jeszcze nie skończył.

— Mówi, że łączy go coś z osobą o imieniu na literę „B”. Bee, Bee, Beatrice...

— Bea. To jego córka.

— A osoba na literę „S”

— Sassy, jego żona.

— Chce, abyś powiedziała Sassy, że nic mu nie jest. Mówi, że to ważne, abyś powiedziała jej o jego dzisiejszych odwiedzinach. Prosi cię, żebyś jej pilnowała, bo nie jest tak silna jak ty.

— Dobrze — kiwnęłam głową.

— Śmieje się, kiedy mówi o tym, jak widziałaś go ostatnio. Mówi, że zdradziłaś wtedy sekret, którego nie miał poznać. Naśmiewa się z ciebie z tamtej strony — pokpiwał John z uśmiechem.

— O mój Boże — jęknęłam. — On wiedział?

— Zechcesz nas oświecić w tym względzie? — zapytał John.

— Nie, na pewno nie w telewizji — odparłam. Wszyscy się roześmiali.

— Mówi, że nie z nim chciałaś dzisiaj rozmawiać i ma nadzieję, że nie będziesz miała do niego pretensji, że zajął czas, który miał być przeznaczony dla kogoś innego — dodał John. — Mówi ci to po to, abyś uwierzyła, że to naprawdę on, bo przecież takim właśnie był człowiekiem za życia.

To prawda, nie raz brał coś, co do niego nie należało, pierdolec jeden, pomyślałam, choć na głos nie odważyłam się tego powiedzieć. Zraz jednak szczerze go w duchu przeprosiłam za te słowa. W końcu, było nie było, już nie żył.

15. A co ze mną?

Zadzwoił mój służbowy telefon. To był ten minirekin świata biznesu, Stu Needleman. Odkąd się dowiedział, że przyjaźnię się ze Stevenem Lordem, traktował mnie z tą udawaną sympatią w rodzaju znasz — kogoś —ważnego. W tej chwili o połowę rzadziej groził, że mnie zniszczy. Wydzwaniał do mnie trzy razy dziennie, a bywało, że i częściej, dręczony kolejną obsesją na temat jakiejś kwestii w sprawie szkoły. Stałam się go uspokoić, cały czas potakując i rozważając tak ważne problemy, jak na przykład elektroliza a woskowanie, prostowanie włosów po japońsku a puszki z sokiem pomarańczowym, i tak dalej, w podobnym stylu.

— Ivy, właśnie doszły mnie nad wyraz niepokojące wieści — oznajmił złowieszczo.

— Mianowicie jakie, Stu?

— To wprost nie do wiary — dodał, wyraźnie zasmucony. Obawiałam się, że zaraz wybuchnie płaczem.

— Co się stało? Powiedz mi — poprosiłam raz jeszcze. Nie miałam pojęcia, o co może mu chodzić.

— Dowiedziałem się właśnie, że ty, mój doradca w sprawie naboru do prywatnych szkół, swoje własne dzieci posłałaś do publicznej szkoły. Czy to prawda? — zapytał.

— Mamusiu, mamusiu, Kate nie chce wyjść z łazienki, a ja natychmiast muszę tam iść — zawołała Skyler, przerywając mi rozmowę.

— Nie teraz — powiedziałam do niej tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Och, czy to właśnie nie one? — zaciekawił się Stu.

— Owszem, one — odparłam.

— Ale mamusiu, to pilne. Dostałam okres — nie ustępowała Skyler.

Uniosłam rękę na znak, że ma się uciszyć.

— Jak możesz mi doradzać w sprawie prywatnych szkół, skoro dla swoich dzieci wybrałaś publiczną? I dlaczego, na miłość boską, posłałaś je do publicznej szkoły?

Czy Skyler powiedziała, że dostała okres?

— Stu, dla moich córek wybrałam to, co dla nich najlepsze. Co wcale nie oznacza, że nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby ci pomóc.

— Ale dlaczego? — zapytał, nie mogąc uwierzyć, jak ktoś z jego znajomych, z wyjątkiem śmieciarza czy pokojówki, może z własnej woli posyłać dzieci do publicznej szkoły.

Ponieważ mój mąż miał romans i się rozstaliśmy. Ponieważ straciłam pracę i musiałam zrezygnować ze wszystkich luksusów poza czynszem i jedzeniem. Ponieważ zarabiam, pomagając innym rodzicom umieścić ich dzieci w prywatnych szkołach, nie tak dużo jednak, aby samej móc sobie na to pozwolić. I co, zadowolony?

W rzeczywistości zaś powiedziałam zupełnie coś innego.

— Wybrałam szkołę publiczną, ponieważ uznałam to za najlepsze dla mojej rodziny i dzieci. Tak samo, jak zamierzam pomóc ci znaleźć odpowiednie miejsce dla Veroniki.

— Maaa —mooo! — darła się Skyler. — Musisz tu przyjść, teee —raaaz!

— Mam nadzieję, Ivy, że mnie nie zaproponujesz publicznej szkoły — powiedział Stu. — Gdybyś to zrobiła, z miejsca bym cię zwolnił, zdajesz sobie z tego sprawę?

— Stu, ile razy już mnie zwalniałeś? Trzy? Cztery? Dla mnie to był właściwy wybór. I zdaję sobie sprawę, że dla ciebie nie będzie.

— Doskonale — powiedział. — Skoro już to sobie wyjaśniliśmy — Jak było w jego zwyczaju, rozłączył się bez pożegnania.

Siedziałam przez chwilę z zamkniętymi oczami, masując sobie kark i słuchając, jak Skyler wali w drzwi łazienki, w której zamknęła się Kacie.

TLR

— Kate, natychmiast mnie wpuść, ty wredna małpo — krzyczała Skyler.

— Ty jesteś małpą, a nie ja — odparł głosik zza drzwi.

— Mówię poważnie, ty kretynko — wrzasnęła Skyler.

— Ty jesteś kretynką, a nie ja — powtórzył głosik.

Zapadła podejrzana cisza. Otworzyłam oczy i ostrożnie

spojrzałam w stronę łazienki. Skyler stała przed łazienką, trzymając nad głową *Harry'ego Pottera i Zakon Feniksa*, gotowa zadać cios.

— Ka —ate, wy —yjdź, mam dla ciebie NIE —SPODZIA —NKE.

— ZWARIOWAŁAŚ! — zerwałam się z krzesła, jakby się paliło, i chwyciłam narzędzie zbrodni. — Co ty sobie wyobrazasz? Nigdy więcej tak nie rób! Czy wyrażam się jasno? — Skyler skinęła głową i wybiegła do salonu.

Podobno bójkę między rodzeństwem to rzecz zupełnie naturalna, czasami jednak mam wątpliwości. Bicie, kopanie, gryzienie, drapanie i wrzaski może i są normalne. Ale walić siostrę w głowę licząc blisko tysiąc stron książką w twardej oprawie? To już chyba lekka przesada! A może to ze mną jest coś nie tak?

Poszłam za Skyler do pokoju. Siedziała na kanapie obok Sir Eltona i z wściekłością przerzucała strony „Teen People”.

— Naprawdę dostałaś okres?

— Jakby cię to obchodziło, mam.

— Dostałaś?

— Nie, ale chciałam z tobą porozmawiać, ale wiedziałam, że nawet to nie zwróci twojej uwagi.

— Skyler, ile razy mam ci powtarzać, żebyś mi nie przerywała, kiedy rozmawiam przez telefon z klientem.

— Mamusiu, bardziej cię obchodzą ci twoi klienci, niż my. Tylko na nich zwracasz uwagę.

Zepchnęłam Sir Eltona z kanapy i usiadłam obok córki.

— To nie tak, kochanie. Chodź do mnie — powiedziałam, sadzając ją sobie na kolanach. — Ty i Kate obchodzicie mnie najbardziej na świecie. Chodzi o to, że muszę pracować dla moich klientów, kiedy zachodzi taka potrzeba. Nigdy nie wolno ci myśleć, że mnie nie obchodzicie, kochanie. A teraz powiedz, o czym chciałaś ze mną porozmawiać.

— O dojrzewaniu.

— O dojrzewaniu. To znaczy?

— Mamusiu, nie chcę, żeby włosy rosły mi w miejscach, o których się nie mówi.

— Tak, wiem, to przykre, ale wszyscy przez to przechodzimy

— Myślisz, że wyrosną mi wąsy?

— Wątpię. Coś ci powiem. W weekend pójdziemy do księgarni i kupimy książkę o dojrzewaniu. Razem ją przeczytamy i później o wszystkim porozmawiamy.

— Coś ty! Nie mogę z tobą czytać takich książek. Jesteś moją mamą. Sama ją przeczytam, a potem najwyżej cię zapytam, jak będę miała jakieś wątpliwości, chociaż pewnie nie będę miała.

— Niezły plan — powiedziałam, tuląc moją dziewczynkę.

16. Nie pluj na tę miłą panią

Przechodząc obok sypialni dziewczynek, rozważałam zarzuty Skyler. *Czemu myślała, że bardziej zależy mi na moich klientach niż na własnych dzieciach? Może powinnam wygospodarować po godzinie dziennie i spędzać je wyłącznie z każdą z córek po kolei. Bez wątpienia mogłoby to pomóc. Czy jednak uda mi się znaleźć aż tyle czasu? Musiałabym zrobić to kosztem moich ćwiczeń. Jedną chwileczkę. To niemożliwe. Ćwiczę przecież ze względu na rodzinę. Muszę wyglądać atrakcyjnie, żeby znaleźć dziewczynkom odpowiedniego ojczyma. Dobrze, niech będzie pół godziny. To zdecydowanie bardziej realne. Od dzisiaj zarówno z Kate, jak i ze Skyler będę spędzała po pół godziny, cały ten czas poświęcając wyłącznie im. Żadnej taryfy ulgowej. I wtedy rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił Omar, mój ulubiony mafioso, żeby zdać mi relację. Natychmiast przestałam myśleć o Kate i Skyler. Wybaczcie, kochane, nad szczegółami popracuję jutro.*

Omar i Maria odbyli właśnie rozmowę kwalifikacyjną w Hartley, jednej z nielicznych szkół, w których nabór odbywał się w ciągu jednego dnia. Najpierw Omar z Marią zwiedzili w towarzystwie dyrektorki szkołę. Jak wiedziałam, dyrektorka przy tej okazji dyskretnie obserwowała stosunki panujące między rodzicami a dziećmi.

Gdy weszli do jednej z klas, Marię natychmiast zainteresowała klatka z królikiem. Podeszła do niej, wsunęła palce przez pręty i wyciągnęła na wpół zjedzony, nadgniły liść sałaty, od tygodnia obśliniany, obsikiwany i obsrywany przez gryzonia. Zwróciła się do ojca i z paskudztwem w dłoni zapytała, czy może je zjeść. Omar, rzecz jasna, odparł, że nie, na co Maria skrzyżowała ramiona, obróciła się plecami, wykrzywiła buzię i... Omar dobrze wiedział, co zaraz nastąpi.

— Niech ci będzie — powiedział. — Możesz sobie zjeść to cholerstwo. Ale nie przychodź później do mnie, jak dostaniesz salmonelli.

Zadowolona Maria bez wątpienia zjadła Bóg wie czym zainfekowaną zieleninę. Pani dyrektor była świadkiem całego zajścia.

Podczas dalszego zwiedzania zapytała Marię, kim chciałaby zostać w przyszłości. „Zabójcą” — odparła mała bez zastanowienia. Na pewno wpadła na to, oglądając kreskówki, trudno jednak podobną odpowiedź uznać za uroczą, jeśli pada z ust córki Omara Kutschera.

Na koniec dyrektorka odbyła z Omarem rozmowę w swoim przeschlonym gabinecie, a w niewielkiej, mieszczącej się tuż obok klasie nauczycielka poddawała ocenie Marię.

Omar obawiał się, że rozmowa nie wypadła pomyślnie. W czasie, gdy pani dyrektor poddawała go krzyżowemu ogniovi pytań, Omar przez szklaną ścianę widział, jak między Marią a nauczycielką narasta konflikt.

— Maria wciąż kręciła głową. Nagle zrzuciła na podłogę pudełko z kredkami i nie chciała pomóc nauczycielce ich pozbierać. Jak miałem skupić się na rozmowie, kiedy obok działy się takie rzeczy? Później było jeszcze gorzej. Maria wstała i obróciła się do nauczycielki plecami i zaczęła wrzeszczeć, no wiesz, tak, jak tylko ona to potrafi. Prawdziwy pistolet z tego dzieciaka. Wtedy nauczycielka kazała mi przyjść. Maria dostała hysterii. Zaczęła się na mnie wydzierać, krzyczała: „Wiem, dlaczego mi to robisz. Bo mnie nienawidzisz, no nie?”. Pani Lodowata oznajmiła, że nasza rozmowa dobiegła końca. Trwała zaledwie pięć minut — dodał. — Schrzaniliśmy to, prawda?

— Tak, schrzaniliście — przytaknęłam. — Tę szkołę możemy skreślić.

— Miałem ochotę zabić tę wredną sukę — powiedział. I wcale nie żartował.

— To chyba nie będzie konieczne, Omarze. Ta szkoła i tak nie należy do najlepszych. Nawet gdyby zgodzili się Marię przyjąć, odmówilibyśmy. — Prawdę mówiąc, skoro Maria miała zawalić rozmowę kwalifikacyjną, to właśnie w tej szkole. Hartley zaliczała się do trzeciorzędnych placówek i była traktowana jak ostatnia deska ratunku. Każdy chłopczyk czy dziewczynka uczęszczający do Hartley z góry byli uznawani za nieudaczników.

Omar był wyraźnie przybity.

— Ivy, jestem wpływowym człowiekiem. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę.

Och, zdaję, i to aż za dobrze.

— Wszyscy mnie szanują. Wszyscy. Wszyscy, którzy coś znaczą. Ale moja córka, moja krew... zupełnie nie wiem, jak z nią postępować. Ona mnie nienawidzi.

A nie przyszło ci do głowy, że może dlatego, że sprzątnąłeś jej mamusię?

— Omarze — powiedziałam. — Niełatwo jest być rodzicem. Ale nie wolno ci się poddawać. Uzbrój się w cierpliwość. Okazuj jej miłość. Jestem pewna, że zachowuje się tak dlatego, ponieważ straciła matkę. Może pomogłaby jej jakaś terapia? — Wstrzymałam oddech, mając nadzieję, że nie posunęłam się za daleko. Za nic nie chciałam, żeby powtórzył się incydent z Lilith.

— Możesz mi kogoś polecić?

O mój Boże! Przyjmuje moją radę! — wrzasnęłam w duszy, uradowana.

— Może nie w tej chwili, ale zapewniam cię, że znajdę odpowiednią osobę.

Najwyraźniej mu ulżyło.

— Omarze — powiedziałam, sięgając po notatnik, w którym miałam spisanych członków zarządu każdej szkoły. — Uważam, że nadeszła pora, abyśmy zrobili użytek z twoich wpływów. Przeczytam ci listę członków zarządu szkół, do których składasz papiery. Powiedz mi, jeśli kogoś z nich będziesz znał. Może uda nam się znaleźć dwie osoby, które mogłyby przemówić na korzyść Marii.

— Dobrze — odparł.

Wspólnie prześledziliśmy listę i znaleźliśmy dwóch członków zarządów różnych szkół, którzy, jak to ujął, przyjmą od niego kulkę.

— Wspaniale — ucieszyłam się. Teraz do listy moich przestępstw mogę dopisać układanie się z mafią. Ciekawe, jaka w naszym stanie obowiązuje kara za wyłudzenie.

— Czy możesz się z tymi ludźmi skontaktować w przyszłym tygodniu?

— Załatwione — powiedział. — To tak, jak w tej piosence Boba Dylana.

— Której mianowicie?

— *Każdy musi kogoś znać.*

— Racja, właśnie tak. W każdym razie dalej musicie chodzić na rozmowy kwalifikacyjne. I postaraj się, żeby Maria podchodziła do nich z entuzjazmem. Co najbardziej lubi robić wspólnie z tobą?

— Chyba chodzić do Modelinowego Sklepiku.

— Chodzisz z Marią do Modelinowego Sklepiku? Jakie to urocze — powiedziałam i wyobraziłam sobie, jak mafijny boss, przed którym drży cały świat, wspólnie z córeczką maluje kotki z modeliny. — Może obiecaj jej, że jak bardzo się będzie starać podczas rozmów kwalifikacyjnych, to w nagrodę się tam wybieriecie?

— To znaczy, że mam ją przekupić?

— Tak. Doprawdy dziwię się, Omarze, że sam na to nie wpadłeś. — Ojej. Faux pas.

Roześmiał się.

Nagle Omar zaczął z całkiem innej beczki. Stał się przymilny i czarujący.

— Ivy, jesteś bardzo piękną kobietą. Jesteś samotna. I ja jestem samotny. Wybierzmy się dzisiaj na kolację.

Jasne, umówmy się na randkę, pokochajmy i pobierzmy. Zostanę nową mamusią Marii, a ty będziesz mnie mógł zabić, jak ci się znudzę. Dziękuję, raczej nie skorzystam.

— Omarze — rzekłam żartobliwym tonem. — Niegrzeczny z ciebie chłopiec. Nie mogę się z tobą umówić. Jesteś moim klientem. A ja przyjąłam zasadę, żeby nigdy się z klientami nie umawiać. Muszę zachować obiektywizm.

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza. W końcu się odezwał.

— Może w takim razie później, kiedy Maria już się dostanie do którejś szkoły? — Chyba nie był szczególnie uszczęśliwiony. Omar „Rzeźnik” Kutcher nie przywykł, by ktoś mu odmawiał, z wyjątkiem jego małego pistoletu.

— Jak najbardziej. Wtedy nic już nie będzie stało nam na przeszkodzie — zamruczałam niedwuznacznie. Cholera, teraz będą mnie musieli objąć programem ochrony świadków.

TLR

17. Suka w Burberry

W niedzielę zaprosiłam na grilla — jeśli dopisze pogoda — Sassy wraz z potomstwem. Zgodnie z obietnicą złożoną Draytonowi przed kamerami telewizyjnymi, wyciągnęłam do niej rękę. Sassy była w głębokiej depresji. Właśnie wystawiła na sprzedaż swoje nowe (moje stare) mieszkanie. Okazało się, że Drayton nie zostawił jej żadnego zabezpieczenia i nie stać jej na utrzymanie apartamentu. Z początku nie chciała przyjąć zaproszenia, w końcu się jednak zgodziła, gdy obiecałam, że opowiem jej wszystko o swoim spotkaniu z Johnem Edwardem.

Nie pytając mnie o zgodę, Kate i Skyler zaprosiły na grilla naszych sąsiadów — Philipa, Archiego i Michaela. Wszyscy powiedzieli, że przyjdą. *Psiakość. Z Philipem nie widziałam się od czasu naszej kłótni. Michael zaś zachowuje się tak, jakbym nie istniała. Czemu więc zgodzili się przyjść?*

Przynajmniej dopisała pogoda. Był pogodny jesienny wieczór, na tyle ciepły, że można było siedzieć na zewnątrz, pod warunkiem, że włożyło się sweter. Sassy przyszła ubrana w kraciaste dżinsy Burberry, w których nawet jej idealny tyłek wyglądał grubo.

Obawiałam się trochę, co powie na moje skromne mieszkanie i plebejskich sąsiadów. Oprowadziłam ją po moim królestwie, które określiła jako „milutkie”. Później zapytała, ile kosztowało. Dzieci bawiły się na podwórku, dorośli zaś zasiedli przy piknikowym stoliku. Sir Elton bez przerwy atakował nogę Sassy, co było zupełnie nie na miejscu, o czym sam zresztą doskonale wiedział. Zamknęłam kundla na cały wieczór w mojej sypialni. Sassy zachowywała się chłodno, ale uprzejmie, gdy przedstawiałam ją Michaelowi, Archiemu i Philipowi. Kiedy się dowiedziała, że Archie to Nagi Cieśla, jej postawa z chłodnej stała się lodowata.

— A ty czym się zajmujesz? — zwróciła się do Michaela.

— Jestem właścicielem Kratt s Knishery na dole.

— Jakież to urocze miejsce. Udaje ci się jakoś z tego utrzymać? — zapytała, trzepocząc niewinnie rzęsami.

— Sassy, nie wydaje mi się, żeby to był... — zaczęłam.

— Mam Knishery, poza tym kilka akcji, obligacji, jakieś nieruchomości — wszedł mi w słowo Michael.

— Och, jestem pod wrażeniem. Kto by pomyślał, że sklepikarz w takiej okolicy może być takim świetnym inwestorem?

Sass, daj spokój. Nie możesz być choć raz miła? — pomyślałam.

— Michael to doprawdy zaskakujący człowiek, Sassy — powiedziałam. — Philipie, jak tam twoja książka? — zagadnęłam, zmieniając temat.

— Och, jesteś pisarzem? — zainteresowała się Sassy, wyraźnie ożywiona tym, że przy stoliku znajduje się być może ktoś jej równy.

— Zdobył Nagrodę Pulitzera za swoją powieść — wyskoczył Archie.

— Naprawdę? — To zrobiło na Sassy wrażenie.

— Nie, tylko National Book Award — wyjaśnił Philip. — Archie, podaj mi, proszę, musztardę.

— Pierwsze słyszę — rzekła Sassy. — To jakaś ważna nagroda?

— Ogromnie — zapewniłam ją.

— A teraz mają na jej podstawie kręcić film z Nicole Kidman i Denzelem Washingtonem — dodał Archie.

Nawet ja o tym nie wiedziałam. Dopiero co się rozstaliśmy, a już nic o sobie nie wiemy. Tragedia.

— Poznałeś Denzela i Nicole? — dopytywała się Sassy.

— Tak.

— Iii? — naciskała.

— Byli super — powiedział cicho Philip, rozsmarowując musztardę po całym hot dogu.

— O czym będzie twoja nowa książka, Philipie? — zapytała Sassy.

Zanim odpowiedział, Philip ugryzł spory kęs hot doga i popił go piwem.

— O niezwyklej kobiecie w latach czterdziestych. Nazywała się Ariana Nabokov von Geltenburg Chopra Gross — zaczął.

— Była szpiegiem w czasie drugiej wojny światowej i kochanką Winstona Churchilla i Adolfa Hitlera. Jednocześnie — dodałam pod-
eksytowana.

— Tak. Dzisiaj właśnie pracowałem nad sceną, w której Ewa Braun nakrywa Adolfa i Arianę w apartamencie Fuhrera w berlińskim Ritzu. Tylko pióra fruwały — roześmiał się.

— Musi się to wspaniale czytać — zauważyłam. Boże, ależ mi brakowało Philipa. Ciekawa jestem, czy pisząc o Arianie, wciąż myśli o mnie. Zauważyłam, że wszyscy skończyli jeść, posprzątałam więc ze stołu i wyrzuciłam do śmieci papierowe nakrycia i plastikowe sztucce.

Michael przyniósł soczyste ciasto z brzoskwiniami i cynamonem. Posypkę ułożył w kształt znaku pokoju i szepnął mi, że ogłasza między nami zawieszenie broni. Uściskałam go z całego serca i podziękowałam za drugą szansę.

— Muszę wam coś powiedzieć — zaczęła Sassy. — Będę dekoratorem wnętrz. — Patrzyła na nas wyczekująco. *Co jest, mamy jej urządzić owację na stojąco?*

— To wspaniale, Sassy. Na pewno ci się uda — odezwałam się w końcu.

— Wystawiłam mieszkanie na sprzedaż i wszyscy, którzy przychodzą je oglądać, zachwycają się, jak pięknie jest urządzone. Postanowiłam więc spróbować — powiedziała.

Wszyscy zgodnie jej pogratulowali.

— Masz dużo chętnych na mieszkanie? — zapytałam.

— Mnóstwo ludzi przychodzi je oglądać. Ale mam nadzieję, że moje sprawy ułożą się pomyślnie i nie będę musiała go sprzedawać.

— Sądysz się z Myoki?

— Tak, ale to się będzie ciągnąć latami. Mam nadzieję, że pręcej dojdzie do ugody z United z powodu prochów Draytona.

— Co się stało z jego prochami? — zapytałam.

— Leciałam na Maui, żeby rozsypać je po plaży, ale United zgubiło walizkę, w której spakowałam urnę.

— Spakowałaś prochy swojego męża do walizki? — zdziwił się Archie.

— Przecież nie mogłam wnieść ich tak po prostu na pokład, przy tych wszystkich zabezpieczeniach. W każdym razie namierzyli je w Guam, ale później przepadły. Wciąż szukają. Jeśli szybko ich nie znajdą, to United będzie musiało wypłacić mi odszkodowanie za straty moralne.

— To musi być dla ciebie straszne — rzekł Philip ze współczuciem.

— Niespecjalnie — powiedziała Sassy, przeżuując kawałek ciasta. — Ale nie mówcie tego United. I tak miałam je rozrzucić na wietrze. Zgubione mają dla mnie większą wartość, niż kiedy się odnajdą.

— Skoro o prochach mowa — wtrącił się Michael — w zeszłym tygodniu jadł u mnie Antonio Banderas.

— Co to ma wspólnego z prochami? — nie zrozumiałam.

— Nic. Po prostu nie lubię rozmawiać o śmierci — odparł Michael.

— Uwielbiam Antonia — powiedziała Sassy. — Z kim przyszedł?

— Z Melanie Griffith.

— Co zamówił? — dopytywała się Sassy, najwyraźniej zafascynowana wszystkim, co dotyczyło ludzi sławnych. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest płytką.

— Kielbasę na grzance, zupę z kulkami mięsnymi i rugelach na deser.

— Melanie jadła deser? — dążyła dalej Sassy.

— Jasne. Co mnie trochę zdziwiło. Wyglądała trochę *zaftig* — odpowiedział Michael.

— Co to znaczy? — spytała Sassy.

— Gruba — wyjaśnił Michael.

— Dziękuję. Nie znam hebrajskiego. Czytałam w „Observer”, że Antonio i Melanie kupili właśnie mieszkanie przy Piątej. Tu jest moja wizytówka, Michaelu. Gdyby jeszcze kiedyś się u ciebie zjawili, mógłbyś dać ją Melanie? Szeptać jej o mnie słówko?

Już widzę, jak Melanie Griffith zatrudnia Sassy Bird, de — koratorkę — amatorkę, osobę zupełnie obcą, do urzędu swojego wspaniałego nowego mieszkania. Akurat.

— Jak przyjdą, na pewno dam jej twoją wizytówkę, obiecuję — powiedział Michael.

Jedno jest pewne. Michael zawsze jest elegancki.

Kiedy grill dobiegł końca, mogłam uznać wieczór za prawdziwie udany i cieszyłam się, że byłam dla Sassy miła, choć w myślach nieustannie jej dogryzałam. Może któregoś dnia się zaprzyjaźnimy i przestanę się jej na każdym kroku czepiać.

Wychodząc, Sassy uściskała mnie na pożegnanie.

— Bardzo ci dziękuję za zaproszenie — powiedziała. — Dzisiaj po raz pierwszy czułam się szczęśliwa od czasu... no wiesz...

Ujęłam jej dłoń i ścisnęłam znacząco.

— Wiem — odparłam. — Cieszę się, że dobrze się bawiłaś. Mam nadzieję, że wkrótce to powtórzymy.

— Och, i chciałam ci jeszcze podziękować, że poznałaś mnie z Philipem. Jest taki seksowny. Zaprosiłam go na kolację w przyszły piątek i obiecał, że przyjdzie — powiedziała, bardzo podniecona.

CO?! Ty wredna dekoratorska zdziro! Zniszczyłaś moje małżeństwo. Ukradłaś mi mieszkanie. Zepsułaś przyjęcie mojej córki. A teraz jeszcze chcesz mi odebrać miłość mojego życia?

Spojrzałam ku niebu, zamknęłam oczy i przez chwilę się modliłam.

Draytonie, wybacz, ale więcej twojej żonie nie pomogę. Musisz zwolnić mnie z danego słowa, bo prostu nie dam rady, stary. Nic z tego. Przepraszam cię. Odtąd jesteś zdany na siebie.

— Nie sądzisz, Sassy, że jest dla ciebie trochę za młody? zapytałam.

— Ależ skąd. Jestem w szczytowej formie seksualnej. On też. Idealny układ.

Przełknęłam.

— Wydaje mi się, że to pedał.

— Cóż, przekonamy się w przyszłym tygodniu, prawda? zachichotała.

— Tak, chyba się przekonamy. — Ja też zachichotałam. Tylko nie zapomnij mi powiedzieć.

Zamknęłam za nią drzwi, osunęłam się na ziemię i zapłakałam.

Część 4

W pogoni za klasą

TLR

1. Bajka z morałem

Dzwonił Stu i był rozjuszony. Nic nadzwyczajnego.

— Dzisiaj przyszły wyniki testu ERB Veroniki — zaczął.

— W czym problem? Źle jej poszło?

— Wyniki są w porządku — powiedział. — Dostała dziewięćdziesiąt osiem procent z wszystkich części.

— *To wspaniale, Stu. Gratuluję* — odrzekłam. *Czemu więc jesteśmy dziś tacy nie w sosie?*

— Martwi mnie to, co napisali na drugiej stronie — oznajmił z wyrzutem.

— Mianowicie?

— Przeczytam ci, co egzaminator napisał w „Uwagach dodatkowych”. — Stu zaczął czytać. — „Łatwość w rozwiązywaniu testu przez uczennicę od początku była ewidentna. Niemal telepatycznie wyzuwała, o co w poszczególnych zadaniach chodzi, zaczynając je rozwiązywać, zanim jeszcze usłyszała polecenie. Przez cały czas trwania egzaminu Veronica czyniła uwagi w stylu: «Już to robiłam», «Moja pani pokazywała mi, jak się gra w tę grę», «Pomineła pani pytanie», «Nie jestem pewna. Czy mogę zadzwonić do Ivy?». Albo Veronica ma zdolność jasnowidzenia, albo została wyuczona, jak należy rozwiązywać test. Uzyskane wyniki nie odzwierciedlają jej prawdziwych możliwości”.

Słuchając go, czułam, jak zbiera mi się na wymioty. Wiedziałam, że nie należy uczyć Veroniki odpowiedzi na zadania testowe, ale nie, Stu musiał postawić na swoim. Nie chciałam powiedzieć: „A nie mówiłam?”, ale przecież MÓWIŁAM. Fatalnie, że egzaminator otwarcie oskarżył rodzinę o oszustwo. Psycholodzy wypowiadają się zazwyczaj w sposób zawołowany, językiem zrozumiałym tylko dla dyrektorów. Na przykład: „Susie łatwo rezygnuje z rozwiązywania trudniejszych zadań” w rzeczywistości oznaczało: „Susie to fajtłapa, która nigdy niczego nie osiągnie”. Stwierdzenie „urocze dziecko”, nieubarwione żadnymi

dotatkowymi, wyrażającymi zachwyty przymiotnikami, naprawdę należało rozumieć jako: „Dziecko niczym specjalnym się nie wyróżnia”. Raporty ERB były pełne podobnych zaszyfrowanych uwag, aluzji i ukrytych wiadomości, które mogli odczytać jedynie zaznajomieni z kodem dyrektorzy do spraw naboru. W wypadku Veroniki nikt nawet nie siłił się na owijanie w bawełnę. Niedobrze.

— Ivy, to jest nie do przyjęcia — powiedział Stu.

— Stu, wiedziałeś, na jakie ryzyko się narażasz, każąc mi wyuczyć ją odpowiedzi.

— Nigdy nie powinienem był dać ci się do tego przekonać. To było oszustwo, a ja oszukiwać nigdy nie lubiłem.

— Słucham?

— Jestem na ciebie wściekły, że mnie do tego namówiłaś. Podejrzewam, że zaprzepaściłaś jej szansę na dostanie się do jakiegokolwiek szkoły. Teraz będziemy się musieli przenieść do Scarsdale — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Stu, przecież to ty nalegałeś, żebym nauczyła Veronikę odpowiedzi, pamiętasz? Ja mówiłam, że robię to wbrew swojej woli.

— Nie — sprzeciwił się. — Powiedziałem, że pozwalam ci to zrobić, choć wbrew swojej woli. Jak dotąd, twoje usługi są żałosne, Ivy. Sam bym sobie poradził lepiej.

— Bardzo mi przykro, że tak uważasz. Rozumiem, że czujesz się rozczarowany wynikami testu. Uważam jednak, że bardzo dobrze ci doradziłam przy wyborze szkół, do których złożyłeś podania, poza tym nie możesz zaprzeczyć, że dzięki mnie wasze wypracowania wypadły bardzo dobrze — przypomniałam mu.

— O czym ty mówisz? Sam napisałem swoje wypracowanie.

— Stu, wiele godzin mi zajęło zredagowanie twojego pierwszego brudnopisu. — *Prawda, choć nie do kotka. W rzeczywistości sławny pisarz poświęcił wiele godzin na napisanie od nowa twojego tak zwanego wypracowanie, ale zawsze.*

— Ivy, twoje przeróbki były poniżej wszelkiej krytyki. Wszystkie je wyrzuciłem i wysłałem to, co napisałem sam.

Czy ten facet ma ostatnie życzenie przed śmiercią? — pomyślałam, przypominając sobie jego nieporadne, żalosne i pełne błędów wycpiny.

Stu zaśmiał się gorzko.

— Powinienem cię z miejsca zwolnić, Ivy. Ale tego nie zrobię. Radzę ci się wywiązać z tego, do czego się zobowiązałaś. Bo inaczej cię dopadnę i zamienię twoje życie w piekło. I nie obchodzi mnie, że jesteś przyjaciółką Stevena Lorda. Tu chodzi o moją córkę. Jeśli zniszczysz jej życie, ja zniszczę twoje. — Co rzekłszy, z hukiem odłożył słuchawkę.

TLR

2. Czarna jak ja

Zbliżała się pora rozmów kwalifikacyjnych Winnie Weiner. Ponieważ w zeszłym roku Wendy spaliła za sobą wszystkie mosty w trzydziestu pięciu szkołach, musieliśmy ją schować w szafie i poszukać kogoś, kto odegrałby rolę ojca Winnie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie poprosić o to Cadmona, który podczas rozmów kwalifikacyjnych w szkole Skyler i Kate wypadł po prostu uroczo. Zaraz jednak doszłam do wniosku, że lepiej nie. Ostatnio przestał nawet dzwonić, po cóż więc wywoływać wilka z lasu?

Podczas grilla naszła mnie myśl, że Archie idealnie by się do tego nadał. Był w końcu aktorem. Na pewno miło by mu było, gdyby raz dla odmiany mógł wystąpić w ubraniu.

— I co ty na to? — zapytałam, gdy przedstawiłam mu plan.

— W ten sposób zarabiasz na życie?

— Na ogół nie. Ale Wendy zawałiła wszystko w zeszłym roku i w tym nie może się nigdzie pokazać. Mamy nóż na gardle.

— Czy ta dziewczynka jest czarna? — zapytał Archie.

— Nie, biała. — Mam! To mi podsunęło pewien pomysł. Jej szanse znacznie wzrosną, jeśli będzie kandydatką mniejszości. Można ją zabrać do solarium do kabiny brązującej. — Doszłam do wniosku, że moglibyśmy ją przedstawić jako Afroamerykankę.

— Doprawdy? A w jaki sposób?

— O szczegóły się nie martw. Wszystkim się zajmę.

— A co będzie, jak wróci do szkoły po wakacjach? Jak długo mam udawać jej ojca?

— Dobre pytanie. Najlepiej będzie, jak na początek pokażesz się z nią sam. Później zaczniesz przyprowadzać Wendy,

jako swoją nową dziewczynę. Pomalutku, stopniowo usuniemy cię ze sceny. Co ty na to?

— Okay — powiedział Archie. — Czemu nie? To może być nawet interesujące. Dasz mi scenariusz?

— Dobry jesteś w improwizowaniu?

— Są tacy, co powiadają, że mam dar. Ale będziesz mi musiała pomóc w ustaleniu tła i motywacji.

— Załatwione. Opowiem ci wszystko o każdej szkole i wyjaśnię, o co mogą cię pytać. Obiecuję, że nie będzie żadnych niespodzianek. Och, Archie, i jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Nie mów nikomu, że jesteś Nagim Cieślą. W Balmoral tego nie kupią.

— Jasne. Przecież wiem. Kiedy poznam moją córkę?

— Wpadnij później. Ma przyjść z mamą. Musimy się zastanowić, jak zmienić jej wygląd. Nie chcemy, żeby ktoś z ubiegłego roku ją rozpoznał.

Po południu obcięłyśmy z Wendy długie włosy Winnie i zafarbowaliśmy je na ciemnoczekoladowy kolor.

— Co ty na to, Winnie? — zapytałam małą.

— Podoba mi się. Wyglądam inaczej.

— Wyglądasz ślicznie. Czy mamusia wytłumaczyła ci, dlaczego musisz wyglądać inaczej? Ze to ci pomoże dostać się do nowej wspaniałej szkoły?

— Tak. To dla mojego dobra. I mam nikomu o tym nie mówić.

— Umiesz dotrzymać tajemnicy?

— Tak. Na przykład niii —komu nie powiedziałam, że mamusia zrobiła sobie lifting twarzy.

— Grzeczna dziewczynka — pochwaliłam ją. Cholera, już po nas.

Później wraz z Wendy zabrałyśmy Winnie do solarium na podwójne opalanie i kupiłyśmy jej strój stylizowany na afrykański, w którym miała iść na rozmowy. Bez trudu można ją było wziąć za córkę Archiego. Szczególnie podobał mi się pomysł z przedstawieniem jej jako kandydatki mniejszości. To zwiększy jej szanse czterokrotnie!

Może was to zdziwi, ale naprawdę martwiłam się, jak cała ta maskarada odbije się na Winnie. Czy przypadkiem nie wypaczymy trwale jej psychiki? Ile czasu będzie musiała poświęcić na terapię, żeby dojść po tym wszystkim do siebie? Ale czy miałyśmy jakiś wybór? Żadna prywatna szkoła by jej nie przyjęła, wiedząc, czyją jest córką. Naprawdę martwił mnie spisek, który uknułyśmy, lecz mimo to postanowiłam zaryzykować. Nie miałam pojęcia, jak uczciwie zapewnić Winnie edukację, na którą w pełni zasługiwała.

— Chciałbym cię zapytać o dwie rzeczy — powiedziała Wendy tym swoim piskliwym, delfinim głosem.

— Słucham?

— Kiedy już się gdzieś dostanie, jak długo będzie musiała zostać czarna?

— Cóż, na początku szkoły będzie musiała wyglądać tak samo jak teraz. Później co miesiąc będziemy o ton rozjaśniać jej włosy i skórę. Pod koniec semestru będzie mogła wrócić do swojego prawdziwego wyglądu i wątpię, żeby ktoś się zorientował. To będzie stopniowa przemiana — odparłam.

— A co ze szkołą, do której teraz chodzi? Jak mam im wytłumaczyć, że nagle wygląda inaczej?

— Powiedz im, że dostała rolę w przedstawieniu — proponowałam. — Powinni się na to nabrać.

I w ten oto sposób Winnie Weiner, miła żydowska dziewczynka z Upper East Side, uwielbiana uczennica Rodeph Shalom Sunday School, stała się WaShaunte Washington.

3. Oszalała na punkcie George'a

Ze słów Sassy wynikało, że między nią a Philipem wszystko układa się wspaniale. Jakoś nie mogłam w to uwierzyć. Czy on nie widział, że to zwykła pozerka i kłamczucha?

Nigdy nie opowiedziałam Philipowi, w jaki sposób Sassy przyczyniła się do rozpadu mojego małżeństwa ani jak jej małżonek przebiegle wyślizgał mnie z pracy. Gdybym napomknęła o tym teraz, mógłby sobie pomyśleć, że prowadzę przeciwko niej jakąś złośliwą kampanię.

Sassy nabrała zwyczaju, żeby dzwonić do mnie za każdym razem, gdy ona i Philip gdzieś razem wychodzili. Zostałam jej najlepszą przyjaciółką. Kiedy wyznała mi, że to ona stała się inspiracją dla głównej bohaterki jego nowej powieści, omal nie zwymiotowałam. Czyżby w ten sposób podrywał wszystkie swoje dziewczyny?

Tęskniłam za Philipem. A może po prostu brakowało mi mężczyzny. Na szczęście zbliżała się moja randka z George'em Clooneyem, którą Faith kupiła dla mnie na aukcji. Mieszkał w Los Angeles i jej datę można było ustalić dopiero, gdy było wiadomo, że zjawi się w Nowym Jorku. Nie mogło się to zdarzyć w lepszym momencie. Byłam stęskniona uwagi jakiegoś przystojniaka. Nawet jeśli trzeba było za niego zapłacić na aukcji. W końcu zawsze mogłam udawać.

Na czas przygotowań do randki została mi udostępniona cała garderoba Faith, a także fryzjerskie usługi Avi Portala i kosmetyczne Raquel Morley. Nad sprawnym przebiegiem całej operacji czuwał Christophe. Bez trudu dawało się zauważyć, że Christophe nie jest szczególnie uszczęśliwiony przydzielonym mu zadaniem. Podczas gdy Avi zajmował się moimi włosami, Christophe chodził tam i z powrotem, dyskutując z samym sobą.

— Purpurowa Alberta Ferretti. Nie. Zbyt frywolna. Niebieski Missoni z wycięciem na brzuchu. Nie. Przy tym brzuchu to odpada. Elegancki złoty Roberto Cavalli. Nie, zbyt oczywisty. Karl Lagerfeld z tur-

kusowego tiulu. Nie, za bardzo w stylu balu maturalnego. Mam! Skórzana mini od Dolce i Gabbany. Czarna przezroczysta bluzeczka od Miu Miu. Tak zwariowane, że może się udać. To się może udać.

Koniec końców okazało się, że miał rację.

— O jakie buty ten zestaw aż się prosi? — zapytał Christophe.

— Manole? — zaryzykowałam.

Christophe zrobił minę, jak gdyby ktoś właśnie przejechał mu psa.

— Nie? — zapytałam.

— Moja droga, kochana Ivy. Wybierasz się na randkę z najbardziej seksownym facetem na ziemi. Czy masz pojęcie, co bym oddał, żeby znaleźć się na twoim miejscu? Oddałbym wszystko. Absolutnie WSZ — YYYY — STKO. Masz sprawić, żeby padł przed tobą na kolana i błagał o litość, żebyś go uratowała, położyła kres jego cierpieniom i sprawiła, że poczuje się jak bóg. A do tego potrzeba... CZEGO?

— Jimmyego Choo?

— TAK! Założysz czerwone, zapinane na pasek, powalające buty od Jimmy ego Choo. Nic innego nawet nie wchodzi w grę.

— Czerwone?

— Jeśli już niczego się nie możesz ode mnie nauczyć, naucz się przynajmniej tego — oznajmił teatralnie. — Jak masz wątpliwości, stawiaj na czerwień.

Avi ułożył mi i wysuszył włosy zgodnie z zasadami feng shui, z którymi za pośrednictwem kalifornijskiego stylisty, wyznawcy filozofii zen, właśnie się zapoznał na Międzynarodowym Pokazie Fryzur i Makiażu. Fryzura była wyważona, seksowna i przepełniona pozytywnym chi. przyłożył mi do głowy mapę Bagua, po czym w rejonach miłości i małżeństwa zrobił jaśniejsze pasemka. Co prawda moje wcześniejsze doświadczenia z feng shui nie były najlepsze, ale pomyślałam sobie, że co mi szkodzi spróbować jeszcze raz. Jeśli mam być szczerą, dałabym sobie zrobić horoskop moich włosów, gdyby tylko zwiększyło to szanse, że George Clooney mnie pokocha.

Po skończonych zabiegach wyglądałam wprost szałowo, tak przynajmniej zgodnie twierdzili wszyscy obecni w garderobie Faith. Oczywiście wiedziałam, że właściwie mogłabym być matką panienek, z którymi George normalnie się umawia. Ale i tak chciałam, żeby uznał, że wyglądam pięknie.

W piątek o siódmej wieczorem, umalowana i uczesana, w powalającym markowym zestawie czekałam na przybycie limuzyny Georgea. Skurcze żołądka kazały mi co pięć minut biegać do łazienki.

O 7.36 rozległ się ogłuszający huk motoru. Po prostu super. Anioły Piekieł urządzają sobie wyścigi pod moim domem. Wyjrzałyśmy z dziewczynkami przez okno, a tam, Przenajświętsza Panienko, wszyscy anieli i święci, z pięknego czerwonego harleya davidsona zsiadał nie kto inny, jak sam George Clooney Zdjął kask i rozejrzał się, szukając kamienicy, w której mieszkałam. W ułamku sekundy otoczyli go wszyscy moi sąsiedzi. Zupełnie jak gdyby ulicą przejechał wóz z megafonem, obwieszczając przybycie mojego gościa. Nawet Philip wyszedł na ulicę, zaciekawiony niespodziewanym poruszeniem.

Wszystko to byłoby niezwykle ekscytujące, gdyby nie kryzys, w którego obliczu właśnie stałam. Trzy niezależne czynniki złożyły się na wymagający natychmiastowego rozwiązania problem odzieżowy: (1) do moich drzwi zbliżał się George Clooney, (2) naszym środkiem transportu będzie motor, (3) miałam na sobie minispódniczkę i białą bieliznę. Jeśli w tym stroju wsiądę na motor, będzie mi widać majtki. Na domiar złego moją fryzurę szlag trafi. Psiakrew. Pognałam do sypialni i w pośpiechu włożyłam przedpotopowe czarne majtki wyszczuplające z lycry, żeby nikt nie dostrzegł wielkiej białej plamy między moimi nogami, jak będziemy jechać. Chwyciłam jedną z gumek do włosów Kate, żeby spiąć nią włosy. Niech to licho, wszystkie starania pójdą na marne. Trudno, nie mam wyjścia. Katastrofa zażegnana.

Zadzwonił dzwonek i Kate pobiegła otworzyć drzwi. Ja zwlekałam z wyjściem, żeby George sobie nie pomyślał, że nie mogę się już doczekać, czy coś w tym stylu.

— Czy jesteś Ivy, z którą jestem umówiony? — zapytał Kate.

— Nie — zachichotała mała. — To moja mamusia. — Uśmiechnął się tym swoim wspaniałym szerokim uśmiechem Georgea i oczarował nim Kate bez reszty.

— Nie chciałbyś być moim nowym tatusiem? — wypaliła.

George, rozbawiony, zmierzwił jej włosy.

— Słodka jesteś.

— Nie, naprawdę, nie chciałbyś? — upierała się.

Nie na żarty skrępowana, weszłam do pokoju. *O kurwa. Na pewno zdążył się już przyzwyczaić, że wszystkie dziewczyny się na niego rzucają.*

— Cześć — powiedział, ściskając mi na powitanie rękę. — Jestem George Clooney. — Jakbym każdą cząsteczką mojego ciała nie była tego świadoma.

— Witaj — odparłam. — Jestem Ivy Ames, szczęściara, która wygrała aukcję. — *Zachowuj się normalnie. Zachowuj się normalnie. Normalnie.*

Znowu się uśmiechnął. *Jezu, nie wytrzymam! Co za facet! Chciało mi się skakać i wrzeszczeć, jakbym byłam szesnastolatką na koncercie Beatlesów, na szczęście jednak udało mi się opanować. Z galanterią podsunął mi ramię.*

— Pani pozwoli — rzekł.

Aby uwiecznić ten moment, odpowiednio wcześniej kupiłam jednorazowy aparat fotograficzny, ale później pomysł wydał mi się tak idiotyczny, że zostawiłam aparat na stole. A teraz nie będę miała żadnych namacalnych dowodów naszego wspólnego wieczoru. Pozostaje mi każdą jego sekundę powierzyć mojej jakże zawodnej pamięci.

— Chwileczkę — powiedziałam, zmieniając jednak zdanie. — Możemy sobie zrobić zdjęcie? Nie co dzień spotyka się kogoś takiego jak ty. — *A niech mnie! To się nadaje na główne zdanie wakacyjnego listu roku!*

— Oczywiście — powiedział.

Wypstrykaliśmy cały film. George sam. George sam z każdą z nas po kolei. George i my wszystkie trzy naraz. George sam ze mną i Sir Eltonem. George z Sir Eltonem. George z rodziną i Sir Eltonem. George z June, która przyszła zająć się dziećmi. Supergość.

Wreszcie pożegnaliśmy się z dziewczynkami i wyszliśmy. Na ulicy zebrało się chyba z piętnastu sąsiadów, nie wyłączając Philipa. Już samo to było warte trzydziestu pięciu tysięcy dolarów, które Faith wydała.

Thum na nasz widok zaczął wiwatować. Czułam się potwornie skrępowana, ale udawałam, że nie robi to na mnie wrażenia.

Wsiedliśmy na motor i George dał mi kask. Żegnaj, moja piękna fryzuro.

— Obejmij mnie w pasie i trzymaj się naprawdę mocno — powiedział.

Myślisz, że trzeba mi to mówić? Obejmując go i przywierając całym ciałem do jego pleców, wyobrażałam sobie, że jesteśmy razem w łóżku, wtuleni w siebie jak łyżeczki. Jak żałośnie to brzmi, w skali od jeden do dziesięciu? Nie odpowiadajcie.

Pojechaliśmy Sto Czternastą do Rao's. W drzwiach natknęliśmy się na modelkę, która zachowywała się, jakby z Georgeem od lat łączyły ją przyjacielskie stosunki. Wymienili czułe pocałunki w powietrzu. *Hola, hola. Jestem Ivy. Zabieraj łapy od mojego faceta albo cię załatwię.* George grzecznie się od niej uwolnił i przedstawił mnie.

— Och, cześć — powiedziała wywłoka. — Myślałam, że jesteś jego ciotką, czy coś w tym rodzaju.

— Nie, jestem jego dziewczyną — odparłam słodko, zajmując strategiczną pozycję między nim a tą zdziwą. Nie było to konieczne. George poszedł przywitać się z właścicielem stojącym za barem. Odwróciłam się do kaszalota plecami, w duchu życząc jej pozbawionego miłości małżeństwa z niskim, łysym, grubym facetem, który będzie ją dzień po dniu unieszczęśliwiał. Dołączyłam do George'a, który przedstawił mnie właścicielowi o imieniu Frankie. Trudno zliczyć ludzi, którym odmówił wstępu do swojej restauracji — nawet Madonnie. Barman, Nicky Ka-

mizelka, zaproponował mi drinka, a Frankie osobiście zaprowadził nas do stolika.

Kolacja była wyśmienita. Frankie No umilił gościom czas, śpiewając starą piosenkę Sinatry. Później jeden z klientów odśpiewał Pucciniego. Byliśmy traktowani, jak wszyscy odwiedzający Rao s, isticie po królewsku. George okazał się czarujący. W pewnym momencie tak mnie rozśmieszył, że aż mi wino poleciało nosem.

Po kolacji pojechaliśmy na drinka do Balthazara.

Lokal pękał w szwach, ale poproszono — delikatnie mówiąc — jakichś miejscowych o zwolnienie stolika i znalazło się dla nas miejsce. Co chwilę zatrzymywali się koło nas różni znajomi George a z show — biznesu. Podchodzili wielbicie, żeby powiedzieć, jak bardzo podziwiają jego pracę. Kobiety, bez cienia żenady, na moich oczach wręczały mu swoje numery telefonów. Staralam się zachowywać z godnością, ale wcale dobrze się nie bawiłam.

Chyba wyczuł mój nastrój, bo zaproponował, żebyśmy wyszli.

— Znasz jakieś spokojniejsze miejsce? — zapytał.

— Mój dom.

Kiedy przyjechaliśmy, przeprosiłam go na chwilę i znikłam w łazience, gdzie ściągnęłam pas wyszczuplający — tak na wszelki wypadek. Później wzięliśmy z lodówki po piwie i wyszliśmy na zewnątrz, gdzie usiedliśmy przy piknikowym stoliku. Ponieważ wieczór był chłodny, George objął mnie ramieniem, żeby nieco mnie ogrzać.

— Och, zrób to jeszcze raz, nigdy dość takiego mężczyzny jak ty —
yy — zanuciłam cichutko.

Trywialne, wiem, ale skuteczne. Nachylił się i pocałował mnie tak, jak całował siostrę Hathaway w Ostrym dyżurze. Cóż, jak będziesz nalegał, pójdę z tobą do łóżka.

— Lepiej już pójdę — powiedział. — Gdybym został, moglibyśmy zrobić coś, czego oboje będziemy później żałować. — *Nie ma sprawy, George, niczego nie będę żałować, obiecuję.*

Wstałam i powiedziałam, że to był naprawdę cudowny wieczór. Wyszliśmy przed dom i George wsiadł na swojego harleya. Zanim założył kask, ujął moją twarz w te swoje duże, męskie dłonie, te same, którymi ujarzmił „Andreeę Gale” w *Gniewie oceanu*, i znowu mnie pocałował, łagodnie, namiętnie i powoli. „Och, gdy czas na miłość, nigdzie nie chcę się śpieszyć...”. Spokojnie, tym razem nie zaśpiewałam.

4. Przekleństwo rodzica

Następnego dnia wychodziłam właśnie ze Skyler, żeby zaprowadzić ją na lekcję tańca, kiedy zjawił się Philip. Dam sobie głowę uciąć, że czekał na odpowiedni moment.

— Cześć — powiedział.

— Cześć.

— Widzę, że spotykasz się teraz z gwiazdą filmową.

— Nie, tylko się przyjaźnimy.

— Rzeczywiście, bardzo po przyjacielsku całowaliście się na podwórku.

Tak! Podglądał nas. Był świadkiem mojej jedynej, niepowtarzalnej chwili z Georgeem Gooneyem. Bóg ISTNIEJE.

— Cóż, nigdy nie wiadomo, dokąd przyjaźń może nas zaprowadzić — odparłam tajemniczo. *A co, mogę sobie zostać kochanką, ba!, nawet żoną Georgea Clooneya. Widzisz, głupcze, co ci przeszło koło nosa?*

Philip dziwnie na mnie patrzył. Był zazdrosny.

— To na razie. Musimy lecieć — powiedziałam. — Skyler, daj rękę, kiedy będziemy przechodzić przez ulicę.

— Żebyśmy razem zginęły, kiedy przejedzie nas samochód, mamusi?

— Bardzo zabawne.

Doszłyśmy ze Skyler na róg, gdzie czekałyśmy na autobus mający zawieźć nas do studia Alvina Aileya. Po ciągnącej się chyba całą wieczność chwili autobus w końcu przyjechał i wsiadłyśmy, razem z całym tłumem sąsiadów.

— Mamusiu, czemu nie kupimy sobie samochodu? — zapytała Skyler, gdy zajęłyśmy miejsca.

— Bo nas nie stać, kochanie.

— Chciałabym, żebyśmy miały rodzica od pieniędzy — bąknęła pod nosem.

— Słucham?

— No wiesz. Tatuś zarabiałby pieniądze, a ty zajmowałabyś się dziećmi. Ty jesteś rodzic od dzieci, a tatuś to rodzic od pieniędzy. Gdybyśmy znalazły sobie tatusia, nie byłybyśmy biedne — powiedziała Skyler.

— Najmocniej przepraszam! Tak dla wyjaśnienia: twój tatuś przez ostatni rok nie zarobił ani centa. To ja byłem rodzicem od dzieci oraz rodzicem od pieniędzy. A przedtem i tak ja głównie utrzymywałam rodzinę. — *Daj spokój, Ivy. Nie musisz się tłumaczyć przed ośmiolatką. Zasada numer sto jeden psycholog Penelopy Leach.*

— Już dobrze, mamusiu — powiedziała Skyler, klepiąc mnie uspokajająco po kolanie. — Wszyscy wiedzą, że to mężczyźni zarabiają pieniądze.

— Kochanie, to nieprawda.

Do autobusu wsiadła starsza pani, ale nie było dla niej siedzącego miejsca.

— Proszę, niech pani usiądzie — powiedziałam, wstając. Przez resztę drogi stałam obok Skyler.

Spojrzała na mnie.

— Mamusiu, jestem już zmęczona tym, że jesteśmy biedne.

— Wcale nie jesteśmy biedne. Dlaczego tak mówisz?

— Mamusiu, takie są fakty. Nie mamy samochodu. Nie mamy kierowcy. Nie mamy odrzutowca. Nie mamy basenu w naszym domu na wsi.

— Kochanie, nie mamy domu na wsi.

— I to właśnie jest smutne.

— Skyler, większość ludzi nie ma tych wszystkich rzeczy.

— Wszyscy, których ja znam, mają.

— Nie twoi nowi koledzy.

— No tak, ale oni są moimi kolegami odkąd stałyśmy się biedne. Czy nie możemy znowu być bogate, mamusiu?

— Skyler, dobrze się stało, że poszłaś do publicznej szkoły Mam tylko nadzieję, że nie za późno.

— Chloe i Mardet nie chcą już być moimi koleżankami, bo chodzę do publicznej szkoły Czemu szkoły publiczne są złe?

— Nie są złe. Po prostu twoje dawne koleżanki to snobki.

— Jest jeszcze coś, mamusiu. Żadna z moich dawnych koleżanek nie chce do mnie przyjść, bo mieszkamy obok wytwórni narkotyków.

— Nie mieszkamy obok wytwórni narkotyków.

— Mamusiu, proooooszę, czy może być znowu tak, jak kiedyś? Czemu zaczęłaś tę głupią pracę?

— Skyler, straciłam poprzednią pracę i podjęłam inną, żeby was utrzymać.

— To wróć do starej pracy i znowu bądźmy bogate. Może wtedy tatuś wróci do domu.

— Skyler, kochanie moje, nie pozwoliliby mi wrócić do starej pracy, nawet gdybym ich o to poprosiła. A tatuś i ja także już nigdy nie będziemy razem. Przykro mi.

— Szkoda, że w ogóle się urodziłaś — Skyler skrzyżowała ramiona na piersiach i ze łzami w oczach zaczęła wyglądać przez okno.

— Skyler, gdybym się nie urodziła, wtedy i ciebie nie byłoby na świecie — powiedziała, naciskając guzik sygnalizujący kierowcy, że chcemy wysiąść.

— Nie. Tatuś kiedyś mnie zrobił i zrobiłby mnie znowu, z inną kobietą — powiedziała na tyle głośno, że wszyscy w autobusie mogli ją usłyszeć. Starsza pani, której ustąpiłam miejsca, uśmiechnęła się. Klepnęła mnie w nogę.

— Nastolatka? — zapytała.

— Nie, ma dopiero osiem lat.

— Dobrze, że to pani dziecko, nie moje — rzekła, potrząsając głową.

5. Inne niż my.

Praca z Ollie Pou, pokojówką o wielkich ambicjach, była samą przyjemnością. Ollie nigdy mi nie groziła. Nigdy nie poniżała. Ani razu mnie nie zwolniła. Zawsze była miła i traktowała mnie z szacunkiem. Ogólnie rzecz biorąc, bardzo przypominała mi moją mamę — gotowa na wszystko, byle zapewnić swojemu dziecku lepsze życie niż to, które jej przypadło w udziale.

Spotykałyśmy się z Ollie przed każdą rozmową kwalifikacyjną, żeby mogła ją do niej właściwie przygotować. Starannie wszystko notowała, a po każdej wizycie w szkole zdawała mi szczegółową relację. Była moją ukochaną uczennicą, jedyną klientką, co do której miałam pewność, że ściśle będzie się trzymać planu. Wszystko układało się wyśmienicie. Ułożyłam list z podziękowaniami do każdej szkoły, w której odbywała rozmowę. Ollie przepisała go ręcznie. Miała piękny charakter pisma i tak elegancka osobista notatka w aktach bez wątpienia musiała liczyć się na plus.

Jedyny poważny błąd przydarzył się Ollie podczas pierwszej rozmowy. Natychmiast po wizycie w szkole spotkałyśmy się na odprawie i wtedy zobaczyłam, że włożyła błękitny kostium z ozdobnymi guzikami, kolorystycznie dobrany kapelusz ze strusim piórkem, jedwabne szpilki i torebkę, również idealnie dopasowaną do całości stroju. W ten sposób mogła się wystroić na ślub lub do kościoła, ale na rozmowę kwalifikacyjną w prywatnej szkole był to zestaw co najmniej nieodpowiedni. Nie miałam wątpliwości — wyśmiali ją za plecami.

— Skąd masz ten kostium? — zapytałam ją.

— Podoba ci się?

— Owszem, jest prześliczny. Chociaż chyba niezbyt odpowiedni na rozmowę kwalifikacyjną.

— To mój wyjściowy kostium. Miałam go na sobie w zeszłym roku na ślubie mojej siostrzenicy.

— Jest zbyt elegancki na spotkanie z dyrektorkami. Pożyczę ci coś bardziej konserwatywnego.

Ollie nosiła ubrania o rozmiar mniejszy niż ja, ale po przejrzeniu zawartości mojej szafy wybrała czarny kostium od Christiana Diora, który dostałam po Faith. Niezły miała panienka gust.

Wyniki testu Irvinga były fenomenalne. Ponadto opinia, jaką mu wystawiono, nie mogła chyba zawierać już ani jednego więcej pochlebnego przymiotnika. W przyszłym tygodniu mam się spotkać z dyrektorką jego przedszkola, żeby wytłumaczyć jej, jak napisać opinię przedstawiającą dziecko w jak najlepszym świetle. Irving był jej pierwszym uczniem starającym się o przyjęcie do prywatnej szkoły.

Kolejną moją ulubioną rodziną byli Willow Bliss, Tiny Herrera i Jack Henry Bliss —Herrera. Zajmowali wygodne mieszkanie przy Park Avenue numer 1040, w jednej z najdroższych kamienic w mieście. Było w nim mnóstwo przepięknych przedmiotów z całego świata, na przykład posążek modlącego się Buddy przywieziony z Chin. W ich wnętrzach udekorowanych w jasne barwy pomarańczy, czerwieni i różu, zawsze czułam się dobrze i swobodnie. Willow przygotowywała wyszukane kolacje, od początku do końca sama. Nawet jarzyny nie były mrożone.

Tego wieczoru Jack Henry przygotował dla nas koncert i odśpiewał *Nobody Knows the Trouble I've Seen* i obie wiedeńskie piosenki Oscara Mayera, wybór doprawdy niezwykle interesujący. Willow wyjaśniła mi, że nie powinnam doszukiwać się w nim jakichś specjalnych podtekstów, ponieważ pierwszą piosenkę usłyszał w *Arturze*, w drugiej szalenie podobały mu się słowa, trzecią zaś wybrał, żeby pochwalić się, że potrafi wymówić takie trudne słowo: „Bolonia”.

— Czemu chcesz być wiedeńczykiem Oscara Mayera? — spytałam Jacka Henry ego.

— Bo wtedy wszyscy będą mnie kochać — odparł.

— I tak wszyscy cię już kochamy — powiedziała Willow i pocałowała małego.

Tiny opowiedziała nam o animowanym serialu telewizyjnym, który robiła dla Nickelodeon — *Mam i magiczny fotel na kółkach*. Jest to historia chłopca o imieniu Marvin, który fruwa po świecie w swoim magicznym fotelu na kółkach, dokonując heroicznych czynów. Tiny była przekonana, że serial może bardzo pomóc zdrowym dzieciom zaakceptować dzieci niepełnosprawne.

Złożyliśmy podania Jacka Henry ego do kilku najlepszych szkół w Upper East Side, gdyż tam właśnie mieszkał. Udało mi się również przekonać obie mamy, żeby spróbowały w kilku szkołach w Greenwich Village. W dzielnicy Upper East Side Jack Henry zawsze będzie traktowany jak gejowskie, czarne, niepełnosprawne dziecko, trój głowy dziwoląg. W Village mamy lesbijki nie zwrócą niczyjej uwagi.

Tiny odwiedziła kilka szkół w granicach Upper East Side i zaczęła przychylić się do mojego zdania. Martwiła się też, że jako jedynemu czarnemu dziecku w klasie trudno będzie Jackowi Henryemu sprostać sytuacji. Zaproponowałam spotkanie ze starszym czarnym chłopcem, uczniem jednej ze szkół Baby Ivys, i zapytać go, jak się w niej czuje. Musiałam tylko znaleźć odpowiedniego dzieciaka.

— Kursy, jakie proponują w prywatnych szkołach, są wspaniałe — powiedziała Tiny. — Sama zobacz. — Pokazała mi program liceum Harvard Day: historia Nowego Jorku widziana z ośmiu perspektyw, styl tragiczny i komiczny, teoria obliczeń, astrofizyka, teoretyczne i praktyczne kształcenie słuchu dla muzyków jazzowych. — Jestem pewna, że w żadnej szkole publicznej nie ma podobnych.

— Masz rację. Jack Henry będzie miał w czym wybierać, jeśli pójdzie do szkoły prywatnej — zgodziłam się z nią.

— Tylko czy warto z tego powodu skazywać go, żeby był outsiderem? — zatroskała się Tiny. — Przecież jako kaleka, a także ze mną i Willow jako rodzicami, zawsze będzie inny. Zastanawiam się, czy to, że będzie jednym z zaledwie kilkorga czarnych dzieci w klasie, dodatkowo wszystkiego mu nie utrudni.

— Na to nie potrafię ci odpowiedzieć, Tiny. Ja także byłam inna niż dzieci, z którymi chodziłam do szkoły. Byłam gruba i biedna. Moje koleżanki z klasy nieustannie mi z tego powodu dokuczały. Ale chcę wierzyć, że teraz żyjemy w bardziej oświeconych czasach — powiedziałam.

— Ja też, Ivy. Także zawsze byłam inna. Ale nie aż tak, jak Jack Henry. I to mnie martwi.

Tiny i Willow miały niedługo odbyć rozmowę kwalifikacyjną w Stratmore Prep, najbardziej konserwatywnej z prywatnych szkół w mieście.

— Musicie o czymś wiedzieć — zaczęłam ostrożnie. — W Stratmore Prep niezbyt przychylnym okiem patrzą na lesbijki. Może do tej szkoły, wyjątkowo, na rozmowę powinna pójść tylko jedna z was i udawać, że jest samotną matką. Uważam, że wtedy szanse Jacka Henry ego znacznie by wzrosły

Tiny i Willow spojrzały na siebie.

— Chcesz powiedzieć, że mamy zataić, że jesteśmy lesbijkami? — zapytała Willow.

— Cóż, tak — odparłam.

— Ale gdyby Jack Henry się dostał, to dzięki oszustwu — powiedziała Willow.

I w czym problem?

— Ivy, nie możemy się na to zgodzić. Chcemy, żeby Jack Henry chodził do szkoły, w której wiedzą, kim jesteśmy, kim on jest i w której w pełni to zaakceptują. Najważniejsze dla nas to żyć uczciwie — wyjaśniła Tiny.

Rany! To jest coś. Klienci z zasadami. Szczyciły się tym, kim były, i dla wyznawanych przez siebie wartości były gotowe do poświęceń. Nie mogłam nie podziwiać Tiny i Willow, choć w tym wypadku uważałam, że ich upór jest zwyczajnie ośli.

— W porządku — powiedziałam. — Musicie tylko mieć świadomość, że w tej szkole wasze szanse nie przedstawiają się najlepiej. Jeśli jesteście gotowe się z tym pogodzić, ja tym bardziej.

— Jesteśmy — rzekła Willow. — Chcemy znaleźć najlepszą z możliwych szkółę dla naszego syna, ale nie wbrew naszym przekonaniom.

No, no. Mają jaja te dziewczyny. Chylę przed nimi czoło.

— Czy wasze przedszkole wysłał już opinię o Jacku Henrym? — zapytałam, zmieniając temat.

Tiny i Willow wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

— Och, nic ci nie mówiłyśmy? — spytała Tiny.

— Nie, a o czym? >

— Cóż — zaczęła Tiny. — Jakiś miesiąc temu Jack Henry zaczął mieć „problemy behawioralne” — mówiąc „problemy behawioralne”, Tiny zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu. Nie mam pojęcia, czemu ludzie tak robią. To idiotyczne.

— Codziennie w czasie zajęć z plastyki rysował obrazki wypadku samochodowego, w którym zginęli jego rodzice, a on sam został sparaliżowany. Nawet nie wiedziałyśmy, że pamięta wypadek. Nigdy o nim nie mówi. Te obrazki były naprawdę drastyczne. Codziennie rysował dwa albo nawet trzy. W końcu dyrektorka zadzwoniła z prośbą, żebyśmy mu nie pozwoliły więcej ich rysować. Zgodnie z radą psychiatry odmówiliśmy. Psychiatra jest przekonany, że to pomaga mu poradzić sobie z tragedią, a gdyby mu się tego zabroniło, mógłby się cofnąć w rozwoju emocjonalnym. Dyrektorka zagroziła, że jeśli zachowanie Jacka Henrygo nie ulegnie zmianie, będzie zmuszona napisać o tym w opinii. Powiedziałyśmy, żeby się nie krępowała. Nie chciałyśmy ingerować. To się ciągnęło przez kilka dobrych tygodni. W końcu, wbrew nam, nauczycielka wzięła go na stronę i powiedziała, że natychmiast ma przestać rysować te obrazki albo w ogóle zakaże mu brać udział w lekcjach z plastyki.

— I przestał? — zapytałam.

— O, tak — odrzekła Tiny — Jest bardzo posłuszny. Tylko że teraz rysuje obrazki „Hindenburga”: jak staje w ogniu, wybucha, przelamuje się na pół, pasażerowie wypadają i giną, i tak dalej, w tym stylu. Oglądaliśmy o tym film dokumentalny na kanale historycznym. Chyba zrobił na nim wrażenie. — Podała mi plik rysunków Jacka Henry ego, wszystkie o tej samej tematyce. Mój Boże. Bardzo obrazowo przedstawił na nich spalenie, zniszczenie i spustoszenie.

— Bóg jeden wie, co napisali w jego opinii — powiedziała Tiny.

Patsy trzykrotnie pozwoliła mi wyjść z Veroniką. Nie informując o tym jej rodziców, samowolnie zgłosiłam mojego ulubionego pączusia do jedynych trzech szkół w mieście, w których testy ERB nie były wymagane. Nie były to szkoły pierwszej kategorii, ale małe instytucje o rozwojowych, mądrych programach, według mnie wymarzone dla Veroniki.

Udając samotną matkę Veroniki, w każdej ze szkół wychwalałam rozliczne talenty i zainteresowania małej. Naprawdę jest wyjątkowym dzieckiem i starałam się, jak mogłam, żeby zostało to zauważone. Veronica świetnie się bawiła w czasie naszych wizyt, spędzając czas na zabawie w niewielkich grupkach, co dyskretnie obserwowali nauczyciele. Poza tym, że za każdym razem w czasie drugiego śniadania rozlewała sok, wszędzie wypadła znakomicie. Dwie z trzech szkół wyraźnie były nią zainteresowane.

Co zrozumiałe, żywiłam poważne obawy, że żadna ze szkół Baby Ivys jej nie przyjmie z powodu tej okropnej opinii ERB. Może uda mi się zaproponować Stu inną prywatną szkołę, lepszą dla jego córki. Nie miałam tylko pojęcia, jak uda mi się go do tego pomysłu przekonać.

6. Ferie dla plebsu

Proces naboru uległ gwałtownemu wstrzymaniu aż do Nowego Roku, całe ferie świąteczne mogłam więc spędzić z moimi dziewczynkami. Szkoła Skyler i Kate urządzała festyn, podczas którego miała się odbyć zbiórka pieniędzy na bibliotekę — jedyną rzecz, jakiej w szkole brakowało.

Program, z powodu którego przyszło mi spędzić swego czasu noc na ulicy, nosił nazwę „Szkoła Podstaw”. Dyrektorka, Jennifer Rachelson, była rozsądnym pedagogiem o staromodnych, tradycyjnych zasadach. Dzieci chodziły do szkoły w mundurkach. Szczególną uwagę przykładano do nauki czytania, pisania i arytmetyki. Na lekcjach matematyki i fizyki dziewczynki i chłopcy uczyli się oddzielnie.

Byłam bardzo miło zaskoczona pomocą, jaką w szkole otrzymała Kate, mająca trudności z uczeniem się. Jeszcze w przedszkolu stwierdzono u niej dysleksję. Nasza prywatna szkoła z żalem raczyła nas poinformować, że nie dysponuje środkami na zapewnienie odpowiedniej pomocy. Kate mogła albo radzić sobie sama, albo poszukać innej szkoły. W szkole zdecydowanie polecono nam, aby Kate trzy, cztery razy w tygodniu uczęszczała na specjalne dodatkowe zajęcia. W ogóle nie przyszło im do głowy, że dodatkowy roczny wydatek w wysokości 15 000 dolarów na wyspecjalizowanych korepetytorów może przekraczać nasze możliwości. Oczywiście po stwierdzeniu u Kate dysleksji bez zastanowienia zdecydowaliśmy się na tę kosztowną pomoc. Dzisiaj coś podobnego nie wchodziłoby w ogóle w grę.

Natomiast szkoła publiczna zapewniała specjalistę za darmo i Kate po lekcjach zostawała na dodatkowe zajęcia z nauczycielami. Po raz pierwszy od przedszkola nie czuła się jak najgłupsze dziecko w klasie.

Skyler z kolei borykała się z innymi problemami. Odkąd zaczęła chodzić do szkoły publicznej, jej koleżanki z prywatnej szkoły patrzyły na nią z góry. Stało się to oczywiste, gdy w ramach programu służby

społeczeństwu jej dawna klasa przyszła do „Szkoły Podstaw”, aby udzielać korepetycji „pokrzywdzonym” uczniom szkoły publicznej w nowej klasie Skyler. Serce się krajało na widok mojej córeczki poniżanej przez dziewczynki, których zdanie tak wiele dla niej znaczyła. Jednocześnie jednak w głębi duszy odczuwałam ulgę, że teraz obraca się w innych, mniej snobistycznych kręgach.

Rzecz jasna, w nowej szkole musiałam się bardziej zaangażować w jej sprawy bytowe. Działy tu komitety zajmujące się zbiórką pieniędzy na wszystkie dodatkowe rzeczy, które w szkole prywatnej były oczywiste — bibliotekę, zajęcia pozalekcyjne, lekcje muzyki, plastyki i wychowania fizycznego. Czy kiedy moje dzieci skończą szkołę, będą potrafiły odróżnić Maneta od Moneta? Pucciego od Gucciego? Czy nawiążą przyjaźnie z dziećmi liczących się elit? Mało prawdopodobne. Ale z drugiej strony, obie się uczyły i były szczęśliwe. Poznawały świat zwykłych, przeciętnych, ciężko pracujących ludzi. Nie będę was okłamywać. Gdyby pieniądze nie stanowiły problemu, nigdy nie zabrałabym ich z bezpiecznego światka prywatnej szkoły. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, wszystko ułożyło się jak najlepiej.

W niedzielne południe wyruszyłam wraz z dziewczynkami na festyn. Kolejka do Kratts była dwa razy dłuższa niż zwykle. *Wspaniale*, pomyślałam, *Knishery prosperuje coraz lepiej*. Muszę szczerze porozmawiać z Michaeliem o rozszerzeniu działalności. To miejsce to prawdziwa żyła złota.

Przy Hester Street dogoniła nas limuzyna Faith i Stevena. Oni także wybierali się na festyn. Zabrali nas i razem pokonaliśmy kilka ostatnich przecznic. Przyszli Archie z Wendy i Winnie. Miło było patrzeć, jak Archie poważnie traktuje swoje zadanie. Na festynie, na którym gościom umiłał czas złożony z rodziców zespół salsy, można było pomalować sobie twarz, zrobić zwierzaka z balonów, budować z piasku czy kupić upieczone przez mamy ciasto. Było też specjalne, ogrodzone miejsce, gdzie dzieci mogły same wykonać własne świąteczne prezenty — dorosłym wstęp wzbroniony. Tam właśnie Kate, Skyler, Mae, Lia i Winnie spędziły większość czasu.

— Jak Winnie radzi sobie ze swoim nowym wizerunkiem? — spytałam Wendy.

Zmarszczyła czoło.

— Niezbyt dobrze. W pierwszej chwili koledzy jej nie poznali. Pani więc wyjaśniła dzieciom, że Winnie występuje w przedstawieniu i dlatego musi teraz wyglądać inaczej. Ale wtedy Winnie powiedziała wszystkim, że ma inną skórę i włosy, bo to może jej pomóc dostać się do lepszej szkoły. Boże, ile musiałam się tłumaczyć nauczycielce. Za nic nie mogę zmusić Winnie, żeby kłamała.

— Musisz ją jakoś przekonać, że dochowanie tajemnicy jest niezwykle ważne. Jeśli w szkołach się zorientują, że tak naprawdę wcale nie jest czarna, nigdzie jej nie przyjmą.

— Wiem. I robię, co mogę — powiedziała Wendy. — Niechętnie to mówię, ale coś mi się wydaje, że to był błąd.

— Być może, ale teraz już za późno, żeby się nad tym zastanawiać. Musisz się trzymać ustalonego kursu. I wiem, że dasz radę.

— Jasne, że dam — odparła. — W końcu jestem Wiener, a Wienerowie nigdy się nie poddają.

Uściskałam ją.

— Dzielna dziewczynka. Chodź, pójdziemy do bufetu.

Po obiedzie odbyła się skromna aukcja. Rzeczy wystawione na sprzedaż nie były tak atrakcyjne jak w starej szkole dziewczynek. Można było zostać dyrektorką na jeden dzień. Zjeść w cztery osoby kolację w Kratt s Knishery — ja to zorganizowałam. Odbyć lekcję hip —hopu u Gabriela Fernandez, męża Mamy XXXL, obecnie mojej wielkiej przyjaciółki, z którą wspólnie kierowałyśmy komitetem targów książki. Żadnych randek z Georgeem Clooneyem czy apartamentów na „Crystal Symphony”. Zostaliśmy wszyscy na obiedzie i na aukcji. Skyler nie posiadała się z radości, gdy wygrała jednodniowe dyrektorowanie — prezent ode mnie. Kupiłam też lekcję breakdance u dla Faith i Stevena, co uznali za wyśmienity pomysł.

Gdy festyn dobiegł końca, pani dyrektor miała dla zebranych wspa-
niałą wiadomość. Ku jej wielkiej radości, na aukcji udało się zebrać sto
cztery tysiące dziewięćset dolarów! Cztery tysiące dziewięćset dolarów
od rodziców, a sto tysięcy od jednego z najbogatszych ludzi na świecie,
który właśnie na szkolnym dziedzińcu starał się zgłębić tajniki kręcenia
głową.

TLR

7. Ulubione rzeczy Opry

We wtorek po festynie odprowadziłam dziewczynki do szkoły, a później wstąpiłam do Kratt's. Od czasu pamiętnej kłótni z Michaeliem unikałam jego restauracji, ponieważ jednak przyniósł mi ciasto z posypką w kształcie znaku pokoju, uznałam, że pora gest odwzajemnić i coś w Knishery przekąsić. Poza tym miałam nadzieję, że uda mi się napomknąć o rozszerzeniu działalności przez Michaela. Po naszej ostatniej rozmowie na ten temat miałam co prawda świadomość, że nie jest tym zainteresowany, ale restauracja przyciągała coraz więcej klientów i otworzenie nowej byłoby tylko z korzyścią dla wszystkich mieszkańców Nowego Jorku.

Usiadłam przy stoliku pod oknem i czekałam, aż Michael sam mnie zauważy. Nie zauważył. Mogło to jedynie oznaczać, że go nie ma. Zajrzałam na zaplecze i zobaczyłam go, pogrążonego w ożywionej dyskusji z dwiema kobietami, które miały ręce po łokcie unurzane w mące. Szybciutko wróciłam do stolika i czekałam, aż Michael się pokaże.

— Co się tam dzieje na zapleczu? — zapytałam, gdy w końcu się pojawił. Nigdy dotąd nie widziałam go tak zdenerwowanego.

Usiadł i złapał się rękami za głowę.

— Znasz *Oprah Winfrey Show*?

— Jasne.

— Otóż Oprah przed świętami robi program pod tytułem *Ulubione rzeczy Opry*, w którym przedstawia coś, co szczególnie przypadło jej do gustu: ubrania, sprzęt elektroniczny, jedzenie. Kilka tygodni temu wybrała nasze cynamonowo — serowe ciasteczka do kawy. Kosztowała ich w zeszłym roku, kiedy u nas jadła. Poprosili nas o przysłanie dwustu opakowań ciasteczek dla każdego z gości na widowni, co też zrobiliśmy

— To chyba świetnie, nie?

— Jasne. Program był emitowany w ubiegły wtorek. Widziałaś kolejkę w niedzielę? Dochodziła aż do Broome Street.

— Widziałam! Szłam właśnie z dziewczynkami na festyn do szkoły.

— Chodzi o to, że dostaliśmy ponad dwieście zamówień na ciasteczka i musimy je zrealizować w ciągu następnych dwóch tygodni. Nie mam pojęcia, jak to zrobić.

— Nie możesz zatrudnić więcej pracowników?

— Zatrudniłem. Widziałas te dwie kobiety na zapleczu? Wyłącznie pieką ciasteczka. Po kolacji przychodzi druga zmiana. Mój kuzyn pakuje ciasteczka najszybciej, jak potrafi. Niestety, chyba będę musiał zawieść bardzo wiele osób.

— Ile zamówień dziennie realizujesz?

— Około pięciuset, ale wciąż nadchodzą nowe.

— W tym tempie nigdy ci się nie uda.

— Wiem. Właśnie o tym mówię.

— Pomogę ci — zaproponowałam.

Michael uśmiechnął się, ukazując te swoje pyszne dołeczki.

— Wolisz pakować czy piec? Namyślałam się przez chwilę.

— Nie, to trzeba zorganizować na większą skalę. Wiesz, jak w dawnych czasach wszyscy sąsiedzi pomagali przy budowie stodoły?

— Aha, widziałem w *Małym domku na prerii*.

— Oglądałeś ten film?

— Jasne, codziennie po szkole. Kochałem się w Mary, siostrze blondynce. Tylko nie mów nikomu.

— Chcesz powiedzieć: w ślepej siostrze.

—No, toteż.

Roześmiałam się.

— Dobrze, zrobmy tak. Zorganizujemy sąsiedzką pomoc przy pakowaniu.

— Ivy, Ivy, moja naiwna lokatorko. Bardzo mi przykro, ale muszę cię rozczarować. To jest Nowy Jork i mamy dwudziesty pierwszy wiek. Ludzie nie są już sobie tacy życzliwi, jak w czasach Małego domku na prerii. Ale dzięki za propozycję.

— Zaraz, skąd ten cynizm? Pomysł jest dobry. Jak znajdę ochotników, nakarmisz ich?

— Myślę, że to się dać zrobić.

— W takim razie o nic się nie martw. Ty gotuj. Ochotników zostaw mnie.

Po południu zrobiłam ulotki **PIECZENIE CIASTECZEK W KRATTS KNISHERY**, które miało się odbyć w sobotę po zachodzie słońca, czyli od siódmej wieczorem do siódmej rano. Rozwiesiłam je wszędzie, gdzie się dało — w szkole dziewczynek, klubie dla chłopców przy Canal i Settlement House przy Henry Street. Dodatkową zachętą miał być występ Nagiego Cieśli i darmowy poczęstunek dla wszystkich chętnych do pracy.

Po piątkowym lunchu w „Szkole Podstaw” dyrektorka udostępniła nam szkolne piekarniki. Michael na swoim spręcie w żaden sposób nie dałby rady upiec dwudziestu tysięcy ciasteczek. Pod kierownictwem Mamy XXXL nasz komitet rodzicielski w szkolnej kuchni przez dwadzieścia godzin upiekł tonę ciasteczek. Gdy tylko kolejna partia ciasteczek wystygła, dwaj kierowcy Faith ładowali je i odwozili do Knishery, gdzie były pakowane i rozsyłane do zamawiających.

O dziesiątej w sobotę zjawiała się zaledwie garstka ochotników. Była wśród nich Faith, nadzorująca pakowanie. Ollie Pou zajęła się metkowaniem paczek. Tiny i Willow wzięły na siebie pobieranie opłat za zamówienia. Wendy Weiner karmiła głodnych pracowników, choć po prawdzie zbyt wielu ich nie było. Oczywiście byli też państwo Gol-dofsky. Ci to chyba nigdy stąd nie wychodzili. Nawet dzieci się przyłączyły.

Po każdym występie Nagiego Cieśli śpiewały stare, ulubione dziecięce standardy w rodzaju *The Wheels on the Bus*, *Head and Shoulders, Knees and Toes*, a także *If Youre Happy and You Know It*, *Oap*

Your Hands. Ujęło mnie, że tak wielu moich klientów i przyjaciół odpowiedziało na apel. Ale co z sąsiadami?

— Nic nie rozumiem. Jest już po dziesiątej. Gdzie się wszyscy podziewają? Wszędzie rozwiesiłam ulotki — denerwowałam się.

— Ivy, to jest Nowy Jork. Wydaje mi się, że zbyt wiele oczekujesz. Z tymi, którzy przyszli, i tak uporamy się z większością roboty — powiedział Michael. — Dokonałaś niesamowitej rzeczy

— Ale ja chciałam, żebyśmy zrobili wszystko — odparłam. Zastanowiłam się przez moment. — Zaczekaj tutaj. Idę werbować.

— Ivy, nie rób tego. Jest sobotni wieczór. Na dodatek pełnia.

— A cóż to ma do rzeczy?

— W czasie pełni miasto jest wyjątkowo niebezpieczne. Więcej przestępstw. Więcej wypadków. Więcej szczurów wylazi z rynsztoków.

— Faj! Musisz mi to mówić? — skrzywiłam się.

— Chodzi o to, że o tej porze nie powinnaś sama włóczyć się po ulicach.

— Masz rację. W takim razie chodź ze mną — powiedziałam.

Bardziej niż niechętnie Michael zostawił Knishery pod opieką kuzyna, po czym wyruszył wraz ze mną na poszukiwanie ochotników.

— Chodźmy do Cosettes. Tam na ulicy zawsze jest pełno ludzi — zaproponowałam.

— Nie, to niemożliwe — zaproponował Michael. — Wściekną się, jak im zacznę podkradać klientów.

— To nie są klienci, tylko smutni, odtrąceni ludzie, których i tak nie wpuszczą do środka.

— Nieważne. Ten tłum jest im potrzebny, żeby wyglądało, że miejsce jest popularne. To taka ich sztuczka — powiedział Michael. — A

poza tym widziałaś ich bramkarzy? Nie mam ochoty umierać akurat dzisiaj.

— Dobra, niech ci będzie. Pomyślmy Co powiesz na to? W St. Dominico s przy Hester Street jest schronisko dla bezdomnych. Żarcie dają tam paskudne. Nie ma telewizji. Ani muzyki. Założę się, że tam znajdziemy ochotników.

— Skąd wiesz, że żarcie jest paskudne?

— Domyślałam się.

— To się może udać — powiedział Michael. — Chodźmy. Kościół był otwarty, ale nigdzie nie było widać schroniska.

Woźny, który sprzątał ławki, wskazał nam drogę.

W drzwiach do piwnicy stał ojciec Christopher i witał wszystkich szukających schronienia. Przedstawiliśmy się i powiedzieliśmy, z czym przychodzimy.

— Czy zgodziłby się ojciec poinformować wszystkich o pieczeniu ciasteczek?

Zgodził się, ale dopiero kiedy Michael przyrzekł, że całe jedzenie, którego nie uda mu się sprzedać, będzie przekazywał schronisku. Ojciec przyznał, że ich jedzenie jest paskudne. (Widzicie? Miałam rację!) Zdarzało mu się jadać w Knishery i wiedział, że kuchnia jest tam wyśmieniona. Zobowiązał się co wieczór osobiście przychodzić po jedzenie, na co Michael z radością przystał. Zwykle tylko nieco mniej świeże jedzenie po prostu wyrzucał. Jakby powiedzieli w Myoki: korzyść była obopólna.

Dwadzieścia minut później wróciliśmy do Kratt s, wiodąc za sobą grupę dziewiętnastu ochotników. Ci, którzy się zgłosili, byli szczęśliwi, że będą mieli coś do roboty Obietnica dobrego jedzenia i muzyki stanowiła dodatkową zachętę. Podzieliliśmy ich na pakowaczy, piekarzy i metkujących opakowania. O północy w restauracji wrzało.

— Ivy, naprawdę nie wiem, co powiedzieć — zwrócił się do mnie Michael. — Myślałem, że wszystko już w życiu widziałem.

— No proszę, bywa, że ludzie potrafią nas zaskoczyć. Wiedziałam, że znajdziemy ochotników.

Zauważyłam, że zjawilo się kilka mieszkających po sąsiedzku osób. Zapytałam ich, dlaczego przyszli.

— Z powodu jedzenia oczywiście — odparła tleniona blondyna z pięcioma kolczykami na twarzy.

— Ja uwielbiam Nagiego Cieślę — wyjaśniła pielęgniarka, która właśnie skończyła zmianę.

— A ja chciałem pomóc — wyznał rudowłosy Irlandczyk.

— Co ci mówiłam, Michaelu? Ludzie pomagają ludziom. Sąsiedzi sąsiadom.

— Poza tym liczyłem, że będą tu jakieś dziewczyny — dodał rudzielec.

Państwo Goldofsky pod nadzorem Faith pakowali ciasteczka do puszek. Pani G. nie omieszkała skorzystać z okazji.

— Michaelu Kratt, przedstawiam ci moją wnuczkę, Miriam Goldofsky Michaelu, Miriam jest lekarzem. Miriam, Michael to ten Kratt z Kratts Knishery. — Zniżyła głos, żeby przykuć uwagę wszystkich. — Ma kamienice na całej Lower East Side. Mogłaś trafić gorzej.

Michael i Miriam uśmiechnęli się do siebie i wyszli na zewnątrz porozmawiać.

Do niedzieli rano upiekliśmy i spakowaliśmy dość ciasteczek, żeby zrealizować wszystkie złożone zamówienia, a nawet trochę na zapas. Michael był w siódmym niebie, choć jednocześnie padał na nos. Podczas gdy my życzyliśmy sobie nawzajem dobrej nocy, on otwierał Knishery, żeby serwować brunch tłumom wygłodniałych nowojorczyków. Ja poszłam spać, a przed oczami tańczyły mi tysiące ciasteczek do kawy.

8. Tajemniczy dobroczyńca

— Może pójdziemy obejrzeć choinkę w Rockefeller Center — zaproponowałam dziewczynkom w sobotę przed Bożym Narodzeniem. Mimo że w naszej rodzinie obchodziło się Chanukę, o tej porze roku Nowy Jork wyglądał przepięknie i zawsze chodziliśmy oglądać wielką choinkę i świątecznie udekorowane wystawy sklepowe.

— Tak! — wrzasnęły obie uradowane.

One także przepadały za świątecznymi dekoracjami. Opatuliłyśmy się ciepło w płaszcze, czapki, szaliki i rękawice i w ramach ćwiczeń ruszyłyśmy piechotą na Piątą Aleję i Czterdziestą Dziewiątą. Dziewczynki marudziły, że muszą iść taki kawał, ale po drodze, żeby odwrócić ich uwagę, pokazywałam im, jak ślicznie jest przystrojone miasto. Dotarłyśmy do Rockefeller Center, gdzie przyszyły tłumy ludzi, którzy wpadli na taki sam pomysł jak my. Było zbyt tłoczno, żeby podejść pod samą choinkę, stałyśmy więc po drugiej stronie ulicy i patrzyłyśmy na jej czubek, bo więcej i tak nie było widać.

— Chodźcie, staniemy w kolejce, to obejrzymy sobie wystawy w Saks — powiedziałam.

Po półgodzinie tkwienia w ścisku dotarłyśmy do pierwszej wystawy. Tłum niósł nas wzdłuż wszystkich wystaw po kolei, niczym pływaków porwanych nurtem rzeki. Kate i Skyler niewiele mogły dojrzeć zza pleców stojących przed nimi wyższych ludzi.

— Fajnie było, prawda, mamusiu? — zapytała Kate, gdy zostałyśmy wypchnięte za ostatnią wystawę.

— Jasne — odparłam.

Rzeczywiście tak myślała? Prawdę rzekłszy, mnie tłum wykończył, nogi miałam obolałe, chciało mi się siusiu i umierałam z głodu. Poza tym, bawiłam się wyśmienicie. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł po prostu genialny.

— Dziewczynki, idziemy na patio w Tavern on the Green.

Ruszyliśmy przez Central Park. Będąc rodowitą mieszkanką Nowego Jorku, wiedziałam, że najpiękniejsze dekoracje są na patio w Tavern on the Green. Drzewa są przystrojone światełkami we wszystkich możliwych kolorach, a krzewy przycięte w najróżniejsze kształty, od King Konga po delikatne łabędzie. Można kupić hot doga, usiąść za darmo przy jednym ze stolików na zewnątrz i podziwiać wspaniałe widoki. Może nawet — chociaż nie miałyśmy zamiaru niczego zamawiać — uda mi się wejść do toalety.

Ach! — westchnęłam w duchu z rozkoszą, gdy zvaliłam stare zmęczone kości na krzeselko i z zachwytem zaczęłam podziwiać istną symfonię wielokolorowych mrugających światełek. Dziewczynki biegały wokoło, oglądając przycięte fantazyjnie krzewy i flirtując z maitre d'przy drzwiach.

Podeszła do mnie hostessa.

— Przepraszam, czy pani Ames?

— Tak? — powiedziałam, pewna, że każą nam się wynosić z bezprawnie przez nas zajmowanego ich pięknego patio.

— Pani stolik jest gotowy.

— Och, ale nie zamierzałyśmy niczego jeść. Po prostu chcieliśmy chwilkę odpocząć, jeśli można.

— Oczywiście, ale pewien dżentelmen zarezerwował na pani nazwisko stolik dla trzech osób. Pokryje również rachunek.

— Pani chyba żartuje! Kto to był? Jak wyglądał?

Hostessa się roześmiała.

— Tego nie mogę powiedzieć. Chce pozostać anonimowy.

Było to nadzwyczaj ekscytujące. Tajemniczy nieznajomy stawiał dziewczynkom i mnie kolację. Czy te cuda nigdy się nie skończą? A może mam tajemniczego wielbiciela, który mnie zobaczył i uznał za wyjątkową piękność? Poprawiłam włosy i uśmiechnęłam się, tak na wszel-

ki wypadek. Gdybym wiedziała, że przyjdzie nam jeść kolację w Tavern on the Green, bardziej bym się wystroiła. Och, co tam, po prostu będę się cieszyć z niespodziewanego prezentu, pomyślałam sobie.

Zaprowadzono nas do stolika, gdzie w kubelku z lodem chłodziła się już butelka Veuve Clicquot. Czekwały również na nas trzy prezenty. Co, u licha... Kate i Skyler nie mogły ukryć podniecenia.

— Możemy otworzyć nasze prezenty? — zapytały niemal jednocześnie.

— Jasne — powiedziałam, rozglądając się dyskretnie, czy przypadkiem nie przygląda się nam ktoś znajomy. Nie zauważyłam nikogo. Zaczynałam czuć się nieco dziwnie. Skąd ktoś mógł wiedzieć, że przyjdziemy do Tavern on the Green, skoro sama wcześniej nawet o tym nie pomyślałam? Dziewczynki zdarły papier ze swoich prezentów i niemal rozplynęły się ze szczęścia, gdy się okazało, że każda dostała torbę na książki od Fendi, o której Skyler marzyła od roku. I to nie żadne tam podróbki, jakie można kupić na Canal Street. Prawdziwe.

— Prze — ślicz — ne — zachwyciła się Skyler.

Ja dostałam torbę od Prady ze skóry pytona. Wewnątrz znalazłam dziesięć nowiuteńkich, szeleszczących studolaro — wych banknotów i liścik:

Szanowna Pani,

Wiem, jak kosztowny bywa okres świąteczny. Mam nadzieję, że to pomoże Pani spełnić marzenia swoich córeczek. Jeśli Moses trafi do odpowiedniej szkoły, proszę się spodziewać dalszych wyrazów mojego uznania. Liczę na Panią.

Z poważaniem,

Buck McCall

No i nie mam tajemniczego wielbiciela. Za to mam Bucka McCalla. Niech go szlag. Przez te pieniądze i prezenty poczułam się jak tania dziwka. Na dodatek ogarnięta wstydem wie — działałam bowiem, że je zatrzymam.

9. Niespodziewany dar

W bożonarodzeniowy wieczór zostałam sama. Cadmon zabrał dziewczynki na ferie, Faith ze Stevenem i dziećmi pojechali na fotograficzne safari do Afryki, Archie wybrał się w odwiedziny do rodziców, a Philip z całą pewnością był razem z Sassy. Z tego, co mówiła, wynikało, że właściwie są już po ślubie.

Jak się okazało, Buck McCall nie był jedynym klientem, który pamiętał o mnie w te święta. Mile mnie to zaskoczyło. Tiny i Willow przysłały butelkę wyśmienitego wina, do której była dołączona kartka zrobiona własnoręcznie przez Jacka Henry'ego. Omar podarował mi płaski telewizor z plazmowym ekranem — zapewne kradzionym. Od Stu nadszedł talon na kolację w La Côte Basque, co byłoby gestem jeszcze miłszym, gdyby lokal nadal funkcjonował. Od Ollie dostałam talon na zakupy wartości pięćdziesięciu dolarów w Macy's, na który, jak doskonale wiedziałam, nie było ją stać. Radmore —Steinowie sprezentowali mi zegar z koszmarną podobizną Lilith, zakrywającą większość tarczy. Ilekroć była godzina 9.15 lub 3.45, dostawałam ataku śmiechu, ponieważ wtedy wskazówki układały się w wielkie czarne wąsy dokładnie poniżej nosa pani Radmore —Stein, jakże artystycznie sfotografowanego przez Annie Leibowitz.

Poszłam do Blockbuster, ale było zamknięte. Wracając, zauważyłam, że okna Philipa są oświetlone. Miał gości. Landrover Sassy stał zaparkowany przed domem. Najwyraźniej zadowala się byle czym. *Jak tylko usidli Philipa, ani się obejrzą, jak zamieszkają razem przy Park Avenue, w moim dawnym mieszkaniu*, pomyślałam ze smutkiem. Przy jego wydatnej pomocy może Sassy dalej będzie na nie stać.

Pokonałam schody i weszłam do siebie. Z dołu dochodziły przytłumione dźwięki kolęd i śmiech. Upiekłam czekoladowe ciasteczka. Czulałam się samotna i miałam nadzieję, że kiedy zjem ich całą blachę, poczuję się lepiej. Odkorkowałam butelkę nadesłaną przez Tiny i Willow i postanowiłam spędzić wieczór, popijając wino, rozmyślając i śpiewając bluesa. Usiadłam na kanapie i łyżką zaczęłam wyjadać ciasteczka prosto

z blachy. Po co je kroić, skoro i tak zjem wszystko sama? To idiotyczne, pomyślałam. Nie będę się dzisiaj rozczulać sama nad sobą.

Poszłam do Kratt's na kolację. W restauracji panował spokój, a Michael sprzątał za ladą.

— Nie wyglądasz najlepiej — rzekł na powitanie.

— Wielkie dzięki.

— Nie, chciałem powiedzieć, że jesteś taka jakaś smutna.

— Bo jestem. Dziewczynki są z Cadem i tęsknią za nimi. Myślałam, że zjem tu kolację.

— Przykro mi, ale zaraz zamykamy.

— Och! Cóż, trudno.

i — Może wpadniesz do mnie i przygotuję ci coś do jedzenia?

— Naprawdę? — zapytałam.

— Naprawdę.

— To bardzo miłe z twojej strony — powiedziałam. Szczerze.

Poszliśmy na górę do jego mieszkania. Byłam tam po raz pierwszy. Nie wystarczy powiedzieć, że jego mieszkanie było ładne, ono było po prostu wspaniałe. Zajmowało dwa piętra. W dolnej części, właściwie pozbawionej ścian, znajdowały się salon, kuchnia i jadalnia. Tuż przy wejściu po czarnej granitowej ścianie spływała lśniąca jak szklana tafla kaskada wody. Podłogi były z jasnego dębu. Przepiękne meble urzekały prostotą, sprawiając jednocześnie wrażenie bardzo wygodnych. Żadnych zbędnych szpargałów. Sypialnia Michaela i biblioteka znajdowały się na górze. Jak powiedział mi Michael, był też taras na dachu z japońskim ogrodem, który obiecał mi pokazać, gdy nieco się ociepli. Feng shui było wręcz doskonałe i zastanawiałam się, czy mistrz Li miał w tym swój udział.

— Przepiękne mieszkanie — powiedziałam. — Panuje tu taka harmonia.

— Dziękuję.

— Nie tego się spodziewałam — dodałam.

— Chcesz powiedzieć, że nie spodziewałaś się, że właściciel knajpy może tak mieszkać?

— Michaelu, czy kiedykolwiek puścisz w niepamięć tamten wieczór w Knickerbocker? Wtedy wszystko, co mówiłam, brzmiało nie tak. Ile razy mam cię jeszcze przeproszać? Zrobiłam to już chyba pięćdziesiąt razy, o kwiatach nie wspominając.

— Dobrze już, dobrze. Więcej o tym nie wspomnę.

— Twoje mieszkanie tak mnie zaskoczyło, bo jest w zwyczajnej kamienicy — wyjaśniłam.

— Jak to w Nowym Jorku — powiedział Michael. — Wszędzie w mieście znajdziesz budynki, w których za nic nie chciałabyś mieszkać, bo z zewnątrz brzydko wyglądają. A później nagle ktoś cię zaprasza i okazuje się, że w środku są istne pałace. Nie wolno oceniać po fasadzie, nie wiedziałaś o tym?

— Masz stuprocentową rację.

Michael wszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

— Co powiesz na makaron z sosem z homara?

— Jadasz owoce morza?

— Cii! Zachowaj to dla siebie. To ściśle tajne.

— Teraz już znam dwa twoje sekrety. Jesteś właścicielem koszernej restauracji, który jada owoce morza i kiedyś kochał się w tej puszczałskiej siksie z Małego domku na prerii. Co jeszcze ukrywasz?

— Gdybym zdradził ci wszystkie swoje sekrety, musiałbym cię zabić — powiedział z uśmiechem. — Wina? — Otworzył drzwi do niewielkiej spiżarni, w której miał setki butelek wina z całego świata. Wybrałam swoje ulubione, Conundrum.

Michael przygotowywał posiłek, a ja się przyglądałam, popijając wino. Podczas gdy on był zajęty w kuchni, nastawiłam płytę Harry'ego Connicka Juniora. Jedzenie smakowało mi, jak żadne dotąd. I bardzo dobrze się czułam w towarzystwie Michaela.

— Na każdym kroku mnie zaskakujesz, wiesz? — powiedziałam.

— Naprawdę? Jak to?

— Umiesz gotować, grasz na pianinie. Masz piękne mieszkanie. Kolekcjonujesz wina. Jesteś czarujący. I do tego ta restauracja. Nie taki powinien być właściciel knajpy.

— Słucham? Najpierw każesz mi o tym więcej nie wspominać, a teraz mówisz o tym sama? Cóż, Ivy, nie znasz się na właścicielach knajp. Jacy, według ciebie, powinni być?

— Prości, z dużą rodziną, otyli i z mieszkaniami, których nikt nie odwiedzał od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku. I powinni śmierdzieć łososiem.

— Cóż, w takim razie musiałem cię rozczarować.

— Nie, ani trochę. Prawdę mówiąc, chciałabym wznieść toast. Za Michaela, renesansowego właściciela knajpy.

— Wypiję za to — powiedział. Stuknęliśmy się kieliszkami i Michael pociągnął łyk. — Za Ivy, mojego ciasteczkowego anioła.

— Z przyjemnością ci pomogłam.

— Zatańczymy? — zapytał niespodziewanie.

— Chętnie, chociaż tancerka ze mnie raczej żadna.

— Nie martw się, po prostu pozwól się prowadzić.

Tańczyliśmy do muzyki Bobby'ego Caldwell. Michael

z dumą bardzo dobrze prowadził. Ani razu go nie podeptałam. I nasze ciała wspaniale do siebie pasowały. Muszę przyznać, że najzwyczajniej w świecie utonęłam w jego ramionach. A kiedy Bobby zaczął śpie-

wać Old Devil Moon, poczułam nieprzepartą chęć, żeby go pocałować. Czy to przez wino?

— Piękna jesteś, wiesz? — powiedział.

— Nie. Wcale nie jestem piękna. Można o mnie wszystko powiedzieć, tylko nie to, że jestem piękna.

— Tak uważasz?

— Tak właśnie uważam.

— Cóż, na pewno jesteś ładna. Z tym chyba się zgodzisz?

Roześmiałam się.

— Dziękuję — powiedziałam.

Musiałam uważać. Taka rozmowa bardzo łatwo może się przerodzić w romans. A Michael nie w ten sposób mnie pociągał.

Za późno. Michael przysunął swoją twarz do mojej i pocałował mnie, rozsuwając mi wargi językiem. Wolno poruszał nim w moich ustach. Po chwili delikatnie zaczął mnie kąsać w szyję.

— O Boże — jęknęłam. Całe ciało, od piersi aż po krocze, załapała mi fala gorąca.

Ani się obejrzałam, a już leżałam na dywanie przed kominkiem. Nie pamiętam, jak to się stało. Michael patrzył mi w oczy i dotykał mojej twarzy. Łagodnie całował moje powieki, usta, szyję. Guzik po guziku rozpiął mi bluzkę, odsłaniając coraz więcej ciała i powoli przesuwając się w dół, ku piersiom. Pomógł mi, kiedy zdejmowałam mu koszulę. Patrzył, jak się rozbieram.

— Wiedziałem, że ciało też masz piękne — powiedział.

Obejrzałam się za siebie. Mówił do mnie?

— Masz prezerwatywę? — zapytałam.

— Mam — odparł. — Zaraz wracam.

Pobiegł na górę, zostawiając mnie nagą na dywanie. Ale w pokoju było ciepło, poza tym rozgrzewało mnie wypite wino. Nawet nie zauważałam upływu czasu. Michael stał już przede mną i się rozbierał. Tym razem ja mu się przyglądałam, ciekawa, jak wygląda bez ubrania. Nie rozczarowałam się.

Położył się obok mnie i zaczął pieścić moje ciało.

— Masz taką miękką skórę. I pachniesz cytrynami — szepnął.

Uniósł twarz i musnął moje usta swoimi. Pocałowałam

go i zaczęłam przesuwając się w dół, dotykiem i wzrokiem badając każdy centymetr jego klatki piersiowej. Mm... Miał akurat tyle włosów, ile trzeba, dość, żebym mogła zanurzyć w nich palce, jednak nie taką gęstwinę, jaką mógł się poszczycić Omar Kutcher. *Jeeezu! Przestań myśleć o pracy! Bądź tu i teraz. Skup się.* Tak zrobiłam. Ani się obejrzałam, jak językiem pieściłam jego twardą męskość. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów z prawdziwą przyjemnością robiłam komuś laskę. Z Cadem nigdy tego nie lubiłam. *Przestań! Nie myśl o Cadmonie! Nie śpiesz się. Rozluźnij się. Penis i ty to jedno. Widzisz to?* Michael miał na jednym jądrze ciemniejszą plamkę. Czy podobnego znamienia nie miał w intymnym miejscu Michael Jackson? *Przestań! Nie wciągaj w to Michaela Jacksona. Skoncentruj się na obciąganiu. Tylko to się teraz liczy. Poza tym nic. Zaczekaj, tak, mam cię.* Sięgnęłam po leżącą obok prezerwatywę. Rozpakowałam ją, nałożyłam i powoli, możliwie jak najbardziej podniecająco, wsunęłam ją do końca.

Michael usiadł i pomógł mi się położyć. Sięgnął między moje nogi i wsunął we mnie palce. *Nie pamiętam kiedy byłam tak wilgotna. Na pewno nie z Cadem. Ani z Philipem. Hola! Przestań myśleć o innych facetach. Rooo —zluuu —źnij się. Mm... Ale dobrze.* Michael położył się na mnie i zaczęliśmy się kochać, najpierw wolno, później coraz szybciej i gwałtowniej. Nie wiem, ile razy zmienialiśmy pozycję, miła odmiana po sześciu sposobach, na które robiłam to z Cadem. To było niemal duchowe przeżycie, jakbym jadła siekaną wątróbkę. *Na miłość boską, Ivy, zapomnij o Codzie. Zapomnij o siekanej wątróbcie. Skup się na tym, że masz w sobie Michaela. Czuj jego ciężar. Pieprz się świadomie. Pieprz się z oddaniem. Przeżyj mi —ty ma —ty orgazmik. Przestań śpiewać.*

Daj się porwać. Daj się porwać. Pozwól sobie. Dostałam orgazmu. Po chwili Michael zadrżał i opadł na mnie. Rany boskie, zmiążdży mnie. Obrazi się, jak odepchnę go zbyt szybko? Chwileczkę, zaczekaj jeszcze chwileczkę. Jedna Missisipi, dwie Missisipi, trzy Missisipi... Przesunęłam głowę odrobinę w prawo, znajdując nosem dostęp do powietrza. W końcu sturlał się ze mnie i położył obok. Popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

— *Wesołych Świąt* — powiedział.

— *Wesołej Chanuki* — odparłam.

TLR

10. Po namyśle

Wielki błąd. Nie powinnam była tego robić z Michaeliem. Nigdy. Wiedziałam o tym w tej samej chwili, w której obudziłam się rano 26 grudnia. Był moim dobrym przyjacielem, a teraz wszystko się między nami zmieni. Gdybyśmy byli razem, a później ze sobą zerwali, zostałby po prostu jeszcze jednym sąsiadem, którego musiałabym unikać. Poza tym, chociaż starałam się nie przyznawać do tego sama przed sobą, przeszkadzało mi, że jest tylko właścicielem knajpy. Gdyby chciał się rozwijać i otworzyć sieć Knishery, to co innego. Ale jemu wystarczył jeden lokal na rogu ulic Delancey i Orchard. Pod wieloma względami naprawdę był niesamowity. Ale nie takiego mężczyzny szukałam.

Może będę z nim uprawiać seks, dopóki nie napatoczy się ktoś bardziej odpowiedni. Nie, to byłoby złe i podłe.

Zesłam do Knishery, aby powiedzieć to, co musiało zostać powiedziane. Modliłam się tylko, żeby Michael za mocno tego nie przeżył.

Ledwie usiadłam przy moim ulubionym stoliku, gdy Michael pochwycił mój wzrok. Uśmiechnął się, nalał filiżankę kawy i podał mi razem z cynamonowymi bułeczkami. Zanim usiadł, pocałował mnie w policzek.

— Jak się dzisiaj czujesz? — zapytał.

— Świetnie. Wczoraj było wspaniale — zaczęłam.

— To prawda, ty kocico — zażartował. Później zaczęliśmy mówić jednocześnie. — Ty pierwsza — rzekł.

— Nie, ty — nalegałam.

— W porządku. — Przesiadł się koło mnie i ujął mnie za rękę.

Zaraz powie, że mnie kocha. Potraktuj go łagodnie. To dobry facet. Nie złam mu serca.

— Ivy, wczoraj było cudownie. Chyba nigdy nie byłem z kobietą, która tak by się zatraciła w seksie. Czuję się, jakby poza nami świat nie istniał. W życiu tego nie zapomnę, naprawdę. Ale uważam, że nie powinniśmy tego ciągnąć.

Co?! — nie wierzyłam własnym uszom. Michael mnie rzuca?

— Czy to dlatego, że mam dzieci? — zapytałam. Na pewno o to mu chodziło. Przecież nie o mnie osobiście.

— Nie. Uwielbiam twoje dzieci. I chcę mieć własne. Chodzi o to, że po wszystkim zorientowałem się, że nigdy nie mógłbym się z tobą ożenić. Dlatego uważam, że nie powinniśmy się wiązać.

— Ty chyba żartujesz.

— Nie. Już dawno to zrozumiałem. Dlatego chciałem się z tobą pogodzić. Wczoraj po prostu mnie poniosło. Wino. Jedzenie. Ty

— Ale co jest ze mną nie tak? Jestem dla ciebie stworzona.

— Nie, nie, tak ci się tylko wydaje. Jesteś wspaniałym człowiekiem, ale wyznajemy zupełnie różne wartości.

— Co ci się nie podoba w moich wartościach? Według mnie są jak najbardziej w porządku.

— Oczywiście. Po prostu są inne niż moje. Tobie bardziej niż mnie zależy na materialnych rzeczach. Ty chcesz wieść wielkoświatowe nowojorskie życie. Na razie to niemożliwe, ale jak tylko nadarzy się okazja, nie zawahasz się ani przez chwilę. Mnie to nie odpowiada. Dobrze mi w okolicy Lower East Side, lubię swoją restaurację, mieszkanie, ogród. Uwielbiam w każdą niedzielę spotykać państwa Goldofsky. Lubię gotować i piec. Odpowiada mi takie proste, nieskomplikowane życie. My dwoje chcemy zupełnie czegoś innego, Ivy. Zostańmy więc dobrymi przyjaciółmi, dobrze? — Uśmiechnął się do mnie.

Boże, ulituj się nad moją duszą. Te dołeczki.

— Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś. — W gardle miałam taką gulę, że z trudem udało mi się to wykrztusić.

— Wybacz mi, Ivy Zaufaj mi. Tak będzie najlepiej dla nas obojga.

— Ale seks był taki wspaniały — wyszeptałam.

— Wiem.

— Myślisz, że moglibyśmy to od czasu do czasu powtórzyć? — zapytałam. — Tak bez żadnych zobowiązań?

Michael roześmiał się i ucałował moje dłonie.

— Ivy, mówię to z prawdziwym bólem, ale nie. Czuję się niezręcznie. Mieszkamy w tym samym domu. Ciągłe się widzimy. Po prostu bądźmy przyjaciółmi, dobrze?

Skinęłam głową. Po twarzy strumieniem płynęły mi łzy. Nie pytajcie, czemu. Przecież tego właśnie chciałam.

11. Szczęśliwego Nowego Roku!

Sylwestrowy wieczór spędziłam w towarzystwie mojego kudłatego adoratora, Sir Eltona. I kolejnej blachy czekoladowych ciasteczek. Zadzwoił telefon. Odebrałam natychmiast, bo a nuż dzwoniła któraś z dziewczynek.

— Ivy, mówi Stu.

Och, cóż za miła niespodzianka. Właśnie ten facet, z którym absolutnie nie chciałam rozmawiać w samotną sylwestrową noc.

— Stu, są ferie. Dzisiaj mam wolny wieczór — powiedziałam. Ależ trzeba mieć tupet, żeby akurat dzisiaj zadzierać mnie telefonami. Czy temu cierpiącemu na megalomanię neandertalczykowi nie przyszło do głowy, że mogę mieć ważne plany na dzisiejszy wieczór?

— Cóż, skoro i tak już odebrałaś, może odpowiesz na moje pytanie.

— Dobrze, co to za pytanie? — zapytałam, starając się zapanować nad zniecierpliwieniem w głosie.

— Kiedy Veronica dostanie się już do zerówki, co powinniśmy zrobić, aby miała odpowiedni życiorys, kiedy będzie się starać o przyjęcie do Harvardu albo Yale?

— Dzwonisz do mnie w sylwestra, żeby o to zapytać?

— Tak, muszę to wiedzieć. Dzisiaj piszę plany życiowe dla Veroniki i Patsy, mój także. Robię to regularnie każdego roku. Chcę to ująć w naszych celach długoterminowych. Czy nie sądzisz, że powinna zacząć pracę w hospicjum? A może lepiej, żeby zaczęła trenować łyżwiarstwo szybkie i wystartowała w olimpiadzie? Myślałem też o triathlonie. Musimy znaleźć jakiś punkt zaczepienia i im szybciej się tym zajmiemy, tym lepiej.

— Stu, Veronica ma dopiero cztery lata. Czy nie lepiej poczekać i zobaczyć, co ją samą będzie interesowało?

— Ja zdecyduję, czym się będzie interesować.

W porządku, poddaję się.

- — Myślę, że łyżwiarstwo szybkie będzie w sam raz. Złoty medal na olimpiadzie zdecydowanie da jej fory przez zwykłymi przewodniczącymi rady uczniowskiej i maniakami teatru — powiedziałam. *Poza tym pomoże jej pozbyć się nadwagi*, czego, rzecz jasna, nie dodałam na głos.

- — Fatalnie, że nie ma jeszcze żadnych międzynarodowych osiągnięć, które można by ująć w jej życiorysie do zerwki — rzekł płaczącym tonem.

- — Masz rację, fatalnie, Stu. Ale większości czterolatków nie udało się zdobyć międzynarodowej sławy, nie będzie więc jakoś specjalnie od nich odstawać. Czy to wszystko? — zapytałam słodkim głosem.

- — Czy Patsy wspominała ci, że dostałem awans?

- — Nie, chyba zapomniała. Moje gratulacje.

- — Ująłem to w swoim zeszłorocznym planie. I stało się. To właśnie jest w tym najpiękniejsze. Określ swoje zamiary i pozwól, żeby natura sama się wszystkim zajęła. W przyszłym roku Steven Lord osobiście wyznaczy mnie na kluczowe stanowisko w swojej firmie — przewidywał Stu. — To jest mój cel numer jeden. Zaczekaj, a sama się przekonasz. Już ja dopilnuję, żeby tak się stało.

- — Nie wątpię, Stu. Masz do mnie jeszcze jakąś sprawę? — zapytałam grzecznie.

- — Nie, ale być może zadzwonię do ciebie później, gdybym miał jeszcze jakieś pytania.

- — Oczywiście, nie krępuj się, Stu — powiedziałam, odkładając słuchawkę. Po czym wyłączyłam telefon.

12. Za zamkniętymi drzwiami

Po feriach czekało nas sporo rozmów kwalifikacyjnych. Przedziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy moi klienci mieli wyznaczone spotkania w Harvard Day na ten sam dzień, 12 grudnia. Cóż, być może dlatego, że złożyłam ich podania jednocześnie. Jak zwykle, wszyscy zadzwonili, żeby zdać mi szczegółowe sprawozdanie.

— Jak rozumiem, nie będzie się pan ubiegał o finansowe wsparcie?
— zapytała Tipper Archiego.

— Nie, to nie będzie konieczne. Stać mnie na chesne — odparł Archie.

— Wspaniale — ucieszyła się Tipper. — Archie, czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

— Oczywiście. !

— W jaki sposób WaShaunte straciła matkę? m

Archie zaczął mówić, po chwili jednak ukrył twarz w dłoniach i zaszczołał.

— Proszę mi wybaczyć, ale rana jest jeszcze bardzo świeża.

Tipper podała mu chusteczkę.

— Jechała do Kenii jako ochotniczka Światowej Organizacji do spraw Zwalczenia Głodu — podjął Archie. — Dla Holi najważniejszy był nie sam problem, ale jego rozwiązywanie. W każdym razie leciała małym samolotem z sześcioma innymi ochotnikami. Samolot spadł gdzieś nad afrykańską dżunglą. Mieli tylko jeden batonik i karton soku jabłkowego. Po dziesięciu dniach oczekiwania na pomoc stało się dla nich jasne, że nikt ich nie uratuje. Jedenastego dnia zrozumieli, że któreś z nich będzie musiało umrzeć, żeby reszta mogła przeżyć, to znaczy, że muszą zjeść tego, na kogo wypadnie los. Już mieli losować, kiedy Hola, jak zawsze gotowa się poświęcać dla innych, zgłosiła się na ochotnika.

Kolega podał jej pistolet i Hola dokonała ostatecznego poświęcenia. Kiedy skończyli jeść jej korpus, zjawiała się ekipa ratunkowa i uratowali wszystkich z wyjątkiem mojej najdroższej Holi. Wie pani, na czym polegała największa ironia?

— Nie, na czym?

— „Hola” to afrykańskie imię, które oznacza „zbawca”.

Tipper zadrżała.

— Jezu, ciarki mnie od tego przechodzą. Dwa tygodnie temu widziałam film na Lifetime Channel, dokładnie o tym samym.

— Naprawdę? — zapytał Archie. — A zauważyła pani napis na samym początku: „Oparte na prawdziwych wydarzeniach”?

— Neeee — Tipper zakryła dłonią usta.

— Tak! — potwierdził Archie, kiwając z zapalem głową.

Wbrew mojej radzie Lilith na rozmowę kwalifikacyjną zabrała ze sobą nianię Ransoma; tę, z którą spędzał popołudnia w dni powszednie. Chciała mieć ją pod ręką, na wypadek gdyby padło jakieś pytanie, na które ani ona, ani Johnny nie będą w stanie udzielić odpowiedzi. Niepomna moich wskazówek, Lilith ani razu podczas rozmowy nie zdjęła również swoich okularów słonecznych. Przyniosła ze sobą Panią Butterworth w torbie za czternaście tysięcy dolarów, wyposażonej w otwory wykonane na specjalne zamówienie. Johnny również nie zastosował się do moich zaleceń i zamiast w tradycyjnym garniturze od Brooks Brothers, wystąpił w dresie od Armaniego. Naprawdę nie wiem, po co mnie zatrudnili.

— Jak spędzacie państwo rodzinnie czas wspólnie z Ransomem? — zapytała Tipper.

— Kochanie, czy mogę odpowiedzieć? — zwróciła się Lilith do Johnny ego.

— Oczywiście, moja droga — odparł Johnny.

— W weekendy często muszę pracować i Ransom zawsze mnie błaga, żeby mi towarzyszyć. Jestem prezesem American Standard Papers, jak zapewne pani wiadomo, największej firmy wydawniczej na świecie. Zwykle muszę przygotowywać różne wystąpienia i Ransom uwielbia przyglądać się, jak pracuję. Kiedy w sobotę przeprowadzam przez telefon konferencję, Ransom stroi do mnie pocieszne miny, żeby zobaczyć, czy uda mu się mnie rozśmieszyć. To jest doprawdy urocze — powiedziała, przypominając sobie wygłupy synka.

— Zdawało mi się, że tego nie znosisz, kochanie? — wtrącił Johnny.

— Och, kochanie, wręcz przeciwnie, uważam, że to słodkie — natychmiast sprostowała Lilith, mierząc małżonka gniewnym spojrzeniem.

— W raporcie z przedszkola napisali, że na zebrania rodziców przychodziła zawsze sekretarka. Jeśli Ransom będzie uczęszczał do Harvard Day, będę nalegała, aby na zebraniach obecne było przynajmniej jedno z rodziców. Czy będzie to dla państwa stanowiło jakiś problem? — dopytywała Tipper.

— Ależ skąd, absolutnie — zapewniła ją Lilith. — W przedszkolu te zebrania to była taka strata czasu. No bo o czym mogliśmy tam rozmawiać? Ze coraz lepiej lepi z plasteliny? Albo że świetnie sobie radzi w „małpim gaju”? Litości. Ale teraz, kiedy już będzie w prawdziwej szkole, nie opuścimy żadnego zebrania.

— A jak radzi sobie Ransom w „małpim gaju”? — zainteresowała się Tipper.

— Cóż, właściwie trudno mi powiedzieć. — Lilith spojrzała na Johnny ego, który również nie był zorientowany. Z odsieczą pośpieszyła Marvys.

— To mały akrobata — powiedziała. — Kiedy jesteśmy w parku, nie mogę go w żaden sposób ściągnąć z drabinek.

Johnny spróbował zmienić temat.

— Och, kochanie, a może Marvys opowiedziałaby tę wspaniałą historijkę — poprosił błagalnie.

— Kotku, mogę to zrobić równie dobrze jak ona. Otóż, Tipper.... Mogę się tak do ciebie zwracać, prawda? Leciałam firmowym odrzutowcem do jednej z moich drukarni w Cincinnati. Pamiętasz ten samolot, który w zeszłym tygodniu rozbił się podczas startu? Tak więc Ransom musiał chyba usłyszeć o tym w wiadomościach, bo przybiegł do Marvys cały we łzach, dosłownie wypłakiwał sobie te swoje małe, kochane oczka, i krzychał: „Marvys, samolot się rozbił. Boję się, że mamusia była w tym samolocie, który się rozbił”. Ależ nas tym ubawił, przecież ja nigdy nie latam liniowymi samolotami.

— Panie Rzeźniku, to znaczy, najmocniej przepraszam, panie Kutcher, czy może mi pan powiedzieć, jak Mafia, to znaczy, chciałam powiedzieć Maria, radzi sobie ze złością? — zapytała kompletnie skołowana Tipper.

— Tipper, nie będę cię okłamywał — odparł Omar tonem zapożyczonym od Marlona Brando jako ojca chrzestnego, żeby przestraszyć ją jeszcze bardziej. — Odkąd zmarła jej matka, niech spoczywa w spokoju, Maria bardzo nie lubi, kiedy coś jest nie po jej myśli. Czasami krzyczy, kiedy indziej nie chce się do mnie odzywać. Raz tak się wściekła, że wyrzuciła przez balkon całą zastawę z porcelany. Mówię ci. Prawdziwy z niej pistolet.

— Mój Boże, to straszne — zmartwiła się Tipper, — Jak dziecku mogło coś takiego w ogóle przyjść do głowy?

— Jej matka, niech spoczywa w spokoju, też tak robiła, kiedy była zła — wyjaśnił Omar. — Ale jak zacznie tu chodzić, z tym już nie będzie problemu. Właśnie zaczęła terapię u najlepszego dziecięcego psychiatry.

Tipper odnotowała coś w aktach.

— To wspaniale. Czy ma pan do mnie jakieś pytania?

— Mam. Tak się zastanawiałem: ilu waszych absolwentów idzie na uniwersytet?

— Właściwie wszyscy.

— Ach, wyśmienie, wyśmienie — ucieszył się Omar. — Tipper — mówił dalej. — Zauważyłem, że nie nosisz obrączki.

— Och, tak, nie jestem zameżna.

— Tipper, ty jesteś samotna, ja jestem samotny. Pozwól się dzisiaj zaprosić na kolację — złożył jej romantyczną propozycję. — Z radością zabiorę cię do David Burke & Donatella. Dają tam najlepszego homara w całym Nowym Jorku.

Tipper się zawahała. Od lat nikt już nie proponował jej randki. Przez jedną ulotną chwilkę rozkoszowała się propozycją. Zaraz jednak przypomniała sobie, kto ją wysunął.

— Och, jakże to miło z pana strony. Ale nam nie wolno umawiać się z rodzicami kandydatów. Powstałby konflikt interesów.

— Oczywiście — zgodził się Omar. — Może jednak dasz się jakoś przyprzeć do muru?

— Nie, proszę pana, raczej... chyba nie.

— Może w takim razie umówimy się, kiedy Maria już się dostanie do Harvard Day? — Omar nie chciał dać za wygraną.

— Och, byłoby... cudownie — bąknęła Tipper, starając się jednocześnie mówić możliwie normalnym głosem. — Z radością wybiorę się z panem na homara.

— Jesteście siostrami, czy tak? — zapytała Tipper Willow i Tiny.

— Och, nie, nie czytała pani naszego wypracowania? Pozostajemy w związku lesbijskim — odparła Tiny.

— Ach, tak — powiedziała Tipper. — Pamiętam wasze wypracowania. Tak bardzo mnie poruszył. Jeśli Jack Henry zostanie przyjęty do naszej szkoły, na pewno zechcecie poznać Maksa Kantera i Howarda Honibluma. To nasza gejowska rodzina — dodała.

— Czy to jedyni homoseksualni rodzice w szkole? — zapytała Willow.

— W tej chwili tak, ale, proszę, niech was to nie zniechęca — rzekła Tipper. — W Harvard Day jesteśmy bardzo przychylni rodzinom gejowskim i pragniemy, aby rodzin o takiej orientacji było więcej.

— Miło to słyszeć — powiedziała Tiny — Jack Henry różni się od innych z powodu swojego kalectwa. Nie chcemy, żeby dzieci dodatkowo mu dokuczały z powodu dwóch mam lesbijek.

— Skoro mowa o jego kalectwie, czy spodziewacie się, że resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim, czy też jest szansa, że wkrótce z tego wyrośnie? — zapytała Tipper z uśmiechem.

— Wszystko wskazuje na to, że już zawsze będzie potrzebował wózka — wyjaśniła Tiny.

— Czy ktoś będzie mu przez cały dzień towarzyszył?

— Nie planowałyśmy tego. Jest zupełnie samowystarczalny.

— Cóż, to doprawdy wspaniale — rzekła Tipper, zawzięcie coś notując. — Z tego, co wiem, jest również czarny. Odpowiedni kandydaci mniejszości są u nas zawsze mile widziani. Poza tym, że zajmuję się naborem, przewodniczę również komitetowi różnorodności — pochwaliła się. — Czy będziecie starać się o stypendium?

— Nie — odrzekła Tiny. — Same opłacimy chesne.

— W jego opinii przeczytałam, że Jack Henry rysuje obrazki przedstawiające... okropne wypadki samochodowe. Czy robi to nadal?

— Nie, przestał — powiedziała Tiny.

— Doskonale. —

— Teraz rysuje sceny z „Hindenburga” — dodała Tiny.

— Och, jakie to dorosłe. Czy macie, panie, jakieś pytania do mnie? — zapytała Tipper.

— Owszem — powiedziała Willow. — Ile kolorowych dzieci będzie w jego klasie?

— Cóż, to zależy od liczby złożonych podań. Zamierzamy jednak mieć przynajmniej po jednym kolorowym dziecku w każdej z czterech klas przedszkolnych. Mam tu oczywiście na myśli przedstawicieli wszystkich ras: czarnej, hinduskiej, chińskiej, latynoskiej. Czasem się zastanawiam, czy powinniśmy ich rozdzielać. Może byłoby lepiej, gdyby dzieci mniejszości chodziły wszystkie razem, aby nie czuły się osamotnione. Co panie o tym myślą?

— Myślę, że dziecko czułoby się bardzo osamotnione, będąc jedynym przedstawicielem mniejszości w klasie — powiedziała Willow. — Mam jedno pytanie. Ile jeszcze niepełnosprawnych dzieci chodzi do Harvard Day?

— Cóż, hm... trudno powiedzieć. Ma pani na myśli dzieci na wózkach inwalidzkich?

Willow i Tiny zgodnie skinęły głowami.

— Teraz, czy z historycznego punktu widzenia?

— I tak, i tak — powiedziała Willow.

— Cóż, właściwie... ani jedno. Nigdy takiego nie mieliśmy. Coś jeszcze? — zapytała z uśmiechem Tipper.

Willow i Tiny pokręciły przecząco głowami.

— Ma pani niezwykle włosy — powiedziała Tipper. — Są takie różowe.

— Czy ktoś z rodziców ma włosy w takim kolorze? — zainteresowała się Tiny.

— Nie, nasi rodzice są na ogół bardziej konserwatywni. Ale proszę się nie martwić, jesteśmy otwarci i akceptujemy różnice między ludźmi.

— Świetnie — powiedziała Willow.

— Tak, panie Needleman. W swojej opinii egzaminator ERB odnotował, że, według niego Veronica została nauczona, jak należy zdawać test. Co może mi pan w tej sprawie powiedzieć? — zapytała Tipper.

— Zapisaliśmy ją w przedszkolu do klasy z poszerzonym programem i zapewne o tym mówiła podczas egzaminu — wyjaśnił Stu.

— Egzaminator podkreślił w swojej opinii, że Veronica pytała, czy może zadzwonić po pomoc do Ivy. Nie chodzi chyba o Ivy Ames, doradcę w sprawie naboru? — dociekała Tipper.

— W życiu o niej nie słyszałem.

— Czy mogę coś powiedzieć? — odezwała się Patsy. Stu paskudnie na nią spojrział.

— Oczywiście — odparła Tipper.

— Popelniliśmy wielki błąd. Wyuczyliliśmy Veronikę. Ivy mówiła, żebyśmy tego nie robili, ale byliśmy tak zestresowani, że zrobiliśmy to mimo wszystko. Nie mieliśmy racji. Proszę nie wykorzystywać tego przeciwko naszej córce. To wspaniała dziewczynka i nie chciałabym, żeby spotkała ją kara za naszą głupotę — powiedziała Patsy.

— Kochanie — zwrócił się Stu do Patsy. — Zrobiliśmy to za radą Ivy. Ona na to nalegała, przypominasz sobie?

— Stu, jesteś bardzo podły. — Patsy spojrziała na Tipper. — To był pomysł Stu. Proszę cię, Tipper, wybacz nam.

— Patsy, natychmiast się uspokój — zbeształ Stu żonę. — Tipper, Patsy żyje ostatnio w wielkim napięciu i wszystko jej się pomyliło. W tej chwili jest pod opieką lekarzy i zażywa bardzo silne środki. Nie zwracaj uwagi na to, co wygaduje — rzekł Stu spokojnie.

Patsy wstała.

— Jedyne napięcie, w jakim żyję spowodowane jest tym, że muszę żyć z tobą. Znęcasz się nad nami, jesteś kłamcą, draniem i chamem. Chcę, żebyś jeszcze dzisiaj się wyprowadził — wrzasnęła do niego Patsy. Po czym, teraz już grzecznie, zwróciła się do Tipper. — Proszę mi wybaczyć — rzekła z uśmiechem.

I Patsy wyszła z rozmowy kwalifikacyjnej w Harvard Day

— Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić? — zapytała Tipper Stu.

— Chyba już wspominałem, że pracuję dla Stevena Lorda?

— Jak widzę, Ollie, masz zamiar ubiegać się o wsparcie finansowe — stwierdziła Tipper.

— Tak, cóż, nie stać mnie na chesne, więc stypendium by się przydało — powiedziała Ollie.

— I pracujesz u państwa Radmore — Stein?

— Tak.

— Ollie, musisz zrozumieć, że jeśli Irving zostanie przyjęty do naszej szkoły, będzie się bawił z dziećmi z najznamienitszych rodzin na świecie. Z pierwszorzędných domów. Czy nie będzie mu to przeszkadzało? — zapytała Tipper w grzeczny, ale protekcyjnalny sposób. Nie daj Bóg, żeby Ollie nie potrafiła się odnaleźć w pierwszorzędnoci!

— Oczywiście. Irving potrafi bawić się ze wszystkimi. To dobry chłopiec.

— Czy Irving bawi się czasami z synem państwa Radmore — — Stein?

— Kiedyś się bawił, ale teraz już nie — wyjaśniła Ollie. — Kiedyś ten chłopiec chciał sprawdzić przewód klimatyzacji w swoim pokoju. Kazał Irvingowi iść najpierw i Irving utknął. Musiała przyjechać straż pożarna, żeby go wyciągnąć. Oczywiście, ja musiała zapłacić za naprawę ściany, którą przy okazji rozwalili.

— Musiałam zapłacić za szkody — powtórzyła Tipper.

— Właśnie. Ja musiała na to robić przez trzy tygodnie. A znowu inną razą ten chłopiec i Irving bawili się w chowanego z trójką jego kuzynów, Ratfinklesteinami z Niagara Falls. Irving schował się w suszarni, ale Ransom poszedł z kuzynami bawić się w co innego. Irving czekał na nich przez godzinę i dopiero wtedy zrezygnował. Był bardzo zły, kiedy widział, że oni se poszli do parku, a jego zostawili. Potem więcej go nie zabierałam. Chyba nie byli dobre dla siebie.

— Dobrzy. Chciałaś powiedzieć, że nie byli dobrzy dla siebie.

— No, nie byli dobre dla siebie, wcale a wcale.

— Podjęłaś słuszną decyzję — powiedziała Tipper, otwierając akta Radmore — Steinów i coś w nich notując.

— Ollie, wyniki testu ERB twojego syna są naprawdę imponujące.

— No, bystry jest. Wiem, że wyrośnie z niego coś dobrego. Jestem z niego dumna.

— I słusznie. Wspaniale wypadł na testach, a jego szkolna opinia jest jedną z najlepszych, jakie widziałam. Napisałaś też śliczne wypracowanie.

— Czy to znaczy, że go weźmiecie? — zapytała Ollie.

— Cóż, Ollie, o takich właśnie uczniów nam chodzi.

— Greg McCall? — zapytała Tipper.

— Tipper Bucket? — pytaniem na pytanie odpowiedział Greg.

— Nie, Tipper Bouquet. Teraz nazywam się „Bouquet”. Wróciłam do wymowy nazwiska moich przodków. Nie mogę uwierzyć, że to ty — zapiszczała Tipper, właściwie popuszczając w swoje wielkie majtki od Lane Bryant. — Jak zobaczyłam nazwisko, od razu się zastanowiłam, czy to ty. Z tego, co wiem, ostatnio mieszkałaś w Chicago.

— Przeprowadziliśmy się po studiach. Uściskasz mnie? — zaproponował Greg.

I uściskali się. Dee Dee przyglądała się temu nieco skonfundowana.

— Skąd się znacie? — zapytała.

— Byliśmy razem na Camp Flaming Arrow w Catskills — wyjaśnił Greg. — Pracowaliśmy jako doradcy plemienia Kickapoo. Ilekroć urządzali jakieś święto na swojej świętej ziemi, chowaliśmy się z Tipper w krzakach i pilnowaliśmy, żeby nie podpalili lasu. To było niesamowite lato. Prawda, Tipper?

— To prawda. Nie mogę uwierzyć, że Moses to twój syn — powiedziała Tipper. — Widziałam jego podanie i czytałam wasze wypracowanie, ale jakoś nie skojarzyłam. Wygląda na to, że święty dzieciak.

— Dzięki, my też tak uważamy — odparł Greg.

— Dee Dee, bardzo się cieszę, że mogę cię poznać. To ta sama Dee Dee, o której bez przerwy mówiłeś? — zapytała. Tipper.

— We własnej osobie — rzekł Greg z dumą.

Dee Dee promieniała.

— Dee Dee, byłaś jego ulubionym tematem. Wciąż powtarzał: „Dee Dee to, Dee Dee tamto”. Mam wrażenie, jakbym cię znała.

— Cieszę się, Tipper, że znowu się spotykamy. Wierzyć się nie chce, że to właśnie ty.

— Mnie też nie. Musimy się kiedyś spotkać na drinka albo na kolacji. Gregu i Dee Dee, jesteście właśnie taką rodziną, jaką z radością powitamy w Harvard Day Mam nadzieję, że poważnie się nad naszą szkołą zastanowicie — powiedziała Tipper, przypominając sobie, jakim bogatym filantropem jest ojciec Grega.

13. Dłubacze w nosie z Park Avenue

W tym samym czasie, gdy rodzice rozmawiali z Tipper, ich dzieciom przedstawiali się pani Olson i pan Taymore, nauczyciele, którzy mieli przeprowadzić z nimi zajęcia w małych grupkach. W przeciwieństwie do większości szkół, Harvard Day miała zwyczaj zdawać rodzicom relacje z przebiegu spotkania z dziećmi; stąd wiem, co się tam wydarzyło...

— Dzieci — powiedział pan Taymore. — Powiedzcie swoim rodzicom, że teraz na chwilę ich zostawicie, żeby mogli się pobawić. Powiedzcie też, żeby się nie martwili, bo niedługo po nich przyjdziecie.

Dzieci zrobiły, jak im kazano, po czym, posłuszne poleceniu pani Olson, uformowały ciuchcią i pojechały na górę. Veronica Needleman była lokomotywą, a Maria Kutcher wagonem restauracyjnym. Stacja końcowa znajdowała się w skąpanej w słońcu klasie, po brzegi wypełnionej wszystkim, co powinno się znajdować w przedszkolu — sztalugami, blokami rysunkowymi, kredkami, książkami, komputerami. Takie skarby jedynie na najbardziej zblazowanych dzieciach nie robiły wrażenia. Rzecz jasna, większość dzieci przestępujących te progi była, delikatnie mówiąc, co najmniej zblazowana.

— Dzieci, usiądziemy teraz w kółku.

Dzieci karnie utworzyły okrąg i usadziły pupy na dywanie.

— Nazywam się pan Taymore i jestem nauczycielem w tutejszej szkole. To jest pani Olson, nasza pani psycholog. W naszej szkole trenuję drużynę szachistów. Najbardziej dumny jestem z tego, że potrafię przebiec dwa kilometry w pięć minut. Lubię się uczyć o starożytnym Egipcie. A teraz każde z was po kolei opowie nam o sobie.

Trzy rączki wystrzeliły w górę.

— Ja! Ja! Ja! — Palące się do odpowiedzi dzieci rozpaczliwie machały rękami.

— Po kolei — powiedział pan Taymore. — Veronico, ty pierwsza.

— Dzisiaj, zanim tu przyszliśmy, tatuś wydzierał się na mamusię — oświadczyła Veronica. — Mamusia ma w głowie siano zamiast mózgu.

— Przykro mi to słyszeć, Veronico, chciałbym jednak, żebyś opowiedziała nam o sobie, z czego jesteś dumna i co cię interesuje — pan Taymore przywołał ją do porządku.

— Och, dobrze. Jestem Veronica. Mam cztery lata i dziewięć miesięcy. Lubię spać i jeść. A najbardziej jestem dumna z tego... że... hm.... umiem sikać na stojąco, jak tatuś.

Dzieci zachichotały, ale pani Olson chrząknęła ostrzegawczo

— Proszę pana, ja też chcę się uczyć o starożytnym Egipcie. Czy pan już wtedy żył?

— Nie, to było, zanim się urodziłem, Veronico. — Pan Taymore wskazał na Jacka Henry ego.

— Nazywam się Jack Henry Kiedy dorosnę, będę sławny, bo mam szczerbę między zębami. To bardzo rzadkie. O — powiedział, uśmiechając się jak dynia z Halloween. Rozległy się pełne zachwyty ochy i achy.

— A jak dorosnę, będę milionerem — dodał Jack Henry z dumą.

— W jaki sposób to osiągniesz? — zaciekawiała się pani Olson.

— Będę oszczędzał.

— Rozumiem — powiedział pan Taymore i wskazał następne dziecko.

— Nazywam się WaShaunte. Ja też będę sławna. Będę jak doktor Martin Luter King Junior.

— Hm... — rzekł pan Taymore. — Czy chcesz być jak doktor King, ponieważ był czarny, tak jak ty? Ponieważ był bohaterem?

— Nie, nie dlatego. Gdybym była jak doktor King, w moje urodziny byłoby święto i mielibyśmy wolne — wytłumaczyła WaShaunte. — A zresztą ja tylko udaję, że jestem czarna, żebym mogła się dostać do nowej szkoły. Tak naprawdę moja skóra jest różowa. A moje włosy naprawdę są żółte. Moja mamusia zmieniła mi kolory. — Winnie — WaShaunte przyłożyła paluszek do ust i szepnęła: — Tylko nikomu o tym nie mówcie. To taa —jee —mnica.

Pan Taymore i pani Olson poczuli się nieco oszołomieni. Czy to nie ta dziewczynka, której matka nie żyje? Wymienili znaczące spojrzenia: „Później —o —tym —porozmawiamy”.

— A wiecie, z czego jestem dumna? — zapytała Winnie — WaShaunte. — Bo umiem czytać w myślach. Jestem psycholem.

— WaShaunte, jesteś medium, nie psycholem — powiedział pan Taymore.

— Robin jest medium Batmana — rzekła Winnie — WaShaunte.

— Nie, on jest pomocnikiem Batmana — wyjaśnił pan Taymore cierpliwie.

— No, przecież mówię: psychol, pomocnik superbohatera — powiedziała Winnie — WaShaunte.

— Och, och, och! — Jack Henry podniósł rączkę i dziko zaczął nią wymachiwać. — A widzieliście Batmana i Robina, wydanie specjalne na Chanukę! To było straszne.

— No dobrze... kontynuujmy... Ransome, może teraz ty?

Ransom tak był zajęty wydłubywaniem kóz z nosa, że nawet nie usłyszał, jak wywoływano jego imię. Pan Taymore chrząknął.

— Raaansom.

— Przepraszam — powiedział Ransom, pokrzepiając się ostatnią kozą. — Na —azywam się Ransom Radmore —Stein.

— Radmore —Heinie. Powiedziałaś Radmore —Heinie? — zapytała Maria z chichotem.

— Sprzedać ci kotleta, cipo grochowa?

— Dzieci, nie wyrażajcie się. Ransomie, mów dalej, proszę — poleciła pani Olson.

— Jestem dumny, bo nauczyłem się o —o —odmieniać czasowniki. Chcecie posłuchać?

— Oczywiście — powiedział pan Taymore.

— P —p —pieprzę dzisiaj, pieprzyłem wczoraj, będę pieprzył jutro — wyrecytował Ransom, promieniejąc z dumy.

Pani Olson aż dech zaparło. Pan Taymore zachował spokój i nie zareagował.

Veronica podniosła rękę.

— Słucham, Veronica — powiedział pan Taymore.

— Co to znaczy „pieprzyć”? — chciała się dowiedzieć Veronica. ;

— Ja wiem, ja wiem — krzyknęła Maria, machając gwałtownie rączką. — Ja chcę powiedzieć, ja, ja!

— Teraz nie będziemy o tym rozmawiać — rzekł pan Taymore. — To nie jest ładne słowo.

Maria nachyliła się do Veroniki.

— To znaczy „uprawiać seks” — szepnęła. — No wiesz, kiedy mężczyzna wkłada swojego benisa do bochwy kobiety, żeby zrobić dziecko.

— O fuj! — skrzywiła się Veronica. — Mój tato nigdy by tego zrobił.

— Wystarczy, dziewczynki. Mario, przedstaw się nam, proszę — poleciła pani Olson.

— Nazywam się Maria Kutcher i mój tata jest rzeźnikiem. A wiecie, że nie ma Świętego Mikołaja?

— Coś ty! — wykrzyknął Jack Henry. — To nieprawda.

— A właśnie, że prawda — upierała się Maria, kiwając głową. — Tato mi powiedział, a on wszystko wie. I Królika Wielkanocnego też nie ma.

— Ooooch — jęknął Jack Henry z dłonią przytkniętą do buzi.

— I nie ma w — w — wróżki zębowej — dodał Ransom.

— To Boga chyba też nie ma — powiedział Jack Henry, spoglądając wyczekująco na nauczycieli.

— Bardzo mądry wniosek, Jacku Henry — rzekła pani Olson i coś zanotowała.

Po tym filozoficznym wywodzie pani Olson wzięła trójkę dzieci, a pan Taymore pozostałą dwójkę. Usiedli przy oddzielnych stolikach, gdzie dzieci rysowały swoje rodziny, liczyły misie, dodawały, odejmowały i demonstrowały swoje umiejętności w pisaniu i rozpoznawaniu liter. Maria nie potrafiła odróżnić sześciokąta od równoległocianu, Ransom nie był w stanie nazwać cyfr, poza tym jednak dzieci poradziły sobie niezłe. Podano ciasteczka ryżowe, owoce i sok jabłkowy. Maria nie chciała zjeść brzoskwini, bo miała „kość”. Veronica rozlała sok.

— Dzieci, ustawcie się. Idziemy po waszych rodziców — powiedziała pani Olson.

— Kto puścił baka? — krzyknęła Maria oskarżycielsko.

— Na mnie nie patrz. To nie ja — obruszył się Jack Henry.

— Kto pierwszy czuje, od tego z — z — zalatuje — wrzasnął Ransom prosto w twarz Marii.

— Ten snuje, kto czuje — odpyskowała bez zastanowienia Maria.

— Veroniko, zacznij iść do drzwi — powiedział pan Taymore, ignorując awanturę o wzdęcia.

— Hej! — Maria klepnęła Veronikę w ramię. — Jakie święto lubisz najbardziej?

— Niedzielę.

— Hej! — Maria klepnęła ją znowu. — Chcesz się ze mną bawić? — zapytała, gdy jako ciuchcia wracali do rodziców

— Jasne — odparła Veronica, wyjmując z plecaczka z Kopciuszkiem organizer z Rugratsami. — Kiedy ci pasuje?

— Zadzwoń do taty i zapytam — powiedziała Maria i z torebki SpongeBob wyciągnęła telefon komórkowy. — Tato ma mojego palmtopa, bo mi się nie mieści w torebce.

Na popołudnie wyznaczono spotkanie dwóm chłopcom. Pan Taymore ponownie się przedstawił i poprosił, aby obaj kandydaci zrobili to samo.

— Cześć, jestem Moses Epstein —McCall. Lubię oglądać sport w telewizji i grać w kosza. Umiem mówić po hebrajska Wicie, że każda żydowska modlitwa zaczyna się od „paluch w Illinois”?

— Chodzi ci chyba o Barukh atah Adonai — poprawił go pan Taymore.

— No przecież mówię. „Paluch w Illinois”. Och, a najbardziej jestem dumny z tego, że umiem sobie wywrócić penisa na drugą stronę. Pokazać wam? — Moses zaczął rozpinać rozporek.

— Nie — rzekła zdecydowanie pani Olson, machając z przerażeniem ręką. — Bardzo proszę, wszystkie penisy zostają w spodniach.

—I mam swoją drużynę koszykówki — dodał Moses.

— Super — powiedział Irving.

— Mosesie, na pewno nie masz swojej drużyny koszykówki — rzekł pan Taymore.

— A właśnie, że mam.

Pan Taymore i pani Olson spojrzeli na siebie z uniesionymi brwiami.

— Mosesie, gdzie sobie nabiłeś tego guza? — zapytał pan Taymore.

Moses dotknął okazałego siniaka na czole.

— Walnąłem się o łóżko. Mówiłem wam, że mój wujek umarł w zeszłym roku? No, i niedługo go wykopię.

Starając się ukryć uśmiech, pan Taymore poprosił, aby teraz powiedział coś o sobie Irving.

— Nazywam się Irving Pou. Jak wykopiesz swojego wujka, będzie szkieletem. Jak chcesz, pójdę z tobą i powiem ci, jak się nazywają wszystkie kości. Kiedyś będę doktorem.

— Dobra, możesz iść — zgodził się Moses. — Doktor może się przydać.

— A ja mam myszkę, która mieszka w szafie mamy — pochwalił się Irving.

— Ale klawo! — zachwycił się Moses.

— A jak się ta myszka załatwia? — zapytała pani Olson.

— No, nauczyłem ją, żeby robiła kupę na przyklepne karteczki.

Podobnie jak to było w wypadku wcześniejszej grupy, pan Taymore i pani Olson obserwowali zachowanie chłopców w klasie. Sprawdzali, jak liczą, rysują, budują z klocków. Obaj kandydaci wspaniale umieli się posługiwać nożyczkami. Irving zapomniał słów piosenki o farmerze. Moses zjadł prawie całą plastelinę; ten wybryk oczywiście zostanie przemilczany w opinii końcowej, biorąc pod uwagę finansowe możliwości potencjalnego darczyńcy, jakim był jego dziadek.

14. Pojedźmy do Luckenbach w Teksasie

Stu obarczył mnie winą za rozpad jego małżeństwa z Patsy.

— To wszystko twoja wina. Gdybyś nie namieszała jej w głowie, nie doszłoby do tego! — wrzeszczał tak głośno, że musiałam odsunąć słuchawkę od ucha.

— Stu, nie przyszło ci do głowy, że być może ty masz w tym swój niewielki udział?

— Nie, Ivy, nie mam. Byliśmy z Patsy bardzo szczęśliwi, zanim się nie pojawiłaś. Nigdy się nie kłóciliśmy. Patsy we wszystkim się ze mną zgadzała. Za to w dniu, w którym cię zatrudniliśmy, nasze życie legło w gruzach.

— I uważasz, że to ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność?

— Ja nie uważam, ja wiem!

— W porządku, Stu. Czy mogę ci to jakoś zrekompensować?

— Po pierwsze, możesz mi zwrócić żonę. Po drugie, umieścić Veronicę w najlepszej szkole. A później nie chcę już nigdy więcej oglądać twojej żalostnej gęby! — Z wściekłością grzmotnął słuchawką.

Po awanturze ze Stu wyszłam z domu, usiadłam na ławce przed Kratt s i rozplakałam się. Miałam czterdzieści lat na karku i chciałam tylko do mamusi.

Nigdy dobrze nie znosiłam sytuacji, kiedy ktoś się na mnie wydzierał. W Myoki wydzierali się frajerzy — tylko słabeusze zachowywali się agresywnie. W Myoki uśmiechaliśmy się do naszych wrogów, a za ich plecami knuliśmy spiski, kombinowaliśmy przebiegle, jak by tu ich też wykolego — wać. Prowadzona wprawna ręką tak utalentowanych mistrzów, jak Drayton Bird i Konrad Kavalier, osiągnęłam mistrzostwo w pasywno —agresywnych działaniach zaczepno —obronnych. W ten

sposób udało mi się przeżyć tam całe czternaście lat. Kiedy ktoś darł się na mnie tak jak Stu, cofałam się w rozwoju, na powrót stając się pięcioletnią Ivy Schechter, której tatuś i mamusia krzyczeli na siebie, kiedy tatuś wracał, roztaczając wokół siebie zapach cudzych perfum. Tak to przynajmniej tłumaczył mój dawny psychiatra.

Tyrada Stu doprowadziła mnie więc do łez i wyszłam na zewnątrz, żeby się wypłakać. Gdy siedziałam na ławce i z twarzą ukrytą w dłoniach zanosilałam się płaczem, usłyszałam czyjś głos.

— Dobrze się czujesz?

Podniosłam wzrok i ujrzałam stojącego obok Philipa z dwiema torbami od D Agostino w rękach.

— A wygląda, że czuję się dobrze? — zapytałam. — Płacę, bo właśnie nawrzeszczał na mnie klient.

— Zrobiłaś mu coś?

— Nie wiem. — Najbardziej, jak umiałam, opowiedziałam Philipowi o oskarżeniach Stu.

— Ten facet ma chyba nie po kolei w głowie. Na miejscu jego żony też bym go zostawił.

— Dzięki.

Philip postawił torby i usiadł obok mnie.

— A reszta twoich klientów? Z nimi układa ci się lepiej? — Mówił, jak gdyby naprawdę go to interesowało.

— Właściwie tak. Ale ta zwariowana praca doprowadza mnie do szału. Myślałam, że skończyłam z tym, kiedy odeszłam z Myoki, ale najwyraźniej nie jest mi to pisane. Chyba jestem za bardzo pomysłowa. Tak już namieszałam, że za późno, żebym się teraz wycofała — poskarżyłam się.

— Tak źle chyba nie jest.

Opowiedziałam mu o wszystkich ostatnich przekrętach. O tym, co zrobiliśmy, żeby Winnie wyglądała jak czarne dziecko. I jak wynajęłam

Archiego do odegrania roli jej ojca. I jak Omar „przekonywał” członków zarządu, aby Maria została przyjęta. A także o oszustwie, jakiego się dopuściliśmy, żeby Veronica wypadła dobrze podczas testu.

Philip wypytywał mnie, w jaki sposób udało nam się zmienić kolor skóry Winnie i czy psychologicznie poradziła sobie z tą maskaradą, na kim Omar stosował wymuszenia, jak Veronica oszukiwała podczas testu, a przede wszystkim w jaki sposób doszło do tego, że sprawa się wydała. Miło mi było, że tak się interesuje moim życiem. Może jednak coś między nami znowu zaiskrzy.

Przypomniałam Philipowi, jak Lilith Radmore —Stein zamierzała przekupić członków zarządu Statmore Prep i jak dziadek Mosesa McCalla nadal proponował mi milion dolarów za oszukanie jego syna. Spośród wszystkich moich klientów jedynie Ollie, Tiny i Willow grały czysto. Philip nie mógł uwierzyć, że mimo obietnicy pokaźnej zapłaty i tak co chwilę dostawałam od Bucka jakiś kosztowny prezent.

— Normalnie słów mi brak — powiedział. — Rany!

— Rzeczywiście, rany — odparłam. — Jest jeszcze coś, o czym ci nie mówiłam.

— Mianowicie?

— Zastanawiam się, czy nie przystać na propozycję Bucka McCalla. Tak sobie myślę, że może jednak wezmę te pieniądze, zwinę interes i przeniosę się do Luckenbach w Teksasie.

— Do Luckenbach? Dlaczego?

— A bo ja wiem. Jest taka piosenka Waylona Jenningsa. No wiesz: „Jadę do Luckenbach w Teksasie, z Waylonem, Williem i chłopakami”. Jak się tego słucha, wydaje się to takie proste. Od razu kupiłabym dom, używanego forda, dziewczynki posłała do prywatnej szkoły, a sama została kasjerką w miejscowym sklepiku.

— W głębi duszy jesteś dziewczyną ze wsi? — zażartował.

— Być może — rzekłam poważnie. Czułam, że drży mi broda. — Philipie, zrobiłam tyle paskudnych rzeczy. Masz szczęście, że się mnie pozbyłeś.

— Brakuje mi ciebie — powiedział cicho.

— Mnie ciebie także — szepnęłam. — Ale wszystko wskazuje na to, że ty i Sassy lada dzień się pobierzecie. Chyba powinnam się cieszyć, ze względu na ciebie.

Roześmiał się.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Sassy mi powiedziała.

— To nieprawda — rzekł. — Kilka razy zjedliśmy razem kolację, ale to wszystko.

— Ale podobno jest inspiracją dla twojej nowej książki.

— A to kto ci powiedział?

— Sassy, któż by inny? Powiedziała mi, że na niej wzorujesz swoją główną bohaterkę.

Zaczął się śmiać.

— Opowiadałem jej o nas. Mówiłem jej, że ty mnie zainspirowałaś, byłaś pierwowzorem mojej bohaterki. Pewnie chciała, żebyś zmieniła o mnie zdanie. Coś mi się wydaje, że chętnie by nas poróżniła.

— Boże, co za nieuczciwe babsko — westchnęłam. — Zerwałeś ze mną właśnie z powodu nieuczciwości. Czemu więc z nią się zadajesz?

— Ivy, ona nie jest moją dziewczyną. Nawet z nią nie spałem.

— O mój Boże. A ona mi mówiła, jakim to jesteś wspaniałym kochankiem i że na pewno nie jesteś gejem — wykrzyknęłam.

— Gejem?

— A tam, nieważne — bąknęłam. — Posłuchaj, rozumiem, że nie chcesz się wiązać z kimś tak pozbawionym skrupułów, jak ja, ale czy nie możemy przynajmniej zostać przyjaciółmi?

— Och, Ivy — powiedział Philip. — Ja także bardzo bym tego chciał.

Naprawdę nie umarłabym z rozpaczy, gdyby się ze mną spierał, zapewniał, że moje skrupuły, a raczej ich brak, to właściwie nic złego, i twierdził, że jest dla nas jeszcze jakaś szansa. Nie protestowałabym, gdyby chwycił mnie w ramiona, zaniósł na górę i kochał się ze mną tak jak minionego lata. On jednak chciał być tylko moim przyjacielem. Tak samo jak Michael. Zawsze koleżanka, nigdy dziewczyna.

TLR

15. Znacząca znajomość

Weszłam właśnie do domu, kiedy zadzwoniła Sassy. Naprawdę życzyłabym sobie, żeby przestała mnie uszczęśliwiać tymi telefonami. Ale jako osoba dobrze wychowana, zapytałam, co u niej słychać. To cała ja — zawsze ucinam sobie przyjazne pogawędki z ludźmi, których nie cierpię.

— Och, Ivy, mam same kłopoty. United znalazła prochy Draytona, mogę się więc pożegnać z odszkodowaniem za ból i cierpienie. I jest chętny na moje mieszkanie, nie mam więc wyjścia: muszę je sprzedać.

— Bardzo mi przykro.

— Dziękuję. Ale mam również dobre wieści. Dostałam zlecenie na wystrój mieszkania. Będę robić sypialnię dla jednej z koleżanek Bei. Mama tej dziewczynki bardzo mi współczuje z powodu Draytona. Pieniądze będą z tego żadne, ale biorę to. Nie mogę uwierzyć, że muszę sama na siebie zarabiać. Najchętniej zabiłabym Draytona, że postawił mnie w takiej sytuacji.

— Wiem jak cierpisz, że musisz pracować — powiedziałam. — Życie potrafi być okrutne.

— To prawda. Ale nie dlatego dzwonię. Chcę cię prosić o przysługę. W sobotę wieczorem wychodzę z Philipem, a Irma nie może zostać z dziećmi. Mogę ci je podrzucić? Mieszkasz w tym samym domu co Philip i na pewno nie jesteś z nikim umówiona. Odebrałabym je rano. Między nami naprawdę wspaniale się układa. Mam nadzieję, że mi się oświadczy. Wiesz, tyle mamy ze sobą wspólnego. On jest przystojny. Ja jestem atrakcyjna. On jest znanym pisarzem. Ja mam wielu znanych przyjaciół. A seks z Philipem jest po prostu niesamowity. NIEEEsamowity. Zastanawiam się, jak długo powinnam zaczekać, zanim znowu wyjdę za mąż. — Plotła tak bez ładu i składu, jak schizofreniczna katarynka.

— Jejku, Sassy Naprawdę się cieszę, że tacy jesteście zakochani. Bardzo chciałabym ci pomóc w sobotę, ale, niech to licho, mam już inne plany.

— Nie możesz ich zmienić? — zapytała, skamłając jak pies. — To takie ważne dla Philipa i dla mnie. Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedziałam się o prochach. Przecież obiecałaś duchowi Draytona, że będziesz mi pomagać, pamiętasz?

Dacie wiarę?

— Jeśli chodzi o sobotę, to nic nie mogę zrobić. Ale mogę ci pomóc inaczej. I to w czymś znacznie ważniejszym. Mam klienta, bardzo miłego dżentelmena, i bardzo bogatego, który niedawno stracił żonę. Żona przed śmiercią urządziła ich mieszkanie, ale nie zdążyła. Jeśli chcesz, mogę mu ciebie polecić, żebyś mu pomogła skończyć to, co ona zaczęła.

— Och, byłoby cudownie. Naprawdę zrobisz to dla mnie? Zadzwoń do niego jeszcze dzisiaj? — zapytała.

Czy można być bardziej nachalnym?

— Jasne — odparłam. — Zrobię to z największą przyjemnością. Ma na imię Omar, żebyś wiedziała, o kogo chodzi, jak zadzwoni.

Zaprosiłam Omara na kolację do Kratts. Michael na pewno się zdziwił, że tak oficjalnie zadaję się ze słynnym gangsterem, ale słowem się nie odezwał. Zamówiłam placek ziemniaczany z wołowiną, zachęcając Omara, żeby poszedł w moje ślady. Zdał mi relację z rozmów kwalifikacyjnych, jakie ostatnio odbył, i zapewnił, że jego przyjaciele z zarządu pracują za kulisami. Wyglądało na to, że Maryvale i St. Andrew's ma w kieszeni.

— Poza tym wydaje mi się, że naprawdę wpadłem w oko dyrektorce Harvard Day. Jak nic, chce się ze mną pieprzyć. Jestem przekonany, że przyjmie Marię — chełpił się.

Tipper? Niemożliwe.

— Ale to nie wszystko, Ivy. Już zauważyłem w Marii zmianę. Wczoraj się rozzłościła, kiedy kazałem jej iść spać.

Skrzyżowała ramiona, zrobiła wściekłą minę, ale nie wrzeszczała! Możesz w to uwierzyć? Nie wrzeszczała! Co za pistolet z tej mojej dziewczyny! Robimy postępy, a wszystko dzięki temu psychiatrze, którego nam poleciłaś. Jestem twoim dłużnikiem do końca życia, Ivy — powiedział grzecznie. — Gdybyś kiedykolwiek była w potrzebie, ja-

kiejkolwiek, tylko powiedz. — To rzeczywiście były dobre wieści. Miło mieć mafijnego bossa za dłużnika.

— Bardzo się cieszę, Omarze. I wiesz co? Chciałam ci jeszcze kogoś polecić. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że musisz dokończyć urządzenie mieszkania? Otóż tak się składa, że moja przyjaciółka jest utalentowaną dekoratorką. Myślę, że jej pomysły przypadną ci do gustu. Na dodatek jest bardzo ładną samotną kobietą, która stosunkowo niedawno straciła męża. Chyba czuje się samotna i tak mi się coś wydaje, że mógłbyś wypełnić pustkę w jej życiu.

— Ivy, to mi wystarczy. Daj lasce mój numer. Hip, hip, hura!

Ależ ten Omar potrafi się wysławiać.

TLR

16. Dziecięca limuzyna

W sobotę Faith przyjechała po nas swoją prowadzoną przez szofera dziecięcą limuzyną, tą wyposażoną w soczki, ciasteczka ryżowe, kolekcję DVD z filmami dla dzieci, ubranka dla dzieci i pielucho —majtki. Każda wrażliwa na potrzeby swoich dzieci matka, na dodatek dysponująca nieprzyzwoitą fortuną, musiała taką mieć. Oczywiście ilekroć Faith wybierała się gdzieś bez dzieci, jej szofer prowadził znacznie mniej rzucającego się w oczy mercedesa maybacha. Dzisiaj jechałyśmy do Muzeum Historii Naturalnej, co zawsze było świetną zabawą, na dodatek wielce pouczającą, a co najważniejsze, po takiej wycieczce dziewczynki były wykończone. Jak to zwykle z dziećmi bywa, rzeczywistość nijak się ma do wyobrażeń. Dzień zaczął się od prawdziwego popisu jęków i utyskiwań.

— Chcę zobaczyć *Shreka Trzy* —yyy — oznajmiła Lia.

— Jeszcze go nie nakręcili. Jedziemy do muzeum — powiedziała Faith.

— Lia, czy możesz włożyć swój płaszcz antyjękowy? — zapytała Mae.

— Chce mi się jeeeść — zawyła Kate. — Jedźmy do Popeye s na kurczaka.

— Tak, tak — podchwyciła Mae. — Uwielbiam kurczaka.

— Nieee! — zaprotestowała Skyler. — Ja jem tylko nuggetsy, nie praaawdziwego kurczaka.

— Wiecie co? Moja mama będzie miała dziecko — ogłosiła Mae.

— Co?! — popatrzyłam na Faith. — Czemu nic mi nie powiedziałaś?

— No i wpadłam. — Faith uśmiechnęła się skruszona. — Nie gniewaj się, Ivy, ale chciałam z tym zaczekać do trzeciego miesiąca. Żeby mieć pewność.

— Moje gratulacje. — Uściskałam ją. — Ale super.

— To będzie chłopczyk czy dziewczynka? — zapytała Kate.

— Jeszcze nie wiemy — odparła Faith.

— A będzie czarne czy białe? — dociekała dalej Kate.

— Na sto procent białe — rzekła Faith z uśmiechem.

— Mamo, a Mae tlakuje mnie jak skunksa — zasepleniła Lia.

— Nie kabluj — warknęła Mae na siostrę.

— Widzisz, mamu? — piszczała Lia.

— Ona pierwsza kopnęła mnie bez powodu — powiedziała Mae.

— Nie, mamusiu. Mae mnie oblażyła. Powiedziała, że jestem włos łonowy. To dlatego — upierała się Lia.

— Ty skąłypyto — zezłościła się Mae, przedrzeźniając seplenie małej.

— Co to jest włos łonowy? — zapytała Kate Lię.

Lia wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia. Ale na pewno było to coś brzydkiego.

— Mae, zostaw siostrę w spokoju albo natychmiast zawrócimy i odwieziemy cię do domu. Nie uważasz, że będzie wspaniale mieć jeszcze jedno takie? — zwróciła się Faith do mnie.

Roześmiałam się.

— Mogłaś najpierw zapytać. Oddałabym ci jedno swoje.

— A tak przy okazji — powiedziała Faith. — Moja garderobiana, Virginia, właśnie odeszła. Gdybyś o kimś słyszała, daj mi znać, dobrze? Zawiadomiliśmy już agencję, ale jak na razie nikt, kogo nam przysłali, nie był odpowiedni.

— Załatwione — odparłam.

— Lia, posikałaś się w majtki? — zapytała Faith, zauważywszy wielką mokrą plamę w kroku córki.

— Nie, poszłam popływać — odparła mała ze spuszczoną głową.

— Chodź tutaj, przebiorę cię. — Faith sięgnęła pod siedzenie swojej doskonale wyposażonej limuzyny po suche ubranie.

— Sama się przebiorę — powiedziała Lia.

— Dobrze. — Faith podała jej suche majtki i spódniczkę. — Tylko pamiętaj, metka idzie do tyłu.

— Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmiłam, gdyż właśnie skręciliśmy w Park Avenue West. — Wszyscy zakładają buty.

— Mamusiu, mamusiu — zawołała Kate. — A gdybyś mogła się cofnąć w czasie i nie urodzić albo mnie, albo Skyler? Kogo byś nie urodziła?

— Urodziłabym was obie, bo obie was kocham.

— Nie, ale gdybyś się nie zgodziła nie urodzić którejs z nas, to wszyscy ludzie na świecie by umarli.

— No cóż, w tej sytuacji nie urodziłabym ciebie — powiedziałam.

— Wiedziałam, że mnie lubisz bardziej — wykrzyknęła Skyler. — Takkk!

— Naprawdę byś chciała, żebym się nigdy nie urodziła? — dociekała Kate.

— Jasne, że nie, ale nie zadawaj mi takich głupich pytań. Jak mogę wybierać między dwiema osobami, które kocham najbardziej na świecie?

— Mamusiu — Lia szarpała Faith za rękaw. — A Mae właśnie nazwała mnie na k.

— Lepiej uważaj — ostrzegła Faith Mae. — Albo wyszoruję ci buzię mydłem.

— A mogę tak o niej myśleć? — zapytała Mae.

— Nie — odpowiedziała Faith.

Limuzyna zatrzymała się przed muzeum i dzieci zauważyły wózek z hot dogami przed wejściem.

— Zjedzmy hot dogi! — zawołała Mae.

— Tak, tak — zawtórowała jej reszta.

Nareszcie. Zgoda.

— Mamusiu, chciałabym, żeby tatuś przestał pracować w swojej pracy i został panem od hot dogów — powiedziała Mae.

— Ja też — zgodziła się z nią Lia. Faith spojrzała na mnie żałośnie.

— Czasami sama bym tego chciała. Życie byłoby prostsze.

— Zupełnie ci odbiło? — szepnęłam, szarpiąc ją za rękaw.

— Masz rację. Plotę bzdury — powiedziała Faith, potrząsając głową.

17. Mądrała z poczuciem misji

Kolacja w moim domu przebiega w co najmniej swobodnej atmosferze. Siedzimy z Kate i Skyler przy małym stoliku, a Sir Elton atakuje nas z każdej strony, zebrząc o jakiś kęs. Nie ma srebrnego dzwoneczka, którym daje się znak kucharzowi, że pora wnieść następne danie. Nie ma kucharza. Nie ma oddzielnej kuchni. Nie ma następnego dania. Jest pieczona wołowina albo coś innego w tym stylu, co gotuje się samo, podczas gdy ja pracuję. Telewizor jest włączony, bo właśnie nadają *The Rugrats*. Rozmowa przy stole jest ograniczona do minimum, gdyż wszystkie jesteśmy pogrążone w świetle Tommyego, Chuckyego i Angeliki.

— Kate, który Rugrat jest najfajniejszy? — pyta Skyler.

— Tommy — pada odpowiedź.

— Ale który podoba ci się najbardziej? — dąży dalej Skyler.

— Chucky.

— Słyszałyście o najnowszym albumie Madonny? — pytam, starając się znaleźć wspólny temat z córkami.

— Ma —DON —na! — prycha Skyler. — Ona jest taka bezna-
dziejna.

— Madonna jest stara. Niedługo umrze — dodaje Kate, karmiąc Sir Eltona mięsem ze swojego talerza.

— Kate, nie dawaj psu ludzkiego jedzenia, tylko jedz sama. To dla ciebie zdrowe.

— Widziałaś wczoraj w *Simpsonach* żywe mięso? — pyta Kate Skyler.

— Widziałam. A wiesz, co jest jeszcze lepsze niż żywe mięso? Żywe żeberka!

— Z żywym sosem barbecue! — krzyczy Kate.

Naprawdę mnie martwi, że tego rodzaju intelektualna wymiana zdań toczy się przy moim stole. Ale o siódmej wieczorem. P^o całym dniu pracy, sprzątaniam, załatwianiam sprawunków, szkoły, wyprowadzania psa, kąpieli, odrabiania zadań domowych zwyczajnie nie mam siły na mądre rozmowy. Jestem padnięta. Nic nie wyszło z moich ambitnych planów spędzania pół godziny dziennie z każdą z dziewczynek osobno. Za to chyba powiódł się nowy plan przeprowadzania mądrych dyskusji podczas weekendów, kiedy nie jestem tak przepracowana. Póki co nie miałam innego wyjścia, tylko pogodzić się z nie do końca idealną rzeczywistością, w jakiej przyszło mi żyć. I tak nasza trójka, przeżywając, tkwi w swoim własnym ośpieniu ze wzrokiem wbitym w ekran telewizora.

Zadzwoił telefon. To była Sassy, która pragnęła mi podziękować za poznanie jej z Omarem. Jak się okazało, Omar zapłacił jej mnóstwo pieniędzy za dokończenie wystroju mieszkania, a poza tym wyśmienie im się układa. WYŚMIENICIE! Chrzanić ich. Najszybciej, jak się da, odkładam słuchawkę, nie chcąc przegapić fragmentu, w którym Angelika dostaje swój własny program w telewizji.

Jestem kompletnie zaskoczona, słysząc pukanie do drzwi. Co znowu? Najwyraźniej cały świat się sprzysiągł, żebym nie mogła zobaczyć Rugratsów do końca. Przyszedł Archie, fałszywy ojciec Winnie. Poprosiłam, żeby dołączył do nas w kuchni, gdzie mogłam go słuchać i jednocześnie zerkać na telewizor.

— Martwią mnie rozmowy kwalifikacyjne Winnie — zaczął Archie. — Byliśmy w St. Andrews i nie najlepiej poszło.

— Co się stało?

— Wiesz, że dzieci mają opowiedzieć o tym, co jest dla nich ważne?

— Tak.

— Otóż WaShaunte przyniosła swoją przytulankę, z którą śpi, odkąd była dzidziusiem, no wiesz, Czerwonego Pieska.

— Nie znam osobiście Czerwonego Pieska, ale wydaje mi się, że to był dobry pomysł.

— I tu się mylisz — rzekł zatroskany Archie. — Jako podobno profesjonalistka, powinnaś mi była lepiej doradzić.

— Słucham? Archie, przecież ty nawet nie jesteś prawdziwym ojcem. Grasz tylko jego rolę.

— Na rozmowie było sześcioro dzieci i wszystkie poszły z nauczycielem. Ja zostałem z resztą rodziców, jak zwykle, i rozmawialiśmy, o czym nasze dzieci opowiedzą. Jedna matka powiedziała, że jej syn studiuje anatomię i przyniósł ze sobą robaka, któremu zrobi przy wszystkich sekcję. — Archie prychnął.

Wielkie nieba! Jaki czterolatek ma na tyle wykształcone zdolności motoryczne, żeby zrobić robakowi sekcję?

— Skyler, możesz trochę ściszyć?

— Nic nie słyszę, kiedy tu tak głośno rozmawiacie — powiedziała.

— Ścisz to, już.

Posłuchała.

— Z kolei inna matka powiedziała, że jej córka uczy się tańca współczesnego i zaprezentuje numer Alvina Aileya *Aspects of a Vibe*, dwudziestominutowy kawałek jazzowy. Później jamajska opiekunka wspomniała, że chłopczyk, którym się opiekuje — muszę dodać, że biały — nauczył się man — daryńskiego i przeczyta opowiadanie w wersji starożytnej. Z pozostałej dwójki dzieci jedno miało opowiedzieć afrykańską bajkę ludową, drugie wyrecytować poobiedni sonet. Postawiliśmy WaShaunte w sytuacji, w której nie miała żadnych szans, ale ktoś powinien był to przewidzieć — rzekł z wyrzutem.

— Poobiednie sonety? — zapytałam. — Co to jest?

— Nie mam pojęcia. Ale na pewno bardziej skomplikowane niż *Mama Geś*.

Westchnęłam.

— Bardzo przepraszam, Archie, powinnam była o tym wiedzieć. Masz rację. Chodzi o to, że w większości szkół dzieci muszą tylko coś narysować; jakiś kształt albo obrazek, pisać litery i takie tam. Do St. Andrews przyjmują utalentowane dzieci, do głowy mi jednak nie przyszło, że czterolatki mogą być aż tak uzdolnione.

— Na przyszłość życzylibym sobie, żebyś lepiej się przygotowywała, zanim tak nas rzucisz na pożarcie wilkom. Przy tamtych dzieciach WaShaunte ze swoją przytulanką czuła się jak mały dzidzius. To nie był takie zwykłe „pokaż —co —potrafisz”.

— Przepraszam cię, Archie. To się więcej nie powtórzy

— Mam nadzieję — warknął Archie.

Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Archie przemieniał się w Stu Needlemana. Z jednej strony to dobrze, że tak się przejął rolę ojca WaShaunte (to znaczy Winnie). Ale żeby aż tak się czepiać?

Część 5

Potrzeba akceptacji

TLR

1. Kiedy się nie jest białym i bogatym w Nowym Jorku

Wraz z Tiny i Willow zapukałyśmy do drzwi Jenkinsów. Wcześniej, ukryta za samochodem, obserwowałam chłopca, jak wychodził ze Stratmore Prep. Wyglądał na jakieś szesnaście lat. Nie zważając na nic, poszłam za nim na Sto Dwudziestą Ósmą i zadzwoniłam do drzwi. Przedstawivszy się, wyjaśniłam jego matce, Deirdre, że moje przyjaciółki adoptowały czarnego chłopczyka i chciały wiedzieć, jak się czuje dziecko będące jednym z nielicznych kolorowych uczniów w ekskluzywnej prywatnej szkole. Deirdre powiedziała mi, że jest naprawdę szczęśliwa, że Isaiah chodzi do Stratmore, bo dzięki temu jego życie uległo wielkim zmianom, po czym uprzejmie zgodziła się, żeby moje znajome poznały jej syna.

Kiedy kilka dni później znalazłyśmy się w niedużym, ale przytulnie urządzonej saloniku Deirdre, w którym przywitał nas cudowny zapach, dobywają się z półmiska pełnego miniaturowych hot dogów przygotowanych specjalnie na nasze przyjęcie. Cała nasza czwórka do spółki z Isaiahem uraczyła się smakowitą przekąską, po czym przeszliśmy do sedna sprawy

— Isaiahu — powiedziała Tiny. — Willow i ja mamy małego chłopczyka, który stara się o przyjęcie do prywatnej szkoły. Jest czarny, tak jak ty. Chciałybyśmy się przekonać, czy prywatna szkoła będzie dla niego odpowiednia. Czy możesz nam opowiedzieć, jak ci się podoba w Stratmore Prep? Czy jesteś tam szczęśliwy?

— Szkoła jest w porządku. Mam dużo kolegów, a nauczyciele są mili. I chyba dużo się tam uczę.

— Przecież uwielbiasz swoją szkołę — powiedziała Deirdre. — Okaż odrobinę entuzjazmu.

— Kiedy widzisz, mamó — zaczął Isaiah — Chodzi o to, że nie wiem, czy powinny tam posyłać swojego synka.

Deirdre opadła szczęką.

Isaiah zwrócił się do Tiny i Willow.

— Chodzę do Stratmore Prep od zerówki — powiedział — Kiedy wychodzę z domu, ludzie uważają, że jestem inny Nikt ze mną nie chce gadać, pograć w piłkę, nikt mnie nie zaprasza. Przezywają mnie „Burżuj”. Nie pasuję tutaj. Nie mam tego.

— Czego nie masz? — zapytała Deirdre.

— No wiesz, tego; poczucia tożsamości, swojego miejsca, mojej czarnej duszy. Staralem się jakoś dopasować, ale to niemożliwe. Gadam jak biały, chodzę jak biały, ubieram się jak biały Słyszałaś kiedyś, że bym mówił „w porzo”, „obciach” albo „nielegal”? Wyszedłbym na idiotę.

— Isaiahu, mogę cię nauczyć, jak być czarnym. Nie musisz chodzić do miejscowej szkoły, żeby się tego nauczyć — powiedziała Deirdre.

— Nie możesz mnie tego nauczyć. Jesteś czarną yuppie. Przez ciebie nie pasuję do swoich, ale nie pasuję również do Stratmore Prep. Chodzę do szkoły z dziećmi, które wyglądają inaczej niż ja, żyją inaczej niż my. Ich rodzice nie pozwalają im do mnie przychodzić. Myślę, że powinnaś była pozwolić mi prowadzić życie, do jakiego się urodziłem.

— Isaiahu, posłałam cię do Stratmore Prep, bo myślałam, że to otworzy ci perspektywy, na jakie w Harlemie nigdy nie miałbyś szans. Kiedy ja dorastałam, nie miałam dostępu do świata uprzywilejowanych, w którym ty obracasz się na co dzień. Chciałam, żebyś do niego należał. Po prostu starałam się dać ci to, co dla ciebie najlepsze.

— Wiem o tym, mamó. Mówię tylko, że przez to stałem się outsiderem w szkole i w domu. I wydaje mi się, że to wszystko nie jest tego warte — powiedział Isaiah. — Może dla waszego syna to nie będzie miało znaczenia — zwrócił się do Tiny i Willow. — I tak już się wychowuje w świecie białych. Może nie będzie mu zależało, żeby identyfi-

kować się ze swoimi.

TLR

Słuchałyśmy z Tiny i Willow zafascynowane. Szczególnie interesujące było to dla mnie, bo ostatnio Skyler zaczęła mówić z portorykańskim akcentem. Próbowałam ją tego oduczyć, nie zdając sobie sprawy, że może w ten sposób próbuje przystosować się do nowego środowiska.

— Isaiahu — rzekła Deirdre. — Czemu nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

— Bo nigdy nie pytałaś.

Po wyjściu z domu Isaiaha, Willow, Tiny i ja byłyśmy pogrążone we własnych myślach. Żadna z nas nie potrafiła sobie odpowiedzieć, czy korzyści, które daje nauka w prywatnej szkole, zrekompensują uszczerbek, które przez to doświadczenie może ponieść dusza Jacka Henry'ego.

2. Kryzys sumienia

W niedzielny poranek umówiłam się z Gregiem i Dee Dee w Kratts, żeby omówić kwestię wyboru szkoły, na którą zdecydują się w pierwszej kolejności. Po czterdziestominuto — wym czekaniu w kolejce udało nam się w końcu złapać stolik i zamówiliśmy kawę, bajgle, łososia oraz serek.

— Mnie najbardziej podoba się Shalom Day School. Co o niej sądzisz, Greg?

— Shalom Day jest w porządku, ale Harvard Day również wydaje mi się niezła. Wiem, że nie jest to żydowska szkoła, ale w Komitecie rodzicielskim jest sporo Żydów, prawda? — zapytał Greg.

— Bardzo dużo. Tam chodzi wielu Żydów — odparłam.

— I cieszy się znacznie lepszą renomą niż Shalom Day, Dee Dee — dodał Greg.

— To prawda — poparłam go.

— Tak, ale w Harvard Day Moses nie będzie mówił po hebrajsku. Nie będzie się uczył żydowskich tradycji — oponowała Dee Dee.

— To również prawda, Dee Dee — powiedział Greg. — Ale dużo dzieci chodzi do hebrajskiej szkoły po drugiej stronie ulicy w Tempie Hillel. A dzieci z Harvard Day dostają się później na najlepsze uczelnie Ivy League — nie dawał za wygraną Greg.

— Do najlepszych z najlepszych — dodałam.

— Zmówiliście się przeciwko mnie? — zapytała Dee Dee.

— Ależ skąd — odparł Greg. — Skoro upierasz się przy Shalom Day, nie —mam nic przeciwko temu. Ale przynajmniej zdecydujemy się w drugiej kolejności na Harvard Day, dobrze?

— Dobrze, umowa stoi — powiedziała Dee Dee. — Ivy, wyślij list do Shalom Day, a Harvard Day zostawimy sobie w odwodzie.

— Załatwione — rzekłam.

Wyszli oboje, żeby zrobić zakupy na Orchard Street, zostawiając mnie z kawą i własnymi myślami. Co robić? Rozpaczliwie chciałam tego miliona, właściwie już go wydałam. Poza tym naprawdę pieniądze były mi potrzebne. I zasłużyłam sobie na nie, zwłaszcza po tym wszystkim, przez co musiałam przejść. Popatrzyłam na Michaela, jak uwija się w ukropie, żeby obsłużyć wygłodniałych klientów. Co by sobie o mnie pomyślał, wiedząc, że dałam się przekupić Buckowi? Czy zdołałabym mu kiedykolwiek o tym powiedzieć? Czy umiałabym żyć sama ze sobą, mając świadomość, że oszukałam swoich klientów? Tato by tak zrobił, nawet nie mrugnawszy okiem. Philipowi, Tiny czy Willow coś podobnego nigdy by przez myśl nie przeszło. Ale oni byli silniejsi ode mnie. Moje sumienie krzyczało: „Nie rób tego!”, ale moje praktyczne ja, które miało na utrzymaniu dwójkę dzieci, starało się je przekrzyknąć: „Zrób to! Zrób to! Zrób to!”.

Może powinnam patrzeć w przód, zapomnieć, że ten rok w ogóle się zdarzył. Skłamałabym po raz ostatni. Takie pożegnalne kłamstwo. W tej chwili i tak nie została mi już nawet krztyna godności. Tak się już skorumpowałam, że odwrotu nie było, mogłam tylko iść dalej. Zbłądzą po raz ostatni, a później się poprawię. Uznałam to rozwiązanie za rozsądne, wyjęłam więc blok listowy i ułożyłam list do Shalom Day.

Szanowna Pani rabin Jacobson, Wspólnie z Dee Dee chcielibyśmy podziękować za wzięcie pod uwagę kandydatury Mosesa Epsteina —McCalla. Bardzo pragniemy, żeby nasz ' syn uczęszczał do szkoły zakorzenionej w tradycji hebrajskiej, jaką jest Shalom Day Na tę właśnie szkołę decydujemy się w pierwszej kolejności.

Jak zapewne zorientowała się Pani podczas naszej rozmowy, Dee Dee jest absolutnie zachwycona Shalom Day. Pragnę Panią zapewnić, że ze swojej strony gotów jestem zrobić wszystko, aby Moses został przyjęty. Prawdopodobnie, jak większość nowojorczyków, słyszała Pani o rodzinie McCall (McCall Hall, McCall Performing Arts Center, McCall School of Medicine na Uniwersytecie Nowojorskim, Stadion McCall). Jeśli Moses zostanie

przyjęty, z radością omówimy siedmiocy — frową dotację na rzecz Shalom Day, jednak pod warunkiem, że nazwa szkoły zostanie zmieniona na McCall Day.

Chociaż będziemy głównymi sponsorami szkoły, nie zamierzamy wykorzystywać swojej pozycji i zbyt często oczekiwać specjalnego traktowania. Mamy jednak jedną prośbę. Terapia, której jest obecnie poddawany Moses, bezwzględnie wymaga, aby co dwa miesiące był w klasie obserwowany przez swojego psychofarmaceutę. Będziemy wdzięczni, jeżeli nauczyciel pozwoli, żeby lekarz był obecny podczas zajęć, a także by po lekcjach omówił z nim ewentualne zaskakujące lub niepokojące zachowanie, które zostanie u Mosesa zaobserwowane w szkole.

Raz jeszcze składam serdeczne podziękowania za przyjęcie naszego syna do szkoły w przyszłym roku. Jesteśmy przekonani, że poczynając od najbliższej jesieni zostaniemy aktywnymi członkami społeczności McCall Day.

Z wyrazami szacunku: Greg McCall

3. Kim jest twój tato?

Znowu wpadł do mnie Archie. Martwiłam się o niego. Zdecydowanie zbyt poważnie podchodził do swojej roli ojca Winnie.

— Ivy, wczoraj byliśmy w Balmoral School i muszę nalegać, abyś wycofała nasze podanie — powiedział.

— Dlaczego? To doskonała szkoła. Moje córki do niej chodziły.

— Nie wątpię, że edukację zapewniają tam wyśmienitą. Budynek jest przepiękny, podoba mi się sala baletowa i pani masażystka, ale nie w tym rzecz — dodał.

— A w czym, Archie?

— Oprowadzała nas niezwykle wytworna młoda dama, Antoinette. Właśnie wróciła z Bahamów, gdzie jedna z jej koleżanek urządzała szesnaste urodziny. Jej rodzice zapewнили wszystkim przelot prywatnym odrzutowcem. Polecili na Eleuterę na weekend. Z tego, co ta dziewczyna mówiła, to zupełnie normalne. Ivy, WaShaunte ma skromne pochodzenie. Nigdy nie będzie pasowała do świata, w którym jej koledzy i koleżanki nie rozumieją, co to znaczy być głodnym.

— Archie, nie zapominaj, że WaShaunte naprawdę ma na imię Winnie. Nie jest czarna. Jest żydowską dziewczynką z Upper West Side. Poradzi sobie.

— Nawet jeśli to prawda...

— To jest prawda, o czym doskonale wiesz, prawda Archie?

— Tak, oczywiście. Ivy, nie wiem, czy byłaś ostatnio w Balmoral, ale tam wszystkie starsze dziewczynki to anorek — tyczki. Mają plecaki od Prądy i mundurki zaprojektowane przez Stevena Tylera. Kiedy zapytałem Antoinette, czego się uczy w szkole, wyrecytowała mi ranking kamienic przy Piątej Alei pod względem statusu. Coś tu jest nie tak — powiedział. — Jeśli WaShaunte pójdzie do tej szkoły, na jakiego wyrośnie człowieka?

— Archie, jej matka umieściła Balmoral na swojej liście. Takie było jej życzenie. Ja nic na to nie mogę poradzić. Z chwilą, kiedy Winnie dostanie się do jakiejś szkoły, zniknie z twojego życia, i z mojego też. Czy mówiłeś Wendy o swoich zastrzeżeniach?

— Spotykamy się po każdej rozmowie kwalifikacyjnej. Niczego przed nią nie ukrywam. W piątek jemy razem kolację. Wtedy jej powiem.

— Nie zapominaj tylko, że to twoja praca, nie prawdziwe życie.

— Tak, ale prawdziwe życie WaShaunte.

THUR

4. Bezprawny nacisk

Ubierając się w poniedziałkowy poranek, jednym uchem słuchałam programu *Today*, gdy nagle Ann Curry przedstawiła mrozącą krew w żyłach historię:

*Departament Sprawiedliwości bada sprawę korupcji, w którą są zamieszane Agencja do spraw Żywności i Leków, American Standard Paper i Phizz Pharmaceuticals. Jak podają niezależne źródła, Lilith Radmore —Stein, prezes American Standard Paper, dopuściła się przekupstwa wobec Lyndona Pratta, byłego przewodniczącego Agencji do spraw Żywności i Leków, kupując jego powieść *Aprobata piekła*, traktującą o wewnętrznych działaniach agencji w jednej z filii firmy, na której czele stoi. W zamian, tuż przed odejściem z zajmowanego stanowiska, przewodniczący Pratt unieważnił wydany przez agencję zakaz i dopuścił do sprzedaży bez recepty zestaw iniekcyjny botuliny typu A. Jest to preparat stosowany do redukcji zmarszczek metodą domową, działający podobnie jak botoks.*

Preparat, który ma się pojawić w sprzedaży pod nazwą „Baby Face”, przez pewien czas nie uzyskiwał koniecznego dopuszczenia ze względu na liczne komplikacje pojawiające się podczas samodzielnego stosowania. W dwóch przypadkach na dziesięć pacjentów niewłaściwie wstrzykiwali sobie lek, uszkadzając miejscowo układ nerwowy, co w konsekwencji doprowadzało do takich powikłań, jak opadająca powieka, trwałe skrzywienie twarzy oraz inne, będące typowymi objawami u ofiar udaru.

Dopuszczenie „Baby Face” oznaczazyski dla Phizz Pharmaceuticals, liczone w setkach milionów dolarów. Źródła zbliżone do Departamentu Sprawiedliwości potwierdzają udział pani Radmore —Stein w działaniach ówczesnego przewodniczącego Pratta w dopuszczeniu „Baby Face” do sprzedaży, aby w ten sposób zachęcić dyrektora Phizz, Buzza Wendella, do pomocy w przyjęciu syna pani Radmore —Stein do ekskluzywnej szkoły Stratmore Prep, w której pan Wendell jest członkiem zarządu. Rzecznicy byłego przewodniczącego Pratta, pani Radmore

— *Stein, pana Wendella i Stratmore Prep zgodnie dają wyraz swojemu oburzeniu i zaprzeczają, jakoby istniały jakiekolwiek powiązania tych osób ze sprawą.*

Nie! To nie może być prawda! O wszystkim wiedzieli jedynie Lilith, Mort Small —Podd, ja, przewodniczący Pratt i Buzz Wendell. Przy najmniej tak mi się wydaje. Szlag mnie trafi, jeśli z tego powodu wyląduję w więzieniu.

Zadzwoił telefon. Reporterka z „New York Timesa”, ta sama, z którą w zeszłym roku rozmawiałam, teraz pisała reportaż o bezpardonowej walce, jaką jest nabór do nowojorskich prywatnych przedszkoli, w powiązaniu ze skandalem „Baby Face”. Czy może zadać mi kilka pytań?

— Bez komentarza — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Od tej chwili telefon dzwonił właściwie bez przerwy. „The Wall Street Journal”. „Daily News”. Associated Press. „People”. „Time”. „Newsweek”. „Forbes”. „Quilting News”. („Quilting News”?)

— Bez komentarza.

— Bez komentarza.

Co im miałam powiedzieć? Tak, byłam przy tym, jak Lilith planowała przestępstwo. Ciekawe, czy kwalifikuje się to jako współudział?

Czy brnę pod prąd?

5. Ivy ugotowana

Zaprowadziłam dziewczynki do szkoły i nie zwlekając, poszłam do Knishery. Chciałam porozmawiać z Michaeliem. Był biznesmenem. Będzie wiedział, co robić. Niestety, zostałam poinformowana, że wziął kilka dni wolnego i pojechał na snowboard do Kanady. Na snowboard? Michael? Chrzanić to, poszukam Philipa. Na szczęście był w domu.

— Mam poważne kłopoty — powiedziałam.

— Co się stało?

Opowiedziałam mu wszystko, co usłyszałam w Today, i o telefonach z prasy.

— Chodzi o to, że wiedziałam, że Lilith Radmore — Stein chce wywrzeć nacisk na członka zarządu Stratmore Prep. Nie miałam jednak zielonego pojęcia, że przekupi przewodniczącego Agencji do spraw Żywności i Leków. Myślisz, że mnie aresztują? Czy jestem współwinna?

— Nawet nie wiem, czy to, co zrobiłaś, jest przestępstwem.

— Co mam robić? — zapytałam. — Nie stać mnie na adwokata. Nie mogę iść do więzienia. Jestem odpowiedzialna za dwie małe dziewczynki. Tylko mi nie mów, że mogłam o tym wcześniej pomyśleć, bo sama to wiem.

— Ivy, nie jestem prawnikiem, ale wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli zadzwonisz do Departamentu Sprawiedliwości. Powiedz im, że jesteś świadkiem i że masz dla nich informacje — zaproponował. — A wtedy, nawet jeśli niechcący złamałaś prawo, myślę, że ci odpuszczą. Im chodzi o duże ryby, nie kogoś takiego jak ty. Jak im pomożesz w sprawie, wątpię, żeby cię o coś oskarżyli.

— Masz rację. Zdam się na ich łaskę. Ale zanim doniosę na Lilith, powiem, że chcę iść na układ.

- Philip dziwnie na mnie spojrzał.

— No wiesz, jak zacznę śpiewać, zanim się z nimi dogadam, będzie po mnie. Nie oglądasz *Prawa i porządku*?

— Nie, raczej nie — powiedział Philip.

Philip zadzwonił do informacji i poprosił o numer nowojorskiego wydziału Departamentu Sprawiedliwości. Dopiero po rozmowie z szóstym człowiekiem trafił do kogoś, kto się zajmował sprawą. Gdy wyjaśnił, w czym rzecz, zostałam zaproszona na „niezobowiązującą pogawędkę”.

TLR

6. Mówiąc prawdę —część I

Poszliśmy z Philipem do centrum, do siedziby Departamentu Sprawiedliwości, który tak naprawdę mieścił się w budynku federalnym na Broadwayu. Philip uparł się, że będzie mi towarzyszył, aby udzielić mi wsparcia moralnego. Na miejscu czekał na mnie pan Baker. W niczym nie przypominał detektywów znanych mi z filmów. Gdybym spotkała go na ulicy, wzięłabym go za trzydziestoletniego bankiera inwestycyjnego. Przedstawiłam mu Philipa, pytając, czy może być obecny przy naszej rozmowie. Pan Baker nie wyraził sprzeciwu. Następnie zapytał, czy może nagrać moje zeznanie.

Przyszła kolej na mój ruch.

— Proszę pana, wiem, co się wydarzyło. Byłam obecna na spotkaniu, podczas którego pani Radmore —Stein układała swój plan. Byłam przy tym i mówiłam jej, że to zły pomysł, jak jednak widać, najwyraźniej nie wzięła sobie moich ostrzeżeń do serca. Nie miałam nic wspólnego z wprowadzaniem w życie jej zamierzeń. Niemniej jednak jestem skłonna opowiedzieć wam wszystko, co wiem, ale boję się, że mogłabym powiedzieć coś na swoją niekorzyść i postanowicie mnie skazać. Mam dwie małe córeczki i musi pan zrozumieć, że nie mogę iść do więzienia. Jeżeli chcecie, żeby ten ptaszek zaczął śpiewać, musicie mu obiecać, że nie wniesiecie oskarżenia. I chcę to mieć na piśmie. Szczerze mówiąc, proszę pana, jeśli się nie dogadamy, wstaję i w tej chwili wychodzę.

— Najwyraźniej dużo ogląda pani telewizję — powiedział. — Zaczynam wracać. — Wyszedł z pokoju.

— Myślisz, że to oznacza, że się zgadza? — zapytałam szeptem Philpa.

— Nie wiem, Ivy. Pierwszy raz jestem na policji — odparł także szeptem, uśmiechając się do mnie.

— Zobacz. — Pokazałam na wiszące na ścianie lustro. — Założę się, że to fenickie lustro. Obserwują nas? Nie patrz. Zachowuj się normalnie.

— Tak, to pewnie jest fenickie lustro — szepnął.

Pan Baker wrócił z arkuszem papieru zatytułowanym „Zgoda na współpracę”. Było na nim napisane, że nie zostanie mi postawiony żaden zarzut, jeśli opowiem wszystko, co wiem w sprawie numer 5708982, i, jeśli zajdzie taka potrzeba, zgodzę się zeznawać. Był to standardowy formularz wydarty z bloku. *Na pewno bez przerwy zawierają takie umowy, pomyślałam.*

Pan Baker podpisał papier, po nim ja, po czym wręczył mi żółtą kopię. Włączył magnetofon. I wtedy obsmarowałam dokumentnie Lilith. Opisałam nasze spotkanie w jej pokoju konferencyjnym i wskazałam Morta Small —Podda, o którym wcześniej zdaje się nic nie wiedzieli. Pan Baker zadał mi mnóstwo pytań na temat naboru do szkół, żeby lepiej zrozumieć, dlaczego rodzice porywają się na takie ryzyko, byleby tylko ich dzieci dostały się do prywatnej szkoły. Motyw. Na pewno chodziło mu o ustalenie motywu. Podsunęłam mu, że być może chodziło o to, że o osiem miejsc w Stratmore Prep, przeznaczonych dla białych uczniów, będzie się ubiegać czterystu chłopców. Czterystu dobrze wychowanych małych dżentelmenów rywalizujących z dukającym alfabet, pierdzącym spod łokcia Ransomem Radmore —Steinem.

Po ciągnącym się w nieskończoność, wielogodzinnym maglowaniu mnie bez chwili wytchnienia zapytałam pana Bakera, czy nie moglibyśmy zrobić przerwy i coś przekąsić. Pan Baker chętnie na to przystał, był nawet tak miły, że dał nam talony na lunch do wykorzystania w mieszczącej się w podziemiu budynku kafeterii.

Rozglądając się za wolnym miejscem, zauważyłam znajomą twarz.

— Ollie — krzyknęłam i pomachałam ręką.

Pomachała mi także i zaprosiła nas do swojego stolika.

Przedstawiłam jej Philipa i zapytałam, co ją tu sprowadza. Czy miało to coś wspólnego z Lilith?

Ollie wyjaśniła, że, podobnie jak ja, przyszła na przesłuchanie.

— Jesteś świadkiem? — zapytałam ją. — Widziałaś coś?

Ollie powiedziała, że wydarzyło się coś strasznego. Otóż jakiś tydzień temu zadzwonili do pani Radmore —Stein ze Stratmore Prep. Myśląc, że chodzi o przyjęcie Ransoma, Lilith natychmiast odebrała. Po chwili Ollie usłyszała, jak jej szefowa wrzeszczy na całe gardło.

— Skopię ci tę twoją pieprzoną dupę, Ollie!

Ollie udała się do gabinetu Lilith, żeby się dowiedzieć, czym zawiązała tym razem.

Okazało się, że w Stratmore Prep chcieli potwierdzić jej zarobki. Właśnie zebrał się komitet i była omawiana kwestia finansowego wsparcia dla Irvinga i potwierdzenie faktów było częścią procesu decyzyjnego. Niestety, w ten sposób Lilith dowiedziała się, że Ollie stara się w tym roku o przyjęcie Irvinga do Stratmore Prep.

Ollie powiedziała, że pani Radmore —Stein wpadła w furję. Czy Ollie nie zdaje sobie sprawy, że Irving rywalizuje z Ransomem? Jeśli Irving się dostanie, a Ransom nie, Irving pozbawi Ransoma tego, co słusznie mu się należy. Co gorsze, gdyby przez przypadek dostali się obaj, Lilith musiałaby chodzić na zebrania z... z... z pomocą domową. Czy Ollie wyobraża sobie, że ich dzieci będą chodzić do jednej klasy, a na dodatek może jeszcze razem jeździć do szkoły? Na koniec oznajmiła, że zwalnia Ollie z pracy i nigdy w życiu nie da jej żadnych referencji.

Zanim wyszła z pokoju, Ollie miała czelność poprosić Lilith o wypłatę. Choć jej tygodniówka wynosiła czterysta dolarów, Lilith odliczała od tego sto dolarów na podatki i ubezpieczenie i dwieście dolarów za jednopokojowe mieszkanie, które Ollie zajmowała w części dla służby znajdującej się w piwnicy. Na rękę dostawała więc sto dolarów.

Słyszając: „Chciałabym dostać swoje sto dolarów za ten tydzień”, Lilith zaczęła ciskać w Ollie różnymi odznakami i nagrodami, wyganiając ją z pokoju.

— Ja musiała uciekać, żeby ratować życie. Ja myślała, że powybijają mi wszystkie zęby.

Ollie wiedziała, że ten dzień prędzej czy później nadejdzie. Może niekoniecznie z tego powodu, ale Lilith w końcu wygnałaby ją ze swego królestwa, jak to regularnie czyniła z innymi członkami personelu, którzy w ten czy inny sposób jej się narazili.

Ollie nie była głupia. Od początku wiedziała, że musi mieć na Lilith jakiegoś haka, aby móc się bronić, kiedy Lilith w końcu wystawi ją do wiatru. Dlatego też zawsze miała oczy i uszy otwarte. Ostatnio sprzątajac łazienkę Lilith podsłuchiła, jak Lilith mówi Johnny emu, że przewodniczący Agencji do spraw Żywności i Leków zgodził się poprzeć nowy zestaw iniekcyjny pana Wendella, jeśli Lilith wyda jego książkę. Dodała następnie, że pan Wendell obiecał przyjąć Ransoma do Stratmore Prep, jeżeli jego zestaw iniekcyjny zostanie dopuszczony do sprzedaży

Ollie od razu się domyśliła, że coś w całej tej sprawie śmierdzi. Doszła do wniosku, że dzięki temu uda jej się wydobyć od Lilith należne jej sto dolarów.

Dzień po zwolnieniu z pracy Ollie zadzwoniła do Lilith do biura, udając, że pracuje w dziale naboru w Stratmore Prep. Lilith, jak należało się tego spodziewać, natychmiast odebrała. Ollie z miejsca przeszła do rzeczy, żądając swoich stu dolarów i grożąc, że jeżeli ich nie dostanie, Lilith może tego gorzko pożałować.

— Ojej — zakpiła Lilith. — Już się boję. Ollie, ty głupia pokojówko. Nie mam zamiaru tracić dla ciebie ani minuty mojego cennego czasu.

Ollie była zła z powodu utraty stu dolarów. Tak samo jak była zła z powodu węża w pudełku na lunch Irvinga, nieudanej zabawy w chowanego, suszarni, przewodu klimatyzacyjnego i całej reszty krzywd, których ona i Irving doznali ze strony Lilith Radmore —Stein i jej diabolicznego synusia. Wobec tego Ollie zadzwoniła do reporterki „New York Times” i wszystko jej opowiedziała.

Tego ranka została wezwana na przesłuchanie do Departamentu Sprawiedliwości.

— Dobrze, Ollie, ale teraz, skoro nie pracujesz już u Radmore — Steinów, gdzie mieszkasz? — spytałam.

— W schronisku prowadzonym przez kwaków przy Szesnastej.

— Jesteś bezdomna? — zapytał Philip.

— Tylko do czasu, aż nie dostanę następnej pracy z mieszkaniem. Trudno będzie mi coś znaleźć, bo jestem z Irvingiem, ale modłę się, żeby to było jak najszybciej.

— Ollie — powiedziała podekscytowana. — Wiem o jednej pracy. Spotkajmy się jutro w południe w kawiarni na rogu Drugiej i Siedemdziesiątej Trzeciej: tam, gdzie umówiliśmy się pierwszy raz. Masz czas?

— Jasne, przecież nie mam pracy. Czasu mi nie brakuje.

Następnego dnia, tak jak się umówiliśmy, spotkałyśmy się z Ollie i Faith. Irving delektował się hamburgerem i koktajlem mlecznym przy sąsiednim stoliku. Faith opowiedziała Ollie o wolnej posadzie garderobianej i zanim jeszcze skończyła mówić, Ollie przyjęła propozycję pracy

— Ollie, nie chcesz najpierw usłyszeć, ile zarobisz? — zdziwiła się Faith.

— Och, jeśli jest pani przyjaciółką pani Ames, na pewno mnie pani nie ukrzywdzi.

— Co powiesz na to: sześćset tygodniowo gotówką plus mieszkanie i wyżywienie?

— Ile będzie za mieszkanie i wyżywienie? — zapytała Ollie.

— Nic, to jest już wliczone. Ty i Irving możecie zająć jedno ze służbowych mieszkań, które mamy na dole. Jest tam jedna sypialnia, pokój dzienny, kuchnia i łazienka. Odpowiada ci?

— Bardziej niż odpowiada — powiedziała Ollie. — Moje modlitwy zostały wysłuchane. — Schowała twarz w dłoniach i się rozplakała.

Irving spojrzał przestraszony na matkę.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic — uspokoiła go Ollie. — Wszystko dobrze. Właśnie dostaliśmy pracę i mieszkanie.

Irving uśmiechnął się szeroko i klasnął w rączki.

— Proszę się nie martwić — zwróciła się Ollie do Faith. — Nawet pani nie zauważy Irvinga. Jest cichutki jak myszka i będzie w naszym pokoju.

— Nie żartuj, Ollie. Uwielbiamy dzieci. Mae i Lia na pewno bardzo polubią Irvinga. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnią. A jak w przyszłym roku pójdzie do szkoły, mój kierowca będzie go codziennie podwoził, odwożąc dziewczynki. Odpowiada ci to?

Ollie znowu zaczęła płakać. Faith uznała więc, że się zgadza.

7. Skutki uboczne

Afera z „Baby Face” nie mogła się przydarzyć w gorszym momencie. Do podjęcia przez szkoły decyzji o tym, kto zostanie przyjęty, a kto odrzucony, zostało zaledwie kilka tygodni, tu zaś cały system naboru stanął pod znakiem zapytania. Wyznaczony specjalnie oskarżyciel prowadził śledztwo w sprawie byłego przewodniczącego Agencji do spraw Żywności i Leków, z kolei prokurator generalny ogłosił, że zamierza przyrzeć się okolicznościom towarzyszącym podejmowaniu decyzji wobec każdej grubej ryby, której dziecko zostało przyjęte do prywatnej szkoły w Nowym Jorku w ciągu minionych pięciu lat.

Pod przewodnictwem Dicka Nandy, prezesa Organizacji Dyrektorów Prywatnych Szkół w Nowym Jorku NYPHO, każda prywatna szkoła zamieściła w „New York Timesie” i „Wall Street Journal” zajmujące całą stronę oświadczenie, w którym publicznie zaprzeczała, jakoby na jej decyzje dotyczące przyjęć miały wpływ czynniki zewnętrzne.

Wokół każdego wydziału do spraw naboru jest wzniesiony Mur Chiński, żeby nie zdołały dotrzeć do niego żadne zewnętrzne naciski dotyczące poszczególnych kandydatów. Wszystko podlega ści — szej i skrupulatnej kontroli, mającej na celu uniemożliwienie wywierania jakiegokolwiek wpływu na podejmowanie decyzji. Sugerowanie, jakoby szkoły ulegały bezprawnym naciskom w kwestii doboru uczniów, jest pomówieniem i zniewagą dla ciężko pracujących, kierujących się zasadami honoru i przestrzegających prawa dyrektorów do spraw naboru na terenie całego miasta Nowy Jork, zawsze wiernych zasadzie, że wszyscy kandydaci mają równe prawa.

Czytając to oświadczenie, rodzice w całym mieście parskali z sarkazmem.

Bezczelność protestu organizacji została dodatkowo podkreślona przez pożałowania godny błąd drukarski w jej logo umieszczonym na

dole ogłoszenia. Ktoś zapomniał nacisnąć spację, w efekcie czego powstał wielki napis: NYPHONYPHONYPHONYPHONY*².

Dick Nanda zrezygnował z piastowanego przez siebie stanowiska. Uznał, że miarka się przebrała, kiedy znany satyryk polityczny, Arthur King, w komiksie traktującym o śmierdzącej aferze nazwał go „Zmarszczonym Dickiem”. Skandal stał się tematem dowcipów, parodii, swoje programy poświęcili mu Jay Leno i David Letterman. Napuszony i pretensjonalny światek prywatnych szkół stał się pośmiewiskiem całego kraju. Reputacja najznamienitszych elitarnych nowojorskich prywatnych placówek edukacyjnych tak została skalana, że trzeba będzie całej armii najbardziej utalentowanych propagandzistów (z których notabene większość wywodziła się z rodziców uczniów prywatnych szkół, w każdej chwili gotowych zgłosić się na ochotnika), żeby ją zrehabilitować.

Na tym wszystkim ja mogłam wyjść fatalnie.

Informatorzy Omara donieśli mi, że wszyscy członkowie zarządów w mieście otrzymali ostrzeżenie, że każde poleczone przez nich dziecko zostanie automatycznie odrzucone, aby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń o nieetyczne postępowanie — nowe założenia polityki Organizacji Dyrektorów Prywatnych Szkół w Nowym Jorku.

Wielkie dzięki, szanowna pani Radmore —Stein. Wszystko układało się tak pięknie, a pani to zniszczyła.

Przynajmniej Lilith dostała za swoje. Zarzucono jej przekupstwo, spisek i utrudnianie egzekwowania prawa. Akcje jej firmy spadły o 70 procent, obniżając wartość spółki o miliard dolarów. Rada nadzorcza kazała jej oddać służbowy odrzutowiec i odtąd musiała korzystać z samolotów rejsowych. Udziałowcy domagali się jej głowy. Cały kraj rozczytywał się z rozkoszą w najdrobniejszych szczegółach upadku tej aroganckiej baby, z dziką radością publikowanych przez konkurencyjną prasę. Johnny od niej odszedł, gdyż, jak to ujął: nie miał ochoty babrać się w tym gównie. Wkrótce sam trafił do aresztu za sprzedaż bez pokrycia akcji żoninej firmy, zanim cała afera trafiła do prasy. Teraz będzie mu-

² Ang. „phony” - oszust (przyp. tłum.).

siał oddać bezprawnie zarobione miliony. Podobnie jak Lilith, jego upadek z wysokiego konia okazał się bardzo bolesny.

Ponieważ matka i ojciec zajmowali się odpieraniem zarzutów, mały Ransom był jeszcze bardziej zaniedbany i opuszczony niż zwykle. W końcu kuzynka Lilith w drugiej linii, Rowena Ratfinklestein, instruktorka jogi z Niagara Falls, zgodziła się zaopiekować chłopcem. Ransom będzie odtąd jednym z czworga dzieci wychowujących się w skromnym drewnianym domu, ze sznurem na pranie w ogródku z tyłu i amerykańską flagą od frontu. Będzie się też uczyć w szkole publicznej. Prawdopodobnie było to najlepsze, co mogło mu się w życiu przydarzyć.

Lilith mało szlag nie trafił, kiedy się dowiedziała, że wszystko to stało się za sprawą jej przygłupiej pokojówki, Ollie, której poskapiła nędznych stu dolarów Z powodu gwoździa przepadło królestwo.

8. Tipper wyznaje wszystko

Tipper umówiła się ze mną w niedzielny wieczór przy stoliku ukrytym z tyłu skandynawskiej jadłodajni przy Bayside Avenue W Queens. Zjawiała się incognito, w słomkowym kapeluszu z opadającym rondem i wielkich słonecznych okularach w stylu Jackie O.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziałam. — Wsiadłam do złego metra i musiałam piechotą pokonać dziesięć przecznic. — Zajęłam miejsce naprzeciwko niej.

— Ivy, usiądź koło mnie — rzekła Tipper.

Kiedy wcisnęłam się na siedzenie obok niej, nachyliła się i zaczęła mnie obmacywać, najpierw po brzuchu, później po piersiach.

— Co ty wyprawiasz? — zdenerwowałam się nie na żarty.

— Muszę sprawdzić, czy nie masz podsłuchu — szepnęła.

— Jasne, że nie mam podsłuchu. W życiu czegoś takiego bym nie zrobiła.

— Wiem, że nie — powiedziała, nie przestając mnie macać, dopóki nie nabrała przekonania, że jestem czysta.

— Nie robimy nic wbrew prawu. Spotkałyśmy się, żeby się pośmiać i zjeść marynowanego śledzia. Nie popadaj w paranoję — ofuknęłam ją, wracając na miejsce po przeciwnej stronie stołu. — Coś mi się wydaje, że ktoś tu za często ogląda *Rodzinę Soprano*.

— Żartujesz? W tych okolicznościach? Federalni byliby zachwyce- ni, gdyby cię przyłapali na tym, jak proponujesz mi łapówkę.

— Tipper, nie mam najmniejszego zamiaru proponować ci łapówki. Po prostu" chcę się dowiedzieć, co całe to zamieszanie oznacza dla moich klientów. Najpierw coś zamówmy, a później pogadamy. — W milczeniu studiowałyśmy menu, w którym do wyboru było mnóstwo szwedzkich klopsików w różnych rozmiarach i czterdzieści rodzajów

śledzi. Obie zdecydowałyśmy się na specjalność zakładu: rybę po bałtyc — ku w zwierciadle z rzodkwi, cokolwiek to znaczyło.

— Jak poradziłaś sobie z aferą Radmore —Steinów? — zapytałam, gdy kelner odszedł.

— Ivy, nie zaczynaj. Najpierw Cubby, teraz to. Całe szczęście, że Cubby tego nie dożyła. To by jej złamało serce.

— Uda ci się zebrać przyzwoitą klasę?

— Chyba nie. Nie możemy zbadać stanu finansowego rodzin, jak robiliśmy dotąd. Nie da się też wyciągnąć żadnych brudów od dyrektorów przedszkoli; wiesz, tego, o czym nie piszą w oficjalnych opiniach, ale o czym mówią nam w zaufaniu przez telefon. Nikt nie chce puścić pary z gęby. Zmienili zasady gry w samym środku meczu, a pan Van Dyke wciąż oczekuje, że mu przedstawię zerówkowe „Who's Who”. To po prostu niemożliwe.

— Rozumiem. Nie mam pojęcia, jak mogę w tej sytuacji pomóc moim klientom. Ale nic na to nie poradzę — powiedziałam. — Wierzyć się nie chce, że ktoś tak bogaty i wpływowy jak Lilith mógł zaryzykować złamanie prawa tylko po to, żeby umieścić dziecko w przedszkolu.

— Właśnie — przytaknęła Tipper. — Tego przeklętego smarkacza przyjęłaby każda szkoła z pocałowaniem ręki tylko dlatego, że jest jej synem.

— Muszę cię zapytać o resztę moich dzieci — powiedziałam, zniżając głos. — Co sądzisz o WaShaunte Washington?

— WaShaunte Washington. To ta mała Murzyneczka?

—Tak.

Tipper zaczęła grozić mi palcem.

— Z tym dzieckiem coś jest nie tak. Powiedziała moim egzaminatorom, że mama zmieniła jej kolor skóry. Po pierwsze, ona nie ma mamy. Po drugie, nie wiemy, co sądzić o tych jej uwagach na temat skóry. Czy masz jakieś pojęcie, o co może jej chodzić?

— Skądże. Z tego, co wiem, jej ojcem jest Archie Washington, o mamusi nic nie słyszałam. Ale Archie wspominał mi, że jego córka ma bardzo bujną wyobraźnię — powiedziałam.

Psiakrew, wiedziałam, że ta mała nie będzie umiała kłamać.
Musiałam zmienić temat.

— Co powiesz o Marii Kutcher? Prawdziwy z niej pistolet, nie uważasz?

Tipper spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Omar Kutcher jest twoim klientem? Złożył mi propozycję. Dał mi do zrozumienia, że jeśli córka się nie dostanie, zrobi mi krzywdę.

— Iii... przyjmiesz ją? — spytałam.

— Nie wiem. Z jednej strony, Omar zupełnie nie ma klasy. Nigdy się nie dopasuje do społeczności Harvard Day. Z drugiej strony, nie chciałabym, żeby mnie zabił. Chyba tego nie robi, jak myślisz?

Co tu odpowiedzieć... co tu odpowiedzieć, zastanawiałam się gorączkowo. Gdybym dała do zrozumienia, że może jej coś zrobić, Tipper zapewne przyjąłaby Marię. Jeśli natomiast zapewnię ją, że nie ma się czego obawiać, przyjęcie Marii będzie wysoce wątpliwe. Zrobiłam więc jedyne, co w tej sytuacji mogłam zrobić, to znaczy pozwoliłam, żeby Tipper sama wyciągnęła wnioski.

— Prawdopodobnie zabił własną żonę, kto wie, do czego jest jeszcze zdolny. — Nic ponad to nie dodałam.

Tipper przełknęła ślinę. Kelner podał nam zamówione jedzenie. Była to jakaś ryba pochodząca z Bałtyku.

— A Veronica Needleman? Jesteś nią zainteresowana?

— Podam ci cztery powody, dla których nigdy tego dziecka nie przyjmę. Po pierwsze, wypracowania rodziców były beznadziejne. Po drugie, jej rodzice rozstali się podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Po trzecie, dziewczynka rozlała sok w czasie posiłku. Po czwarte wreszcie, oszukiwała w czasie testu. A w Harvard Day mamy wręcz maniackalne

podejście do etyki. To nasza zasada numer jeden. Absolutnie nie możemy jej przyjąć.

— Racja — powiedziałam.

— Nie bierz tego do siebie, Ivy, ale jak na razie żaden z twoich klientów nie zrobił na mnie wrażenia.

— A syn Grega McCalla, Moses? Czy on zrobił na tobie wrażenie?

— Och, on jest po prostu cudowny. A dziadkowie chłopca są bardzo, ale to bardzo bogaci. Właściwie w tej chwili mogę ci zagwarantować, że złożymy mu propozycję. Smakuje ci ryba?

— Jest niezła. Ale nigdy nie przepadałam za skandynawską kuchnią.

— Zwykle ją uwielbiam, ale dzisiaj jest jakaś mdła. Spróbuj dodać ketchupu — zaproponowała.

— Co sądzisz o Willow Bliss i Tiny Herrerze? — zapytałam, sięgając po butelkę.

— Chodzi ci o te lesbijki?

— Raczej o ich syna, Jacka Henry'ego. Wyniki testu ERB świadczą o wybitnej inteligencji, umie czytać, gra na flecie, jest czarny.

— Nie przyjmujemy go — powiedziała. — Jeździ na wózku inwalidzkim.

— Nie przyjmiecie go z powodu kalectwa?

— Ivy, żaden nauczyciel nie chce dziecka na wózku inwalidzkim. Jak sobie poradzi w czasie wycieczek? Co będzie robił na wuefie? Logistyka jest zbyt skomplikowana. Poza tym, towarzystwo kalek jest takie przygnębiające, nie sądzisz?

— Nie. Uważam, że Jack Henry jest wspaniały, a jego towarzystwo bardzo inspirujące. Sądziłam, że się ucieszysz, mogąc przyjąć dziecko nieco inne.

Tipper zniżyła głos.

— Ivy, oczywiście, że jesteśmy za różnorodnością, ale to musi być „odpowiednia różnorodność”. — Tipper znowu zrobiła palcami ten idiotyczny znak sugerujący cudzysłów. — Trzeba, rzecz jasna, przyjmować dzieci z problemami, pod warunkiem jednak, że nie będą opóźniać reszty klasy. Zawsze szukamy odpowiednich czarnych dzieci, ale muszą pasować do naszej społeczności. Wiesz, co mam na myśli. Dzieci takiego Colina Powella byłyby idealne, dziecko pokojówki nie jest. Wyobraź sobie: w tym roku rzeczywiście zgłosiła się do nas pokojówka! Jak będą się czuli nasi rodzice, spotykając się z nią na zebraniach rady rodziców? — Tipper na samą myśl zachichotała.

— Tipper — powiedziała spokojnie. — Ta pokojówka nazywa się Ollie Pou i także jest moją klientką. I wiesz co? To wspaniała kobieta. Ciężko pracuje, żeby zapewnić swojemu synowi lepsze życie. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale z tego co wiem, twoja matka także była pokojówką?

— To prawda, była pokojówką. I coś ci powiem. Nigdy nie dogadałyby się z rodzicami z Harvard Day. Mnie udaje się to tylko dlatego, że zaszłam wyżej niż ona. Poszłam na studia, zrobiłam MBA.

— Owszem, ale dzięki temu, że twoja matka harowała na dwóch posiadach, żebyś ty się mogła uczyć.

Tipper zignorowała tę jakże trafną uwagę.

— Czy założyłaś firmę non profit? Dlatego masz klientów czarnych i homoseksualnych?

— Nie, oni wszyscy mi płacą. I są dobrymi, ciężko pracującymi ludźmi. Tiny zdobyła Oscara za reżyserię. Każdy komitet rodzicielski szczyliłby się, mając ją w swoich szeregach.

— Zapewne, ale dla nas ona jest za bardzo homo. Nie zrozum mnie źle. Bardzo chcielibyśmy przyjąć rodzinę lesbijek, ale nie tak ostentacyjnych. Zupełnie nie rozumiem, po co jej te wściekle różowe włosy?

— Jak się domyślam, twoi rodzice czuliby się skrepowani, widząc się z nią podczas spotkań komitetu?

— Otóż to.

— Tipper, czegoś tu nie rozumiem. Wasza szkoła reklamuje swoją gotowość do przyjmowania dzieci mniejszości. Macie nawet komitet zajmujący się kwestią różnorodności. Czy to tylko na pokaz?

— Nie, naprawdę tak jest. Zawsze staramy się znaleźć odpowiednich kolorowych kandydatów. Rzecz jasna, normalni rodzice wolą obracać się we własnych kręgach, ale też nie chcą uchodzić za elitarnych. Moje zadanie polega na znalezieniu rodzin, które są takie same jak rodziny białe, z wyjątkiem koloru skóry lub preferencji seksualnych. A to nie jest łatwe, uwierz mi.

— O, co do tego nie mam wątpliwości.

— Ivy, Harvard Day to prywatny klub. Jesteśmy bardzo wybredni wobec tych, których do siebie przyjmujemy. Czemu mielibyśmy przyjmować rodziny, które do nas nie pasują? I nie chodzi o to, że mniejszości się nie nadają. Większość białych rodziców również się nie nadaje. Każdy, komu udaje się dostać do Harvard Day, to sama śmietanka, ludzie stojący na szczycie szczytów. Nu —mer je —den.

— Rozumiem. Ci, którzy się do was dostają, dostaliby się wszędzie.

— Możesz się śmiać, ale to prawda.

Popatrzyłam na nią ze smutkiem. Dałam się nabrać, kompletnie otumanić oficjalnej wersji, że szkoły naprawdę szukają dzieci prawdziwie innych, jak na przykład Jack Henry.

— Tipper, czy ty w ogóle słyszysz swoje słowa? Oficjalnie mówisz wszystko, co trzeba. Ale prywatnie zdradzasz takich jak ty, swoich. I po co? Dla pieniędzy? Pracy?

— Ivy, takie Tiny Herrery czy Ollie Pou to nie są moi — rzekła szczerze oburzona Tipper. — Rodziny z Harvard Day — oni są moi. Ja do nich należę. A skoro reszta świata nie potrafi osiągnąć tego, co się udało Tipper Bouquet, cóż ja mogę na to poradzić?

— Niech sobie zjedzą ciasteczka? — zapytałam.

— Tak daleko bym się nie posunęła.

— Tipper — powiedziałam. — Naprawdę masz o sobie takie niskie mniemanie, że musisz udawać kogoś, kim nie jesteś? Nazywasz się Tipper Bucket. Bucket! Jesteś czarna, a twoja matka była pokojówką. Ty pracujesz dla tych ludzi z Harvard Day. Jeśli myślisz, że mają cię za równą sobie, to, dziewczyno, przykro mi to mówić, ale jesteś w wielkim błędzie.

Nie czekając, co mi na to odpowie, wstałam i rzuciłam na stół trzydzieści dolarów.

— Dzięki za przedstawienie sytuacji — powiedziałam i poszłam sobie.

Dochodziłam już do drzwi, kiedy dogonił mnie kelner.

— Bardzo przepraszam, ale zapomniała pani tego. — Podał mi torbę od Barneysa, którą zostawiłam koło krzesła.

— To śmieci. Mógłby pan wyrzucić?

9. Ivy się sprzedaje

Ku mojemu zaskoczeniu, elegancki rolls —royce Silver Cloud czekał na mnie przed drzwiami skandynawskiej restauracji. Buck McCall. Jak on to robi? Zawsze zdaje się wiedzieć, gdzie będę, zanim sama na to wpadnę. Czy to intuicja, czy też opłacany przez niego zespół lekarzy CIA wszczepił mi do mózgu mikroprocesor, kiedy spałam? Czytał mi w myślach, czy kontrolował mój umysł? *Och, Ivy, naprawdę przesadzasz. Prawdopodobnie cię śledził.*

Szofer —ochroniarz otworzył przede mną drzwiczki i wsiadłam. Czy miałam wybór? Ponieważ zjawiłam się tuż po dostawie z Four Seasons, zapytałam, czy mogę się poczęstować owocami z przepięknie zastawionej tacy stojącej obok niego.

— Ależ oczywiście — odparł.

Nałożyłam sobie na talerzyk trochę winogron i truskawek.

— Czy mogę nalać pani Chardonnay? — zapytał.

— Nie, dziękuję.

— Burgera?

— Wegetariański? — zapytałam.

— Nie. Wołowy.

— Dziękuję, ale się nie skuszę. Dbam o wagę.

— Powinna pani spróbować diety Atkinsa — doradził. — Można w niej jeść tyle mięsa, na ile ma się ochotę.

— Bardzo dziękuję za tę cenną wskazówkę, ale, jak sędzę, nie spotkaliśmy się, żeby dyskutować o dietach.

— Ma pani całkowitą rację. Chciałem pani osobiście podziękować za wyświadczenie mi tej drobnej przysługi, o którą prosiłem. — Podał

mi kopertę wypełnioną studolarowymi banknotami. Byłam rozdarta pomiędzy radością z posiadania dodatkowych pieniędzy, a upokorzeniem, gdyż byłam świadoma, że zrobiłam to, co dosłownie przed chwilą zarzucałam Tipper. Ironia potrafi być denerwująca. Wepchnęłam kopertę do torebki.

— Proszę pana — powiedziałam. — Pańskie szpiegowanie mnie zaczyna być męczące. Prezenty są bardzo miłe i dziękuję panu za nie, ale naprawdę nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby przestał mnie pan śledzić całą dobę na okrągło.

— Ależ ja pani w ogóle nie śledzę. I nie muszę też pilnować, czy stara się pani spełnić moje oczekiwania. Jestem pewny, że zrobi pani wszystko, poza zmuszeniem Morza Czerwonego, żeby się rozstało, aby Moses nie poszedł do żydowskiej szkoły

Zamrugałam.

— Pan wybaczy, ale nie był to mój najszczęśliwszy dzień.

— Ach, oczywiście, ale pieniądze mają wielką siłę przekonywania, czyż nie? Wy nigdy nie potraficie się im oprzeć?

— Wy?

— Żydzi, naturalnie.

— Czyżby prowadził pan badania w tej dziedzinie?

Roześmiał się, chociaż mnie nie żarty były w głowie.

— Proszę nie traktować tego osobiście; wiem, że jest pani Żydówką. Wszystko to już widziałem. Kiedy Dee Dee wyszła za Grega, zaproponowałam jej rodzinie milion dolarów, żeby się jej wyparli i nigdy więcej się do niej nie odzywali. I wie pani co? Wzięli pieniądze tak szybko, że nawet nie musiałem proponować im wakacji na Hawajach na otarcie łez. Od tamtej pory się do niej nie odzywają.

Własnym uszom nie wierzyłam.

— Chce pan powiedzieć, że to przez pana traktują ją, jak gdyby umarła? Jak pan mógł? Pozbawił pan Mosesa dziadków, a Dee Dee rodziny.

— Lepsze to niż pokrewieństwo z Żydami, nawet przez małżeństwo. Chodzi o to, że wiedziałem, że przyjmie pani pieniądze. I dziękuję pani za wszystko, co pani zrobiła. Aby mieć pewność, że nasz cel zostanie osiągnięty, chciałem nieco osłodzić moją propozycję.

Ach, premia. Ekscytujące. Może zaproponuje mi wycieczkę na Hawaje. Bóg mi świadkiem, że wakacje dobrze by mi zrobiły. Wstrzymaj oddech, zamknij oczy, myślałam, w ostatecznym rachunku to ci się opłaca... Chwileczkę, Ivy, spójrz na siebie. Układasz się z rasistą! Przypomnij sobie Abrahama, Ruth, Machabeuszy, królową Esterę, dziesięć przykazań i tak dalej, i tak dalej. Patrzyłam na Bucka, potajemnie zmagając się z własnym sumieniem, które chwilowo sobie przysnęło.

Buck wyjął z kieszeni marynarki list i podał mi go. Był od Lorny Reed, dyrektorki do spraw naboru w Balmoral School.

Szanowny Panie,

Spotkanie z Panem było dla mnie prawdziwą przyjemnością. Jak uzgodniliśmy, Skyler i Kate zostaną ponownie przyjęte do naszej szkoły we wrześniu bieżącego roku, zważywszy, że zobowiązał się Pan opłacać ich chesne aż do dwunastej klasy włącznie. Pan Santon Giles z naszej kancelarii skontaktuje się z Panem wkrótce w celu uregulowania należności.

Ponadto z radością przyjmujemy Pana propozycję wspierania naszej drużyny koszykówki. Pan Rupert Stoddard z biura rozwoju oraz pan Samuel Pollock z komitetu architektonicznego skontaktują się z Panem w przyszłym tygodniu, aby omówić budowę nowej sali gimnastycznej imienia McCalla.

Z wyrazami szacunku,
Lorna Reed

— Pan chyba żartuje — powiedziałam. — To będzie kosztowało majątek. Czy to naprawdę aż tyle jest dla pana warte? — Choć nie zaprzeczę, że propozycja była kusząca.

— Droga pani, mam więcej pieniędzy, niż zdołałbym wydać, nawet gdybym żył pięćdziesiąt razy. Zrobię wszystko, aby Moses nie stał się bardziej Żydem, niż już nim jest. I jestem winien pani dozgonną wdzięczność za pomoc w tej kwestii. Pragnę jedynie pani podziękować.

Nagle szofer —ochroniarz otworzył drzwi, a mnie serce zaczęło walić tak szaleńczo, że na wszelki wypadek łyknęłam aspirynę. *Czy on zawsze musi to robić?*

— Interesy z panią to sama przyjemność — usłyszałam jeszcze, jak Buck McCall woła za mną, gdy odchodziłam szybkim krokiem.

O tak, rzeczywiście przyjemność, pomyślałam.

10. Szokujące wieści

W poniedziałek odprowadziłam dziewczynki do szkoły. Z jakiegoś powodu bardziej niż zwykle brakowało mi mamy. Chciałabym, żeby była tu ze mną. Opowiedziałabym jej o wszystkim, co się wydarzyło, a ona wygłosiłaby jedno z tych swoich kazań, które za jej życia zwykle ignorowałam. Tylko że dzisiaj bym jej wysłuchała. *Mamo, proszę cię, powiedz mi, co robić. Daj mi przynajmniej jakiś znak albo coś.* Poszłam na mani — kiur do koreańskiego salonu na rogu Houston i Alei A, w nadziei, że to poprawi mi nastrój.

Właśnie w chwili, kiedy wsunęłam świeżo pomalowane paznokcie do suszarki, zadzwoniła moja komórka. Niezgrabnie włożyłam telefon między ucho a ramię, starając się nie zniszczyć lakieru. Dzwonił Omar. O mój Boże. Tego klienta za nic w świecie nie chciałabym zawieść.

— Ivy, w życiu nie zgadniesz, gdzie jestem — zaczął bez zbędnych wstępów.

—Gdzie?

— Nie, sama zgadnij.

— W Luckenbach w Teksasie?

— A gdzie to, do diabła, jest? Nie, jestem w Las Vegas. Właśnie przyjechaliśmy tu z Sassy, żeby wziąć ślub.

— Co?! — wrzasnęłam. — Przecież znacie się dopiero, sama nie wiem, od miesiąca? Nie wierzę.

— No to uwierz. A wszystko przez ciebie. Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem, że przedstawiłaś mnie mojemu misiowi pysiowi.

Nie wytrzymam. Szef mafii gada jak dziecko.

— Omar, daj mi Sassy do telefonu. Chcę jej pogratulować.

— I co ty na to? — powiedziała Sassy. — Wyszłam za mojego miśniczka pysiaczka. — Doszły mnie dziwne mlaskające odgłosy, chyba się całowali. Niezbyt to grzeczne z ich strony. — Ooooch, kochanie,

poliż mnie tutaj, ooooch, tak, ty niegrzeczny mały napaleńcu — jęczała Sassy.

Nadmiar informacji... nadmiar informacji...

— Sassy, SASSY, SASSY! — wrzasnęłam do telefonu. — A co z Philipem? Zdawało mi się, że zamierzacie się pobrać.

— Przekażesz mu moje wyrazy ubolewania? — poprosiła. — Kiedy spotkałam Omarka Komarka, od razu wiedziałam, że to ten jedyny. Mój misiaczek py —sia —czek.

Chyba się zaraz porzygam, tu i teraz.

— A co z twoją pracą? — zapytałam.

— Omarek Komarek nie chce, żeby jego Sassunia Lalunia urzędowała komuś mieszkania, tylko je —emu. Omalek Komalek obiecał Sassuni Laluni, że już nigdy nie będzie musiała pla —ciować, nigdy

— Sassy, posłuchaj, dam ci jedną najważniejszą radę. Nigdy nie oszukaj tego faceta. Możesz nie dożyć, żeby zacząć tego żałować.

11. Prywatne szkoły są „be”

Ręce mi opadły, kiedy dowiedziałam się o Sassy i Omarze. Sassy i Omar? Spojrzałam w niebo. *W porządku, Draytonie, ostrzegłam ją. Jeśli umrze, to sama sobie będzie, do cholery, winna. Zwolnij mnie z odpowiedzialności za nią. Teraz troszczy się o nią Omarek Komarek.* Szłam sobie przez Soho, zaglądając do sklepów, wstąpiłam też do Starbucks na karmelową macchiato z bitą śmietaną. Kiedyś Soho było centrum drugorzędnych artystów. Ale to należało już do przeszłości. Teraz tutejsze posiadłości należały do najdroższych w mieście. Swoje sklepy otworzyli najwięksi projektanci, jak Chanel czy Yves Saint Laurent. A niedawno otworzył się Bloomingdales. Bloomingdales! Co za profanacja. Gdzie się podzieli tamci artyści... dawno o —de —szli. *Och, jaka śliczna torebeczka. Chodź do mamusi,* pomyślałam, wchodząc do Prady.

Reszta dnia upłynęła mi na bezproduktywnym: „Nie, dziękuję. Tylko oglądam”. O trzeciej odebrałam dziewczynki ze szkoły. Chwilę porozmawiałam z Mamą XXXL o sprawach komitetu książkowego rady rodziców.

— Mamo, muszę coś zjeść — powiedziała Skyler.

— Dobrze, byle to było coś zdrowego.

— Ojej, mamo, miałam strasznie ciężki dzień. Niezdrowe będzie lepsze, dobrze? — błagała Skyler.

— Słuchajcie; pójdziemy na kompromis i zjemy w Kratts.

— Hura! — uradowała się Kate.

Na rogu kupiłam „New York Timesa”. Później cała nasza trójka zasiadła w Kratt's przy moim ulubionym stoliku. Skyler była wykończona po wyjątkowo trudnym dyktandzie i siedziała z głową wspartą o blat stołu. Podszedł Michael, żeby przyjąć nasze zamówienie.

— Ja proszę czekoladowe lody — powiedziała Kate.

Nadludzkim wysiłkiem Skyler uniosła głowę.

— Ja też, ale proszę podwójne.

— Nie, dla Skyler pojedyncze. A ja proszę sałatkę owocową z sosem czekoladowym — powiedziałam, trącając moją córkę, żeby usiadła prosto.

— Już się robi — odparł Michael, porozumiewawczo mrugając do Skyler.

Wzięłam gazetę i pobieżnie przestudiowałam pierwszą stronę. Nic ciekawego, poza kolejnymi dołującymi wieściami ze Środkowego Wschodu. Dopiero kiedy zerknęłam na dział miejski, oczy mi wyszły z orbit.

— Rany boskie — jęknęłam.

— Co? — zainteresowała się Kate.

— Czekaaj, muszę przeczytać.

Po chwili zjawił się Michael z naszym jedzeniem. Dosiadł się do nas.

— Obu im przyniosłeś podwójne porcje, prawda? — powiedziałam, zerkając znad gazety

— Ja? Skądże. To są nasze najmniejsze lody — odparł. Obie dziewczynki zaczęły chichotać.

Pokręciłam głową. Cóż mi pozostawało?

— Jest tu okropny artykuł.

— O czym? — zapytał Michael.

— No właśnie, o czym? — zawtórowała mu Skyler.

— W zeszły piątek, w czasie meczu koszykówki między Hartley a Harvard Day, fani Hartley obrzucali antysemitkami wyzwiskami żydowskiego gracza z Harvard Day. Czwooro dzieciaków wyzywało go od „żydłaków” — powiedziałam.

— I to cię dziwi? — zapytał Michael cicho, sięgając po pierwszą stronę.

— W dzisiejszych czasach? Oczywiście. To są dwie najbardziej elitarne szkoły w mieście. Dzieci w Hartley pochodzą z najlepszych, najbardziej wykształconych rodzin. Pewnie uważają, że mogą być antysemitami, ale nie rozumiem, jak to możliwe, że obnoszenie się z tym jest dla nich w ogóle do przyjęcia. Czy oni ich niczego w tych szkołach nie uczą? — Z niesmakiem pokręciłam głowę i na swoją sałatkę nałożyłam okazałą łyżkę lodów od Kate, po czym wszystko obficie polałam czekoladowym sosem.

— Co to znaczy „antysemita”? — zapytała Kate.

— To ktoś, kto nienawidzi Żydów — wyjaśnił Michael.

— Ja jestem Żydówką — powiedziała Kate, wyraźnie zmartwiona.

— Wiem o tym — odparł, klepiąc ją w rączkę.

— Są ludzie, którzy mnie nienawidzą, bo jestem Żydówką? — spytała Kate.

— Tak, ludzie, którzy nie wiedzą, jaka jesteś naprawdę. Ale wiesz co? Ja też jestem Żydem. I nigdy nie pozwolę, żeby ktoś ci dokuczał z powodu twojej religii — powiedział Michael.

— Dziękuję, Michaelu — rzekła Kate.

— A teraz najgorsze — dodałam, czytając artykuł do końca. — Z tymi chłopcami, którzy wyzywali koszykarza, było co najmniej trzydziestu uczniów i rodziców z Hartley, ale nikt nic nie zrobił, żeby ich powstrzymać.

— Rodzice pozwolili, żeby mówili takie rzeczy? — zdziwiła się Skyler.

— Tak. Siedzieli tylko, i nic. Biedny dzieciak. Coś podobnego przydarzyło mi się, kiedy byłam mała. To było okropne — powiedziałam, przypominając sobie, jak Ondrea de Campo i jej koleżanki upokorzyły mnie podczas przyjęcia walentynkowego. — Kiedy ludzie wygła-

szają rasistowskie uwagi, nie można siedzieć cicho, bo to oznacza, że zgadzasz się z nimi. Niech to będzie dla was nauczka, dziewczynki.

— Mamusiu, gdybyś ty tam była, skrzyczałybyś te dzieci, prawda?

— Wasza mama? — powiedział Michael. — Żartujecie? Wasza mama w życiu by nie tolerowała podobnego zachowania. Ona nie jest słabeuszem. — Uśmiechnął się do mnie.

— No właśnie — zawtórowała mu Skyler. — Jak w ogóle możesz o to pytać, Kate?

— Ja też bym coś na pewno powiedziała — rzekła mała.

O Boże, pomyślałam, zawstydzona, że tak błędnie mnie oceniają. *Przecież jestem słabą, pozbawioną zasad, beznadziejną hipokrytką. Zwykłym śmieciem, po prostu.* Przecież za każdym razem, kiedy Buck McCall sączył swój jad na Żydów, nie byłam ani trochę lepsza niż tamci. Ja też siedziałam cicho, stając się jego współniczką w antysemityzmie. Co gorsza, pomagałam mu w krucjacie przeciwko żydostwu jego własnego wnuka. I z takich samych odrażających przyczyn zdradziłam Grega i Dee Dee.

Miara się przebrała. Koniec z kłamstwami, koniec z wygrywaniem za wszelką cenę, koniec ze sprzedawaniem się za żywą gotówkę. Tym razem nie musiałam pytać, co zrobiłaby Ivana Trump czy Matka Teresa. Wiedziałam, co musi zrobić Ivy Ames.

12. Mówiąc prawdę —część 2

Kiedy weszłam do brązowej kamienicy mieszczącej Shalom Day School, zrozumiałam, dlaczego Dee Dee uważała, że jest dla Mosesa idealna. Dzieci były czysto ubrane. Chłopcy nosili jarmułki. Wszystkie maluchy śpiewały hebrajskie piosenki, tańczyły, śmiały się. Ściany były pokryte wypracowanymi w pocie czoła dziełami przedszkolaków — pierwszymi niezdarnymi opisami rodziny. Gablotka na trofea pękała w szwach od nagród dla Shalom Day za osiągnięcia w baseballu, koszykówce i hokeju. A ludzie mówią, że Żydzi nie są wysportowani.

— Pani Ames, rabin Jacobson przyjmie panią teraz — powiedziała sekretarka.

Weszłam do gabinetu pani rabin i uścisnęłam jej rękę. Wydała mi się nieco zbyt młoda jak na tak odpowiedzialne stanowisko, ale z drugiej strony, czyż dzisiaj wszyscy tak nie wyglądali?

— Czym mogę pani służyć? — zapytała, kiedy usiadłam.

— Pani rabin, to, co chcę dzisiaj powiedzieć, jest bardzo krępujące, ale muszę to pani wyznać, bo być może uda mi się w ten sposób naprawić wielką szkodę.

— Słucham.

— Jestem doradcą w sprawie naboru do prywatnych szkół. Pomagałam Gregowi McCallowi i Dee Dee Epstein w umieszczeniu ich syna Mosesa w szkole.

— Znam tych państwa.

— Nie wątpię. Otóż chodzi o to, że Greg i Dee Dee najbardziej chcieli, aby Moses chodził do Shalom Day. Lecz ojciec Grega życzył sobie, żeby jego wnuk poszedł do szkoły świeckiej. Nie chciał, żeby za bardzo wyrósł na Żyda. Za plecami Grega zaproponował mi milion dolarów i obiecał płacić chesne moich córek w prywatnej szkole, jeśli dopilnuję, żeby Moses trafił do nieżydowskiej szkoły. Byłam rozdarta. Jestem samotną matką i pieniądze wiele by zmieniły w moim życiu. Ale ja

także jestem Żydówką. Ze wstydem przyznaję, że chciałam wziąć pieniądze pana McCalla. Greg i Dee Dee poprosili mnie, żebym napisała list, w którym wybierają tę właśnie szkołę. Co też zrobiłam, tylko że był to ten koszmarny list, który pani na pewno dostała. Nie miałam wątpliwości, że po otrzymaniu takiego listu w życiu nie przyjęłaby pani Mose-
sa do swojej szkoły. Przyszłam panią prosić, aby wyrzuciła pani ten list do kosza i podjęła co do Mose-
sa decyzję, wiedząc, że jego rodzice zdecydowali się na Shalom Day i niczego w zamian nie oczekują.

Rabin Jacobson spoglądała na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Cóż za historia. Niech mi pani coś powie. Czy sądzi pani, że ojciec Grega zamierza pani zapłacić, jeśli spełni pani jego prośbę?

— Nigdy się tego nie dowiem. Podejrzewam, że tak, ale może jestem naiwna. Spokojnie mógłby mnie oszukać, a ja nic nie mogłabym na to poradzić. Chyba nie można kogoś oskarżyć, że nie chce się wywiązać z obietnicy przekupstwa, prawda?

— Nie mam pojęcia.

— Cóż, gdyby mi nie zapłacił, słusznie by mi się to należało. Szczerze mówiąc, uważam, że powinna mnie pani zamknąć w sanktuarium i wybatożyć menora.

Pani rabin się roześmiała.

— Proszę pani, diabeł panią kusił, ale nie uległa mu pani. I ostatecznie dokonała pani moralnego wyboru. To, co zrobiła pani dzisiaj, jest godne podziwu. Niewielu ludzi nie połasiłoby się na milion dolarów i darmową edukację dla swoich dzieci w prywatnej szkole.

Gdy to mówiła, ścisnęło mnie w żołądku. Skoro robiłam to, co należy, czemu czułam się tak podle?

— Poza tym chcę pani powiedzieć, że zamierzaliśmy przyjąć Mose-
sa. Ale oczywiście po otrzymaniu tego listu stało się to niemożliwe. Po-
nieważ jednak teraz wszystko mi pani wyjaśniła, dopilnuję, aby został
przyjęty — powiedziała łagodnie.

— Dziękuję, pani rabin. Nie zasługuję na pani przebaczenie.

Pani rabin się uśmiechnęła.

— Czy nie wie pani, że przebaczać jest rzeczą boską?

— Tak, słyszałam o tym. I proszę się nie martwić. Nigdy już nie dostanie pani takiego listu. Wycofuję się z branży.

— Jest aż tak źle? Gdyby była pani uczciwym doradcą, mogłaby pani wiele dobrego zrobić dla ludzi.

— Też tak myślałam na początku. Ale szybko się przekonałam, że świat naboru do prywatnych szkół jest równie podły jak świat wielkich korporacji. Ta praca wyzwoliła we mnie wszystko, co najgorsze. Kłamałam, oszukiwałam, zdradzałam klientów... i po co? Nie lubię osoby, którą się stałam, wykonując tę pracę. Postanowiłam jednak się zmienić.

Pani rabin słuchała mnie z uśmiechem.

— Już się pani zmieniła, robiąc to, na co zdobyła się pani dzisiaj.

13. Zły dzień dla włosów Stu

Stu wydzwaniał regularnie co godzinę, o pełnej godzinie. Na tydzień przed ogłoszeniem wyników rekrutacji odchodził od zmysłów, jak wypadnie jego córka. Dyrektorka przedszkola Veroniki próbowała jakoś zasięgnąć języka w prywatnych szkołach, nikt jednak niczego nie chciał powiedzieć.

Odbywająca się tradycyjnie podczas dwóch ostatnich tygodni licytacja miejsc w prywatnych szkołach, którą uprawiali dyrektorzy przedszkoli, w tym roku została zarzucona. Nowa polityka organizacji skupiającej dyrektorów szkół jednoznacznie tego zakazywała. Dyrektorzy szkół dyskretnie poinformowali dyrektorów do spraw naboru, że mają odrzucać wszystkie podania rodzin, które wcześniej w jakikolwiek sposób starały się wywierać na nich wpływ.

Nikt nic nie wiedział.

Dyrektorzy przedszkoli nie byli w stanie zasugerować rodzicom, żeby do szkoły, w której ich dziecko miało największe szanse, wysłali swoje listy z deklaracją wyboru w pierwszej kolejności. Skończyły się przecieki, prowadzone w zaufaniu rozmowy, wskazówki, tak istotne dla sprawnego funkcjonowania maszyny rekrutacyjnej. Cały system ogarnął chaos. Nikt nie stał za sterem tego okrętu. Dyrektorzy do spraw naboru, zwykle o tej porze roku mający nieograniczoną niemal władzę, z przerażeniem odkryli, że filary społeczeństwa, przerażone możliwością zbrukania swojej reputacji, teraz ich ignorują. Rodziny zabezpieczały tyły.

Dyrektorzy miotali się, zmuszeni dokonywać rekrutacji na podstawie oficjalnych kryteriów, takich jak wyniki testów, rozmowy kwalifikacyjne, opinie ze przedszkoli i eseje. Brak w nich jednak było tych niuansów, istotnych informacji potrzebnych decydentom do zorientowania się, kto jest odpowiednim kandydatem na członka ich społeczności, a kto nie.

Był początek lutego, a ja siedziałam na swoim zwykłym miejscu w Kratts, zastanawiając się, czy w jakikolwiek sposób mogę pomóc moim klientom w tych jakże radykalnie innych czasach. Nagle wszedł blady, jakby w życiu niewidzący słońca facet z idiotycznie zielonymi włosami. Rozejrzał się. To był Stu. Skryłam twarz za menu, udając, że je studiuje, za późno jednak. Dojrzał mnie i bez wahania podszedł.

— Proszę, proszę, czyż to nie pani Ames we własnej osobie. Cóż za zbieg okoliczności. Chociaż chyba jednak nie do końca, zważywszy, że przecież tutaj właśnie mieszkasz — rzucił oskarżycielskim tonem.

— Zgadza się, mieszkam tutaj. Czy to stanowi dla ciebie jakiś problem, Stu?

— Kiedy cię zatrudniałem, sądziłem, że mieszkasz przy Piątej Alei. Gdybym wiedział, że mieszkasz w czynszówce, nigdy nie powierzyłbym ci edukacji mojej córki. Sprawiasz mi jeden zawód po drugim, panienko.

Przewróciłam oczami.

— Co, może znowu mnie zwolnisz?

— Och, a po co? — zapytał, opadając na krzesło po przeciwnej stronie. Musiał przy tym przesunąć moją torebkę. — Gra skończona. Gdzie mam wysłać mój list? Tylko to chcę wiedzieć.

Wyglądał tak żałośnie i bezradnie, że przez jedną krótką chwilę było mi go niemal żal.

— Wytropiłeś mnie w mojej kryjówce, żeby o to zapytać?

— Chciałem zobaczyć się z tobą osobiście.

— Stu, wybacz, ale muszę o to zapytać. Co się stało z twoimi włosami? Zwykle są rude.

— Chciałem je sobie sam pofarbować, ale coś mi nie wyszło. Zawsze robiła to Patsy, ale teraz odeszła. — Żałośnie wyglądał z tymi zielonymi kłakami.

— Och, Stu, nigdy nie wolno samemu farbować sobie włosów. Wszyscy to wiedzą.

— Dzięki za radę, Ivy. Po południu idę do fryzjera. — Wyjął z teczki oprawione zdjęcie Veroniki i postawił je na stole. W oczach miał łzy — Kocham tę małą dziewczynkę. I mam nadzieję, że zrobiłaś dla niej wszystko, co w twojej mocy. No więc słucham, która szkoła powinna dostać list od Needlemanów?

— To zależy. Którą szkołę ty byś wybrał?

— Balmoral. Jeśli uważasz, że do Balmoral się nie dostanie, wtedy wybrałbym tę, w której ma największe szanse.

— Czy wasz dyrektor dowiedział się, jak wypadła Veronica podczas rozmowy kwalifikacyjnej w Balmoral? — zapytałam.

— Tak, powiedzieli, że ma słaby życiorys, jej rysunki są niedojrzałe i woli śpiewać *Wlazł kotek* niż *Ojca Wirgiliusza*, a jej odpowiedzi są płytkie. Na dodatek wylała sok w czasie posiłku.

— Co!? Veronica wylała sok, a ty mówisz mi o tym dopiero teraz? W takiej szkole jak Balmoral... cóż, Stu, to będzie bolesne — powiedziałam. — Szkoda, że nic wcześniej nie mówiłeś. Moglibyśmy jakoś zatuszować ten incydent w liście z podziękowaniami.

Czekałam, aż Stu obwini mnie za wypadek Veroniki. Milczał.

— Którą szkołę wybrałaby Patsy? — zapytałam.

— A skąd niby mam to wiedzieć? Dzięki tobie nie odbiera moich telefonów.

Cóż miałam rzec. Spróbowałam rozluźnić nieco atmosferę.

— Hm... w tych okolicznościach może zagramy w marynarza? — Wyciągnęłam rękę.

Oj, Stu nie był w nastroju do żartów. Zacisnął pięść i podniósł ją, jakby chciał mnie uderzyć.

— Uważasz, że to jakieś żarty, Ivy?

Przyznaję, trochę się bałam, że mi przyłoży. Z drugiej jednak strony, jak tu się bać kogoś z takimi włosami.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, jak spod ziemi wyrósł przed nami Michael Kratt.

— Jakiś problem, proszę pana?

— Owszem. Z nią. — Pogroził mi pięścią przed nosem.

Michael nachylił się i z hukiem przycisnął jego rękę do stołu.

— Chyba najlepiej będzie, jak pan stąd w tej chwili wyjdzie.

Oczy Stu zrobiły się wąziutkie niczym szparki. Raz jeszcze podniósł pięść.

Michael spoglądał na niego groźnie.

— Dalej, Kermicie. Zrób mi tę przyjemność. — Był cudowny, zupełnie jak żydowski Brudny Harry.

Stu rzucił mi wściekle spojrzenie. Chwycił zdjęcie Veroniki i jak burza wybiegł z restauracji.

— Nic ci nie jest? — zapytał mnie Michael.

— Nic. Nie wierzę, że mu groziłeś.

— Wiem. Ktoś tu mógł ucierpieć.

— Coś ty, Sherlocku! Dzięki za ratunek.

Michael usiadł na miejscu dopiero co zwolnionym przez Stu. Podał mi portfel, który musiał wypaść mi z torebki.

— O co mu chodziło?

— Och, jest przygnębiony.

Opowiedziałem Michaelowi o Stu, Patsy i wszystkim, co się wydarzyło od czasu, gdy mnie zatrudnili.

— Nie było sensu mówić mu, że nie ma znaczenia, gdzie wyśle swój list. I tak nigdzie jej nie przyjmą po tym, jak zdała swój test. Sama wysłałam list do szkoły poza centrum, do której w sekrecie złożyłam jej

podanie. Będzie jej tam idealnie, a poza tym jej rodzice i tak nie mają wyboru.

— Nie miałem pojęcia, że twoja praca jest aż tak niebezpieczna — powiedział Michael.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo. Co roku co najmniej dwóch doradców pada ofiarą napaści ze strony rodziców.

— Poważnie?

— Nie, chciałam zrobić na tobie wrażenie — powiedziałam zalotnie.

lwy, odpuść sobie. Przecież jasno powiedział, co do ciebie czuje.

— No to ci się udało — powiedział.

Uśmiechnął się słodko, pokazując te swoje urocze do — łeczki. Przez chwilę wyobraziłam sobie, jak też wyglądałyby nasze dzieci. *Czy takie dołeczki są dziedziczne? Na pewno Wystarczy spojrzeć na Kirka i Michaela Douglasów, Zaraz się jednak opamiętałam. Wyznajecie inne wartości, zapomniałaś już? On cię nie chce. Koniec, kropka.*

14. Nie wartoro zpaczać

W obliczu gwałtownych zmian, które nastąpiły w procesie rekrutacji, znalazłam się w kropce. Cała moja tak starannie zaplanowana strategia teraz okazała się nieprzydatna. Nie miałam pojęcia, co mogłabym zrobić, żeby jakoś pomóc moim klientom. Pozostawało mi się jedynie modlić.

Listy z informacją dla rodziców zostały wysłane w lutym, w piątek przed długim weekendem przypadającym z okazji Dnia Prezydenta. W prywatnych szkołach poniedziałek i wtorek były dniami wolnymi, rodzice byli więc zmuszeni dusić się we własnym sosie aż do środy. Listy nadeszły w sobotę. Burmistrz zarządził, aby w piątek i sobotę poczty pracowały dłużej, rozumiał bowiem, że rodzice odchodzili od zmysłów, oczekując wiadomości. Dzieci burmistrza również chodziły do prywatnej szkoły.

Pamiętając o tragedii, jaka spotkała Cubby, w tym roku szkoły wynajęły dodatkową ochronę. Od decyzji nie można się będzie odwołać. Albo ktoś się dostał, albo nie, ewentualnie znalazł się na liście rezerwowej. Jeśli ktoś miał coś w tej sprawie do powiedzenia, może to uczynić telefonicznie, faksem lub za pośrednictwem poczty internetowej.

W sobotę Faith była tak miła, że zabrała moje dzieci razem ze swoimi do Muzeum Dziecięcego, mogłam więc bez przeszkód czekać na wieści od moich klientów.

Kochana stara Ollie zadzwoniła, zanim zdążyłam wybrać jej numer. Kiedy podniosłam słuchawkę, po drugiej stronie usłyszałam szloch i zawodzenie. O Jezu!

— Ollie, czy to ty? Dobrze się czujesz?

— Ivy, to łyzy szczęścia. Dzięki Bogu, mam wspaniałe wieści! Irving dostał się do Stratmore Prep i St. David's. W obu szkołach proponują mi pełne stypendium, ale ja zdecydowałam się na Stratmore Prep.

— Czemu właśnie Stratmore Prep?

— Bo to była jedyna szkoła, na której zależało pani Radmore — — Stein, musi więc być najlepsza. Kupię mojemu Irvingowi niebieski blezer z emblematem Stratmore i pójdę z nim do fotografa, żeby zrobił mu porządne zdjęcia. A później wyślę je pani Radmore — Stein do więzienia, razem z kartką, na której napiszę: „Proszę do mnie zadzwonić, jak zwolnią panią warunkowo, będziemy na zmianę odwozić naszych synów do szkoły”.

Ollie śmiała się tak histerycznie, że znowu zaczęła płakać.

Ledwie Ollie się rozłączyła, kiedy mój telefon zadzwonił znowu. I ponownie usłyszałam płacz i zawodzenie. Czyżby kolejne łyzy szczęścia?

Dzwoniący wreszcie doszedł do siebie i wtedy okazało się, kto to — Patsy.

— Ivy, u —hu —hu —hu — płakała. — Vero —ro —ro —nica nigdzie się nie dostała. U —hu —hu —hu. Dostaliśmy tylko, u —hu —hu —hu, dziesięć listów odmownych, u —hu —hu —hu. Jestem załamana. Jestem zrozpaczona, u —hu —hu —hu.

— To wszystko? — zapytałam. — Niczego więcej nie dostałaś?

— Przez pomyłkę dostałam jeden list, że została przyjęta, ale do tej szkoły nie składa —da —dałyśmy papierów.

— Patsy, powiedz mi, jak się nazywa ta szkoła?

— Log Cabin School w Greenwich Village. U —hu —hu.

— Patsy, Veronica dostała się do tej szkoły. Po tym, co się stało z jej testami ERB, martwiłam się, że nigdzie jej nie przyjmą, dlatego w ostatniej chwili wysłałam kilka podań do szkół, które nie wymagają testów ERB. Poszłam tam z nią na rozmowy kwalifikacyjne i spodobała im się. Prawdę mówiąc, w tej szkole będzie jej o niebo lepiej niż w którejkolwiek Baby Ivys. Nie jest tak wysoko notowana, ale to mała, przyjazna szkoła i wydaje mi się, że dla Veroniki idealna. Nie sądzisz? — Wszystko to wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

— Ivy, nie mogę w to uwierzyć, u —hu —hu. Naprawdę zrobiłaś to dla Veroniki?

Tak, hm... dobry ze mnie człowiek.

— Oczywiście — odparłam. — Nie masz nic przeciwko?

— Jestem ci bardzo wdzięczna — powiedziała. — Dziękuję. Dziękuję ci z całego serca. Czy możesz pojechać ze mną w przyszłym tygodniu do tej szkoły i pokazać mi ją?

— Z przyjemnością. — Odetchnęłam z ulgą. — Chcesz sama powiedzieć o tym Stu, czy ja mam to zrobić? — Tylko nie ja, tylko nie ja.

— Możesz to zrobić? Ja nie chcę z nim rozmawiać.

— Jasne, Patsy, nie ma sprawy.

O tak, już się cieszyłam na myśl, że będę mogła osobiście przekazać wieść, że Yeronica dostała się tylko do jednej, trzeciorzędnej szkoły.

— Ivy, jesteś genialna. Genialna — powiedziała Wendy Weiner. — Winnie dostała się do Nightingale, Balmoral i Spence. Do trzech szkół z dziesięciu. To niesamowite.

Uff. Potwornie się bałam, że podczas wizyty w każdej szkole wyjdzie na jaw, kim naprawdę jest Winnie. Najwyraźniej jednak tak się nie stało. Po tym, jak się wygadała w Harvard Day, Wendy obiecała jej pieśka, jeśli będzie kłamać. Przekupstwo to potężna broń w rodzicielskim arsenale.

— Och, Wendy, to wspaniale. Tak bardzo się cieszę. Wiecie już, którą szkołę wybieriecie?

— Do licha, nie — powiedziała. — Archie chce jeszcze raz pójść do wszystkich trzech szkół, a później razem się zastanowimy, która z nich będzie najlepsza dla Winnie. Jak wiesz, bardzo się przejął swoją rolą ojca Winnie. Uważa, że wie, co jest dla niej dobre, chcę więc go wysłuchać.

— To bardzo miłe z twojej strony, Wendy. Wiem, że Archie bardzo troszczy się o Winnie.

— O tak, to prawda. Mówił ci już, że się spotykamy?

— Co?! Nie, nie mówił.

— Spotykamy się. Znalazłam bratnią duszę w Archiem. Uzupełniamy się. I tobie muszę za to podziękować.

Zabrakło mi słów. Nasz szatański plan umieszczenia Winnie w prywatnej szkole przerodził się w romans? Nawet z tym koszmarnym piszczałkowatym głosem udało się Wendy znaleźć mężczyznę, i to mężczyznę o głosie tak pięknym, że ludzie płacą mu, aby usłyszeć, jak śpiewa. Chyba rzeczywiście uzupełniają się nawzajem.

Przez kilka następnych godzin nie udało mi się złapać żadnego z reszty moich klientów. Czy oni nie rozumieją, że ja tu odchodzę od zmysłów? Czy po tym, co dla nich zrobiłam, za nic mają moje uczucia? Szczególnie martwiłam się o Marię Kutcher. Taki był z niej mały gangster, to znaczy, chciałam powiedzieć potwór, że tylko groźba albo przekupstwo mogły zmusić jakąś szkołę, żeby zgodziła się ją przyjąć. Na nieszczęście jednak w tym roku tak jedno, jak i drugie nie wchodziło w grę. W końcu udało mi się dodzwonić na komórkę Omara.

— Omar, mówi Ivy — powiedziałam, czując jak zimny pot płynie mi po plecach.

— Cześć, Ivy, co u ciebie? — Nie słyszałam gniewu w jego głosie. Dobry znak.

Starłam się mówić swobodnie.

— Wiesz, właśnie dotarło do mnie, że dzisiaj powinny przyjść listy ze szkół i byłam ciekawa, jak poszło Marii. Gdzie się dostała? — *Panie Boże, błagam, spraw, żeby dostała się gdziekolwiek.*

— Ubawisz się, Ivy. Powiem ci o tym, ale tylko tobie, bo wiem, że ci się to spodoba. Jak się dowiedziałem, że żaden z moich przyjaciół z zarządu różnych szkół nie może mi pomóc, trochę się zdenerwowałem. Później mi się przypomniało, jak mówiłaś, że w pierwszej kolejności przyjmują rodzeństwo. Ożeniłem się więc z Sassy. Zadzwoiła do Balmoral i powiedziała im, że Maria jest przyrodnią siostrą Bei, potraktowali ją więc jak rodzeństwo. I teraz moja mała Maria idzie do Balmoral. Straszny z niej pistolet, nie?

— Chwileczkę. Czy ja dobrze rozumiem? Ożeniłeś się z Sassy, żeby Maria dostała się do Balmoral jako przyrodnia siostra Bei?

— Dokładnie, złotko.

— Ale kochasz ją, prawda?

— Kocham się z nią pieprzyć — powiedział. — Nie martw się. Wiem, że to twoja przyjaciółka. Miła z niej laska. Będę ją dobrze traktował.

— Tak zrób, Omarze. Traktuj ją naprawdę dobrze. — Rozłączyliśmy się.

Chwilę siedziałam oniemiała, zastanawiając się, co właściwie jest gorsze — być żoną Omara czy macochą tego wcielonego diabła, Wreszcie Sassy dostanie za swoje. Choć zapewne jeszcze o tym nie wiedziała, w Omarze i Marii znalazła godnych siebie przeciwników. Cudownie się czasem na tym świecie układa. Zgodnie z duchem zen. Oczywiście miałam szczerą nadzieję, że Omar któregoś dnia nie sprzątnie Sassy.

Pod wieczór złapałam wreszcie Tiny i Willow. Wybrały się z Jackiem Henrym na całodzienną wycieczkę rowerową. Na rower? Dzisiaj?

— Ivy, mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie zbyt wielkim rozczarowaniem, ale nigdzie go nie przyjęli — powiedziała Tiny. — Nie dostał się nawet na żadną listę rezerwową.

— Co takiego? — zatkało mnie. — Miał przecież świetne wyniki. Jest utalentowany Wy obie jesteście wspaniałe. Nie chce mi się wierzyć.

— Nas także to zdziwiło. Ale wydaje mi się, że nasza potrójna odmiennność była zbyt trudna do przełknięcia dla szkół — domyśliła się słusznie. — Nie zadrećzaj się tym, Ivy. My mamy z tym do czynienia przez całe życie.

— Boże, tak bardzo mi przykro, Tiny. Do głowy mi nie przyszło, że coś podobnego może się stać.

Jakie to nie w porządku. Maria, ta mała kanalia, dostała się tylko dlatego, że jest siostrą przyrodnią Bei, a słodki, inteligentny Jack Henry nie dostał się nigdzie.

— Nie rozpaczamy z tego powodu — powiedziała Tiny — Oczywiście jest nam przykro, ale w życiu bywają znacznie gorsze rzeczy, niż odrzucenie w procesie rekrutacji do prywatnej szkoły, nie uważasz?

— O tak, co do tego nie ma wątpliwości.

— Poza tym — mówiła dalej Tiny — po spotkaniu z Isaiahem zaczęliśmy się z Willow zastanawiać, że być może zrobimy Jackowi Henryemu krzywdę, posyłając go do szkoły, do której chodzą niemal wyłącznie białe dzieci. Nie chcemy, żeby zatracił swoją czarną tożsamość. Postanowiliśmy zdać się na los. Gdyby się dostał do jakiejś wspaniałej prywatnej szkoły, zapewne byśmy go do niej posłali. Skoro stało się inaczej, widać tak właśnie miało być.

— Co teraz zamierzacie?

— Zastanawialiśmy się, czy nie spróbować czegoś innego i nie wysłać Jacka Henryego do publicznej szkoły w bardziej zróżnicowanej okolicy — odparła Tiny. — W ten sposób przynajmniej nie odstawałby rasowo. Poza tym szkołom publicznym nie wolno dyskryminować dzieci na wózkach inwalidzkich. Ktoś nam wspomniał o doskonałej szkole, nazywa się „Szkoła Podstaw”. Wybieramy się tam jutro, żeby sprawdzić, czy mają jeszcze miejsca.

— Tiny, złe wieści są takie, że zapisy skończyły się dwa dni temu. Za to dobre są takie, że w zeszłym roku pomogłam szkole zdobyć wielką darowiznę na Boże Narodzenie. Dyrektorka ma wobec mnie dług wdzięczności. Zadzwonię do niej i załatwię, żeby przyjęli Jacka Henryego.

— Ivy, doprawdy nie wiem, jak ci dziękować.

— Nie ma o czym mówić, „Szkoła Podstaw” będzie szczęśliwa, mogąc was przyjąć.

— I tak ci dziękuję. I do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Będziesz, prawda?

— Za nic bym tego nie przegapiła. — Tiny pytała mnie o przesłuchania do roli Marvinina w swoim nowym filmie o magicznym fotelu na kółkach. Odważne posunięcie, ale co tam, jakaś babka gra Barta Simpsona i kasuje sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za odcinek, czemu więc i ja nie miałabym spróbować? Wzięłabym tę pracę za dużo mniejsze pieniądze.

Z uśmiechem odłożyłam słuchawkę. Nawet już nie próbowałam zrozumieć, jak kręci się ten świat, ale sprawy naprawdę potrafią rozwiązywać się same.

Odłożyłam słuchawkę i niemal w tej samej chwili zadzwonił Greg. Nareszcie.

— Ivy, Moses dostał się do Shalom Day. Tak bardzo jesteście ci wdzięczni za wszystko, co zrobiłaś. Nigdy byśmy sobie bez ciebie nie poradzili.

— Dalej, kontynuuj — powiedziałam, licząc, że jeszcze trochę się mną pozachwyca, zwłaszcza że w tym wypadku w pełni zasłużyłam na pochwały.

— Ale dostał się również do Harvard Day, Dalton i River — dale — mówił dalej Greg. — Chodzi o to, i wiem, że weźmiesz nas za wariatów, ale w tej chwili z Dee Dee skłaniamy się raczej ku Harvard Day. Czy będzie to bardzo nie na miejscu, jeśli teraz wycofamy nasz list z Shalom Day?

— Co?! Myślałam, że wam obojgu zależy na Shalom Day!

— Bo tak było. Ale kiedy Moses dostał się do Harvard Day, zrozumieliśmy, że jeśli tam pójdzie, będzie miał w przyszłości większe szanse, żeby dostać się na jeden z uniwersytetów Ivy League. I chyba zmieniliśmy zdanie. Czuję jednak, że mam moralny obowiązek posłać go do Shalom Day, bo powiedzieliśmy im, że na nich decydujemy się w pierwszej kolejności. A bardzo nie chcielibyśmy postąpić nieetycznie. Jak myślisz? Czy nam wybaczą, jeśli zmienimy zdanie?

— Rabin Jacobson to kobieta, która naprawdę umie wybaczać. Nie będzie zachwycona, ale się z tym pogodzi. Zadzwon do niej osobiście i

powiedz, że zmieniliście zdanie. Jestem pewna, że to nie pierwszy taki wypadek.

— Dziękuję, Ivy, zawsze potrafisz tak świetnie doradzić. Zaraz dzwonię do rabin Jacobson.

Rozłączyliśmy się. Chyba pięć minut siedziałam z szeroko rozdziawioną gębą. *Do kumy, kurwy, kurwy nędzy.*

— Stu, mówi Ivy. Rozmawiałeś już z Patsy? — Odpowiedź znałam, ale chciałam w miarę łagodnie zagaić rozmowę.

— Oczywiście, że nie rozmawiałem z Patsy. Dzięki tobie odeszła ode mnie, pamiętasz? Teraz rozmawiamy wyłącznie przez prawników.

— A tak, tak. Ojej, strasznie mi przykro — wybąkałam. — Mam dla ciebie wspaniałe wieści. Veronica dostała się do Log Cabin School.

— Do czego?

— Do Log Cabin School, bardzo miłej i przyjaznej szkoły, nieco dalej od centrum.

— Nie składaliśmy tam podania. Gdzie jeszcze się dostała?

— Rzecz w tym, Stu, że Veronica nie dostała się nigdzie.

— Jak to możliwe? — zapytał Stu głosem tak przesyconym fałszywą słodyczą, że przeraził mnie bardziej, niż gdyby dostał ataku furii.

— Przez tę opinię ERB. Pamiętasz, napisali, że została wyuczona.

— Właśnie, twój wspaniały pomysł. Ivy, dzięki tobie moja żona odeszła ode mnie, moja córka idzie do jakiejś nędznej pedalskiej szkółki w Greenwich Village. Zapłacisz mi za to, panienko.

Fuj! Czy on zawsze musi mnie nazywać „panienką”?

— Stu, wiem, że najbardziej zależało ci na Baby Ivys. I przykro mi, że Veronica do żadnej z nich się nie dostała. Ale wiesz co? To nie miejsce dla niej. Veronica to bardzo wrażliwe dziecko, które powinno się uczyć w przyjaznym otoczeniu. Szkoła dla elit, w której wszyscy ze sobą o wszystko konkurują, byłaby dla niej najgorszym z możliwych miejsc. Log Cabin School jest dla twojej córki po prostu wymarzona. I

powinieneś być mi wdzięczny, że dzięki mnie się do niej dostała. I jeszcze jedno, stary. Nie ja ponoszę odpowiedzialność za to, że żona cię zostawiła. Zrobiła to, bo miała dość małżeństwa z dupkiem. Proponuję, żebyś przyjrzał się sobie, może wtedy zrozumiesz, czemu twoje małżeństwo się rozpadło, i przestaniesz mnie obwiniać.

— Powiedziałaś już wszystko, Ivy? — zapytał Stu, wyraźnie starając się nie stracić nad sobą panowania.

— Chyba tak.

— Świetnie. Czy w takim razie mogę ci coś zaproponować?

— Jasne.

— Dobrze by było, gdybyś zatrudniła jakiegoś ochroniarza — rzekł Stu i po raz nie wiadomo który rzucił słuchawką.

15. Oj, znowu to zrobiliśmy

Następnego ranka zastukałam do drzwi Philipa. Dziewczynki były w szkole, rekrutacja dobiegła końca i nie bardzo miałam co ze sobą zrobić.

— Co się stało? — zapytał.

Wszystko mu opowiedziałam. O moim wyznaniu pani rabin Jacobson, po którym zgodziła się przyjąć Mosesa. I o tym, jak mimo wszystko Greg i Dee Dee zdecydowali się jednak na Harvard Day. Jak Omar ożenił się z Sassy, żeby Maria dostała się do Balmoral. Jak trzy szkoły przyjęły Winnie, za to żadna Jacka Henry ego. Wreszcie o pozostałych moich klientach, dla których, koniec końców, wszystko skończyło się lepiej, niż można było przewidywać. Philip chciał znać każdy szczegół.

— Chyba odetchnęłaś z ulgą, że masz to już za sobą? — zapytał.

— O tak. I cieszę się, że zmieniam pracę — powiedziałam.

— Naprawdę? — zdziwił się. — Co będziesz robić?

— Och, mam kilka pomysłów. Tyny Herrera załatwiła mi przesłuchanie do roli, a właściwie udzielania głosu głównemu bohaterowi jej nowej kreskówki. Uważa, że idealnie się nadaję.

— Hm... Rzeczywiście mówisz trochę jak Betty Boop.

— Kpisz sobie ze mnie?

— Nie, uwielbiam sposób, w jaki mówisz. Jest taki seksowny — powiedział.

— Naprawdę?

Philip się uśmiechnął.

— O tak. Jak zjawie" się kiedyś późną nocą, będziesz mówić do mnie jak w kreskówce?

— Nabijasz się ze mnie.

Podszedł i usiadł obok mnie.

— Ivy, uwielbiam w tobie wszystko, zwłaszcza ten twój uroczy głos. Uwielbiam twoje namiętne ciało, śliczną twarz, seksowne oczy, dowcip...

Zasłoniłam mu usta dłonią.

— Możesz już przestać! Byłam twoja przy „namiętym ciele”.

Uśmiechnął się do mnie.

— Myślisz, że moglibyśmy jeszcze raz spróbować?

— Chcesz, żebyśmy byli czymś więcej niż tylko przyjaciółmi?

— Chcę, żebyśmy byli kochankami.

— Bardzo chętnie — powiedziałam i nachyliłam się, żeby go pocałować. Mniem, ale to było dobre. Nie pocałowaliśmy się ani razu od tamtego październikowego wieczoru, kiedy posprzecaliśmy się z powodu próby przekupienia mnie przez Bucka McCalla.

— Może pójdziemy do sypialni? — zaproponował.

— Ścigajmy się — powiedziałam.

16. Przyjaciele

Po południu Philip miał spotkanie z wydawcą. Ja po naszych łózkowych wyczynach mogłabym zjeść konia z kopytami, poszłam więc na lunch do Kratt s.

Michael był przy stoliku ze swobodnie ubranymi, profesjonalnie wyglądającymi typami i toczył z nimi ożywioną dyskusję. Po co mam mu zawracać głowę? Jadłam swoją sałatkę jajeczną, gdy do mnie podszedł.

— Chciałaś się wymknąć bez powitania? — zapytał.

— Nie chciałam ci przeszkadzać. Wyglądało, że jesteś bardzo zajęty.

— Moi reporterzy przyszli na lunch. Są z „Wall Street Journal”, „Timesa”, „Newsweeka” i „Observera”. Przychodzą tutaj w każdy wtorek i zawsze zapraszają mnie na pogawędkę. Ciekawie się z nimi rozmawia.

— Super — powiedziałam.

— Owszem. Co u ciebie, Ivy? Nie widziałem cię od czasu, kiedy ten zielonowłosy typ chciał cię pobić.

— Wiem. Miałam mnóstwo pracy, musiałam dokończyć sprawy moich klientów. — Przedstawiłam mu w skrócie ostatnie wydarzenia i opowiedziałam, które dziecko dostało się do jakiej szkoły.

— Może powinienem poprosić któregoś z moich kolegów dziennikarzy, żeby napisał reportaż o tegorocznej rekrutacji?

— Raczej nie. Chcę to mieć już za sobą.

— Co dalej?

— Jeszcze nie wiem. Rozważam różne możliwości. Może zacznę pracować u ciebie. Nie myślałeś nad dostawami do domu?

Michael spoglądał na mnie ze śmiertelną powagą.

— Wybacz, ale mam jedną zasadę: nigdy nie zatrudniam kobiet, w których jestem zakochany.

— CO! Ty zakochany we MNIE? Chwileczkę. Teraz już do reszty zgłupiałam. Przecież mówiłeś, że nie chcesz ze mną być, ponieważ wyznajemy zupełnie odmienne wartości.

— To prawda, i wtedy rzeczywiście w to wierzyłem. Ale brak mi ciebie, Ivy. Wciąż myślę o tym wieczorze w Boże Narodzenie. Ty nie?

— Cóż, muszę przyznać, że zdarzyło mi się kilka razy.

Zbliżył się do mnie i ujął mnie za rękę.

— Bądźmy razem. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Może jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż nam się wydaje.

— O Boże. — Z wielkim poczuciem winy, ale musiałam mu to powiedzieć. Wciąż jeszcze czułam na sobie zapach Philipa. — Michaelu, naprawdę bardzo dużo dla mnie znaczysz.

— Nie są to słowa, które mężczyzna pragnie usłyszeć.

— Wiem. I bardzo mi przykro. Ale w tej chwili jest ktoś inny.

—Kto?

— Philip.

— Philip z drugiego piętra? Psiakrew, wiedziałem, że powinienem go dawno temu wyrzucić.

Roześmiałam się.

— Zabawny jesteś. A co z Miriam Goldofsky? Umówiłeś się z nią? Jest lekarzem. Mogłeś trafić gorzej!

Spojrzał na mnie i zrozumiałam, że nie.

— Przykro mi, Michaelu.

— Mnie także — powiedział.

— Kochasz go? — zapytał po chwili.

— Nie jestem pewna. Ale bardzo mnie pociąga.

Michael spuścił wzrok. Milczał.

— Michaelu, byłam wściekła, kiedy mi to powiedziałeś, ale teraz ja
ciebie proszę: zostańmy przyjaciółmi — rzekłam. — Szaleję za tobą.

Milczał jeszcze przez chwilę.

— Ale wyłącznie po koleżeńsku — powiedział wreszcie.

— Tak, po koleżeńsku.

TLR

17. Romans z wątróbką

Kilka dni później zaprosiłam Faith z rodziną.

— Za dwa tygodnie są urodziny Skyler. Wydaję z tej okazji brunch. Przy okazji chcę oblać koniec mojej pracy.

— To znaczy, że już postanowiłaś.

— Owszem, najwyższa pora. W imię pracy zrobiłam wiele rzeczy, z których w ogóle nie jestem dumna. Wiesz, po śmierci Draytona złożyłam Panu Bogu i sobie tyle przysięczeń, że odtąd będę żyła inaczej. A później, jak tylko okazja się nadarzała, zapominałam o każdym po kolei. Postępowałam jeszcze bardziej niehonorowo niż kiedykolwiek wcześniej w Myoki. Strasznie namieszałam i pora zacząć od nowa, a teraz jest na to jak najbardziej odpowiednia chwila.

— Ivy, jesteś chyba dla siebie zbyt surowa. Świetnie sobie poradziłaś. Nie wróciłaś do rojącego się od rekinów świata wielkich korporacji. Zostałaś prywatnym przedsiębiorcą. Od nowa zbudowałaś swoje życie. A co najważniejsze, schudłaś. Jestem z ciebie dumna i uważam, że ty też powinnaś — powiedziała Faith. — I mówię to z pełnym przekonaniem.

— Dziękuję. Nie wiem, czy mogę się z tobą do końca zgodzić, ale mimo wszystko dziękuję z całego serca. To jak, przyjdziecie na przyjęcie Skyler?

— Jasne, na pewno będzie wspaniale. Przyniosę szampana dla małych. A w czwartek chciałabym zabrać Skyler do Toys'i'Us na Times Square, żeby sobie wybrała prezent. Zgadzasz się? To ich sklep flagowy, mają tam gigantyczny domek dla Barbie, wielkiego dinozaura i ogromną karuzelę. Moje dziewczynki już się nie mogą doczekać, żeby to zobaczyć. Weź też Kate. Wszystkie się zabawimy.

— To znaczy, że przyjdiesz? — zapytałam.

— Oczywiście. Przyniosę jedzenie — odparł Michael. — Skyler to moja ulubienica. Przygotuję dla niej coś wyjątkowego.

— Naprawdę nie musisz — rzekłam.

— Wiem. Ale chcę. Masz, spróbuj tego. I powiedz mi, co o tym sądzisz.

Byliśmy w kuchni Michaela. Przygotowywał sobie właśnie wielką porcję siekanej wątróbki.

— Mniemam, ale pycha. Co tam dodałeś? — zapytałam.

— Tylko wątróbkę, cebulę, jaja na twardo, oliwę, sól i pieprz.

— Nie używasz kurzego sadła?

— Nie, to właśnie mój sekret. W ten sposób jest mniej tłuste. — Złapał palcami ciepły kęs i włożył mi do ust.

— Mm... mój Boże, niebo w gębie. Jeszcze.

Położył mi na języku kolejny kawałeczek.

— Och, nie przestawaj — powiedziałam, oblizując się. Poczęstował mnie znowu.

— Och, jak cudownie — jęknęłam z zamkniętymi oczami. — Jeszcze, błagam.

Następny kawałeczek wylądował na moim języku. Pomalutku obracałam go w ustach, rozkoszując się jego smakiem i oblizując sobie wargi.

— Mm... — mruczałam.

— Powinnaś połknąć — poradził Michael.

— Nie, jeszcze nie. Chcę jak najdłużej czuć smak.

— Dobrze, przestań. Podniecasz mnie — rzekł.

Gwałtownie otworzyłam oczy

— Naprawdę? Podnieca cię widok mnie jedzącej wątróbkę? Czy to typowe dla właścicieli knajp?

— Nie, typowe dla wszystkich facetów — odparł. — Dam ci trochę wątróbki do domu. — Przełożył sporą porcję wciąż jeszcze ciepłej potrawy do oddzielnego naczynia.

— Jesteś taki troskliwy — powiedziałam. — Szczęściara z tej, co cię dostanie.

Michael spojrział na mnie. Szukał w szufladzie pokrywki.

— Ty mogłabyś nią być — rzekł.

— Kusząca perspektywa.

— Mówię poważnie.

— Wiem... Po prostu... wiesz, co do ciebie czuję, ale z Philipem to chyba coś poważnego.

— Cóż, skoro tak. — Szorował patelnię. — A tak przy okazji, co tak naprawdę was łączy?

— Więcej niż ci się zdaje — powiedziałam.

— Na przykład?

— Świetnie się razem bawimy. Dziewczynki go lubią. Jest wspaniałym pisarzem i nawet nie robi błędów ortograficznych.

— No tak, na tym rzeczywiście można zbudować wspaniały związek.

— Michaelu...

— Och, dobrze już, skoro to cię uszczęśliwia... Złamałaś mi serce, Ivy, ale jakoś przeżyję. Proszę. I smacznego. — Podał mi miskę z wątróbką. — Miałem nadzieję zdobyć cię tą wątróbką, ale, jak widać, to za mało.

— Dziękuję — powiedziałam, biorąc miskę.

Uśmiechnął się.

— Jesteś pewna co do Philipa?

— Jestem — odparłam z emfazą.

— Dobrze. Więcej do tego nie wrócimy Od dzisiaj patrzę tylko w przyszłość.

— I tak właśnie powinienesz zrobić. — Jednak nie byłam tego taka pewna. Zawsze miałam słabość do facetów, którzy wiedzieli, co to dobra siekana wątróbka. I jakoś nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że rezygnując z Michaela, popełniam poważny błąd.

TLR

18. Mówiąc prawdę — część 3

Wieczorem wstąpiłam do Philipa. Pretekstem miało być zaproszenie na przyjęcie Skyler. W głębi duszy marzyłam jednak o odrobinie ciepła. Czułam się nieco rozbita po rozmowie z Michaelem. Znowu chciałam doświadczyć zachwytu Philipem. Nie odpowiedział na moje pukanie, więc weszłam. Podobnie jak ja, nigdy nie zamykał drzwi. Niezbyt mądrze, wiem.

— Philipie, jesteś w domu? — zawołałam.

— Ivy? — odkrzyknął.

— Tak.

— Jestem w łazience. Zaraz wychodzę.

Postanowiłam sprawdzić swoją pocztę elektroniczną.

— Mogę skorzystać z komputera? — zapytałam. Nie usłyszał, bo odkręcił wodę.

Podeszłam do komputera i kliknęłam myszą. Na ekranie pojawiła się pisana przez niego książka. *Och, nie powinnam patrzeć, wiem, wiem. Bardzo niegrzeczna ze mnie dziewczynka.* Miałam nadzieję, że się na mnie nie obrazi. W końcu naruszałam jego prywatność. Ale nie mogłam się powstrzymać, żeby choć nie rzucić okiem. Tak tylko, żeby sprawdzić, co porabia Ariana.

Czytałam szybko. Szczeka mi opadła. W tekście nie było słowa o Arianie, kochance Hitlera i Churchilla. Zamiast tego czytałam doskonale napisaną scenę, ukazującą ów poranek, który wspólnie spędziliśmy w budynku federalnym na nieformalnej pogawędce z młodym panem Bakerem. Zaczęłam przesuwać strony. A tam, czarno na białym, były historie Omara i Marii, Stu i Veroniki, Tiny i Willow, Radmore — Steinów, Ollie, Irvinga, Winnie — WaShaunte, Cubby Sedgwick. W najdrobniejszych szczegółach. Dokładny opis wszystkiego, co przyda-

rzyło mi się w ciągu minionego roku. Na samej górze widniał roboczy tytuł Opowieści szkolne pióra Philipa Goodmana.

Wszedł Philip i ujrzał mnie przy komputerze. Stał, jak trafiony kulą z karabinu.

Ja zaś czułam się tak, jak gdyby ktoś kopnął mnie w jaja. Rzecz jasna, nie mam jaj, ale ilekroć przytrafia się to mężczyznom, wygląda, że ból jest koszmarny, a tak właśnie się czułam, możecie mi wierzyć.

— Jak mogłeś? — zapytałam ledwie słyszalnym szeptem.

— Wszystko ci wytłumaczę.

— Mam nadzieję — powiedziałam.

— Wpadłem na ten pomysł tego wieczoru, kiedy zaprosiłaś mnie na kolację. Prasa się tobą interesowała i twój biznes zaczął się kręcić. To było jeszcze, zanim na dobre się poznaliśmy. Pomyślałem sobie, że opisanie twoich przeżyć może być bardzo interesujące. To było coś wyjątkowego. Przedstawiłem propozycje mojemu agentowi, a on porozmawiał z wydawcami. W Random House pomysł szalenie im się spodobał i dali mi pokazną zaliczkę. TriStar kupił prawa do nakręcenia filmu. Musisz zrozumieć, od dwóch lat nie umiałem niczego napisać, a to był pomysł, który mógł mi pomóc stanąć znowu na nogi.

— Cieszę się, że mogłam się na coś przydać.

Nie zwracając uwagi na sarkazm w moim głosie, Philip mówił dalej.

— Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, dostarczałaś mi mnóstwo materiału. Twoje opowieści były takie zabawne. I co najważniejsze, były prawdziwe. Postaci z życia wziętych nie da się wymyślić, Ivy. Ale później zacząłem coś do ciebie czuć. Wiedziałem, że nie mogę jednocześnie pisać książki i być z tobą. Wtedy z tobą zerwałem.

— Chcesz powiedzieć, że wołałaś swoją głupią książkę ode mnie?
— zapytałam, zapominając o tym, że tak samo zrobiłby każdy żywy, normalny facet.

— Nie planowałem tego, chciałem ciebie. Kiedy opowiedziałem ci o tej Arianie jakiejś — tam, naprawdę chciałem wyrzucić do śmieci to, co napisałem. A potem, kiedy pokłóciliśmy się o to, że Buck McCall chce cię przekupić, swoją pracę uznałaś za ważniejszą ode mnie — tłumaczył. — Gdy to się stało, pomyślałem: „I dobrze, napiszę tę cholerną książkę”. Nie bardzo wiedziałem, skąd wezmę materiał, skoro znikłaś z mojego życia, ale wtedy zaprzyjaźniłem się z Sassy. Opowiedziała mi, że jesteście ze sobą blisko i że zawsze jej się ze wszystkiego zwierzasz. Uznałem więc, że wykorzystam ją jako źródło.

— Sassy moją powiernicą! — wykrzyknęłam. — Chyba sobie kpisz.

— Cóż, pomyliłem się, przyznaję. Ale później znowu się zaprzyjaźniliśmy i zaczęłaś mi wszystko opowiadać. Twoje opowieści były tak wspaniałe, że nie przestałem pisać. Tylko że wtedy byłem już w tobie zakochany. Zresztą chyba ani na chwilę nie przestałem cię kochać, nawet kiedy przestaliśmy się widywać. Ukrywałem jednak przed tobą prawdę, bo nie bardzo wiedziałem, jak się wytłumaczyć. Przepraszam. Nigdy nie powinienem był cię okłamywać w ten sposób.

Siedziałam na krześle i kręcąc głową, wpatrywałam się we fruwające po ekranie komputera tostery. Po chwili spojrzałam na niego.

— Niech cię szlag, Philipie — powiedziałam. — Jesteś ostatnią osobą, którą bym podejrzewała o takie kłamstwa. Zerwałeś ze mną, ponieważ to ja byłam nieuczciwa. A przez cały czas postępowałeś jak ostatni łajdak. I pomyśleć, że się w tobie zakochałam. Jak mogłeś ryzykować to, co nas łączyło, dla czegoś takiego?

— Byłem głupi. I czuję się jak skończony idiota. — Wyglądał jak ostatnia sierota.

Zniesmaczona, potrząsnęłam głową. W końcu wstałam i podeszłam do drzwi. Zatrzymałam się jednak i odwróciłam.

— Mój ojciec był kłamcą. Cad jest kłamcą. Ty jesteś kłamcą. Nie pojmuję tego. Czy Bóg mnie za coś karze? Nie musisz odpowiadać. — I wyszłam.

19. Zemsta

W czwartek Faith przyjechała po nas dziecięcą limuzyną, żeby zabrać nas na wyprawę do Toys'Я'Us. W ciągu kilku ostatnich dni nabrałam zwyczaju, że po odprowadzeniu dziewczynek do szkoły wracałam prosto do domu i w towarzystwie Sir Eltona kładłam się do łóżka. Gdy się zorientowałam, że w kółko słucham albumu Blue Joni Mitchell, dotarło do mnie, że najwyższa pora wziąć się w garść i spróbować żyć dalej. Faith obiecywała, że wycieczka do Toys'Я'Us jest właśnie tym, co lekarz mi przepisał. Nie podzielałam jej optymizmu.

— Obejrzyjmy *Milo i Otisa* — powiedziała Kate.

— Nie, *Charliego i fabrykę czekolady* — upierała się Mae.

— *Yu —Gi —Oh!* — zaproponował Irving, nawet się nie łudząc, że w aucie pełnym dziewczynek uda mu się postawić na swoim. Był w tym towarzystwie nowy i dopiero się uczył, jak sobie w nim radzić.

— Nic z tego. *Yu —Gi —Oh!* nie jest wiekowo odpowiednie. Mam dopiero tyy latka. *Potty Show!* — krzyknęła Lia.

Kate, Mae i Skyler parsknęły śmiechem.

— Ależ ty jesteś niedojrzała — zwróciła się Mae do siostry

Lia wybuchła płaczem.

— Mae, na miłość boską, ona ma dopiero trzy lata. Daj jej spokój — fuknęła Faith. — Zresztą, wybiera Skyler. W końcu to jej urodziny.

— *SpongeBob* — zdecydowała Skyler.

Po chwili telewizor ryczał na pełny regulator.

— Dzieci, jesteście gotowe?

— Tak jest, kapitanie — odpowiedziały wrzaskiem dzieci.

— Nieee słyyszę was — odparł kapitan.

— Tak jest, kapitanie — wrzasnęły jeszcze głośniej.

— Och, a kto mieszka w ananasie na dnie morza?

— SpongeBob! — zaśpiewały dzieci w odpowiedzi.

— Kto jest żółty i porowaty, i gąbczasty, no kto?

— SpongeBob? — darły się do telewizora.

Dziesięcioro oczu wpatrywało się w ekran, pięć głosików

gorliwie odpowiadało na zadawane śpiewnie przez kapitana pytania. Trzeba być komunistą, żeby nie kochać SpongeBoba, szalonego stworka z Chrupiącego Kraba.

Faith nachyliła się i dotknęła mojej dłoni.

— Jak sobie radzisz?

— Nie najlepiej, ale jakoś przeżyję.

— Jasne, że przeżyjesz. To tylko chwilowe kłopoty.

— Faith, nie mogę uwierzyć, że tak pięknie udało mi się wszystko schrzanić. Małżeństwo. Pracę. Związki.

— Niczego nie schrzaniłaś. Po prostu przechodzisz ciężki okres. Może chcesz znowu odwiedzić madame Lalę? Może to jakieś astrologiczne zawirowania?

— Nie, dzięki — odparłam. — A jeśli mi powie, że będzie jeszcze gorzej? Nie chcę o tym wiedzieć. Podaj mi, proszę, „Przewodnik dla rodziców”. Może znajdziemy coś, co mogłybyśmy z nimi zrobić po Toys^TUs.

Faith podała mi gazetę. Przeglądałam ją, czytając reklamy Siłowni Jodi, tenisa dla maluchów, karate dla tygrysków... Nagle coś znajomego przykuło mój wzrok. Nie, to niemożliwe. Ale, niestety, tak. Nie myliłam się. Większe niż w rzeczywistości, na dwóch stronach widniało moje zdjęcie. Co, u licha...

— Faith, popatrz — rzekłam, podsuwając jej gazetę. — Czy to ja?

— O kur... To znaczy, o mój Boże! — Faith w porę się zre-flektowała, że w samochodzie są nieletni.

To byłam ja — w kolorze. Obok zdjęcia widniał wielki napis: POTRZEBUJESZ POMOCY PRZY ZAPISANIU SWOJEGO DZIECKA DO SZKOŁY? Nie zatrudniaj Ivy Ames, chyba że chcesz, aby twoje małżeństwo się rozpadło, a dziecko trafiło do trzeciorzędnej szkoły.

— Nie wierzę! — wykrzyknęłam. — Stu się odgrażał, że mnie zniszczy, i sama zobacz, co zrobił.

— Twój klient ci to zrobił?

— Tak, Stu Needleman, ten świr, którego poznałaś w Hamptons. Wiesz, ten, który pracuje u twojego męża. Mój Boże, to zdjęcie z mojego prawa jazdy — powiedziałam, grzebiąc gorączkowo w torebce. Prawa jazdy nie znalazłam. — Skąd on wziął moje prawo jazdy?

— Boże, jak on może wygadywać o tobie takie straszne rzeczy — dziwiła się Faith, czytając ogłoszenie.

— Nieważne, co mówi. Chodzi o to obrzydliwe zdjęcie. Wyglądam na nim jak anemiczna studentka biologii. Zawsze go nienawidziłam, a teraz jest w gazecie. Boże, miej litość nade mną — rozpaczalam.

— Musimy coś z tym zrobić — rzekła Faith i zadzwoniła do biura Stevena. Wy tłumaczyła mu wszystko, po czym oddała telefon mnie. Steven powiedział, że chyba nic się nie da zrobić z gazetami, które już trafiły do kolportażu, ale zapewnił mnie, że nic podobnego nigdy więcej się nie powtórzy. Wiem, że nie jest to politycznie poprawne, ale nie da się ukryć, że miło jest móc się wesprzeć na wpływowym mężczyźnie. Czemu ja nie mogę mieć takiego. Czemu?

Podczas pobytu w Toys'R'Us ani na chwilę nie zdjęłam okularów przeciwsłonecznych i baseballowej czapeczki. Chyba bym umarła, gdyby ktoś mnie rozpoznał dzięki temu zdjęciu. Chociaż to pewnie niemożliwe, żeby w dzisiejszej szczupłej i atrakcyjnej mnie ktoś poznał tego cięższego o dziesięć kilogramów kaszalota.

Błyskawicznie uporaliśmy się z zakupami, kilka razy pojeździliśmy na karuzeli, obejrzelśmy domek Barbie, każdy dostał po zabawce i wy-

nieśliśmy się stamtąd, gdzie pieprz rośnie.

TLR

20. Dziewczyna z rogu Delancey i Orchard

Przyjęcie urodzinowe Skyler zorganizowałam na naszym malutkim podwórku z tyłu domu. Przyszli Faith ze Stevenem i dziećmi, byli też Archie, Willow, Tiny, Jack Henry, Patsy, Veronica, Ollie, Irving, Wendy, Winnie i ich nowy szczeniak, jamnik Oscar Mayer — wszyscy się zjawili. W chwili słabości zaprosiłam również Omara, Sassy i ich wspólne potomstwo. Mama XXXL przyprowadziła męża i dwójkę dzieci. Swoją obecnością zaszczyliła nas nawet rabin Jacobson z Shalom Day. Zadzwoiłam do niej na dzień przed tym, jak przekazałam na rzecz świątyni darowiznę. Miałam okropne wyrzuty sumienia, kiedy Greg i Dee Dee wycofali swoją kandydaturę, a przecież pani rabin nagięła nieco zasady, aby móc ich przyjąć.

Zgodnie z obietnicą Michael przyniósł jedzenie — prezent od siebie dla Skyler.

— Jak ci się udało wyrwać z pracy? — zapytałam. — Kolejka sięga trzy przecznice dalej.

— Mój kierownik przyprowadził do pomocy brata. Powiedziałem mu, że obsługuję prywatne przyjęcie.

— Och, ty kłamczuchu. Czemu to się wydało dopiero teraz?

— Jak to? Przecież to właściwie prawda. Pomagam w końcu, no nie?

— No tak. I nie myśl sobie, że tego nie zauważyłam.

— A gdzie Philip? Przyjdzie?

— Hm... raczej nie. Michaelu, chciałam ci przedstawić panią rabin Jacobson z Shalom Day.

Michael uścisnął jej dłoń.

— Ivy — powiedziała pani rabin. — Chciałam ci podziękować za hojność, jaką okazałaś Shalom Day. Sto tysięcy dolarów pomoże wielu dzieciom. Chcielibyśmy nazwać je twoim imieniem: Fundusz Stypendialny Ivy Ames. Oczywiście, jeśli się zgodzisz.

Michael spojrział na mnie pytająco.

— Długa historia. Później ci wytłumaczę — powiedziałam mu. — Pani rabin, wolałabym, żeby nazwać to Funduszem Stypendialnym Bucka McCalla, ponieważ właściwie to on dał te pieniądze. A poza tym mam nadzieję, że go to naprawdę wkurzy.

— Cóż, dobrze, jeśli tak sobie życzysz. Zawsze honorujemy życzenia darczyńców, bez względu na ich motywy — odparła ze śmiechem.

Ku mojemu niekłamanemu zdumieniu, Buck spełnił swoją obietnicę. Był antysemitą i zdrajcą, ale antysemitą i zdrajcą, który dotrzymuje słowa. Greg i Dee Dee podpisali umowę z Harvard Day, a następnego dnia na moje konto wpłynął milion dolarów. Po odliczeniu podatków zostało mi jakieś pięćset tysięcy. Sto tysięcy przekazałam Shalom Day, sto tysięcy „Szkole Podstaw” i jeszcze sto tysięcy pewnemu pozbawionemu egoizmu nowojorskiemu taksówkarzowi na jego szkołę dla dziewcząt w Doobher Kishanpur w Indiach. Za resztę pieniędzy będę utrzymywać siebie i rodzinę, dopóki nie znajdę jakiejś przyzwoitej pracy. Jak mi się poszczęści, może co nieco zostanie na studia Skyler i Kate. Co prawda były to brudne pieniądze i właściwie powinnam je wszystkie rozdać, ale aż taka bezinteresowna nie byłam.

— No, ugryź chociaż kawałek — usłyszałam, jak Maria mówi do Bei. — Wyzywam cię.

Maria starała się namówić Beę, żeby zjadła jakieś koszmarnie ciasto z błočka i kamieni. Oj, pożyje jeszcze Sassy z tą swoją pasierbicą.

— Ivy — klepnęła mnie w ramię Tiny. — Chcę ci pierwsza pogratulować. Dostałaś tę rolę.

— CO?! Żartujesz! Będę grać Marviną? Ale super! — Mocno uściśkałam Tiny.

Roześmiała się wesoło.

— Będzie ci potrzebny agent. Chcesz, żebym ci kogoś poleciła?

— Potrzebuję agenta? Ale fajnie! Tak. Jak najbardziej. Musisz mi kogoś polecić.

— Zadzwoń do ciebie jutro — powiedziała Tiny, ruszając w stronę swojego syna. — W tej chwili muszę zażegnać bójkę.

Dzieci klóciły się, które z nich ma teraz pchać Jacka Henryego.

Podeszła Patsy, bardzo zakłopotana.

— Ivy, słyszałam, co zrobił ci Stu, i bardzo cię za to przepraszam. To naprawdę skończony idiota. Żadna podłość z jego strony nie jest mnie w stanie zaskoczyć, ale strasznie mi przykro, że tak cię urządził po tym wszystkim, co dla nas zrobiłaś.

— Nie przejmuj się, Patsy. Przecież to nie twoja wina.

— Mam nadzieję, że żaden z twoich klientów tego nie widział.

— To już i tak nie ma znaczenia. Wycofuję się z interesu.

— Nie możesz! Jesteś najlepsza. Już cię poleciłam całej masie znajomych.

— Dziękuję, Patsy, ale chcę robić coś, co będzie mi bardziej odpowiadać.

— Cóż, przynajmniej Veronica skorzystała z twoich rad — powiedziała. — I dzięki tobie odeszłam od Stu.

— Patsy, nie ja ponoszę odpowiedzialność za rozpad twojego małżeństwa. To był twój wybór.

— Tak, ale ty mnie do tego natchnęłaś. Jesteś samotną kobietą sukcesu. Zawsze wiesz, czego chcesz. I chciałam być taka jak ty.

— Jak ja? Czuję się zaszczyciona. — Powiedziałam to jak najbardziej szczerze.

— Poza tym, odkąd odeszłam od Stu, jestem szczęśliwa, jak nigdy w życiu. A teraz, kiedy wyjechał, może być już tylko lepiej.

— Wyjechał? — zdziwiłam się. — Dokąd?

— To się stało nagle. Wczoraj dostał w pracy poważny awans. Będzie zarabiał znacznie więcej pieniędzy, co bardzo mi się przyda w czasie rozwodu. Jego firma będzie dzierżawić jakieś pola naftowe na północ od Koła Podbiegunowego. Steven Lord osobiście oddelegował Stu do negocjacji z Eskimosami w sprawie odwiertów. Przecież nie mógł odmówić. To była taka wspaniała okazja. I chyba sprawa była ważna, bo pan Lord wysłał Stu swoim osobistym odrzutowcem. Stacjonuje gdzieś w pobliżu Bieguna Północnego.

— A niech mnie — powiedziałam, zerkając na Stevena, który z miną niewiniątka pałaszował hamburgera i palił to swoje wielkie cygaro. — Steven zesłał Stu na Syberię.

— Właściwie na Alaskę. Syberia jest bardziej na południe.

— I już wyjechał?

— Przeszedł do historii — zapewniła mnie.

— No to mamy szczęście — roześmiałam się. — Wszyscy

Michael skinął na mnie, żebym weszła do domu. Otworzył pudło i, proszę, proszę, było w nim ciasto z serem i cynamonem w kształcie inicjałów Skyler.

— Jak myślisz, spodoba się jej? — zapytał.

— Na pewno.

— Zmieniłem mu nazwę. Teraz nazywa się Ciasto Opry.

— Świetna nazwa — powiedziałam. Nie jadłam tego ciasta od czasu, gdy je przedawkowałam w dniu, w którym piekliśmy dwadzieścia pięć tysięcy jego kawałków dla widzów Opry. Nigdy o tym Michaelowi nie wspomniałam, ale na samą myśl, że mogłabym zjeść go chociaż kawałeczek, robiło mi się niedobrze. Mam nadzieję, że tylko mnie.

Michael zapalił świece i odśpiewaliśmy „Sto lat”.

— Nie mogę w to uwierzyć — oznajmiła Skyler. — Ale już za dziewięćdziesiąt jeden lat będę miała setkę.

Michael pomógł Skyler ukroić pierwszy kawałek. Później obdzielił ciastem wszystkich po kolei.

— Hej, Michaelu, jak myślisz, kiedy pokażą w telewizji moją urodzinową specjalność? — zapytała Skyler.

Michael jakby się zastanawiał. Patrzyłam na niego, ciekawa, co odpowie.

— Ivy.

Obejrzałam się. Na podwórku zjawił się Philip. Skinął na mnie.

— Co ty tu robisz? — zapytałam.

— Mam coś dla Skyler — rzekł, podając mi paczuszkę.

— Cóż, bardzo dziękuję — powiedziałam i odwróciłam się, zamierzając odejść.

— Zaczekaj — poprosił. — Jeszcze raz chciałem cię przeprosić. Nigdy nie powinienem był napisać tej książki. Okropnie się z tym czuję.

Patrzył na mnie tymi swoimi niebieskimi, głębokimi jak ocean oczami. Naprawdę wolałabym, żeby tego nie robił.

— Wybacz, Philipie. Trochę na to za późno.

— Ivy, wiem, że nie miałem racji, ale ty także nie byłaś ostatnio wzorem cnót i ideałów. Czy nie możesz dać mi jeszcze jednej szansy?

— Może rzeczywiście nie zawsze postępowałam uczciwie, ale przynajmniej zawsze ci o swoich kłamstwach mówiłam. Za to ty... Ty postąpiłeś nieuczciwie i jeszcze mnie okłamałeś.

— Oboje postąpiliśmy źle — powiedział.

Przymknęłam oczy. Chyba miał odrobinę racji. Czy naprawdę miałam prawo go osądzać, zważywszy, jak sama się prowadziłam przez ostatni rok? Może powinnam mu wybaczyć. W końcu z inną się nie prześpał. Popęłnił jeden głupi błąd. Jest młody. Może byłam dla niego zbyt surowa? Ale jak mogę znowu mu zaufać? Nie różni się od taty ani od Cada. Popatrz na niego. Jest taki przystojny. Ma przed sobą wspaniałą

przyszłość. Jeśli go nie złapię, zrobi to jakaś inna, a ja zostanę sama. Pani rabin mówiła, że wybaczać jest rzeczą boską.

— Dobrze — powiedziałam niechętnie. — Możemy spróbować raz jeszcze, ale tym razem nie będziemy się śpieszyć.

— Zrobię wszystko, co zechcesz, Ivy.

Nachylił się, przyciągnął moją twarz do swojej i zaczął całować, miękko, bez końca.

W końcu rozbolała mnie szczęka, więc się odsunęłam. Uśmiechnęłam się.

— Mm... Miło, że wróciłeś.

— Miło było wrócić.

— Wiesz, co powinniśmy zrobić? — powiedziałam. — Rozpalmy ognisko na podwórku i spalmy twoją książkę. To będzie taki symbol nowego początku. Jak ci się ten pomysł podoba?

Patrzył na mnie zaskoczony.

— Uważasz, że powinienem spalić książkę?

— Tak. Przecież sam powiedziałeś, że to był błąd i że nigdy nie powinieneś być jej napisać.

— To prawda. Nie powinienem był, ale napisałem. I zapłacili mi za nią dużo pieniędzy. Wydawca i studio wściekną się, kiedy nie dostarczę im manuskryptu, i będą mieli rację. Musiałbym im zwrócić pieniądze. Mogliby mnie nawet pozwać do sądu.

— Philipie, twoja książka ingeruje w moją prywatność, o moich klientach już nawet nie wspominając. Nie chcę wystawiać w ten sposób swojego życia na widok publiczny.

— Jeśli chodzi ci o pieniądze, mogę dać ci dwadzieścia procent z zaliczki.

Uśmiechnęłam się smutno i potrząsnęłam głową.

— Philipie, bardzo ci dziękuję. Szalenie ułatwiasz mi sprawę. Nie chcę twojej zaliczki. I nie chcę ciebie.

— Czterdzieści procent? — zawołał, kiedy odchodziłam.

Skryłam się za krzakiem hortensji, żeby dojść do siebie.

— Głupia, głupia, głupia — powiedziałam, waląc się otwartą dłonią w czoło. — Co ja sobie wyobrażałam? Ach! — Usiadłam na ziemi i skryłam twarz w dłoniach. W milczeniu rozważałam, co się właśnie stało, próbując pojąć, jak mogłam być aż tak naiwna. Czy ja w końcu kiedyś zmądrzeję? Czy jeśli chodzi o mężczyzn, ciąży na mnie jakaś klątwa?

— Mamusiu, nic ci nie jest?

Podniosłam głowę. Nade mną stała Kate.

— Nie, nic, kochanie. Tylko daj mi jeszcze minutkę.

— Mamusiu, Sir Elton zrzucił na ziemię miskę z siekaną wątróbką.

Spojrzałam w kierunku stołu. Rozbita miska leżała na trawie, a wątróbka była rozrzucona wokół. Sir Elton łapczywie, najszybciej jak się dało, łykał kawałki wątróbki.

— Sir Eltonie! — krzyknęłam. — Co ty robisz? Przecież wiesz, że nie wolno!

Podbiegłam i odgoniłam psa. Wyrzuciłam szczątki miski do śmieci. Później za pomocą papierowych ręczników pozbierałam z ziemi wątróbkę. Co za wstyd. Michael tak się napracował, a teraz wszystko szlag trafił. No właśnie, gdzie się podział Michael? Rozejrzałam się po podwórku. Michael zniknął.

— Faith, widziałaś Michaela? — zapytałam.

Faith i Steven siedzieli przy stoliku, zajadając Ciasto Opry

— Wyszedł, jak zaczęłaś się całować z Philipem. Znowu jesteście razem? — zapytała Faith.

— Nie, nie jesteśmy.

— Nie nadążam za jej życiem uczuciowym — poskarżył się Steven żonie, jakby mnie przy tym nie było.

— Wiesz co — zwróciła się Faith do mnie. — Ten Michael jest uroczy Długo z nim dzisiaj rozmawiałam. Myślę, że by się nadał. Wiedziałś o tym?

— Wcześniej nie, ale teraz już wiem.

Pobiegłam do restauracji. Kolejka wiła się do następnej przecznicy. Nic mnie to nie obchodziło. Przepchnęłam się przez tłum marynarzy do środka. W Nowym Jorku trwał właśnie Tydzień Marynarki.

— Hej, paniusiu, za kogo się masz? Za królową Anglii? Stań w kolejce jak wszyscy.

— Och, ja tu pracuję. Im szybciej mnie wpuszczicie, tym szybciej zjecie — powiedziałam z uśmiechem.

Weszłam do środka. Było tłoczno i głośno jak na Times Square w Sylwestra. Michael stał za ladą i obsługiwał klientów.

— Michaelu! — krzyknęłam. Nie usłyszał, zaczęłam więc wymachiwać rękami i raz po raz wykrzykiwać jego imię. Albo mnie nie widział, albo nie chciał widzieć.

Musiałam jakoś zwrócić jego uwagę. Wlazłam na stół i znowu go zawołałam. Nie spojrzał na mnie. Byłam w prawdziwej desperacji. Wzięłam głęboki oddech, po czym dałam występ życia.

Czemu nagle ptaki przybywają,

Gdy zaczynam tęsknić?

Jak one na niebie,

Tak i ja pragnę

Być blisko cie —ee —bie...

Zaraz, co jest z tą piosenką? W ułamku sekundy wszyscy umilkli. Kątem oka zauważyłam Faith, Stevena i całą resztę moich gości, którzy siłą wdarli się restauracji.

— Michaelu. — Wreszcie na mnie spojrział. — Czy możemy porozmawiać na osobności?

— O nie — zabrzmiał jakiś słaby głosik. — Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, możesz to zrobić przy mnie.

Spojrzałam w dół na starszą panią i jej wiekowego garbatego męża, siedzących przy stoliku, na którym stałam.

— Pani Goldofsky?

— Tak jest, moja panno. Stoisz w mojej faszerowanej rybie — powiedziała.

— Bardzo przepraszam. Proszę mi wybaczyć. Kupię pani następną. Czy możemy prosić o porcję faszerowanej ryby?

Tłum zaczął się niecierpliwić.

— Proszę pani, może się pani pospieszyć? My też chcielibyśmy coś zjeść.

— W porządku, to da się zrobić. — Spojrzałam na Michaela i wzięłam głęboki oddech. — Michaelu, czy pamiętasz, jak kilka dni temu powiedziałeś, że zaczynasz mnie kochać?

Michael skinął głową.

— Cóż, wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, ale... ja czuję to samo. Po prostu byłam zbyt głupia, żeby to zrozumieć. I zastanawiam się, nie, pytam... czy dasz mi jeszcze jedną szansę?

— Nie rób tego, Michaelu. Ona to zwykle ładaco — zapiszczał babciny głosik.

— Pani Goldofsky, jak pani może tak mówić? Przecież pani mnie w ogóle nie zna.

— Ja to wiem. Porządna dziewczyna nie wchodzi nikomu w faszerowaną rybę.

— Porządna dziewczyna nie wpycha się do kolejki — krzyknął jakiś marynarz.

— Porządna dziewczyna nie śpiewa piosenek, kiedy ludzie próbują coś zjeść — ktoś dodał. — O co tu chodzi?

— Przestańcie, wszyscy — zawołała Patsy — Ivy jest porządną dziewczyną, wspaniałym człowiekiem. Każdy, kto ją jeszcze raz obrazi, będzie miał do czynienia ze mną. Czy wyrażam się jasno?

Zaraz, czyżby to moja myszka Patsy? Tylko tak dalej, droga przyjaciółko.

Patrzyłam na Michaela i modliłam się, żeby dał mi jeszcze jedną szansę.

Wyszedł zza lady i podszedł do mnie. Niczym rycerz w brudnym białym fartuchu podał mi rękę. Musiałam bardzo uważać, żeby się nie poślizgnąć z faszerowaną rybą na butach. Michael uśmiechnął się i wziął mnie w ramiona. Zaczęliśmy tańczyć na malutkim kawałku wolnej przestrzeni, którą tłum łaskawie nam zrobił. Szeptał mi do ucha piosenkę, którą kiedyś śpiewał dla mnie w Knickerbocker.

To musiałaś być ty,

To musiałaś być ty.

Snulem się po świecie,

aż wreszcie znalazłem...

Łzawe, cikliwe — nazwijcie to sobie, jak chcecie. Ale nie zapominajcie, że jestem tą dziewczyną, która Georgowi Clooneyowi śpiewała *Captain i Tenille*. Przepadam za piosenkami o miłości, taka już jestem. W restauracji było chyba ze sto osób, ale on widział tylko mnie. Patrzył mi w oczy, uśmiechał się i głaskał mnie po włosach. A później mnie pocałował. Jakie to było słodkie.

— Czy ktoś mi może przynieść nową porcję faszerowanej ryby, zanim padnę trupem z głodu? — usłyszałam krzyk pana Goldofskiego.

— Czy ta kolejka zacznie się wreszcie przesuwać? — wrzasnął ktoś inny.

— Właśnie, jeść nam się chce!

— Wynajmijcie sobie pokój!

Popatrzyliśmy na siebie z Michaelem i bez słów zrozumieliśmy, że pora spadać z tej knajpy. Obróciliśmy się do wyjścia, ale pani Goldofsky złapała Michaela za rękaw.

— Jak wam nie wyjdzie, nie zapominaj o mojej wnuczce. Jest lekarzem.

— Bardzo dziękuję, ale chyba nie skorzystam, pani Goldofsky — rzekł Michael.

Wraz z rodziną i przyjaciółmi wróciliśmy na podwórko. Niedługo wynajmiemy sobie pokój, ale póki co były urodziny Skyler.

Rany boskie, nagły wypadek! Podbiegłam do Kate i wyrwałam jej palec z buzi.

— Kate, przestań ssać kciuk! Przecież wiesz, co ci powiedział dentysta.

— A mogę się podrapać w pupę?

Usłyszałam krzyk Lii.

— Mamusiu, a Mae bawi się w doktora z Irvingiem!

Za krzakiem hortensji zobaczyłam Mae, nagusieńką, jak ją Pan Bóg stworzył.

— Wszystko jest pod kontrolą — oświadczył Irving. — Jestem lekarzem.

Ollie wraz z Faith pobiegły pomóc Mae ubrać się z powrotem.

Spojrzałam na moje córki, przyjaciół, ich dzieci, Michaela, mojego psa, który właśnie usiłował złapać własny ogon. Mój świat był doskonały. Podszedł Michael i objął mnie ramieniem. Wskazał na budynek.

— Wiesz, kiedyś zrobimy z tego wielki dom. Co ty na to?

— Michaelu, a co ja bym robiła z wielkim domem? Jak lepiej mnie poznasz, zrozumiesz, że mam bardzo skromne potrzeby

Uśmiechnął się. Czy te jego dołączki kiedyś mi się znudzą?

— Chodź, Ivy, zjemy trochę Ciasta Opry — powiedział.

I tak zrobiliśmy.

TLR